

Ann Clewes

Ukryta Głębina

Hidden Depths

Przekład Ewa Kowalska

1

Julie wytoczyła się z taksówki i popatrzyła za odjeżdżającym autem. Zatrzymała się na chwilę przed furtką, żeby się ogarnąć. Nie chciała wyglądać na zalaną po tych wszystkich pogadankach, jakie urządzała dzieciakom. Gwiazdy zawirowały i dały nura w niebo; omal nie zwymiotowała. Ale miała to gdzieś. To był fajny wieczór, pierwszy od wieków spędzony z dziewczynami. Choć to nie dzięki dziewczynom okazał się tak wyjątkowy, pomyślała i uświadomiła sobie, że ma na twarzy szeroki, błogi uśmiech. Całe szczęście, że jest ciemno i dookoła nie ma nikogo, kto by to zobaczył.

Pod drzwiami przystanęła jeszcze raz i zaczęła grzebać w torebce między kredkami do oczu, chusteczkami ze śladami szminki i drobniakami w poszukiwaniu klucza. Jej dłoń natrafiła na skrawek papieru: oddarty róg barowego menu. Numer telefonu i nazwisko. „Zadzwoń niedługo”. A dalej serduszko. Pierwszy mężczyzna, jakiego dotknęła, od kiedy odszedł Geoff. Jeszcze czuła jego plecy pod palcami, kiedy tańczyli. Jaka szkoda, że musiał wyjść wcześniej.

Zatrzęsnęła torebkę i nasłuchiwała przez chwilę. Nic. Było tak cicho, że słyszała szum w uszach po głośnej klubowej muzyce, tak jakby ktoś uciskał jej bębunki. Czy to możliwe, że Luke śpi? Laura mogłaby spać bez przerwy, ale jej synowi jakoś nigdy to się nie udawało. Nawet teraz, kiedy nie chodził już do szkoły i nie miał po co się tak wcześnie zrywać, zwykle budził się przed nią. Otworzyła drzwi i znów nasłuchiwała, wysuwając stopy z pantofli, które potwornie ją cisnęły od chwili, kiedy wiele godzin temu wysiadła z metra. Rany, nie tańczyła tak, odkąd skończyła dwadzieścia pięć lat. W domu panowała cisza. Żadnej muzyki, telewizji, odgłosów komputera. Bogu dzięki, pomyślała. Cholera, Bogu dzięki. Chciała spać i mieć seksowne sny. Gdzieś na dworze, na ulicy, ktoś uruchomił silnik samochodu.

Włączyła światło. Jaskrawy blask boleśnie zaatakował jej

głowę; żołądek znów wywrócił się do góry nogami. Rzuciła torebkę i pobiegła na górę, do łazienki, potykając się w połowie drogi. Nie miała najmniejszego zamiaru zwymiotować na nową wykładzinę w przedpokoju. Drzwi łazienki były zamknięte, w szparze na dole zobaczyła światło. Ze schowka z bojlerem dobiegało słabe gulgotanie – zbiornik się napełnia. Typowe. Rano potrzeba było długich godzin perswazji, żeby zapędzić Luke'a pod prysznic, po czym nagle postanawiał wziąć kąpiel w środku nocy. Zapukała, ale niezbyt nagłaco. Mdłości minęły.

Luke nie odpowiedział. Widocznie znowu ma te swoje humory. Julie wiedziała, że to nie jego wina i że powinna być cierpliwa, ale czasami miała ochotę go udusić, kiedy robił się taki dziwny. Przeszła przez piętro do pokoju Laury. Patrząc na śpiącą córkę, nagle się rozczuliła. Pomyślała, że musi spędzać z nią więcej czasu. Czternaście lat to trudny wiek dla dziewczynki, a Julie była ostatnio tak zaabsorbowana Lukiem, że Laura wydawała jej się niemal kimś obcym. Nawet nie zauważyła, kiedy jej córka wydorosłała. Teraz leżała na plecach, z nastroszonymi włosami, bardzo czarnymi na tle poduszki, chrapiąc lekko z otwartymi ustami. Fatalna pora dla alergików. Julie zauważyła, że okno jest otwarte, i choć było gorąco, zamknęła je, żeby nie wpadały pyłki. Światło księżycy zalewało łąkę za domem, gdzie dopiero co skoszono trawę.

Wróciła do drzwi łazienki i otwartą dłonią zabębniła w drzwi.

– Hej, będziesz tam siedział całą noc? – Po trzecim uderzeniu drzwi się otworzyły. Luke nie przekręcił zamka. Poczula zapach olejku do kąpieli, ciężki i słodki, którego nie rozpoznawała; to na pewno nie jej. Ubranie syna leżało starannie poskładane na desce klozetowej.

Zawsze był piękny, nawet jako dziecko. O wiele ładniejszy od Laury, co wydawało się absolutnie nie w porządku. Wszystko przez te jasne włosy i ciemne rzęsy. Długie, ciemne rzęsy. Julie wpatrywała się w niego – leżał całkowicie zanurzony, a włosy unosiły się ku powierzchni jak wodorosty. Ciało nie widziała z powodu kwiatów. Pływały w pachnącej wodzie. Tylko główki, bez

łodyg i liści. Duże złocienie – rosły na polach kukurydzianych, kiedy była dzieckiem. Przerośnięte maki, których czerwone płatki w wodzie zrobiły się przejrzyste. I ogromne niebieskie kwiaty; widywała takie w ogródkach we wsi, ale nie potrafiła ich nazwać.

Chyba krzyknęła. Usłyszała ten odgłos, jakby wydał go ktoś inny. Ale Laura i tak spała, Julie musiała nią potrząsnąć, żeby ją obudzić. Dziewczyna otworzyła oczy nagle, bardzo szeroko. Wyglądała na przerażoną, więc Julie zaczęła wygadywać jakieś kłamstwa:

– Wszystko dobrze, słońko. Wszystko w porządku. Ale musisz wstać.

Laura zwiesiła nogi z łóżka. Trzęsła się, choć nadal była półprzytomna. Julie objęła ją i podpierała, kiedy razem, potykając się, schodziły na dół. I stały tak, półobjęte na progu domu sąsiadki, a cień na ścianie, jaki rzucały w świetle latarni, przypominał Julie ludzi ze zwariowanych wyścigów na trzech nogach. Albo pijanych studentów płaczących się od pubu do pubu. Nie przestawała wciskać guzika dzwonka, aż na górze zapaliły się światła, rozległy kroki i miała już kogoś, z kim mogła dzielić ten koszmar.

Felicity Calvert niepokoiło to, że tak bardzo pochłonął ją seks. Kiedyś w poczekalni u lekarza przeczytała artykuł, że nastoletni chłopcy myślą o seksie mniej więcej co sześć minut. Wtedy jakoś trudno jej było w to uwierzyć. Jak ci młodzi ludzie mogli prowadzić normalne życie – uczyć się, oglądać filmy, grać w piłkę – skoro tak często coś ich rozpraszało? A co z jej własnym synem? Patrząc, jak James bawi się klockami lego na podłodze, nie potrafiła sobie wyobrazić, że za parę lat i on znajdzie się w szponach tej obsesji. Teraz jednak uważała, że to wyliczenie – sześć minut przerwy między seksualnymi fantazjami – mogło być dość ostrożną oceną. Przynajmniej w jej przypadku. Już od jakiegoś czasu świadomość istnienia własnego ciała i jego reakcji towarzyszyła jej przy każdej czynności; krępujące, czasem przyjemne tło codziennego życia. Wydawało się to nieodpowiednie u kogoś w jej wieku. Jakby wybrała się na pogrzeb w różowej sukience.

Zbierała w ogrodzie pierwsze truskawki. Ostrożnie wsunęła dłoń między folię a podściółkę ze słomy i uniosła siatkę. Truskawki były jeszcze małe, ale powinno ich wystarczyć na podwieczorek dla Jamesa. Spróbowała jednej – ciepła od słońca i bardzo słodka. Felicity spojrzała na zegarek, już prawie pora na szkolny autobus. Za dziesięć minut musi umyć ręce i wyjść po Jamesa; przystanek był kawałek dalej, przy głównej drodze. Nie zawsze chodziła. Twierdził, że jest już dość duży, żeby samemu wracać do domu, i oczywiście miał rację. Ale dzisiaj wziął ze sobą skrzypce, więc ucieszy się na jej widok, bo mu pomoże nieść rzeczy. Przez moment zastanawiała się, czy dziś będzie stary kierowca autobusu, czy ten młody, z muskularnymi ramionami i w podkoszulku bez rękawów, po czym znów spojrzała na zegarek. Raptem dwie minuty od ostatniej myśli o seksie. Wróciła refleksja, że w jej wieku to zwyczajnie śmieszne.

Felicity, lat czterdzieści siedem, miała męża i czwórkę dzieci.

Na litość boską, miała nawet wnuka. Jej mężowi Peterowi za parę lat stuknie sześćdziesiątka. Te bańki żądzły wypływały na powierzchnię ni z tego, ni z owego, w najmniej spodziewanych momentach. Nie rozmawiała o tym z Peterem. Oczywiście że nie. I z pewnością nie on był obiektem jej pożądania. Ostatnio rzadko się kochali.

Wstała i ruszyła po trawie do kuchni. Fox Mill stał na miejscu dawnego młyna wodnego. Ten duży dom został zbudowany w latach trzydziestych jako nadmorska letnia rezydencja jakiegoś właściciela statku z miasta. I sam wyglądał jak statek z tymi swoimi opływowymi, falistymi liniami, z przepływającym obok młyńskim strumieniem. Wielki statek w stylu art déco, zupełnie nie na miejscu wśród płaskich pól, z dziobem wycelowanym w stronę Morza Północnego, a rufą odwrócony do gór Northumbrii* na horyzoncie. Długa weranda rozciągała się wzdłuż jednej ściany niczym pokład widokowy, zupełnie niepraktyczny, bo w tych okolicach rzadko bywało dość ciepło, żeby posiedzieć na dworze. Felicity uwielbiała ten dom. Nigdy by sobie go nie kupili z akademickiej pensji, ale niedługo po ich ślubie zmarli rodzice Petera i syn odziedziczył cały majątek.

Postawiła siatkę z truskawkami na stole i przejrzała się w lustrze w przedpokoju; przeczesła włosy palcami, lekko pociągnęła szminką usta. Była starsza niż matki kolegów Jamesa i przerażała ją myśl, że mógłby się jej wstydzić.

Przy dróźce kwitły czarne bzy. Od ich zapachu kręciło jej się w głowie, dławilo w gardle. Po obu stronach, za żywopłotami dojrzewała kukurydza. Tutaj rosła tak gęsto, że nie było miejsca na kwiaty, ale na ich polu, bliżej domu rosły jaskry, koniczyzna i wyka. Dziurawy asfalt falował w oddali od upalnej mgiełki. Słońce świeciło bez przerwy od trzech dni.

W ten weekend były urodziny Petera i Felicity planowała, co zrobić. W piątek wieczorem przyjadą chłopcy. Tak o nich myślała, choć Samuel miał tyle samo lat co ona. Ale jeśli pogoda się utrzyma, to w sobotę urządzą sobie piknik na plaży, wycieczkę do

Farnes, żeby popatrzeć na maskonury i nurzyki. James bardzo by się ucieszył. Mrużąc oczy, spojrzała w niebo; próbowała wyczuć zbliżający się zimny front, dostrzec najmniejszą chmurkę na horyzoncie. Nie zauważyła żadnej. Przy takiej temperaturze można by nawet popływać, pomyślała i wyobraziła sobie, jak fale uderzają o jej ciało.

Kiedy dotarła na koniec dróżki, nie było jeszcze widać autobusu. Wspięła się na drewnianą platformę, na której kiedyś bańki z mlekiem czekały na furgonetkę z mleczarni. Ciepłe drewno pachniało smołą. Odchyliła się do tyłu i wystawiła twarz do słońca.

Za dwa lata James pójdzie do gimnazjum. Przerazała ją ta perspektywa. Peter mówił, żeby posłać go do prywatnej szkoły w mieście, on sam tam chodził. Widywała w metrze chłopców stamtąd, w pasiastych marynarkach. Wydawali się bardzo głośni i pewni siebie.

– Ale jak on tam będzie dojeżdżał? – Tak naprawdę nie o to się martwiła. Uważała, że nie powinni wywierać takiej presji na Jamesa. To powolne, rozmarzone dziecko. Lepiej poradzi sobie, kiedy będzie pracował we własnym tempie. Publiczna szkoła w sąsiedniej wsi bardziej by mu odpowiadała. Nawet gimnazjum w Morpeth, gdzie uczyła się reszta jej dzieciaków, wydawało jej się zbyt wymagające.

– Będę go zawoził i przywoził – odparł wtedy Peter. – Po lekcjach i tak organizują tam mnóstwo zajęć. Może czekać, aż skończą pracę.

To jeszcze gorzej nastroiło ją do tego planu. Czas, który spędzali z Jamesem razem po jego powrocie ze szkoły, był wyjątkowy. Uważała, że bez tego straci syna.

Usłyszała autobus, z warkotem wspinał się po stoku. Usiadła prosto i, mrużąc oczy od słońca, patrzyła, jak pojazd się zbliża. Za kierownicą siedział Stan, ten stary. Pomachała do niego, żeby ukryć rozczarowanie. Zwykle na tym przystanku wysiadało troje dzieci: bliźniaczki z farmy i James. Dziś najpierw wysiadł ktoś obcy: dziewczyna w sandałach z rzemyków i w czerwono-złotej sukience bez rękawów, z dopasowaną górą i obfitą, powiewną

spódnicą. Felicity z zachwytem patrzyła na tę sukienkę, jej krój, żywe kolory – dzisiejsza młodzież wybierała raczej czern i szarości, nawet latem – a kiedy zobaczyła, że kobieta pomaga Jamesowi z torbami i skrzypcami, natychmiast ją polubiła. Bliźniaczki przeszły przez jezdnię i pobiegły polną drogą w stronę farmy, autobus odjechał, a ich trójka została przy żywopłocie trochę skrepowana.

– To panna Marsh – oznajmił James. – Pracuje w naszej szkole.

Dziewczyna miała dużą słomianą torbę na skórzanym pasku, przewieszoną przez ramię. Wyciągnęła rękę, bardzo brązową, długą i kościstą. Torba zsunęła się jej z barku i Felicity zauważyła, że w środku są tekturowe teczki i książka z biblioteki.

– Lily. – Jej głos brzmiał czysto. – Jestem studentką. Mam tu ostatnią praktykę. – Uśmiechnęła się tak, jakby się spodziewała, że Felicity będzie miło ją poznać.

– Powiedziałem panie Marsh, że może przyjechać i zostać w naszym domku gościnnym. – James, wolny od ciężarów, ruszył drogą, nie przejmując się, która z dorosłych weźmie jego rzeczy.

Felicity nie bardzo wiedziała, co powiedzieć.

– Ale wspomniał, że szukam stancji, prawda? – spytała Lily.

Felicity pokręciła głową.

– Rany, spałę się ze wstydu. – Mimo to nie wyglądała na zbyt zawstydzoną. Musiała być bardzo pewna siebie, bo ta sytuacja nawet ją rozbawiła. – Codzienne dojazdy z Newcastle bez samochodu to był koszmar. Dyrektor spytał na apelu, czy ktoś słyszał o jakimś miejscu do mieszkania. Myślałam o pokoju w pensjonacie lub u kogoś. Wczoraj usłyszałam od Jamesa, że macie domek na wynajem. Próbowałam dzwonić dziś po południu, ale nikt nie odbierał. Wyjaśnił, że pani jest w ogrodzie i że tak czy inaczej mam przyjechać. Zakładałam, że z panią rozmawiał. Trudno mu odmówić...

– O tak, potrafi być bardzo uparty – przyznała Felicity.

– To nic, nie ma problemu. Takie śliczne popołudnie. Przejdę się do wsi, a stamtąd złapię o szóstej autobus do miasta.

– Proszę mi pozwolić się nad tym zastanowić – odparła Felicity. – A na razie zapraszam na herbatę.

W domku pomieszkiwali już wcześniej najemcy, ale jakoś nigdy się to nie sprawdziło. Na początku ona i Peter cieszyli się z dodatkowego dochodu. Nawet z pieniędzmi po rodzicach męża z trudem spłacali kredyt. Potem, przy trójce dzieci poniżej piątego roku życia myśleli, że mogłaby tam mieszkać opiekunka. Ale wiecznie dochodziły do nich skargi, że zimno, cieknie kran i nie ma nowoczesnych wygód. A oni sami czuli się nie najlepiej z obcą osobą tak blisko rodziny. Odpowiedzialność za lokatorów odczuwali jako dodatkowy stres. I choć żaden z nich nie był szczególnie kłopotliwy, ich wyprowadzkę zawsze przyjmowali z ulgą. „Nigdy więcej”, oznajmił Peter, kiedy wyjechała ostatnia rezydentka, szwedzka au pair usychająca z tęsknoty za domem. Felicity martwiła się, co jej mąż powie na kolejną młodą kobietę pod bokiem, choćby tylko na cztery tygodnie do końca semestru.

Usiadły przy kuchennym stole. Morska bryza owiewała je i wydymała muślinową firankę w oknie. Felicity Calvert pomyślała, że chyba pozwoli dziewczynie zająć domek. Peter nie powinien mieć wielkich pretensji, bo to na krótko.

James siedział z nimi z nożyczkami i klejem, otoczony wycinankami z papieru. Pił sok pomarańczowy i wyklejał urodzinową kartkę dla ojca – dość skomplikowane dzieło: zdjęcia Petera wzięte ze starych albumów tworzyły kolaż wokół wielkiej sześćdziesiątki ze wstążki i brokatu. Lily podziwiała pracę chłopca i wypytywała o zdjęcia. Felicity wyczuwała, że zainteresowanie studentki sprawia Jamesowi przyjemność, i przepełniła ją wdzięczność.

– Skoro mieszka pani w Newcastle – powiedziała – to pewnie będzie pani wyjeżdżała na weekendy. – Uznała, że to kolejny argument dla Petera. „Posiedzi tu tylko w tygodniu. A ty wracasz z pracy tak późno, że nawet jej nie zauważysz”.

Domek stał za łąką pełną polnych kwiatów. Nie licząc ogrodu, posiadali tylko ten kawałek ziemi. Kiedy patrzyło się z

domu, budynek wydawał się tak mały i niski, że trudno było uwierzyć, żeby ktoś mógł tam mieszkać. Przez pole wiodła wydeptana ścieżka. Kto tędy chodził od czasu, kiedy odrosła trawa? – zdziwiła się Felicity. Pewnie James. Korzystał z domku do zabawy, kiedy miał się z kim bawić, ale na co dzień budynek stał zamknięty i Felicity nie pamiętała, żeby jej syn ostatnio prosił o klucz.

– „Domek gościnny” to trochę zbyt szumne określenie – powiedziała. – To ledwie dwa pomieszczenia, jedno nad drugim, z łazienką dostawioną od tyłu. Mieszkał tam ogrodnik, kiedy zbudowano główny dom. A wcześniej to był, zdaje się, chlewik, w każdym razie jakiś budynek gospodarczy.

Drzwi zabezpieczała kłódka. Felicity otworzyła ją i zawahała się; ogarnął ją dziwny niepokój. Pożałowała, że nie zajrzała tutaj, zanim zaprosiła obcą osobę. Powinna zostawić Lily w kuchni i bez niej sprawdzić, w jakim stanie jest to miejsce.

Ale, choć od razu poczuła wilgoć, we wnętrzu panował jaki taki porządek. Palenisko było puste, choć nie przypominała sobie, żeby je czyściła po Bożym Narodzeniu, kiedy nocowała tu jej najstarsza córka z mężem. Garnki odwieszane na swoje miejsce, na ścianę, ceratowy obrus na stole zmyty. Przyjemny chłód po upale łąki. Otworzyła okno.

– Na farmie koszą trawę – powiedziała. – Pachnie nawet tutaj.

Lily weszła do środka. Nie sposób było stwierdzić, jakie wrażenie zrobił na niej domek. Felicity oczekiwała, że studentka się w nim zakocha, i trochę dotknął ją ten brak entuzjazmu, jakby dziewczyna odrzuciła propozycję przyjaźni. Przeprowadziła ją do małej łazienki. Wyjaśniając, że prysznic jest nowy i że niedawno wymieniono kafelki, poczuła się jak agentka nieruchomości, która rozpaczliwie chce coś sprzedać. Dlaczego tak się zachowuję? – pomyślała. Przecież nawet nie za bardzo jej tu chciałam.

Lily odezwała się wreszcie.

– Możemy zajrzeć na górę? – Ruszyła po drewnianych schodach prowadzących wprost z kuchni.

Felicity zaniepokoiła się, tak samo jak przed drzwiami domku. Wolała być tam pierwsza.

Jednak wszystko znów wyglądało przyzwoiciej, niż się spodziewała. Łóżko zaścielone, kołdra i dodatkowe koce równo poskładane w nogach. Na malowanym kredensie i toaletce zastawionej rodzinnymi zdjęciami warstewka kurzu, ale zero bałaganu czy śmieci, jakie zostawały zwykle po pobycie córki. Na szerokim parapecie stał dzbanek z białymi różami. Jeden z płatków opadł i Felicity odruchowo go podniosła. Oczywiście, pomyślała. Mary musiała tu zaglądać, chociaż nikt jej o to nie prosił. Kochana kobieta! Taka dyskretna i uczynna! Mary Barnes przychodziła sprzątać dwa razy w tygodniu.

Dopiero zamykając kłódkę, Felicity stwierdziła, że te róże nie mogły tu stać dłużej niż parę dni, a zresztą Mary, osoba bez większego polotu, nigdy nie wpadłaby sama z siebie na taki pomysł.

Przez chwilę stały przed domkiem.

– No więc? – zagadnęła Felicity. – Co pani sądzi? – Usłyszała we własnym tonie fałszywą radosną nutę.

Lily się uśmiechnęła.

– Jest śliczny – odparła. – Naprawdę. Ale muszę to wszystko dobrze przemyśleć. Skontaktuję się z panią, dobrze? W przyszłym tygodniu?

Felicity chciała zaproponować, że ją podwiezie, przynajmniej na przystanek autobusowy we wsi, ale Lily odwróciła się i ruszyła przez łąkę. Felicity jakoś nie mogła się zdobyć, żeby za nią zawołać, więc tkwiła w miejscu i patrzyła, aż czerwono-złota postać zniknęła w wysokiej trawie.

Julie nie mogła przestać mówić. Wiedziała, że robi z siebie idiotkę, ale słowa wylewały się z niej, a gruba kobieta wbita w fotel Delcor, który Sal kupiła w zeszłym roku na wyprzedaży, po prostu siedziała i słuchała. Nie robiła notatek, nie zadawała pytań. Po prostu słuchała.

– Nie sprawiał żadnych kłopotów. Nie to co Laura. Ona po Luke’u była istnym szokiem. Wymagająca pannica, i to nieważne, czy spała, płakała czy miała dziób zatkany butelką. A Luke był... – Julie urwała, żeby znaleźć odpowiednie słowo. Gruba policjantka nie odzywała się, dała jej czas do namysłu. – Wyluzowany. Spokojny. Leżał cały dzień i obserwował sobie cienie na suficie. Trochę późno zaczął mówić, ale urodziła się Laura i pielęgniarzka środowiskowa sądziła, że to dlatego. To znaczy, ona była jak żywe srebro, pochłaniała mnie bez reszty i wysysała ze mnie całą energię, więc Luke pozostawał trochę na uboczu. Ale pielęgniarzka stwierdziła, że nie ma się co martwić. Że nadrobi, jak tylko pójdzie do żłobka. Geoff jeszcze wtedy mieszkał z nami, ale często wyjeżdżał na zlecenia. Jest tynkarzem. Na południu ludzie są bogatsi, więc zgłosił się do agencji pośrednictwa pracy i wylądował w Canary Wharf... Nie powiem, lekko mi nie było z dwójką malutkich dzieci i bez męża w domu.

Kobieta wreszcie zareagowała; ledwie dostrzegalnie skinęła głową na znak, że rozumie.

– Posłałam go do żłobka przy szkole w naszej wsi. Z początku nie chciał tam zostawać, musieli go ode mnie odciągać siłą, a kiedy wracałam po godzinie, ciągle szlochał. Serce mi się krajało, ale uważałam, że tak będzie dla niego lepiej. Potrzebował towarzystwa. Pielęgniarzka środowiskowa powiedziała, że tak trzeba. I w końcu się przyzwyczaił. A przynajmniej obywało się bez wrzasków. Ale cały czas patrzył na mnie tym swoim wzrokiem. Nic nie mówił, ale jego oczy błagały: „Nie każ mi tam wchodzić, mam. Proszę cię, nie zmuszaj mnie”.

Julie siedziała na podłodze z kolanami podciągniętymi pod brodę, z rękami splecionymi wokół nóg. Spojrzała na panią detektyw, która wciąż patrzyła i czekała. Nagle przyszło jej do głowy, że tę kobietę, wielką i solidną jak skała, mogła też kiedyś spotkać tragedia i dlatego potrafi siedzieć tutaj i nie rzucać tych głupich, współczujących półsłówek, jak Sal i lekarz. Ta kobieta wiedziała, że tu nie pomogą żadne słowa. Jednak Julie nie obchodził smutek policjantki, a myśl o nim była przelotna. Wróciła do swojej historii.

– Mniej więcej w tym czasie Geoff wrócił z Londynu. Poinformował, że robota się skończyła, ale wiedziałam od jego kumpla, że doszło do jakiejś kłótni z brygadzystą. Geoff jest dobrym pracownikiem i nie da sobą pomiatać. Przeżywał wtedy trudny okres. Nigdy nie potrafił siedzieć beczynnie i przywykł do tego, że sporo zarabia. Kupił mi nowe meble do kuchni i wykończył łazienkę. Nie uwierzyłaby pani, jak ten dom wyglądał, kiedy się wprowadzaliśmy. Ale potem pieniądze się skończyły...

Jakiś czas temu Sal zaparzyła im herbatę. W dzbanku, nie z ekspresówek w kubkach, jak to robiła Julie. Teraz Julie sięgnęła do tacy i naląła sobie kolejną filiżankę. Nie żeby miała na nią ochotę, ale przerwa dała jej czas na poukładanie sobie w głowie tego, co chciała powiedzieć.

– To nie były dobre czasy. Geoff odwykł od dzieci. Kiedy pracował w Londynie, miał wolny tylko jeden weekend w miesiącu. Powrót do domu traktował jak atrakcję. Rozpieszczał dzieciaki, przywoził prezenty. Wszyscy staraliśmy się pokazać z jak najlepszej strony. I co wieczór wychodził do klubu na kielicha z kolegami. Kiedy wrócił na dobre, nie mogło już tak być. Wie pani, jak to jest. Ubranka schnące na kaloryferach i podłoga zawałona zabawkami. Brudne pieluchy... Bywały chwile, kiedy tracił cierpliwość, szczególnie do Luke'a. Laura chichotała, podlizywała mu się. Luke jakby żył we własnym świecie. Geoff nigdy go nie uderzył. Ale krzyczał, i Luke'a tak to przerażało, jakby naprawdę dostał lanie. Ja wrzeszczałam cały czas, ale oni wiedzieli, że to nic takiego. I robili swoje. A z Geoffem to inna sprawa. Nawet ja się

czasem bałam.

Milczała przez chwilę, rozmyślając o Geoffie i jego wybuchowym charakterze, o tym, jaka ponura atmosfera panowała w domu po każdej awanturze. Ale nie zdołała długo milczeć i słowa znów popłynęły.

– W zerówce był spokój. Wyglądało nawet, że Luke lubi tam chodzić. Może po prostu już się przyzwyczaił do miejsca, bo to w tym samym budynku co żłobek. Miał kochaną nauczycielkę, panią Sullivan. Traktowała te dzieci jak babcia; sadzała je na kolanach, kiedy uczyła czytać. Stwierdziła, że Luke ma problemy, nic poważnego, ale należałoby go zbadać. Chciała, żeby porozmawiał z nim psycholog. Ale nie mieliśmy pieniędzy, a na bezpłatną wizytę okazało się, że trzeba długo czekać, i jakoś nic z tego nie wyszło. Geoff stwierdził, że jedynym problemem Luke'a jest lenistwo. A potem odszedł. Powiedział, że działamy mu na nerwy. Że ciągniemy go w dół. Ale ja doskonale wiedziałam, że ma romans z pielęgniarką ze szpitala Royal Victoria. W końcu wylądował u niej. Teraz są małżeństwem.

Znów przerwała na chwilę. Nie dlatego, że skończyły jej się tematy, ale musiała złapać oddech. Pomyślała, że Geoff orientował się od samego początku, że z Lukiem jest coś nie tak. Rzucał takie podejrzliwe spojrzenia, kiedy Luke się bawił. Po prostu nie chciał tego przyznać przed samym sobą.

Wpół do dziewiątej rano. Wciąż siedziały u Sal, w jej salonie. Ulicą przeszedł listonosz, gapiąc się na gliniarza stojącego pod drzwiami domu Julie. Kawalek dalej dzieciaki ganiały się i chichotały w drodze do szkoły.

Gruba policjantka pochyliła się do przodu, nie po to, żeby poganiać; raczej żeby pokazać, że spokojnie może poczekać, że absolutnie nigdzie jej się nie spieszy. Julie napiła się herbaty. Nie powiedziała kobiecie o tym, jak Geoff patrzył na Luke'a. Przeskoczyła w swojej opowieści rok dalej.

– Napady wściekłości zaczęły się, kiedy miał jakieś sześć lat. Przychodziły znikąd i wtedy nie dało się nad nim zapanować. Mama twierdziła, że to moja wina, bo go rozpieściłam. Wtedy nie

był już w klasie pani Sullivan, ale w całej szkole tylko z nią tak naprawdę mogłam porozmawiać, i ona powiedziała, że to frustracja. Że Luke nie potrafi się jasno wysławić, że trudno mu idzie czytanie i pisanie, i nagle to wszystko go przerosło. Raz na placu zabaw popchnął jednego chłopca, który się z niego wyśmiewał. Chłopak potknął się i rozbił sobie głowę. Przyjechała karetka i pewnie sobie pani wyobraża, co się działo, gdy po południu rodzice zaczęli odbierać dzieciaki ze szkoły. Wszystkie inne matki pokazywały go palcami i szeptały. Luke'owi było strasznie przykro. Chciał odwiedzić tego kolegę w szpitalu, a jak się tak zastanowić, to przecież tamten zaczął z tymi swoimi drwinami. Miał na imię Aidan. Aidan Noble. Jego mama nie miała pretensji, ale ojciec przyszedł do nas do domu, żeby na nas nawrzeszczeć. Pyskował na progu, aż cała ulica słyszała. Wicedyrektor wezwał mnie na rozmowę. Nazywał się Warrender. Niski, pulchny facet z takimi cienkimi włosami, które nie zakrywają łysego placka. Przedwczoraj widziałam go w mieście i w pierwszej chwili go nie poznałam, teraz nosi tupecik. A wtedy, tam w gabinecie nie był niemiły. Poczęstował mnie herbatą i tak dalej. Powiedział, że Luke ma problemy psychiczne i chyba nie dadzą rady zajmować się nim w szkole. Zerwałam się z krzesła. Zaczęłam płakać. Powiedziałam mu to, co mówiła pani Sullivan, i że gdyby wcześniej zorganizowali wizytę u specjalisty, to może syn nie doprowadziłby się aż do takiego stanu. Pan Warrender chyba mnie wysłuchał, bo Luke'a rzeczywiście przyjął psycholog. Zrobił mu jakieś testy, ocenił, że dziecko ma trudności w przyswajaniu wiedzy, ale przy odpowiednim wsparciu raczej może zostać w szkole. I tak się stało.

Julie znów przerwała. Chciała, żeby ta gruba kobieta zrozumiała, jak to jest, jaka to ulga dowiedzieć się, że te napady złości i humory to nie jej, matki, wina. Luke był wyjątkowy, inny, od samego początku. I nic, co by zrobiła, nie mogło zmienić tego faktu. I ta policjantka wiedziała chyba, jakie to dla Julie ważne, bo wreszcie pozwoliła sobie na uwagę.

– Więc nie została pani z tym sama.

– Nie ma pani pojęcia, jakie to wspaniałe uczucie – odparła Julie.

Kobieta skinęła głową. Bo skąd mogła mieć pojęcie, skoro sama nie miała dzieci? Jak ktokolwiek mógł mieć pojęcie, jeśli nigdy nie miał dziecka z trudnościami w przyswajaniu wiedzy?

– Już potrafiłam się pogodzić z tym, że ludzie o nas gadają, i z tymi szeptami pod szkolną bramą, że on wymaga specjalistycznej pomocy, bo wszystko się wyjaśniło, a większość osób była nawet miła. Specjalnie dla niego przychodziła pomoc nauczyciela. I Luke dobrze sobie radził. To znaczy, wiedziałam, że nigdy nie zostanie geniuszem, ale bardzo się starał i zrobił postępy w pisaniu i czytaniu, a w niektórych dziedzinach był niezły. Na przykład błyskawicznie łapał wszystko, co wiązało się z komputerami. Nastaly dobre lata. Laura też zaczęła szkołę i miałam trochę czasu dla siebie. Dostałam część etatu w domu opieki we wsi. Moje koleżanki nie rozumiały, dlaczego tak lubię tę pracę, ale lubiłam. Chyba dlatego, że czułam się użyteczna. Geoff nigdy nie palił się, żeby odwiedzać dzieci, ale pieniądze płacił. Wie pani, nie pozwalaliśmy sobie na szaleństwa, żadne wakacje czy dzikie wypadki na miasto, ale dawaliśmy radę.

– Pewnie i tak nie było łatwo – rzuciła policjantka.

– No cóż, oczywiście – przyznała Julie. – Mimo to szło nam nieźle. Ale Luke znów zaczął sprawiać kłopoty, kiedy poszedł do gimnazjum. Inne dzieciaki zauważyły, że jest łatwym celem i to wykorzystywały. Podpuszczały go do wygłupów w klasie. I zawsze to jego przyłapywano. Wyrabiał sobie opinię. Wie pani, jak to jest. Pewnie ciągle to pani widuje. Raz wezwano policję, bo kradł rzeczy z placu budowy. Plastikowe rynny. Do czego miałby ich potrzebować? Ktoś mu zaproponował parę funtów za tę kradzież, ale nie o to chodziło. Zależało mu, żeby ludzie go lubili. Całe życie czuł się wykluczony. Chciał mieć przyjaciół.

To chyba każdy potrafi zrozumieć, pomyślała Julie. Nie wiedziała, jak dałaby radę bez przyjaciółek. Najmniejszy problem z Geoffem i łapała za telefon. Zwierzała się ze zmartwień z Lukiem, kiedy chorował. A one natychmiast wpadały z butelką wina. Jasne,

potem zawsze plotkowały, ale ją wspierały.

– Miał jednego bliskiego przyjaciela – ciągnęła. – Thomasa. Poznali się, kiedy Luke zaczął gimnazjum. Taki trochę łobuz. Ciągłe miał jakieś kłopoty z policją, ale kiedy się z nim rozmawiało, można było zrozumieć dlaczego. Ojciec siedział w więzieniu przez większość dzieciństwa chłopaka, a matka nie bardzo się przejmowała synem. Nigdy nie wybrałabym Thomasa na kolegę dla Luke'a, ale tak naprawdę to nie był zły dzieciak. I chyba lubił spędzać czas w naszym domu. W końcu prawie u nas zamieszkał. I nie był kłopotliwy. Spędzali czas w pokoju Luke'a, oglądali filmy albo grali na komputerze, a dopóki tam siedzieli, to przynajmniej nie kradli, prawda? I nie brali hery, jak wielu ich kolegów. I dobrze się dogadywali. Czasami słyszałam, jak śmieją się z jakiegoś głupiego żartu i po prostu cieszyłam się, że Luke ma przyjaciela. Ale potem Thomas zginął. Utopił się. Wyglupiał się z chłopakami na nabrzeżu w North Shields. Wpadł do wody, a nie umiał pływać. Nasz Luke też tam był. Wskoczył za nim i próbował go ratować, ale się nie udało.

Julie urwała. Pod domem przejechał traktor z przyczepą wyładowaną belami słomy.

– Luke nie chciał o tym rozmawiać. Na całe godziny zamykał się pokoju. Myślałam, że zwyczajnie potrzebuje czasu, wie pani, żeby się z tym uporać. Żeby przeżyć żałobę. Przestał chodzić do szkoły, ale miał już wtedy piętnaście lat i nie musiał zdawać żadnych egzaminów, więc dałam mu spokój. Rozmawiałam z właścicielką domu opieki i powiedziała, że jak Luke skończy szesnaście lat, postara się znaleźć dla niego jakąś pracę, może pomagać w kuchni. Parę razy poszedł ze mną do roboty i starsi ludzie bardzo go polubili. Ale powinnam zdawać sobie sprawę, że potrzebuje pomocy. Nie zachowywał się normalnie, ale przecież mój syn nigdy nie był normalny, prawda? Więc jakoś tak nic mnie nie tknęło. A on przestał się myć, jeść i nie spał po całych nocach. Czasami słyszałam jego głos, jakby rozmawiał z kimś w swojej głowie. Wtedy wezwałam lekarza. Kazał go zabrać do St George's. Wie pani, tego szpitala psychiatrycznego. Powiedzieli, że to

głęboka depresja. Szok pourazowy. Nienawidziłam go tam odwiedzać, jednak czułam też ulgę, że nie mam go w domu. Oczywiście dręczyło mnie poczucie winy, że tak myślę, ale co poradzić.

– Kiedy wrócił do domu? – spytała policjantka. Jej pierwsze pytanie.

– Trzy tygodnie temu i wyglądało na to, że mu lepiej. Naprawdę. Znacząco, wciąż chodził smutny z powodu Thomasa. Czasami wybuchał płaczem na samo wspomnienie o nim. I ciągle widywał się z lekarzem w przychodni. Ale nie był wariatem. Nie był szalony. Wczoraj po raz pierwszy od miesiący wyszłam na miasto. Bardzo tego potrzebowałam, ale nie poszłabym, gdybym nie sądziła, że z nim jest w porządku. Nigdy nie podejrzewałam, że może sobie zrobić coś takiego.

Kobieta pochyliła się do przodu i ujęła dłoń Julie, nakryła ją swoją wielką łapą.

– To nie pani wina – powiedziała. – Luke nie popełnił samobójstwa. – Patrzyła na Julie, żeby się upewnić, że to do niej dotarło, że naprawdę zrozumiała. – Nie żył już, zanim włożono go do wanny. Został zamordowany.

Siedzieli przy kuchennym stole i jedli śniadanie. Teraz już wyszło słońce, promienie odbijały się od żółtej zastawy na kredensie i padały na sufit. Peter smarował sobie tost masłem i mówił – opowiadał o zgłoszeniu, które wysłał do Komisji Rejestracji Rzadkich Ptaków Brytanii, żalił się, że zostało odrzucone. Felicity udawała współczucie, choć tak naprawdę nie za bardzo skupiała się na rozmowie. Miała w tym sporą praktykę. Peter od wczesnej młodości uważał, że są mu pisane rzeczy wielkie. Określano go jako najzdolniejszego naukowca młodego pokolenia. Teraz, bliżej emerytury, zaczynało do niego docierać, że Wydział Historii Naturalnej nie dostrzegł jego zdolności. I wyrażał swoje rozczarowanie w sposób, który Felicity wydawał się prymitywny, wręcz obrzydliwy – wygłaszał złośliwe uwagi na temat kolegów z wydziału, ich braku dyscypliny intelektualnej, a innymi ptasiarzami wręcz gardził jako łowcami osobliwości. Twierdził, że nie pojmują znaczenia dokładnych badań nad własnym rewirem. Felicity rozumiała, skąd bierze się jego rozgoryczenie. Z całego serca życzyła mu, żeby jego talent został doceniony. Jak cudownie byłoby, gdyby dokonał spektakularnego odkrycia w okolicy własnego domu. Albo gdyby awansował na uczelni. Ale jego narzekania ją irytowały. Czasem zadawała sobie pytanie, czy on naprawdę jest tak wspaniały, za jakiego go uważała, kiedy się pobierali. Potem spoglądała na niego, na jego twarz pełną niepokoju i smutku, i czuła się niełojalna. Głaskała go palcem po policzku albo całowała niespodziewanie w środku zdania, wprowadzając go w osłupienie i prowokując do nagłego uśmiechu, który ujmował mu dwadzieścia lat.

– O której przyjeżdżają? – spytał i wyrwał ją z zamyślenia. Był podekscytowany. Ponury nastrój przysł.

Felicity zauważyła, że spotkanie z przyjaciółmi cieszy go bardziej niż jej towarzystwo. Na nią już tak nie reagował.

A myślała o Lily Marsh, praktykantce ze szkoły. Zastanawiała

się, czy dziewczyna skorzysta z propozycji zamieszkania w domku. Felicity zdała sobie sprawę, że nie rozmawiały o cenie. Może właśnie w tym tkwił problem, może dlatego tak uciekła. Może na widok domku, tak malowniczego, nawet jeśli trochę prymitywnego, stwierdziła, że czynsz przekroczy jej możliwości. Ostatecznie jeszcze na stałe nigdzie nie pracowała. Felicity rozważała, czy nie powinna posłać jej do szkoły liściku przez Jamesa: zapraszającej, ale konkretnej notki z wymienioną sumą, która nie odstraszyłaby studentki. Właśnie układała treść w głowie, kiedy Peter zadał jej pytanie.

Zajęła się bieżącymi sprawami. Urodzinowa kolacja Petera. Rytuał. Ta sama trójka przyjaciół co roku.

– Powiedziałam im, że kolacja jest o ósmej, a wcześniej idziemy na spacer do latarni morskiej. – Ten spacer to też rytuał.

Usłyszała na drodze furgonetkę listonosza, a potem plaśnięcie kopert na podłodze w holu. Zostawiła Petera z tostem i poszła po pocztę. Wszystkie listy do niego. Na trzech rozpoznała charakter pisma dzieci. Położyła koperty na stole przed Peterem. Od razu schował je do teczki. Jak zawsze pocztę otwierał w pracy. Kiedyś przemknęło jej przez głowę, czy on przypadkiem nie ma czegoś do ukrycia. Na chwilę popuściła wodze fantazji i wyobraziła sobie drugą żonę, rodzinę w sekrecie. Ale to po prostu był nawyk. Robił to bez zastanowienia.

Zamknął teczkę i wstał. Przez moment w domu panowało zamieszanie; Peter obiecał Jamesowi, że podrzuci go na przystanek, więc teraz stanął u stóp schodów i krzyknął na małego, żeby się pospieszył. Było parę rzeczy do zabrania, omal nie zapomnieli wziąć lunchu. Felicity przypomniała sobie, że w końcu nie napisała listu do Lily Marsh. W ostatniej sekundzie się powstrzymała, żeby nie zawołać za Jamesem idącym do samochodu: „Powiedz panie Marsh, żeby zadzwoniła w sprawie domku”. Ale Peter chciałby wiedzieć, o co chodzi, a to nie czas na wyjaśnienia. Poza tym mógł się nie zgodzić na ten pomysł. Musiała odpowiednio mu przedstawić swój plan, kiedy trochę rozładuje się atmosfera. Na razie wyrzuciła Lily Marsh z myśli.

Samochód wreszcie odjechał i w domu zapanowała cudowna cisza.

Felicity usiadła nad kolejną kawą i zrobiła listę zakupów. Wszystkie weekendowe posiłki miała już zaplanowane. Oczywiście tort – już upieczony i polukrowany. Szkoda że trójka starszych dzieci mieszka zbyt daleko, żeby go spróbować. Na dzisiejszą kolację ugotowała daube* z wołowiny, gęste i aromatyczne, z oliwkami i czerwonym winem. Stało w spiżarni, wystarczyło tylko podgrzać. Teraz jednak zmieniła zdanie. Za gorąco na wołowinę. Zdecydowała, że jeśli dostanie w sklepie u Neila ze dwa kurczaki, przygotuje to hiszpańskie danie z ćwiartkami cytryn, rozmarynem i czosnkiem. O wiele lżejsze, cudownie aromatyczne i śródziemnomorskie. To Samuelowi przypadnie do gustu. Mogłaby rozstawić długi stół na tarasie pod werandą; zjedzą je z białym ryżem i wielką zieloną sałatą i będą udawać, że siedzą otoczeni drzewkami pomarańczowymi i gajami oliwnymi.

Czasami kiedy rozmawiała z innymi matkami – które wpadały do niej jak po ogień, żeby podrzucić swoich synów albo zabrać Jamesa – zastanawiała się, czy czegoś nie traci, nie mając płatnej pracy. Te kobiety dziwiły się, kiedy się dowiadywały, że Felicity cały dzień spędza w domu. Ale co mogłaby robić? Przed małżeństwem niewiele przeżyła. Nie miała żadnych kwalifikacji ani jakichś szczególnie praktycznych umiejętności. Poza tym musiała być w domu, spokojna i zrelaksowana, żeby zająć się mężem, kiedy wracał z rozczarowującej pracy. Z pewnością nie potrzebował konkurencji w jej osobie. Co by to było, gdyby została odnoszącą sukcesy prawniczką albo biznesmenką, gdyby zaczęła zdobywać nagrody w swojej dziedzinie! Uśmiechnęła się na tę myśl.

W sklepie było chłodno, drzwi otwarte na podwórko wpuszczały zapach krów i trawy. Felicity pojawiła się dość wcześnie. Neil jeszcze uzupełniał zapasy w lodówce. Potężna drewniana decha, tasak i spiczaste noże leżały czyste. Zważył kurczaki i zapakował jej do torby.

– Nie są z wolnego wybiegu. – Wiedział, że Felicity o to zapyta. – Ale z chowu ściółkowego, nie klatkowego. Poczujecie pani

różnicę w smaku.

– Ten kawałek wieprzowiny, który kupiłam od pana w zeszłym tygodniu, był wspaniały.

– Ach, to zasługa kucharki, pani Calvert. No i hodowcy. Ja tylko rozbieram mięso.

Kolejny rytuał. Jak to, że Peter codziennie zabiera listy do pracy i że ta sama trójka przyjaciół jest zapraszana na jego urodziny. Neil i Felicity co tydzień odbywali tę samą rozmowę. Wyniósł jej do samochodu skrzynkę z warzywami i puścił oczko, dorzucając gratis kilka kawałków kielbasy.

– Słyszałem, że to wyjątkowe urodziny dla doktora Calverta.

Zdziwiła się, jak zawsze, skąd rzeźnik zna jej wszystkie sprawy.

Kiedy otworzyła drzwi, usłyszała telefon. Wbiegła do środka, zakupy zostawiła na podjeździe. Dzwonił Samuel Parr.

– Słuchaj, mam dzisiaj coś przywieźć? Może pudding?

– Nie, naprawdę. Nic nie przywoź.

Uświadomiła sobie, że się uśmiecha. Samuel zawsze wprawiał ją w dobry humor. On też był stałym gościem w jej myślach.

Później, kiedy kurczak już się piekł, a dom przepelniały zapachy cytryny, oliwy i czosnku, telefon znów zabrzęczał. Felicity siedziała akurat na dworze z gazetą i kolejną filiżanką kawy. Celebrowała ostatnią godzinę spokoju, zanim będzie musiała pojechać do Hepworth. James miał po szkole kółko szachowe i obiecała go odebrać. Mgielka upału pokrywała pola od strony morza, a latarnia w oddali falowała niczym fatamorgana. Kiedy Felicity usłyszała telefon, potruchtała do domu. Na bosy. Nagrzane kamienne płyty tarasu niemal parzyły, a płytki w kuchni były chłodne. Ten kontrast doznań fizycznych podniecił ją, sprawił, że nagle oddech uwiązał jej w piersi.

Była pewna, że dzwoni któreś z dzieci, ale kiedy odebrała, połączenie zostało przerwane. Spróbowała oddzwonić – usłyszała, że numer jest zastrzeżony. To zdarzyło się ostatnio już parę

ładnych razy. Zastanawiała się, czy powinna wspomnieć o tym Peterowi. W okolicy doszło do kilku kradzieży. Może ktoś sprawdzał, czy dom jest pusty. Wiedziała jednak, że nic nie powie mężowi. To jej życiowa misja: chronić go przed nieprzyjemnościami i zmartwieniami.

Dopiła kawę, patrząc w stronę morza. Kąpiel, pomyślała. Z dodatkiem któregoś z tych drogich olejków kupionych podczas ostatniej wycieczki do miasta. To ją odpręży przed najazdem gości.

Nie chciałyby się pani przejść? – spytała gruba policjantka i wstała.

Julie pomyślała, że ta kobieta musi mieć naprawdę silne mięśnie nóg, żeby tak od razu dźwignąć ten cały ciężar z siedzenia. Człowiek, patrząc na nią, odnosił wrażenie, że potrzeba dźwigu, żeby ją ruszyć, jednego z tych wielkich żurawi, które sterczały nad rzeką w Wallsend. I nie tylko ciało policjantki było takie. To w ogóle silna osoba. Kiedy już się na coś nastawi, nic jej nie zatrzyma. Ta myśl jakimś cudem niosła Julie pociechę.

– Świeże powietrze na pewno dobrze pani robi – dodała policjantka.

Julie patrzyła na nią zdezorientowana, tak jak czasem Luke, kiedy nie bardzo rozumiał, co się do niego mówi.

– Za chwilę przyjadą zabrać ciało Luke’a – wyjaśniła łagodnie policjantka. Miała na imię Vera. Przedstawiła się, kiedy tylko przyszła, ale Julie dopiero teraz sobie przypomniała. – Sąsiedzi na pewno będą się gapić. Więc może lepiej stąd wyjść. Chyba że woli pani odprowadzić syna.

To przywołało obraz ciała zanurzonego w wodzie i Julie poczuła mdłości. Nie chciała o tym myśleć.

– A dokąd byśmy poszły?

– Obojętnie. Ładny dzień na spacer po plaży. Może pani zabrać Laurę.

– Luke lubił plażę. Któregoś lata zaczął chodzić na ryby. Dostał od mojego ojca starą wędkę. Nigdy nic nie złowił, ale przynajmniej nie rozrabiał.

– No więc na plażę.

Sal dała Laurze pokój gościnny do spania. Policjantka poszła z Julie na górę, żeby zapytać, czy dziewczynka ma ochotę się z nimi przejść. Julie pomyślała, że Vera jest wścibska. Spotykała już w życiu takich ludzi – chciwych cudzych spraw. Ale może właśnie tego trzeba, żeby być dobrym detektywem. Teraz uznała, że Vera

chce się dowiedzieć czegoś o jej córce. Jeśli pójdą razem na spacer, ta kobieta zmusi Laurę, żeby mówiła o sobie. Stwierdzi, że mała była zaniedbywana, że Julie cały swój czas poświęcała Luke'owi.

Laura jeszcze spała.

– Lepiej jej nie budzić – rzuciła szybko Julie. – Zostawimy ją tutaj z Sal.

– Jak pani uważa, kotku. – Vera mówiła lekkim, wyluzowanym tonem, ale Julie wyczuwała, że policjantka jest zawiedziona.

Nie widziała, żeby ktoś się gapił, kiedy szła od drzwi domu Sal do samochodu Very, ale doskonale wiedziała, że wszyscy patrzą. Każdy dramat rozgrywający się na ulicy przyciąga ciekawskie spojrzenia. Julie robiłaby to samo: stałaby w sypialni z nosem w firankach. Każdy dramat, w którym samemu nie gra się głównej roli.

Vera zaparkowała samochód za wydmami w Deepden. Po jednej stronie drogi znajdował się mały rezerwat przyrody. Drewniana ambona z widokiem na jezioro i dwa pomosty z tarcic. W oddali był domek, taki bungalow, w którym koczowali ptasiarze, ledwo widoczny w zarośniętym ogrodzie. Od strony morza – pasek trawy usianej małymi żółtymi kwiatkami, a dalej pas wydm. Parę razy przywozili tutaj dzieciaki, kiedy Geoff był w nastroju na zabawę w szczęśliwą rodzinę. Maluchy uwielbiały te wypadki. Julie miała w głowie obrazek Luke'a, mniej więcej ośmioletniego: chłopiec frunie w powietrzu po skoku z jednego z piaskowych pagórków. A może zrobiła mu kiedyś takie zdjęcie i po prostu je pamiętała. Widziała go całkiem wyraźnie. Postrzępione spodenki z obciętych džinsów, czerwona koszulka, usta szeroko otwarte trochę ze strachu, trochę z zachwyty.

Mimo ładnej pogody na parkingu stało mało samochodów. Piątek rano, dzieci jeszcze w szkole, więc tylko aktywni emeryci z psami korzystali z okazji i cieszyli się słońcem. Julie nagle coś się przypomniało.

– Powinnam być w pracy. W domu opieki.

– Sal zadzwoniła tam z samego rana. Mary wezwała kogoś

innego na zastępstwo. Prosiła, żeby przekazać najserdeczniejsze pozdrowienia i wyrazy współczucia.

Julie stanęła jak wryta, wywołując małą lawinę suchego drobnego piasku. Mary Lee, właścicielka domu opieki, nie należała do osób sentymentalnych. Serdeczności nie były w jej stylu.

– Kontaktowaliście się też z moimi rodzicami?

– Jeszcze wczoraj wieczorem, jak tylko się zjawiłam. Chcieli przyjechać, ale powiedziała pani, że woli przez jakiś czas pobyć sama.

– Tak? – Julie próbowała sobie przypomnieć, jednak wszystkie wydarzenia zeszłego wieczoru zlały się w zamazaną plamę. Jak po wieczorze panińskim Bev, po którym wylądowała na pogotowiu z zatruciem alkoholowym. To samo koszmarne poczucie nierzeczywistości, strzępy obrazów i niewyraźne przebłyski.

Ruszyła dalej, aż dotarły do najwyższego punktu wydm i zaczęły zjeżdżać na stopach ku plaży. Julie zdjęła tenisówki, związała je za sznurowadła i przewiesiła przez ramię. Vera miała sandały i nie zwracała sobie głowy ich zdejmowaniem. W samochodzie nałożyła biały kapelusz z szerokim, opadającym rondem i ciemne okulary.

– Słońce mi szkodzi – wyjaśniła. Wyglądała na lekko szajbniętą. Gdyby Julie natknęła się na nią w St George's podczas odwiedzin u Luke'a, uznałyby ją za pacjentkę. Bez dwóch zdań.

Były na południowym krańcu długiego pasa plaż, ciągnącego się jakieś sześć, siedem kilometrów. Na północnym końcu brzeg przechodził łukiem w wąski cypel, na którym stała latarnia morska, teraz ledwie widoczna w przymglonym powietrzu.

– Życie z Lukiem na pewno nie było łatwe – odezwała się Vera.

Julie znów się zatrzymała. Wiała ta słona, typowo morska bryza. W oddali trzy maleńkie figurki: parka staruszków i pies ganiający za piłką, zaledwie sylwetki w tak jaskrawym świetle.

– Pani myśli, że ja go zabiłam – powiedziała.

– A zabiła pani?

Przez kapelusz i okulary policjantki Julie tak naprawdę nie potrafiła niczego wyczytać z twarzy tej kobiety.

– Nie. – I nagle słowa, te wszystkie słowa, które wylewały się z niej od chwili, kiedy znalazła ciało, wyschły. Nie umiała wyjaśnić, że nigdy, przenigdy nie skrzywdziłaby swojego syna, nic innego nie robiła, tylko przez ostatnie piętnaście lat chroniła go przed światem. Otworzyła usta i poczuła się tak, jakby dławił ją suchy piasek. – Nie – powtórzyła.

– Oczywiście że nie – odparła Vera. – Gdybym panią podejrzewała, rozmawiałybyśmy w komisariacie w obecności pani prawnika. I wszystko bym nagrywała. Inaczej sąd nie przyjąłby pani zeznań jako dowodu. Ale musiałam zapytać. Widzi pani, teoretycznie mogła pani go zabić. Kiedy pani wróciła do domu, nie żył od niedawna. Fizycznie była taka możliwość. I zwykle zabójcą jest członek rodziny. – Urwała na chwilę i powtórzyła: – Musiałam zapytać.

– Więc wierzy mi pani?

– Przecież mówię. Pani mogła go zabić. Gdyby już panią psychicznie wykończył, gdyby pani sobie dłużej nie radziła. Ale pani by nam to powiedziała. A poza tym pani naprawdę uważała, że on sam się zabił. Kiedy przyjechałam, była pani przekonana, że popełnił samobójstwo, i samą siebie za to obwiniała.

Szły po twardym piasku pozostawionym przez przypływ. Julie podwinęła dzinsy i weszła głębiej, aż woda zakryła jej stopy. Policjantka nie mogła pójść za nią, bo zamoczyłaby sobie sandały. Julie patrzyła w morze, żeby Vera nie zobaczyła, że płacze.

– Ktoś go zabił – powiedziała policjantka. Julie ledwo ją słyszała. Choć morze było spokojne, rozlegał się ssący odgłos odpływu. – Ktoś go udusił, a potem rozebrał. Napuścił wody do wanny, włożył ciało, a potem nasypał kwiatów.

Julie nie wiedziała, czy powinna odpowiedzieć, więc nie odezwała się ani słowem.

– Czy pani miała te kwiaty w domu?

Julie odwróciła się przodem do Very.

– Nigdy nie trzymam kwiatów w domu. Laura ma alergię na pyłki. Oczy jej łzawią.

– A w ogrodzie?

– Pani żartuje. Tam nic nie rośnie. Mój tata przychodzi kosić trawę, ale nie zwracamy sobie głowy ozdobnymi roślinami. Z tyłu ledwie jest miejsce na sznurek do suszenia.

– Więc zabójca przyniósł kwiaty ze sobą. Dla wygody będziemy o nim mówić w rodzaju męskim. Większość zabójców to mężczyźni. Ale postaramy się zachować otwarty umysł. Po co miałyby przynosić kwiaty? Czy cokolwiek dla pani znaczą?

Julie pokręciła głową, choć coś dobijało się o uwagę w jej myślach – jakieś wspomnienie.

– Ludzie przynosili kwiaty w to miejsce, gdzie utonął Thomas. Rzucali je na wodę. Ludzie z osiedla, na którym mieszkała jego matka. Nawet tacy, co go nie lubili albo w ogóle nie znali. Jakby chcieli powiedzieć, że im przykro. Że rozumieją, jaka to tragedia. Stracił życie przez paru wydurniających się szczyli. Luke też poszedł. Kupiłam mu parę żonkili u Morrisona.

– Kwiaty na znak pamięci i smutku – skwitowała Vera. – Uniwersalne.

Julie nie bardzo wiedziała, co Vera ma na myśli.

– Chce pani powiedzieć, że ten, kto zabił Luke'a, żałował tego?

– Być może.

– Ale jeśli człowiek żałuje, i to zawczasu, skoro dlatego przyniósł kwiaty, to po co zabijać? Przecież nikt go nie zmuszał, żeby się włamał do mojego domu i zamordował mi syna.

– Nikt się nie włamywał – odparła Vera.

– Co?

– Nie widać śladów włamania. Żadnego wybitego okna. Nic w tym rodzaju. Wygląda na to, że Luke go wpuścił. Albo Laura.

– To raczej Luke – stwierdziła smutno Julie. – On dał się podejść każdemu. Gdyby miał pieniądze, rozdałby je każdemu żebrakowi na ulicy. I zaprosiłby do domu każdego, kto by zapukał do drzwi z byle historyjką. Laura ma więcej rozsądku.

– Czy Laura i Luke dobrze ze sobą żyli?

– Co pani sugeruje? – Była bardziej wściekła niż wtedy, kiedy sądziła, że policjantka oskarża ją o zabójstwo. – Laura to dziecko, ma ledwie czternaście lat.

– Pewne pytania po prostu trzeba zadać – odparła Vera. – Nie jest pani głupia. Na pewno pani rozumie. – Przerwała na chwilę. – Zdaje sobie pani sprawę, że muszę z nią porozmawiać. Nie teraz, ale kiedy będzie gotowa. I lepiej, żebym się orientowała, jak się układało między nimi, zanim zacznę ją przesłuchiwać. Czy to możliwe na przykład, że Luke zwierzał się siostrze? Czy wiedziałyby, gdyby czymś się martwił?

– Nie łączyła ich mocna więź – przyznała Julie. – Córcie nie było łatwo z takim bratem. Cała uwaga zawsze skupiała się na nim. Staralam się, żeby i ona czuła się wyjątkowa, ale to o niego wiecznie się troszczyłam. Kiedy poszła do gimnazjum, na pewno się tego wstydziła. Wszyscy wiedzieli, że on sprawia kłopoty. Wszyscy go przezywali. Ale to nie znaczy, że źle mu życzyła.

– Nie, oczywiście że nie.

Dwóch nastolatków zbiegło po wydmach na plażę. Zwykle łobuzy, to dało się poznać na pierwszy rzut oka; kopali sobie nawzajem piaskiem w twarz i przeklinali. Mniej więcej w wieku Luke'a, pewnie na wagarach. Julie zacisnęła usta, żeby nie zacząć wyć.

– Jaką taksówką przyjechała pani wczoraj z miasta? – Pytanie padło znienacka. Julie wiedziała, że Vera próbuje odwrócić jej uwagę od chłopaków i była za to wdzięczna.

– Foxhunters z Whitley Bay. Zamówiliśmy transport wcześniej. Kierowca najpierw podrzucił Lisę i Jan. Ja wysiadłam ostatnia. – Milczała przez moment. – On potwierdzi moje słowa. Weszłam do domu, a parę minut później łomotałam już do drzwi Sal. Jeśli pojechał na koniec ulicy, żeby zawrócić, może nawet widział mnie na progu.

– Mnie interesuje bardziej, czy widział na ulicy jeszcze kogoś. A pani widziała?

Julie pokręciła głową.

– Niech pani da sobie trochę czasu – powiedziała Vera. – Może coś się pani przypomni. Proszę spróbować przewinąć to w głowie jak film. I opowiedzieć mi scena po scenie. Od chwili, kiedy taksówka się zatrzymała.

Więc tam, na szerokiej pustej plaży, z mewami wrzeszczącymi nad głową i odpływem wsysającym stopy, Julie zamknęła oczy i poczuła mdłości, które dopadły ją na dobre, jak tylko wysiadła z taksówki.

– Byłam pijana – przyznała. – Nie zalana w trupa, ale mocno dziabnięta. Cały świat wirował. Wie pani, jak to jest? – Bo ani trochę nie wątpiła, że Vera swego czasu bywała pijana. Wyglądała na dobrą kompankę do kielicha.

– Wiem. – Odczekała minutę. – Słyszała pani coś niezwykłego?

– Absolutnie nic. Zauważyłam, jak jest cicho. Zwykle na głównej drodze przez wieś jest spory ruch. Słyszać go zawsze, więc właściwie nie zwraca się na niego uwagi. A wczoraj w nocy totalna cisza. Przynajmniej kiedy otwierałam drzwi. – Zmarszczyła czoło.

– A później?

– Warkot silnika na ulicy.

– Zawracająca taksówka?

– Nie, to był odgłos rozrusznika. To inny dźwięk, prawda?

– Całkiem inny – przytaknęła Vera.

– Samochód musiał być zaparkowany gdzieś dalej, bliżej skrzyżowania z drogą do miasta. Stamtąd dochodził odgłos.

– Więc podjeżdżając pod dom taksówką, musiała go pani minąć?

– Zgadza się.

– Pewnie pani go nie zauważyła? Żadnego obcego auta? Które nie należy do nikogo z miejscowych? – Pytała tak wyważonym i niby obojętnym tonem, że Julie wiedziała, że to ważne.

– Nie – odparła. – Nie zauważyłam. – Ale jeszcze raz zamknęła oczy i się skupiła.

Kiedy przejechali przez garbaty mostek, wychyliła się do

przodu i powiedziała kierowcy, żeby zwolnił, bo są już prawie na miejscu. „Na rogu jest ostry zakręt w prawo”. Jednocześnie wyciągała portfel z torebki, żeby nie było niezręcznego szukania należności w ostatniej chwili. Lisa i Jan dały jej więcej, niż wynosiła ich działka, więc miała gotówkę. Z przeciwka nic nie jechało, kierowca skręcił w jej ulicę bez zatrzymywania się. A potem ten samochód. Niemal na samym rogu. Zaparkowany przed bungalowem pana Greya. Zastanowiło ją to, bo pan Grey nie jeździł, od kiedy zdiagnozowano u niego parkinsona, a jego jedyny syn mieszkał w Australii. Przypomniała to sobie, bo zastanawiała się, czy to nie samochód lekarza, czy nie stało się coś złego. Spojrzała na dom, żeby sprawdzić, czy świeci się światło, myśląc, że będzie miała o czym poplotkować z Sal. Ale w domu było ciemno. A poza tym to był mały samochód. Żaden lekarz by takim nie jeździł.

Zrelacjonowała to wszystko Verze.

– Nie wiem, co to za marka. Nie zauważa się takich rzeczy, jeśli się samemu nie prowadzi...

– Nieważne, kotku. I tak już mamy jakiś punkt zaczepienia. Może ktoś z sąsiadów widział ten samochód.

Dwaj chłopacy rzucali piłką, ciskali ją mocno w mokry piach, aż błotniste fontanny ochlapwały im ubrania. Matki ich zabijają, pomyślała Julie.

– Dobra, wracamy. Jest pani gotowa? – spytała Vera.

Julie o mało nie wypaliła, że już nigdy nie chce tam wracać.

– Laura pewnie nie śpi. Na pewno pani potrzebuje. – Vera ruszyła stanowczym krokiem w stronę wydm, nie zostawiając Julie wyboru.

Kiedy zajechały na miejsce, Julie poczuła się, jakby widziała swoją ulicę po raz pierwszy. Jakaś jej część została jeszcze na tamtej plaży, w tej nieogarnionej przestrzeni pełnej krzyków mew. Zresztą co to za ulica. Ślepa uliczka – dalej łąki, pola. Kiedyś wznosiła się tu hałda żużla z kopalni, ale teraz był tylko szmat równej ziemi, aż do samego wybrzeża. Po jednej stronie ulicy bungalowy staruszków, każdy wyposażony w rampę z poręczą. Po

drugiej stronie rządki bliźniaków, dawniej komunalnych, obecnie prywatnych. Julie pomyślała: czy to wszystko wydarzyłoby się, gdybyśmy mieszkali gdzie indziej?

Vera poprosiła ją, żeby dokładnie wskazała miejsce, w którym zeszłej nocy widziała samochód. Julie starała się współpracować, ale bez przekonania. Cały czas zastanawiała się, co mogła zrobić, żeby uniknąć straty syna. Przeprowadzić się? Nie wychodzić z dziewczynami? Posłać Luke'a do szkoły specjalnej, jakiejś porządnej, z internatem, gdzie zajęto by się nim jak należy?

Vera ostrożnie zaparkowała pod domem. W progu wciąż stał policjant, ale Julie wiedziała, że Luke'a już nie ma.

Kiedy tego wieczoru Vera wróciła do siebie, nad dachem starej stacji kolejowej, w której mieszkała, krążył myszołów. Przechylał zaokrąglone skrzydła, żeby łapać prądy wstępujące; kiedy na ptaka padły ostatnie promienie słońca, zalśnił jak polerowane drewno, jak rzeźbiony totem. Myszołowy od niedawna wracały do tej części Northumbrii. Na wschodzie były dość pospolite, ale tutejsi leśniczy* strzelali do nich bez opamiętania, deptali jaja, podkładali zatrutą przynętę. Vera wiedziała, że na sąsiednim osiedlu mieszka leśniczy właśnie z takimi morderczymi zapędami. Niech spróbuje, pomyślała. Niech tylko spróbuje.

W zabałaganionym wnętrzu panowała duchota. Nie zaglądała do domu od dwudziestu czterech godzin. Otworzyła okna, pozbierała brudne ubrania z podłogi sypialni i upchnęła je do pralki w przybudówce. Zastanowiła się, czy w lodówce może być coś nadającego się do jedzenia. Od śmierci ojca Vera mieszkała sama i wiedziała, że już nic się nie zmieni. Nie było sensu nawet się zastanawiać, czy przetrwałyby w związku. Miała kiedyś kogoś, przez kogo nie sypiała po nocach, pogrążona w marzeniach, ale nic z tego nie wyszło. Cóż, teraz za późno na żale. Co oczywiście jej nie powstrzymywało, żeby snuć gorzkie wspomnienia, kiedy siedziała do późna ze szklaneczką whisky w dłoni.

Wyjęła z lodówki piwo, odkapslowała je otwieraczem i napiła się prosto z butelki. Nawet kiedy nie zawracała sobie głowy kupowaniem jedzenia, w domu zawsze był alkohol. Piła za dużo. A przynajmniej zbyt regularnie. Zależność emocjonalna, tłumaczyła sobie. To nie nałóg. Wzięła piwo ze sobą do przybudówki i zaczęła grzebać w sięgającej piersi zamrażarce. Ojciec trzymał tutaj zwierzęta i ptaki do wypychania; teraz przydałoby jej się coś mniejszego. Na dnie znalazła plastikowy pojemnik z gulaszem z sarniny. Mięso podarował jej ten sam leśniczy, który nienawidził ptaków drapieżnych, ale przyjął je bez skrupułów. Tutaj, w

górach, trzeba udawać, że lubi się sąsiadów. Nigdy nie wiadomo, kiedy będziesz potrzebować, żeby ktoś cię wyciągnął z rowu w śnieżny dzień. Gotowała tę sarninę całe popołudnie pewnej deszczowej niedzieli, z całym mnóstwem warzyw korzeniowych, żeby była soczysta, z liśćmi bobkowymi z ogrodu i z czerwonym winem. Myślała, że wszystko już zjadła, więc kiedy znalazła tę ostatnią porcję, bardzo się ucieszyła – ot, prosta przyjemność, jakich rzadko się doświadcza w dorosłym życiu.

Chodząc po domu, cały czas miała w głowie sprawę Armstrongów. Niczym aktorka wczuwała się w postacie, przeżywała je. Miała już jakieś takie pojęcie na temat Luke'a Armstronga. Słowa Julie ożywiły go dla niej, a zresztą spotykała już wcześniej takich chłopców jak on. Przeważnie natykała się na nich w policyjnych celach zakładów dla młodocianych przestępców. System zawodził w ich przypadku, tak samo jak zawiódłby w przypadku Luke'a, gdyby matka o niego nie walczyła. Chłopak w każdej dziedzinie miał ciężko. Wszystko było dla niego trudne: szkoła, relacje międzyludzkie, nudne sprawy życia codziennego. Nie dostrzegał realnego świata. A nawet jeśli, to nigdy go do końca nie rozumiał. Z pewnością dawało się nim manipulować. Parę miłych słów, perspektywa jakiejś drobnej przyjemności, a wziąłby obcego za zbawcę. Vera rozumiałaby, gdyby zginął w barowej bójce. Potrafiła sobie wyobrazić, jak by się nakręcał i nakręcał, a potem rzucił na kogoś z pięściami niczym sfrustrowany berbec. Nawet śmierć w ulicznej strzelaninie jakoś by się tłumaczyła. Mogłaby być głupią pomyłką albo ostrzeżeniem dla innych.

Ale to zabójstwo w ogóle nie miało sensu. To, jak Luke został troskliwie ułożony w wannie, w perfumowanych olejkach i kwiatach, wskazywało niemal na szacunek. Vera, obdarzona większą wyobraźnią, niż wskazywałyby na to jej wygląd, myślała wręcz o akcie składania ofiary. Piękne dziecko. Rytuał i oddawanie czci. I z całą pewnością odnajdywało się tu aluzje literackie. Zajęcia z literatury miała dawno temu, ale ten obraz był uderzający. Samobójstwo Ofelii. A ilu z szemranych kolegów i

znajomych Luke'a czytało *Hamleta*?

Nie miała jeszcze pojęcia, jaka jest Laura. Matka twierdziła, że pogodna i pyskata. Czy to prawdopodobne, żeby przespała całą akcję? Duszenie, napełnianie wanny. Czy zabójca w ogóle zdawał sobie sprawę z jej obecności?

Vera spróbowała sobie wyobrazić, co się wydarzyło. Ktoś stał na progu z bukietem kwiatów. Czy Luke go wpuścił? Czy go znał? A potem co? Technicy kryminalistyczni nie potrafili jeszcze stwierdzić na sto procent, w którym miejscu doszło do zabójstwa. U stóp schodów? Jeśli tak, to Luke został zanieiony do łazienki na piętrze. Vera jakoś tego nie widziała. To się nie trzymało kupy. Więc jak? Zabójca zapytał, czy może skorzystać z toalety, i Luke wprowadził go na górę. W takim razie zostałby uduszony w pomieszczeniu sąsiadującym z pokojem Laury. Verę przeszedł dreszcz, kiedy pomyślała o dziewczynie, która śpi w najlepsze, kiedy tuż obok umiera jej brat.

Zjadła kolację z tacy, siedząc przy otwartym oknie. Jej najbliższymi sąsiadami była parka starzejących się hippisów. Szukali dobrego życia. Dzierżawili mały kawałek ziemi, trzymali dwie kozy, krowę i kilka kur. Nie używali pestycydów, gardzili agrobiznesem, a ich łąkę porastały chwasty. Vera czuła zapach siana. Na kłosach traw pożywiało się stadko rzepołuchów. Otworzyła sobie butelkę merlota i była już po drugim kieliszku. Od wielu miesięcy nie czuła się tak szczęśliwa.

Ostatnio jej praca polegała głównie na wykonywaniu nudnych rutynowych zadań. To było coś innego, to było wyzwanie, nad którym mogła łamać sobie głowę podczas samotnych wieczorów, zając umysł czymś innym niż ponure słuchowiska w Radio 4. Boże, pomyślała. Jestem smutną, starą rurą. Czuła odrobinę wyrzutów sumienia, że czerpała taką przyjemność ze śmierci młodego chłopaka. Polubiła Julie, uważała, że sama nie zajmowałaby się takim chłopcem lepiej. To wszystko jednak nie przeszkadzało jej rozsmakowywać się w tym śledztwie, w nietypowych okolicznościach zbrodni. Mało miała w życiu przyjemności. Siedziała przy oknie, aż zrobiło się ciemno, a w

butelce pokazało się dno.

Następnego dnia zebrała cały swój zespół i zaczęła mówić o Luke’u, jakby go znała.

– Wiecie, jaki to typ. Trochę ocieżyły umysłowo. Mówisz do takiego i nie masz żadnej pewności, że zrozumiał. Powtarzasz jeszcze raz i wciąż się zastanawiasz, czy to coś dało. Ale to nie był zły chłopak. Miękkie serce. Miły dla starszaków w domu opieki, gdzie pracuje jego matka. Miał talent do pakowania się w kłopoty. Nie dość bystry, żeby samemu pchać się w cokolwiek, ale też nie dość bystry, żeby trzymać się z daleka, kiedy koledzy namawiali go do złego. A i wtedy chodziło raczej o drobiazgi... Co jeszcze? Był świadkiem utonięcia. Joe zaraz wam rozda wszystkie informacje. Oczywiście to może być zbieg okoliczności, ale w tej chwili to najlepszy trop, jaki mamy – urwała. – A właściwie jedyny.

Na jej sygnał Joe Ashworth zabawił się w dyżurnego i wręczył zebranych kartki A4. Verze przyszło nagle do głowy, czy nie przesadza z tym traktowaniem go jak klasowego pupilka. Czy to mu przeszkadza? Problem w tym, że jemu – jako jednemu z niewielu członków zespołu – mogła całkowicie ufać. On zawsze załatwił każdą sprawę jak trzeba. Być może mówiło to więcej o niej samej niż o nich.

Mówiła dalej.

– Chłopak, który utonął w wyniku szamotaniny na nabrzeżu North Shields, nazywał się Thomas Sharp. Z tych Sharpów. Dobrze znamy tę rodzinę, prawda? Ojciec, Davy Sharp, aktualnie odsiaduje trzy lata w Zakładzie Karnym Acklington. Po tym wypadku nie było dochodzenia. Nikt, zdaje się, nie miał wątpliwości, że to był tragiczny finał wygłupów. Oczywiście możliwe, że to wydarzenie w ogóle nie wiąże się ze sprawą, ale popytajcie po okolicy. Czy Luke zadawał się z ludźmi, o których jego matka nic nie wiedziała? Czy ktoś tu próbuje wysłać makabryczną wiadomość? – Znów przerwała. Lubiła publiczność, ale wolała, kiedy słuchacze brali aktywny udział w spotkaniu. Nikt nie odpowiedział. – No więc? – rzuciła ostro. – Ktoś coś słyszał?

Pokręcili głowami. Wyglądali na ogłupiałych, przejeżdżonych, przegrzanych. Owszem, w sali brakowało powietrza, ale Verę zaskoczył ten ich całkowity brak entuzjazmu. Więc po co, do cholery, wstąpili do policji? Nie przychodziło jej do głowy, że większość z nich bała się jej jak ognia, że nawet ci, którym gęba się nie zamykała w policyjnej stołówce, byli zbyt zahukani, by zdobyć się na wyrażenie opinii, bo a nuż uznałaby, że to głupie.

– Miejsce zdarzenia – podjęła. – Na pewno już wiecie, że było dość niezwykle. Chłopak został uduszony, a potem wsadzony do wanny. Jego ciało zasypiano kwiatami. Całe szczęście, że Julie nie wypuściła wody, kiedy zobaczyła syna. Technicy przez długie godziny wybierali tę wodę i ją zabezpieczali. Może w niej coś być. Analizują olejek do kąpieli. Przy odrobinie szczęścia możemy nawet znaleźć włos mordercy, ale nie możemy na to liczyć. Trzeba się dowiedzieć, skąd pochodziły kwiaty. Czy zostały zebrane na polach i w ogrodach we wsi, czy morderca je kupił? Musimy dokładnie wiedzieć, co to za gatunki, a potem posłać kogoś do lokalnych kwiaciarni. Mnie nie wyglądały na coś, co się dostaje w standardowym bukietcie. Powiedziałabym, że to głównie polne kwiaty. Gdzie więc zabójca je zerwał? Czy w okolicy jest jakiś botanik, który mógłby nam pomóc? Joe, zapytałbyś o to na uniwersytecie? – Nie czekała na odpowiedź. – Jednak ważniejsze pytanie brzmi: dlaczego. Skąd ten teatralny gest? Wydaje się, że to ryzyko, niepotrzebne zamieszanie. Niemal tak, jakby morderca chciał zwrócić na siebie uwagę, urządzić wspaniałe przedstawienie. Julie była na imprezie w Newcastle, ale nikt nie wiedział dokładnie, o której wróci. Niewiele brakowało, a weszłaby w trakcie. Laura, siostra, cały czas była w domu. I, o dziwo, mocno spała. Matka twierdzi, że dziewczyna przespałaby bombardowanie. Czy to jest istotne?

Ktoś niepewnie uniósł rękę. Vera lubiła aktywną publiczność, ale wobec przeszkadzających potrafiła być równie okrutna jak sceniczny komik wobec krzykaczy. Tego potraktowała łaskawie.

– Tak?

– Czy to znaczy, że morderca znał rodzinę? Orientował się, że

Laura śpi jak kamień i że Julie wyszła na noc? Przecież rzadko wychodziła, prawda?

Z aprobatą pokiwała głową.

– Mhm. Albo obserwował dom od jakiegoś czasu i czekał na okazję.

Kolejna ręka.

– Tak.

– Czy to mogła być siostra? Jakaś kłótnia, która wymknęła się spod kontroli?

Zastanawiała się nad tym przez chwilę.

– Można sobie wyobrazić ich kłótnię – przyznała. – Chłopak był, jaki był. Życie z takim bratem musiało być koszmarem, szczególnie w tym wieku. Nie chcesz w jakikolwiek sposób odstawać od innych, prawda? Ostatnia rzecz, jakiej ci trzeba, to wariat w rodzinie. I pewnie dałaby radę go utopić. Gdyby się kąpał, nie potrzeba by dużo siły, żeby go wepchnąć pod wodę. Ale on został uduszony i dopiero potem wsadzony do wody. Jakoś nie widzę czternastolatki, która robi coś takiego. Wcześniej rozmawiałam z nią przez chwilę, to chuchro. Owszem, jest zdenerwowana, ale nie sądzę, żeby coś ukrywała. Skąd wzięłaby kwiaty? Matka twierdzi, że w domu ich nie było. Moim zdaniem możemy zapomnieć o dziewczynie, chyba że pojawi się coś jeszcze. Wszyscy się zgadzają?

Kilka osób apatycznie skinęło głowami. Vera mówiła dalej.

– Za to ojciec to już inna historia. Wygląda na to, że nigdy nie potrafił się pogodzić z tym, jaki jest Luke. On i Julie rozstali się wiele lat temu, ale utrzymał kontakt z rodziną. Żadne tam regularne wizyty. Wpadał, kiedy go naszła ochota. Dzieciaki od czasu do czasu jeździły do niego. Jeśli to on zabił chłopaka, to by wyjaśniało brak śladów włamania. Luke oczywiście otworzyłby mu drzwi. Julie twierdzi, że syn zawsze doprowadzał go do furii. Można sobie wyobrazić scenariusz, w którym ojciec został sprowokowany do zabójstwa, do uduszenia chłopaka.

– Ale wciąż pozostaje ten sam problem: skąd się wzięły kwiaty – wtrącił Ashworth.

– Może to na tyle sprytny facet, by zdawać sobie sprawę, że będzie podejrzany, więc stwierdził, że taka wymyślna sceneria każe nam szukać gdzie indziej. To kolejny powód, żeby dowiedzieć się czegoś konkretnego o tych kwiatach. Jeśli rosły we wsi, mógł ich nazbierać po zabójstwie.

Ashworth miał sceptyczną minę.

– Musiałyby zachować cholernie zimną krew. Wymyślić scenografię, wyjść po kwiaty, wrócić do domu. Ktoś na pewno by go widział.

– Należałoby tak sądzić, prawda? Przepytywanie sąsiadów dało jakieś wyniki? Widziano kogoś na ulicy?

Pomyślała, że później sama pojedzie do wsi i pochodzi od drzwi do drzwi, choć szefowi to się nie spodoba. Ostatnio zarzucano jej, że niechętnie przekazuje obowiązki podwładnym. Jej rola, powiedział szef, jest strategiczna, polega na przetwarzaniu informacji. Ale ona lubiła mieć własną opinię na temat nastrojów w sąsiedztwie. Nie każdy potrafił dobrze je wyczuć.

Spojrzała na puste twarze, czekając, aż ktoś odpowie. Czy to naprawdę takie dziwne, pomyślała, że niechętnie przekazuje obowiązki?

Wreszcie odezwał się Ashworth. Znów klasowy pupilek. Choć podejrzewała, że nazywają go o wiele gorzej, kiedy jej nie ma w pobliżu.

– Według ekipy, która chodziła po domach, nikt nie zauważył niczego niezwykłego.

– A co z samochodem? Julie widziała jakieś auto na ulicy w środę w nocy.

Spojrzał w notatki.

– Z całą pewnością nie było go tam o dziewiątej wieczorem. Jedna kobieta właśnie przyprowadziła córkę z zajęć skautek. Twierdzi, że zapamiętałaby samochód.

Nikt inny się nie odezwał. Zapadła cisza. Vera siedziała na brzegu biurka, równie otyła, krągłolica i niewzruszona jak Budda. Na chwilę nawet zamknęła oczy, wydawała się pogrążona w

medytacji. Z pozostałej części budynku dochodziły niewyraźne odgłosy: dzwoniący telefon, wybuch śmiechu. Otworzyła oczy.

– Więc jeśli to nie tatuś wyciął głupi numer – powiedziała – musimy się zastanowić, co się działo na miejscu zdarzenia. To wyglądało jak teatralna scenografia. Albo jakaś artystyczna instalacja. Martwa owca. Kupa słoniowego gówna. Ten rodzaj sztuki, w którym przekaz jest ważniejszy od wyglądu dzieła czy umiejętności potrzebnych do jego stworzenia. Trzeba się dowiedzieć, co ten artysta chciał przekazać. Jakies pomysły?

Wszyscy patrzyli na nią tępo; sami przypominali martwe owce. I tym razem nie miała im tego za złe. Jej też nic nie świtało w głowie.

Ruch na dwupasmówce z Newcastle na wybrzeże był spory – jak to w piątkowe popołudnie. Ludzie wcześniej wyszli z pracy, żeby nacieszyć się słońcem. Opuszczone szyby, głośna muzyka. Weekend już się zaczął. Ojciec Luke’a Armstronga mieszkał niemal nad samym morzem na jednym z tych wielkich nowych osiedli na obrzeżach Wallsend. Vera wiedziała, że rozmowa z nim to nie jej zadanie. Tego typu rutynową robotę mogła zostawić zespołowi. Jak inaczej mają się czegośkolwiek nauczyć? Ale właśnie w tym była dobra. Wyobraziła sobie Julie Armstrong, zabunkrowaną w Seaton z córką i wspomnieniami, i pomyślała, że nie zostawi tego nikomu innemu.

Bliźniak z czerwonej cegły. Mały ogródek od frontu, oddzielony od sąsiada lawendowym żywopłotem. Podjazd wykładany kostką, wewnętrzny garaż. Deweloperzy zabudowali każdy centymetr tej ziemi, na której znajdowały się kiedyś trzy kopalnie, ale osiedle wyglądało dość przyjemnie, jeśli komuś nie przeszkadzało mieszkanie na kupie. Domy stały wokół mnóstwa kolistych ślepych uliczek, żeby dzieciaki mogły bezpiecznie jeździć na rowerach. Drzewa posadzone w ogródkach powoli się rozrastały. Przed domami wisiały kosze z kwiatami, na podjazdach stały wypucowane samochody. To nie powód do szyderczych uśmieszków, powiedziała sobie Vera.

Nie miała pewności, czy zastanie Geoffa Armstronga w domu. Wcześniej zadzwoniła, ale włączyła się automatyczna sekretarka. Vera nie zostawiła wiadomości. Chętnie przyłapałaby go bez uprzedzenia. Powoli jechała ulicą, szukając właściwego domu. Była trzecia po południu i dzieci wychodziły właśnie z przedszkola na rogu. Matki czekały na placu zabaw, różowe na twarzach i lekko otepiałe od siedzenia na słońcu. Vera stała już na progu z palcem na dzwonku, kiedy Armstrong wszedł na podjazd. Trzymał za rączkę małą dziewczynkę – chyba ledwie dorosła do przedszkola. Śliczna jak sen speców od reklamy: jasne loczki,

piegi, wielkie, brązowe oczy, obowiązkowo sukienka w czerwoną kratkę.

– Tak? – rzucił. Tylko jedno słowo, ale podszyte tą agresją, która przerażała Julie.

Zanim Vera zdążyła cokolwiek powiedzieć, drzwi się otworzyły i stanęła w nich drobna kobieta w szlafroku. Mrużyła oczy od słońca, ale nie wstydziła się, że ją przyłapano w takim stroju. Wiedziała, że i tak wygląda dobrze.

– Kath ma nocne dyżury – warknął gniewnie Armstrong. – Ja w piątki kończę wcześniej, żeby iść po Rebecę. Dzięki temu Kath może pospać godzinę dłużej.

– Przepraszam, kotku. – Vera zwróciła się do kobiety, nie do niego. – Nikt mnie nie uprzedził. – Uniosła legitymację, żeby oboje ją zobaczyli. – Mogę wejść?

Poszli do małej kuchni. Rebecca została w salonie z sokiem, biszkoptem i kanałem dla dzieci. Kath nastawiła czajnik i poszła się ubrać. Kiedy Vera przeprosiła ją raz jeszcze za tę pobudkę, kobieta machnęła ręką.

– W taką pogodę i tak nie da się spać. Radia w ogródkach, dzieciaki na ulicy. A poza tym to ważna sprawa. Biedny Luke. – Przez moment postąpiła w drzwiach i w końcu poszła na piętro. Słyszeli jej kolejne czynności: kroki na schodach, otwieranie szafki, prysznic.

Siedzieli na wysokich stołkach przy śniadaniowym barku. Vera pomyślała, że muszą wyglądać idiotycznie. Jak dwa przerośnięte krasnale na muchomorach.

– Czy Luke spędzał tutaj dużo czasu? – spytała.

– Całkiem sporo, zanim zachorował. Więcej niż Laura. Pomyślałem, że moja córka się ucieszy, że Kath urodziła dziecko. Że polubi małą siostrzyczkę. Ale ona jej nie cierpiała. Już Luke lepiej się zajmował Rebecą, nawet kiedy była malutka.

– Nie odwiedził was od wyjścia ze szpitala?

– Nie. Kath chciała go zaprosić na noc w zeszły weekend, ale ja się wahałem, bo...

– Martwił się pan o córeczkę?

– Na pewno nie zrobiłby jej krzywdy, to nie to. Ale gdyby zachowywał się dziwnie, ona by nie zrozumiała – umilkł. – Nie traktowałem Luke’a dobrze, kiedy z nim mieszkałem. Kath twierdzi, że to kwestia dumy. Chciałem silnego chłopaka, z żyłką rywalizacji, dobrego w sporcie. Żeby był taki jak ja, tylko lepszy. Ale cóż, chyba się wstydzilem, że się różni od innych chłopców.

Vera pomyślała, że się zmienił po odejściu od Julie. Kath widocznie go ucywilizowała. Albo po prostu go nauczyła, jak mówić o uczuciach.

– Zdarzało się, że tracił pan do niego cierpliwość.

Spojrzał na nią zszokowany. Był zrozpaczonym ojcem. Nie powinna z nim tak rozmawiać.

– Przechodził trudny okres – odparł. – Straciłem pracę, nie miałem pieniędzy. Nie dogadywaliśmy się z Julie. Ostatnio próbowałem lepiej go zrozumieć. Ale potem utopił się ten chłopak, jego kumpel, i Luke’owi odbiło. Nikt nie potrafił się z nim porozumieć.

– Odwiedzał go pan w szpitalu?

– Jeździliśmy oboje z Kath. Wątpię, czy dałbym radę sam. Na początku był mocno przymulony od leków. Nie jestem nawet pewny, czy rejestrował naszą obecność. Ale nawet wtedy wyglądał na przerażonego. Podskakiwał, jak ktoś podchodził do niego od tyłu. Kiedy poczuł się lepiej, zabraliśmy go raz po południu na pizzę i spacer po Morpeth. Był już wtedy bardziej rozmowny, ale ciągle taki nerwowy. W kółko powtarzał, że to jego wina, że ten chłopak się utopił. Doszliśmy do mostu, wie pani, tego przy kościele, i wtedy totalnie odleciał. Trząsł się, płakał. Uspokoiłiśmy go dopiero w szpitalu.

– A mówił, co go tak przeraża? Czy ktoś go obwiniał o śmierć kolegi?

– Nigdy nie umiał się zbyt jasno wysławić, nawet przed tym załamaniem. Pytaliśmy, ale to tylko pogarszało sprawę.

– A potem, jak wyszedł ze szpitala, widywał się pan z nim?

– Tak, parę razy, i odnosiłem wrażenie, że jest lepiej. Julie mówiła, że Luke woli siedzieć w domu. Ale powoli dochodził do

siebie.

– Siostra pewnie się cieszyła z powrotu brata.

Armstrong pochylił się do przodu i oparł o blat. Dłonie miał twarde, pełne odcisków, paznokcie bardzo krótkie.

– Tak, może i tak. – Umilkł, przez chwilę przyglądał się palcom. – Ale ona też z trudem znosiła tę całą sytuację. Czasami ciężko jej było żyć z Lukiem pod jednym dachem. Może jest za bardzo podobna do mnie, żeby iść na ustępstwa. A może po prostu miała dość tego, że cała uwaga matki skupiała się na Luke’u.

Usłyszeli na górze trzaśnięcie drzwi, znów kroki, i pojawiła się Kath. W białym mundurku, ze spiętymi włosami.

– Mogę? Czy woli pani rozmawiać z Geoffem w cztery oczy?

– Ależ proszę – powiedziała Vera. – Właśnie dochodzę do najtrudniejszych kwestii. Przyda mi się kobiecie zdrowy rozsądek. Żeby pani mąż nie uniósł się zanadto.

– Nie rozumiem.

– Muszę was oboje zapytać, co robiliście w czasie, kiedy Luke został zabity. To nie znaczy, że was o cokolwiek podejrzewam. To rutynowa procedura. Rozumiecie państwo?

– Oczywiście – doparła Kath.

– Geoff?

Niechętnie skinął głową.

– Ja byłam w pracy – zaczęła Kath. – Na oddziale ginekologicznym szpitala Royal Victoria. Z dwiema koleżankami. Straszne urwanie głowy. Dwa nagłe przypadki z SOR-u. Nie miałam nawet czasu na przerwę. A Geoff całą noc spędził w domu, zajmował się Rebeccą.

– Zawsze pracuje pani w nocy?

– Tak, od kiedy wróciłam po urodzeniu córki. To nam odpowiada. Geoff prowadzi własną działalność. Większość zleceń ma od jednego przedsiębiorcy w Shields, Barry’ego Middletona. Wykonuje dla niego wszystkie prace tynkarskie i montaż stolarki. Barry to dobry pracodawca i zlecenia są regularne, ale Geoff może sobie całkiem nieźle dopasowywać terminy, ma czas dla rodziny, na wakacje. Rano po moich dyżurach wyprawia małą do

przedszkola i odbiera ją w piątki. Żadne z nas nie prowadzi zbyt bujnego życia towarzyskiego, ale przynajmniej możemy poświęcić sporo czasu Rebecce.

– Czy córka obudziła się tamtej nocy, kiedy Luke zginął?

Pytanie było skierowane do Geoffa, ale znów odpowiedziała Kath.

– Ona się nigdy nie budzi w nocy! Cudowne dziecko. Śpi od wieczora do rana od szóstego tygodnia życia. Kiedy już wyląduje w łóżeczku, jest spokój aż do siódmej.

Zapadło niezręczne milczenie. Kath chyba jeszcze w trakcie swojego wywodu zdała sobie sprawę, że jej słowa mogą być źle zrozumiane.

– Ale on by jej nie zostawił! – wykrzyknęła. – Widziała pani, jak się nią opiekuje. Nigdy w życiu by nie wyszedł i nie zostawił jej samej.

– Geoff?

– Nie zostawiłem jej – potwierdził. Vera wiedziała, że facet stara się nad sobą zapanować, żeby udowodnić i jej, i Kath, że potrafi, że już nie wpada w furję. – Nie dojechałbym nawet do końca ulicy, a już wyobrażałbym sobie niestworzone rzeczy. Że dom się pali. Że się rozchorowała. Nie zrobiłbym tego. A poza tym mogłem odwiedzać Luke’a, kiedy chciałem. Po co miałbym tam jeździć w środku nocy?

– No dobrze – powiedziała Vera. – Skoro to mamy już z głowy, możemy przejść dalej. – Choć to wcale nie było z głowy, dumiała. Niezupełnie. Mógł poprosić kogoś, żeby posiedział z Rebeccą. Albo, jeśli mocno go przycisnęło, zostawić ją bez opieki, cokolwiek wmawia żonie. Jutro trzeba wysłać zespół, żeby pogadał z sąsiadami. Sprawdzić, czy ktoś nie został wezwany do dziecka albo czy ktoś nie widział, jak Armstrong wyjeżdża z podjazdu. Wzięła głęboki wdech. – Domyślają się państwo, kto mógł chcieć zabić Luke’a? Julie powiedziała, że nie miał wrogów, ale matka zawsze myśli o dziecku jak najlepiej. Potrzebuję czegokolwiek, jakiegoś punktu zaczepienia.

Z salonu usłyszeli, że dziewczynka śpiewa rymowaną

nadawaną w telewizji. Vera mało wiedziała o dzieciach, ale uznała, że tak nieuciążliwa pociecha to chyba skarb. To był zupełnie inny dom niż ten w Seaton, w którym dorastał Luke. Tu panował spokój, porządek. Rodzina żyła według ustalonego planu. Julie działała bardziej nerwowo, chaotycznie. Vera nie odrywała oczu od gospodarzy. Czekala, aż się odezwą.

– Luke potrafił wkurzyć człowieka – powiedział Armstrong.
– Całkiem niechcący. Po prostu nie rozumiał, co się do niego mówi. Prosiłem go o coś, a on patrzył na mnie, jak na idiotę. Wyobrażam sobie, że przez to miewał kłopoty. W takim towarzystwie, w jakim się obracał, niektórzy są przyzwyczajeni, że czuje się przed nimi respekt.

– Na przykład Sharpowie?

– Być może.

– Czy oni obwiniali Luke'a o śmierć syna?

Armstrong potrzebował czasu na zastanowienie.

– Ja się z nimi nie zadaję – odparł w końcu. – Więc nie wiem. Ale nie są znani z cierpliwości, prawda? A nasz Luke nawet świętego wyprowadziłby z równowagi. Gdyby ktoś z nich spytał go, co się wydarzyło tamtego wieczoru, nie potrafiłby odpowiedzieć. Zestresowałby się, poczerwieniał. Nie wydusiłby ani słowa i tylko by się gapił. Jak powiedziałem, to potrafiło wnerwić człowieka. Nawet ktoś, kto nie uważałby, że Luke jest odpowiedzialny za tę tragedię, mógłby się wściec.

– Ale nie na tyle, żeby pójść do niego do domu i go udusić – wtrąciła Kath.

Armstrong wzruszył ramionami.

– Nie przychodzi mi do głowy nikt inny, kto chciałby go zabić.

– Czy Luke kiedykolwiek rozmawiał z wami o tym wypadku?

– O samym wypadku nie – powiedziała Kath. – Odwiedził nas niedługo po tym, kiedy to się stało. Mówił o kwiatach, które ludzie wrzucali do wody. Że były takie ładne. Poszedł tam z Julie i chyba naprawdę się wzruszył. Na pierwszej stronie „Chronicle” zamieszczono zdjęcie tych kwiatów. Przyniósł mi pokazać.

W drzwiach kuchni pojawiła się Rebecca. Stała nieśmiało, zaciekawiona obcą osobą.

– Mógłbyś zająć się podwieczorkiem, Geoff? – rzuciła Kath. – Ja muszę się powoli zbierać do pracy. – Poszła za Verą do wyjścia.

Geoff w kuchni włączył radio i razem z Rebeccą śpiewał jakąś popową piosenkę.

Vera miała dziesiątki pytań. Chciała wiedzieć, jak Kath i Geoff się poznali. Co ona w nim widziała? Jak dostrzegła materiał na oddanego ojca w nieokrzesanym, agresywnym człowieku? Ale to było raczej zwykłe wścibstwo, więc ograniczyła się do jednej uwagi.

– Słyszałam, że pani mąż był dość wybuchowy. Teraz nie widzę po tym śladu.

Kath zatrzymała się na chwilę z ręką na klamce.

– Jest szczęśliwy. Nie ma już powodu wpadać w złość.

Vera pomyślała, że to brzmi odrobinę fałszywie. Zbyt piękne, by mogło być prawdą. Ale nie naciskała. Miała spotkanie, była umówiona z kimś innym.

Leżąc w wannie przy uchylonym oknie, w bardzo gorącej wodzie, Felicity przyłapała się na rozpamiętywaniu dawnych czasów. Nie miała szczególnych skłonności do introspekcji; sama nie wiedziała, co ją sprowokowało do spojrzenia w przeszłość. Może sześćdziesiąte urodziny Petera. Rocznicę czasem tak działają na ludzi. Albo menopauzalne huśtawki nastroju. Pojawienie się Lily Marsh wytrąciło ją z równowagi. Była zazdrosna o młodość i żywotność dziewczyny, o jędrną skórę i płaski brzuch, i zazdrościła jej niezależności.

Sama wyszła za mąż zbyt wcześnie. Poznała Petera na imprezie. Była studentką, ledwie sześć tygodni wcześniej zaczęła studia. Rodzice próbowali ją namówić, żeby startowała na uczelnię trochę dalej od domu, ale ją odrobinę przerażała perspektywa mieszkania w akademiku. Potrzebowała poczucia bezpieczeństwa, jakie dawała jej bliskość plebanii odległej o godzinę drogi; potrzebowała drogi ucieczki. Jej ojciec był pastorem, łagodnym, z niezbyt rygorystycznym podejściem do teologii, za to nieugiętym w swojej dobroci. Felicity ostatecznie spodobało się życie studenckie: przyjaźnie, siedzenie do późna, a szczególnie mężczyźni. Przekonała się, że może być dla nich atrakcyjna. Podobała im się jej nieśmiałość, może nawet dostrzegali w jej skromnym zachowaniu wyzwanie. Nie bardzo jednak wiedziała, jak na nich reagować. Snuła się po studenckim świątku zdumiona i trochę zagubiona. Alicja w uczelnianej krainie czarów.

A więc była impreza w domu studenckim w Heaton. Goła podłoga z desek, hinduskie batiki przypinane do ścian, obco brzmiąca muzyka i gęsty zapach trawki, który wdychała, nie mając pojęcia, co to jest. Pamiętała, że było bardzo zimno mimo tylu osób stłoczonych w jednym miejscu. Przyszedł pierwszy silny mróz tej jesieni, a w pomieszczeniu jeszcze nie włączono ogrzewania. Na dworze kupki przemoczonych opadłych liści przymarzły do chodników.

Co robił tam Peter? To zupełnie nie w jego stylu, a poza tym takie bratanie się ze studentami to coś poniżej jego godności. Ale był tam, ubrany w sztruksowe spodnie i wełniany sweter robiony na drutach, zupełnie anachroniczny, jakby zabłądził tu z powieści Kingsleya Amisa. Pił piwo z puszkii i wyglądał na nieszczęśliwego. Choć nie pasował do tej studenckiej imprezy, Felicity знаła ten typ ludzi. Na przykład niektórych samotnych mężczyzn ciągnęło do kościoła, bo mieli pewność, że tam nie zostaną odrzuceni. Ostatni wikary był potwornie nieśmiały. Jej matka naśmiewała się z niego za jego plecami, a stare panny ze wsi zaczęły rywalizować o jego względy zapiekankami z jagnięciną i aromatycznymi piernikami.

Kiedy jednak Felicity zaczęła rozmawiać z Peterem, odkryła, że zupełnie nie przypomina cherlawych młodych chrześcijan, których poznawała na obozach letnich, ani miłego wikarego. Okazał się obcesowy, arogancki i bardzo pewny siebie mimo dziwnego ubrania.

– Umówiłem się tu z kimś – powiedział gniewnie. – Ale się nie doczekałem. Totalna strata czasu.

Felicity nie wiedziała, czy ta osoba, która miała się tu zmaterializować, to mężczyzna czy kobieta.

– Muszę sprawdzić kolokwia.

W tej chwili zdała sobie sprawę, że to nie jest student. Nie wyglądał na starszego o trzynaście lat. Jego status wręcz ją olśnił. Zawsze ciągnęło ją do facetów obdarzonych autorytetem. Podobała jej się myśl, że ktoś inny przejmie kontrolę, że będzie ją edukował i informował. Miała tak małe doświadczenie z mężczyznami. Bała się, że wszystko zrobiłaby nie tak, jak trzeba. Już lepiej, żeby stery ujął ktoś, kto zna się na rzeczy i posłużył jej za przewodnika.

Jąkając się, zapytała o jego pracę, a on zaczął opowiadać o niej z taką energią i pasją, że słuchała jak zaczarowana, choć nie rozumiała ani słowa. Przeszli do przedpokoju, gdzie muzyka tak nie dudniła, i usiedli na schodach. Nie mogli być obok siebie, bo musieliby się co chwilę zrywać, żeby zrobić przejście ludziom zataczającym się w stronę łazienki, więc on usiadł wyżej, a ona

zajęła miejsce u jego stóp.

Rozmowa nie dotyczyła jednak wyłącznie Petera. On wypytywał o nią i słuchał, kiedy opisywała dom i rodziców.

– Jestem jedynaczką. Można powiedzieć, że wyrosłam pod kloszem.

– Więc to wszystko to pewnie dla ciebie niezły szok. Mam na myśli studenckie życie.

Nie chciała mu mówić, że właściwie lubi zgiełk, zamieszanie i wolność, jaka panuje na uczelni. Wydawał się ujęty myślą, że jest delikatna, więc wołała nie rozwiewać jego wyobrażeń. Nawet pobłażliwie patrzył na jej przekonania religijne, jakby pasowały do kogoś na jej etapie doświadczenia życiowego. Jakby była sześciolatką, która przyznała się do wiary we wróżkę zębuszkę.

– Cóż, muszę się zgodzić, że nauka nie potrafi wytłumaczyć wszystkiego – powiedział, i to wtedy pierwszy raz jej dotknął; pogłaskał ją po włosach, jak gdyby chciał ją uspokoić, że nie wyszła na głupią gąskę. Ależ skąd. A ona dziękowała mu w duchu za jego wyrozumiałość.

Wyszli w samym środku imprezy. Peter zaproponował, że odprowadzi ją do akademika. Pojechali autobusem do centrum, a potem przeszli przez park Town Moor. Zrobiło się potwornie zimno, otaczał ich srebrny krajobraz, mgła zbierała się w zagłębieniach terenu, kłęby pary buchały im z ust. Na niebie wisiał pełny biały księżyc.

– Wydaje się za ciężki – powiedziała. – Jakby lada chwila miał spaść z hukiem na ziemię.

Spodziewała się krótkiego kazania na temat grawitacji i ciał niebieskich, ale on zatrzymał się, stanął przodem do niej i ujął jej twarz w dłonie w rękawiczkach.

– Jesteś cudowna – wyznał. – Nigdy nie spotkałem kogoś takiego jak ty.

Później zrozumiała, że niemal na pewno mówił prawdę. Chodził do męskiego liceum, potem poszedł od razu na studia i całą energię wkładał w pracę naukową. Może śnił o kobietach, może prześladowały go, zajmowały jego świadomość co sześć

minut. Z pewnością miał za sobą doświadczenia seksualne. Ale nie pozwalał sobie na przyjemności. Aż do teraz. Kiedy ruszyli dalej, objął ją ramieniem.

Przed akademikiem przyciągnął ją do siebie i pocałował, i głaskał po włosach – tym razem nie delikatnie, ale gwałtownie, mocno, i to głaskanie było jedynym przejawem pożądania, na jaki sobie pozwolił. Czowała tłumioną namiętność, parzącą, buzującą w nim jak prąd elektryczny.

– Możemy się umówić na lunch? – spytał. – Jutro.

Zgodziła się i poczuła, że to ona przejęła kontrolę. To ona ma władzę.

Gdy odchodził, do akademika weszła koleżanka.

– Kto to?

– Peter Calvert.

Koleżankę aż zatkalo z wrażenia.

– Słyszałam o nim. Czy to nie ten superinteligent? Prawie geniusz?

Zabrał ją na lunch do Tynemouth. Zawiózł ją tam swoim samochodem. Spodziewała się, że pójdą zjeść coś w mieście, blisko uczelni. Samochód i hotelowa restauracja pełna biznesmenów znów unaocznily jej, jak bardzo Peter różni się od jej kolegów. Nie trzeba było wiele, żeby jej zaimponować. Potem wspięli się na skarpe, do klasztoru, i patrzyli w dół, ponad rzeką; widok rozciągał się aż do South Shields. Kiedy spacerowali klifem nad Tyne, pokazał jej śródziemnomorską mewę. Miał przy sobie lornetkę. Wydało jej się to dziwne, bo zawodowo zajmował się botaniką. Wtedy nie wiedziała jeszcze o jego głównej pasji.

– Musisz wracać? Masz jakiś wykład? – Ujął jej dłoń, przeciągnął palcem po wnętrzu. Świeciło słońce i nie potrzebował rękawiczek. – Bo nie chcę cię sprowadzać na złą drogę.

– Nie chcesz?

Uśmiechnął się do niej.

– No, może. Zjedz ze mną podwieczorek.

Jego mieszkanie znajdowało się niedaleko, w North Shields: poddasze z widokiem na Park Northumberland. Resztę domu

zajmowały dwie wiekowe siostry. Kiedy przyszli, jedna z nich grabiła liście z trawnika w małym ogródku. Pomachała im przyjaźnie i wróciła do swojego zajęcia, nie okazując niepotrzebnego zainteresowania znajomą brata. W mieszkaniu panował idealny porządek, więc Felicity podejrzewała, że Peter posprzątał je specjalnie. Wszędzie pełno książek. Do ściany przypięta była pinezkami szczegółowa mapa wojskowa, przedstawiająca teren jego badań, a wejście blokował teleskop na statywie. Kawalerka składała się z salonu, ciasnej kuchenki i łazienki; drzwi, które widziała, zapewne prowadziły do sypialni. I one jakoś dziwnie ją fascynowały; gdy Peter robił herbatę, Felicity ciągle przyłapywała się, że na nie spogląda. Były drewniane, pokryte inną warstwą białej, błyszczącej farby. Miały okrągłą mosiężną gałkę. Felicity zastanawiała się, czy w sypialni też jest tak czysto i czy na wszelki wypadek zmienił pościel. Chętnie by tam zerknęła, ale Peter wszedł z tacą, na której stały niepasujące do siebie filiżanki na spodeczkach i talerzyki z kawałkami keksu posmarowanego masłem.

Później tego popołudnia weszli do sypialni i się kochali. To był jej pierwszy raz i oczywiście nie wypadł nadzwyczajnie. Sporo niezręcznej szamotaniny z prezerwatywą; Felicity odniosła wrażenie, że Peter ma o tym równie mgliste pojęcie, jak ona, i widocznie coś mocno pokręcili albo zdarzył się wypadek, bo wkrótce okazało się, że jest w ciąży. To musiało się stać wtedy, za pierwszym razem. Potem już szło im sprawniej. I seks był przyjemniejszy. Ale nawet tego pierwszego popołudnia miała przedsmak, przeczucie czegoś cudownego, a nawet więcej, niż oczekiwała.

Niedługo potem, ale jeszcze zanim dowiedziała się o ciąży, zabrała Petera do swoich rodziców. W wilgotny, zimny dzień. Jechali obsadzoną drzewami drogą, a mimo pory lunchu widzieli światła w salonie i ogień w kominku.

– Zawsze tak było, kiedy wracałam ze szkoły – powiedziała. – Zapraszająco.

On niedawno mówił o swoich rodzicach – przedsiębiorcy

nastawieni na zarabianie pieniędzy. W tym kontekście jej podejście do rodziny wydawało się sentymentalne i nierzeczywiste.

Matka ugotowała gęstą zupę warzywną – ulubione danie Felicity – i upiekła domowy chleb. Po lunchu usiedli z kawą i ciastem czekoladowym przy ogniu. Peter z początku tylko milczał. Czuł się nie na miejscu, zupełnie jak ona na uczelni. Badał grunt. Teraz, siedząc przy ogniu, wreszcie się rozluźnił. Felicity ogarnęło dziwne zmęczenie. Słuchała rozmowy jakby w półśnie. Peter mówił o swojej pracy, a ojciec zadawał mu pytania, nie z grzeczności – Felicity zawsze potrafiła poznać, kiedy po prostu próbuje być uprzejmy – ale ze szczerego zainteresowania. To dobrze, pomyślała. Dogadują się. Potem widocznie przysnęła, bo obudziła się gwałtownie, kiedy obsunęła się głownia w kominku i iskra z trzaskiem wystrzeliła na dywanik. Mama uśmiechnęła się pobłażliwie i rzuciła jakiś komentarz o dzikich imprezach. Felicity czuła to samo zmęczenie w pierwszych tygodniach wszystkich kolejnych ciąż.

Z propozycją ślubu wyszedł Peter. Jej rodzice nie naciskali. Wręcz przeciwnie, uważali, że to chyba niezbyt dobry pomysł. – „Po co ten pośpiech? Jesteście razem tak krótko”. Pewnie wspieraliby ją nawet, gdyby zdecydowała się na aborcję. Peter poprosił o rozmowę sam na sam z jej rodzicami. Wybrali się na plebanię, do kuchni, a Felicity znów zdrzemnęła się nad książką w salonie. To było tak, jakby nie miała w tej sprawie absolutnie nic do powiedzenia. Brakowało jej energii potrzebnej do podjęcia decyzji.

W drodze powrotnej do Newcastle spytała Petera, o czym rozmawiali.

– Powiedziałem im, że chciałem się z tobą ożenić od pierwszej chwili, kiedy na ciebie spojrzałem.

Pomyślała, że to najbardziej romantyczne słowa, jakie kiedykolwiek słyszała, i wyszła za niego.

Felicity była tak pogrążona we wspomnieniach, że trzask zamykanych drzwi na dole mocno ją wystraszył. Woda już

wystygła. Felicity wstała z wanny, owinęła się ręcznikiem, wyszła z łazienki i zawołała:

– Peter! Jestem na górze.

Zero odpowiedzi. Wyjrzała przez poręcz, ale go nie zobaczyła. Zbiegła na dół, wciąż w ręczniku, zostawiając ślad mokrych stóp. Pusto. Wmawiała sobie, że ten odgłos zamykanych drzwi musiał być wytworem jej wyobraźni, ale poczucie, że w domu był intruz, pozostało z nią do końca dnia.

Zakład Karny Acklington znajdował się kawałek od wybrzeża, niemal po drodze do domu Vera. Niełatwo było załatwić widzenie z Davym Sharpem tak późnym popołudniem. Wizyty odbywały się rano – wtedy przychodzili adwokaci, kuratorzy, policjanci – a w więzieniu rygorystycznie przestrzegano zasad. Vera musiała przypomnieć co poniektórym o długach wdzięczności i powściekała się do słuchawki, zanim dostała zgodę. Zaparkowała i podeszła pod bramę. Nad płaskimi polami schodzącymi w stronę morza wisiała mgielka upału. Wszędzie panowała cisza. Słońce wciąż świeciło i ta chwilka, której Vera potrzebowała, żeby przejść od auta do budynku, wystarczyła, żeby czoło i nos pokryły się tłustym potem. Strażnik przy bramie przywitał ją, wymieniając jej nazwisko, choć ona nie poznawała faceta. Zachowywał się bardzo przyjacielsko i gawędził z nią o pogodzie, kiedy oddawała mu komórkę i wpisywała się do księgi wejść.

– Jeśli się szybko nie ochłodzi, będą kłopoty – powiedział. – Upał działa im na nerwy. W warsztatach jest koszmarnie gorąco. Niedługo ktoś się wścieknie i pewnie dojdzie do jakiejś rozróby.

Czekała w rozmównicy, aż przyprowadzą Davy'ego Sharpa. Cały żar dnia zdawał się uwięziony w tej małej kwadratowej przestrzeni, a słońce wciąż waliło przez okno wysoko na ścianie. Wiedziała, że w zimie w więzieniu jest lodowato; biły w nie wiatry prosto ze Skandynawii. Z trudem skupiała myśli. Rozmawiała już kiedyś z Davym Sharpem. Potrafił być nadąsany i niekomunikatywny albo czarujący. Taki aktor, kameleon. Umiał zagrać każdą rolę, jaka mu akurat pasowała. I zawsze trudno było wyczuć, jak należy reagować. Najważniejsze to pamiętać, że jest bystrzejszy, niż udaje. Przez cały czas jej myśli krążyły wokół piwa prosto z lodówki, z kropelkami wody ściekającymi po szklance. Miała ten obrazek w głowie od chwili, gdy wyszła z domu Geoffa Armstronga.

Rozległ się odgłos butów w korytarzu, brzęk kluczy na łańcuchu i drzwi się otworzyły. Davy miał na sobie koszulę w biało-niebieskie paski, džinsy i sportowe buty. Bezszelestnie prześlizgnął się przez próg. Cały ten hałas robił strażnik, który postął chwilę, ważąc klucze na dłoni, po czym skinął jej głową, choć właściwie nie patrzył na nią, nawet się nie odezwał. Widziała, że jest zły o to zakłócenie rutyny, o to, że musiał zabrać więźnia z celi, przeprowadzić go tu przez cały blok, kiedy pozostali strażnicy, jego koledzy, siedzieli sobie w biurze, pili herbatę, śmiali się z dowcipów. Wyszedł na zewnątrz, usiadł na krześle i zagapił się w przestrzeń. Vera zamknęła drzwi. Czuła zapach zgrzanego ciała; miała nadzieję, że to zapach Davy'ego, nie jej. Wyjęła z torebki paczkę fajek, poczęstowała go. Wziął papierosa, zapalił szybko i się zaciągnął.

– Pewnie wie pan, po co tu przyszłam – powiedziała. Wszyscy mają teraz telewizory w celach, na pewno oglądał wiadomości, nawet jeśli informacja o śmierci Luke'a nie dotarła do niego innymi kanałami.

– Przez tego chłopaka, który przyjaźnił się z naszym Thomasem. Zgadza się?

Nie odpowiedziała. Próbowwała wygnać z głowy obraz szklanki piwa.

Davy pochylił się do przodu. Wypalił papierosa już do połowy. Strzepnął popiół do popielniczki z folii aluminiowej. Chudy, nijaki człowiek. Na ulicy minęłoby się go bez jednego spojrzenia. To była zaleta. Wychował się w rodzinie, gdzie złodziejskie skłonności przechodziły z pokolenia na pokolenie. Sharpowie słynęli z kradzieży. W Shields matki mawiały do niegrzecznych dzieci: „Zachowuj się tak dalej, a skończysz jak Sharpowie”. Specjalizował się w oszustwach na kartach kredytowych. To, że ludzie nie pamiętali jego twarzy, okazywało się przydatne. Vera nigdy nie miała pojęcia, co on myśli. A jednak nie był taki dobry w tym, co robił. Jedną trzecią dorosłego życia spędził w więzieniu. Może za kratami czuł się lepiej.

Spojrzał na nią spod zmrużonych powiek.

– Chyba pani nie myśli, że mieliśmy z tym coś wspólnego?
– Luke obwinił się o śmierć pańskiego syna. Jestem ciekawa, czy i pan go obwinił.

– To był wypadek. – Zgasił papierosa.

Vera zauważyła, że ręka mu drży; ciekawe, czy to też gra aktorska. Podsunęła mu paczkę papierosów i odczekała, aż wytrząsnął sobie następnego.

– Poznał pan Luke'a?

– Dopiero po śmierci Thomasa. – Uśmiechnął się blado. – Ostatnio rzadko bywałem w domu. Wypuścili mnie na pogrzeb syna. Tam poznałem tego małego Armstronga. Ale Thomas o nim opowiadał, kiedy przychodził na widzenia. Wyglądało na to, że naprawdę się zakumplowali. Może dlatego, że byli tacy sami. Obaj niezbyt bystrzy. Takie odniosłem wrażenie z tego, co mówiła moja żonka. Cieszyliśmy się, że się zaprzyjaźnił z tym Armstrongiem. Nie chcieliśmy, żeby poszedł w moje ślady w tym fachu. Nigdy by sobie nie poradził i nie przetrwałby w takim miejscu jak to.

– Rozmawiał pan z Lukiem na pogrzebie?

– Tak. Zamieniłem tylko parę słów. Nie pozwolili mi zostać na stypie.

– I co powiedział?

– Że mu przykro. Że robił, co mógł, żeby ratować Thomasa. I pewnie gadał prawdę. Wyglądał fatalnie. Całą mszę ryczał jak dziecko, ledwie mógł coś z siebie wykrztusić, kiedy ze mną rozmawiał.

– Jego mama też tam była?

– Ta duża blondyna? Owszem. Thomas o niej też wspominał, opowiadał, jaka jest dla niego dobra. Podziękowałem jej.

– Więc był pan w więzieniu, kiedy zginął Thomas?

– W areszcie śledczym.

– Ale na pewno próbował się pan dowiedzieć, co się stało.

– Popytałem parę osób.

– I?

– Chociaż raz się nie pomyliliście. Chłopaki pili, wydurniali się. Thomas wpadł. Jak mówiłem: wypadek. – Urwał na chwilę. –

Chciałbym, żeby ktoś był winny. Ale nie jest.

– Czy Thomas miał innych przyjaciół?

– Nie bardzo. Bawił się z jakimiś dzieciakami, kiedy był młodszy, a taki jeden starszy chłopak z naszej ulicy to się nim opiekował, ale przed śmiercią tak naprawdę kumplował się tylko z Lukiem Armstrongiem.

Przez chwilę siedzieli w milczeniu. Strażnik pod drzwiami pewnie się wiercił na niewygodnym krześle. Słyszeli, jak podzwaniają klucze na łańcuchu.

– To wszystko? – spytał w końcu Sharp.

– Domyśla się pan, kto mógł chcieć śmierci Luke’a Armstronga?

Pokręcił głową.

– Nikt, kogo znam, nie udusiłby chłopaka.

Vera wiedziała, że to nieprawda, ale dała spokój.

– Nie pracował dla was? Nie wysługiwaliście się dzieciakami?

– Miała na myśli drobne zlecenia, może przekazywanie wiadomości za parę funtów.

– Mówiłem już, nie znałem młodego Armstronga, dopóki nie zobaczyłem go na pogrzebie syna, i nie chciałem, żeby Thomas wciągnął się w mój biznes. Poza tym nie zaufałbym żadnemu z nich. Nie posłałbym ich nawet po frytki. Nie dało się na nich polegać.

– Po prostu taki zbieg okoliczności wydaje mi się trochę dziwny. Obydwaj nie żyją. A może ktoś zamierza przesłać panu jakąś wiadomość?

– Zbiegi okoliczności się zdarzają – odparł ponuro.

Popatrzyła na niego uważnie. Próbowwała się zorientować, czy coś się kryje za tymi słowami, ale jego twarz była niewzruszona.

– Mógłby pan trochę powęszyć – zasugerowała. – Dać ludziom cynk, że pan się tym interesuje.

W pierwszej chwili nie zareagował, jakby w ogóle się nie odezwała. Wciąż gapił się przed siebie. W końcu ledwie dostrzegalnie skinął głową.

– Dobra.

– I zawiadomi mnie pan, jeśli się czegoś dowie?
Kolejne skinienie.

Vera czuła, że coś przegapiła, że nie zadała jeszcze jakiegoś pytania. Przez chwilę siedzieli, patrząc na siebie. Zastanawiała się, czy powinna wspomnieć o kwiatach wrzuconych do wanny, w której znaleziono Luke'a; czy to może, według niego, coś znaczyć? Ale policji udało się zadbać, żeby ta informacja nie przedostała się do mediów, i Vera nie chciała, żeby to stało się publicznie znanym faktem. W końcu bez słowa bliżej podsunęła mu papierosy. Oczekała, aż Davy schowa je do kieszeni dzinsów, po czym otworzyła drzwi i zawołała do strażnika:

– Okej. Skończyliśmy.

Czekając przy bramie, aż ją wypuszczą, próbowała sobie odtworzyć wyraz twarzy Sharpa, jakiś szczegół, który powinna uchwycić, jakąś informację, którą być może próbował jej przekazać. Ale nie potrafiła. Jego rysy zamazywały się w jej pamięci. Nie była nawet pewna, czy zdołałaby go zidentyfikować na okazaniu.

Wcześniej, zanim oddała komórkę strażnikowi, wyłączyła ją. Teraz, idąc do samochodu, włączyła ją z powrotem. Nic. Żadnych wiadomości. Żadnych nieodebranych połączeń. Nie posunęli się ani o krok od nocy, kiedy został zamordowany Luke. Na szczęście zaparkowała w cieniu, a słońce zeszło już niżej. Wyłączyła klimatyzację i otworzyła okna. Dalej od wybrzeża drogi były pustawe; wjeżdżając między wzgórz, poczuła, że humor jej się poprawia. W domu dorwie się do lodówki pełnej piwa, a jutro wróci do śledztwa ze świeżą, wypoczętą głową.

Jej telefon zadzwonił w momencie, kiedy parkowała przed starym domem zawiadowcy stacji. W pierwszej chwili nie usłyszała dzwonka, bo pociąg do Edynburga pędził właśnie z rykiem na północ. Virgin, nie GNER*. Błysk czerwieni. Telefon odezwał się jeszcze raz, kiedy skład już przejechał.

James uwielbiał szachy. Clive, jeden z przyjaciół Petera, nauczył go grać i od tamtej pory stały się pasją chłopaka, może dlatego, że uważał je za dorosłą rozrywkę. Dzięki temu sam czuł się dorosły. Peter rzadko miał cierpliwość, żeby z nim grać, ale już Felicity zawsze przegrywała z synem. Teraz czekała przed szkołą, co chwila spoglądając na zegarek. Prosiła go, żeby się nie spóźnił, bo trzeba przygotować uroczystą kolację, mimo to i tak przeszedł przez plac zabaw ostatni. Powinnam się cieszyć, pomyślała, że jest taki wyluzowany.

Przez całą drogę do domu nawijał o partii, jaką rozegrał, i musiała mu przerwać, żeby zapytać o studentkę, która oglądała domek.

– Panna Marsh powiedziała, czy chce u nas zamieszkać? – spytała, kiedy już skręcili w drogę prowadzącą pod dom.

– Nie – odparł nieobecny tonem; wyraźnie wciąż myślał o czymś zupełnie innym. – Nie widziałem się z nią dzisiaj.

Felicity stwierdziła, że w takim razie najprawdopodobniej już po sprawie. A szkoda. Mogłoby być interesująco mieć młodą kobietę za sąsiadkę przez te parę tygodni do końca semestru. W pewnej chwili musiała niemal wjechać w żywopłot, żeby minąć się z land roverem, i zapomniała o wszystkim.

Spodziewała się, że Peter wróci z pracy wcześniej, ale on ściągnął do domu wręcz jeszcze później niż zazwyczaj. Zaczynała się już trochę denerwować; na drodze z miasta często dochodziło do wypadków. Ale nim zdążyła zaniepokoić się na dobre, zjawił się, i ulga wywołała w niej falę czułości. Wzięła go w ramiona, pocałowała w szyję i powieki, i poszła za nim na górę. Siedziała na łóżku, kiedy się przebierał. Potem usłyszeli samochód na podjeździe, więc pobiegła na dół, żeby przywitać gości. Hol nagle wypełniły męskie głosy i śmiech. Cieszyła się, że Peter ma przyjaciół. Z nikim z uczelni nie spotykał się towarzysko, a tych chłopaków zawsze lubiła: szarmanckiego Samuela, nieśmiałego

Clive'a, lubieżnego Gary'ego. Podobały jej się ich twarde ciała, wysportowane od marszów po górach, i to, jak oni ją podziwiają. Wiedziała, że uważają Petera za szczęściarza, że ma taką żonę. Szczególnie Clive ją uwielbiał. Pochlebiało jej, kiedy wodził za nią oczami. Lubiła patrzeć, jak ten duży dzieciak się rumieni, kiedy zwraca na niego uwagę. A mimo to kiedy przyjaciele się schodzili, nie potrafiła pozbyć się poczucia wykluczenia. Ci czterej nie mieli ze sobą nic wspólnego prócz pasji do historii naturalnej, pasji wszechogarniającej, której Felicity nie mogła z nimi dzielić.

Traktowali ją niezwykle uprzejmie. Samuel przywiózł jej rękopis swojego najnowszego opowiadania.

– Pomyślałem, że cię to zainteresuje – powiedział. – Wiesz, jak cenię sobie twoją opinię.

Ucałowała ich wszystkich po kolei, rozkoszując się przelotnym dotykiem muskularnych ramion, barku, mocnych pleców. Kiedy suche wargi Samuela dotknęły jej policzka, przeszył ją dreszcz podniecenia.

– Idźcie od razu do ogrodu. Zaparzę wam herbaty – zaproponowała.

Ale Peter, cały nakręcony, stwierdził, że nie chcą herbaty. Chcieli piwa i poszli za nią do kuchni, żeby wziąć sobie po butelce. Plątali jej się pod nogami, kiedy usiłowała przygotowywać kolację. Mąż bawił się doskonale. Felicity nie miała pewności co do Samuela – nigdy nie potrafiła ocenić, co on myśli – ale pozostali dwaj byli zdeklarowanymi czcicielami Petera. Uważali, że jest najmądrzejszym człowiekiem, jakiego znają, i że pomijano go na uczelni wyłącznie z przyczyn politycznych. Komisja Rejestracji Rzadkich Ptaków Brytanii odrzucała jego nagrania wyłącznie przez zawiść. Przy okazji tej uroczystości mogli mu okazać, jak bardzo go doceniają. Jacy są oddani. A on kwitł w blasku ich uwagi, stawał się uroczy i hojny. Nalewał napoje, czynił honory.

W pewnej chwili posłała ich do latarni morskiej; obiecała, że dojdzie później. Czuła się osaczona przez nich, nie mogła oddychać.

– Idźcie – ponaglała. – Ja tylko rozstawię naczynia i was

dogonię. – Zwykle dobrze znosiła ten ich zmasowany najazd, cieszyła się ich obecnością w domu, ale dziś ją to przerosło.

Samuel zaoferował pomoc, odmówiła. Stojąc w kuchennych drzwiach, machała im na pożegnanie – szli nierównym, roześmianym rządkiem, a jej syn skakał wokół nich jak rozbrykany szczeniak. Obserwowała ich, dopóki nie przeszli przez przełaz w płocie i nie zniknęli jej z oczu; dopiero teraz zyskała pewność, że się ich pozbyła.

Nakryła stół na tarasie. Nie spieszyła się, polerowała kieliszki ściereczką, choć dopiero co wyjęła je ze zmywarki i nie było takiej potrzeby. Słońce wciąż grzało, ale jego światło z minuty na minutę stawało się bardziej miękkie. Nalała sobie duży kieliszek białego wina z napoczętej butelki, którą znalazła w chłodziarce, wybrała jedno z krzeseł przy długim stole, usiadła i zapatrzyła się na ogród.

W końcu uznała, że powinna dołączyć do chłopaków. Obiecała. Nie zamierzała jednak iść za nimi przez przełaz i miedzą kukurydzianego pola. Jak tylko przyprowadziła Jamesa ze szkoły, przebrała się w prostą lnianą sukienkę bez rękawów, do kostek. Rozcięcie z boku pozwalało chodzić, ale nie przedzierać się z godnością przez płot. Postanowiła iść ścieżką przez łąkę, wzdłuż strumienia. Droga trochę dłuższa, ale przecież chłopcy nie zawrócą od razu spod latarni. James na pewno zechce poszperać między skałami w poszukiwaniu krabów. Dorośli pozwolą mu na to i usiądą w łagodnym wieczornym świetle, żeby porozmawiać. Kiedy do nich dotrze, dopiero zaczną myśleć o powrocie.

Wyruszyła w stronę łąki, po czym wróciła, bo nie pamiętała, czy zamknęła dom. Za domkiem gościnnym pole schodziło stokiem do strumienia. W zimie teren był tutaj bagnisty, czasami zalany. Ogólnodostępna ścieżka biegła wzdłuż drugiego brzegu i żeby się na nią dostać, należało przejść po prostym mostku z desek. Mijając domek, Felicity w nim też sprawdziła drzwi. Wciąż nie zdołała sobie skutecznie wmówić, że ten intruz to tylko wytwór jej wyobraźni. Domek był zamknięty. Przyszło jej do głowy, że to może być jeszcze jeden argument w jej kampanii przekonywania Petera, żeby pozwolił Lily tutaj zamieszkać; lokator działałby

odstraszająco na złodziei. Blżej strumienia trawa była krótsza, miejscami nawet bardzo krótka. Wyglądało to tak, jakby ktoś nierówno ściał ją kosą, choć Felicity nie potrafiła sobie wytłumaczyć, dlaczego ktoś by to zrobił. Przez chwilę stała na środku mostka i patrzyła w wodę. Słyszała, że wydry wróciły w tę okolicę, i choć nie miała pojęcia, czego powinna wypatrywać, zawsze zatrzymywała się tutaj, w nadziei że dopisze jej szczęście i coś zobaczy.

W tym miejscu woda była jeszcze słodka i bardzo spokojna. Na łące pasły się krowy, wypuszczone po wieczornym udoju. Wydeptały brzeg, więc na chwilę zeszła ze ścieżki, żeby ominąć błoto. Kawałek dalej znajdowała się mała furтка z kutego żelaza, z prostym skoblem, a za nią krajobraz się zmieniał. Tutaj trawę wygryzły króliki. Nad brzegiem rosły kłujące krzaki kruszyny i jeżyn. Koryto strumienia było piaszczyste i szerokie, płytka woda pachniała solą. Latarnia morska stała wprost przed nią. Choć Felicity nie widziała chłopaków, wyobrażała sobie, że ich słyszy: wybuch śmiechu – pewnie Gary’ego, krzyki Jamesa, który chce zwrócić na siebie uwagę. Spojrzała na zegarek. Już wpół do dziewiątej. Peter zwykle nie cierpiał jeść tak późno, ale dziś przymruży na to oko. Na pewno będzie się dobrze bawił.

Znalazła ich na wieży widokowej, zbudowanej u stóp latarni od strony morza. Kiedyś to był punkt obserwacyjny straży przybrzeżnej, teraz ptasiarze obserwowali z niej morskie ptactwo. Chłopcy siedzieli na ławce i patrzyli na zatokę. Choć pora roku nie sprzyjała morskim obserwacjom, ciągnęło ich na wieżę. Inni mężczyźni odprężają się w pubie, ale oni tutaj czuli się najbardziej u siebie. Wspinając się po drewnianych stopniach, usłyszała leniwą rozmowę. Przystanąła w milczeniu, żeby posłuchać.

– Co takiego jest w gapieniu się na morze? – powiedział Gary. – Czy może być coś bardziej relaksującego? To jak zen czy coś w tym rodzaju.

Felicity uśmiechnęła się do siebie. Co Gary wie o zen? Znał się na systemach nagłaśniających, muzyce rockowej, akustyce. Ale zen?

Przez chwilę nikt nie odpowiadał. Clive wychylił się, jego uwagę przyciągnęło coś na horyzoncie. Patrzył przez starą lornetkę – dostał ją od matki, kiedy miał ze dwanaście lat – ale jego sokoli wzrok był legendarny.

Odezwał się Peter. Dostojnie, tak jakby wykladał przed salą pełną studentów. Ważył każde słowo.

– Chodzi o możliwość, że coś się wydarzy. Możliwość i szansę. O przypadkowość wszechświata. Możemy siedzieć tutaj godzinami i nie zobaczyć niczego oprócz paru burzyków. A potem zmienia się wiatr. Przesuwają się fronty. I nagle jest tyle ptaków, że ich nie zliczysz.

Clive poruszył się na ławce. Opuścił lornetkę. Pewnie zaraz powie coś głębokiego. Czasami mówił. Ale on tylko zgłosił dwa maskonury lecące na północ i dalej wpatrywał się w morze.

Felicity wspięła się na wieżę. James podbiegł do niej i zrobił kwaśną minę. Widziała, że syn się nudzi i że go nosi.

– Możemy już iść do domu?

– Zajrzyj sobie do jeziorok w skałach. Tylko nie odchodź za daleko...

Samuel wstał.

– Może jednak ruszymy powoli z powrotem? Już pora kolacji.

Uśmiechnęła się do niego. Potrafił być niezwykle uroczy.

– Taki ładny wieczór. I urodziny Petera. Nacieszmy się nim trochę.

Kiedy James zaczął wrzeszczeć, najpierw pomyślała, że hałas zirytuje Petera. Był w takim przyjemnym nastroju, nie chciała, żeby to się zmieniło. A James lubił dramatyzować. Pewnie znalazł żywego kraba albo meduzę wyrzuconą przez przypływ.

– Nie przejmuj się – zwróciła się do męża. – Zaraz się nim zajmę. A potem może faktycznie już wracajmy.

Kiedy wrzask nie milkł, zaczęła panikować, wyobrazać sobie koszmarny wypadek – że James się poślizgnął i pokaleczył o ostre skały, że złamał rękę albo nogę. Z początku nie mogła go dostrzec. Rejestrowała tylko ten bezcielesny hałas, jakby jej syn stał się

niewidzialny, i to jeszcze wzmogło jej panikę. Przedzierała się przez skały; kiedy omsknęła się jej noga, poczuła, jak drze się szew sukienki. I nagle natknęła się na niego, spojrzała z góry. Miała przed sobą głęboki żleb z płytkim jeziorkiem na dnie i James stał tam, na pierwszy rzut oka cały i zdrowy.

Felicity najpierw zobaczyła kwiaty. Powierzchnia jeziorka była nimi zasłana przy krawędzi, nad którą tkwił jej syn, sztywny, z otwartymi ustami. Maki i jaskry, stokrotki i różowa koniczyna. Ktoś musiał wejść do wody i ostrożnie je poukładać. Takie przynajmniej odnosiła wrażenie. Nie wiał wiatr, więc nie sądziła, żeby te kwiaty mogły odpłynąć tak daleko, gdyby rzucono je z brzegu. Tworzyły nieregularny krąg. Wreszcie pośrodku kręgu zauważyła niebieski materiał spódnicy i włosy barwy kukurydzy. Ciało leżało tuż pod powierzchnią; woda unosiła cienki materiał, poruszała włosami. Ale żleb był głęboki, ciemny, dlatego cała scena z daleka przypominała dziwaczny obraz.

– James – wykrztusiła. – Wdrap się tu z powrotem. Kochanie, chodź tu do mnie. – Uznała, że sama nie zdoła zejść, a przede wszystkim zależało jej, żeby przestał krzyczeć. Jej głos jakby obudził chłopca z transu; odwrócił się i wspiał ku matce. Wzięła go w ramiona, patrząc nad jego głową na ciało w jeziorku.

Gdyby Lily wczoraj miała na sobie ten pseudoludowy strój, Felicity może by ją rozpoznała, a tak sądziła, że to ktoś obcy. Stała jak skamieniała, kurczowo obejmując syna. Wiedziała, że trzeba coś zrobić. Oglądała medyczne seriale w telewizji, widziała, jak lekarze tłuką pięścią w pierś, robią usta-usta. Ale to wszystko było dla niej niewykonalne. Do głowy przychodziły jej żalosne, śmieszne obiekcje: gdybym miała na sobie dzinsy, spróbowałabym. Albo wygodniejsze buty.

Nagle zjawili się pozostali. Wyglądało na to, że są równie sparaliżowani jak ona. Nie byli w stanie działać. Felicity czuła koszmarną pokusę, żeby głośno roześmiać się z czterech mężczyzn patrzących w dół, w skalną misę. W końcu James oderwał się od niej i spojrzał jej w twarz.

– Mamo – powiedział całkiem opanowanym głosem, może

odrobinę nierównym, jakby miał problemy z oddychaniem. –
Dlaczego panna Marsh leży w jeziorze?

Dopiero w tej chwili zorientowała się, że to Lily.

Wszyscy siedzieli przy długim stole na werandzie Fox Mill. Było ciemno; światło dawały tylko lampki choinkowe, które Felicity rozwiesiła przed domem wcześniej tego dnia, i jedna gruba świeca, teraz już prawie wypalona. Gary czuł totalną nierealność sytuacji. Miał wrażenie, że to jakaś scena teatralna. Operowa. Cały wieczór trącił melodramatem. Wyobrażał sobie, że zaraz wejdzie jakaś gruba kobieta i zacznie pełnym głosem śpiewać arię, z rękami wyciągniętymi w stronę ciemnego ogrodu. Zdarzało mu się robić nagłośnienie dla oper w City Hall. Niektóre kawałki nawet mu się podobały, ale wszystko było tak przesadne, sztuczne, nieprawdziwe.

Był pijany. Ostatnio starał się ograniczyć alkohol. Nie pić już jak dawniej, kiedy zostawiła go Emily. W tamtych czasach trzeźwiał tylko wtedy, gdy wychodził na ptaki. Jednak dzisiaj miał pretekst. Urodziny Petera. No i to zabójstwo. W myślach widział ciało rozpostarte tuż pod powierzchnią wody niczym rozgwiazda, przykryte kwiatami. To przypominało mu kolaż, coś, co mogłoby wisieć na ścianie w Bałtyckiej Galerii Sztuki Współczesnej w Gateshead. Kawałki sieci rybackich i koronek, wodorosty i muszle. Piękne. Jeśli lubiło się taką sztukę. Wyciągnął rękę i dolał sobie do pełna czerwonego wina zadowolony, że dłoń mu nie zadrżała i nie uronił ani kropelki.

Felicity podała kolację – wspaniałą, jak zawsze. Wielka brytfanna kurczaka pachnącego cytryną i ziołami. Nie znał nikogo, kto gotowałby tak jak ta kobieta. Od kiedy poznał Petera, myślał, że tego pragnie – nie tylko jedzenia, oczywiście, ale rodziny, żony. Właśnie coś takiego sobie wyobrażał, kiedy oświadczał się Emily. Teraz zastanawiał się, czy to nie jest zbyt piękne, by mogło być prawdziwe. Jakby brali udział w przedstawieniu. Rodzina Calvertów w domowym zaciszu. Mógłbym to udźwiękować, stwierdził w duchu i oczyma wyobraźni zobaczył, jak przypina mikrofon do dekoltu tej prostej czarnej sukienki, którą ma na

sobie gospodyni. Jej ciepła skóra. Zapach jej perfum, szamponu. Oni wszyscy marzyli o Felicity, szczególnie kiedy była młodsza. Ale i teraz. Czasami przyłapywał Clive'a, jak się na nią gapi z otwartymi ustami. Ciekawe, czy Clive kiedykolwiek miał kobietę. Gary parę razy proponował mu, żeby wyskoczyli do miasta, ale Clive zawsze odmawiał. Może wolał fantazje o Felicity od działań na jawie.

Było późno na jedzenie, nawet dla niego, a przecież przywykł do posiłków o dziwnych porach. Musieli poczekać, aż policja dotrze do latarni morskiej, wyjaśnić, kim są, podać nazwiska i adresy. Potem trzeba jeszcze dojść do domu. Siedzący naprzeciwko niego James, syn Felicity, niemal zasypiał nad talerzem. Chłopiec ożywił się w pewnej chwili, żeby porozmawiać o martwej dziewczynie.

– Mamo, co jej się stało?

– Nie mam pojęcia – odparła Felicity. – Jakiś okropny wypadek.

Gary wiedział, że to nieprawda. Wszyscy dorośli wiedzieli. Te kwiaty... to nie mógł być wypadek. To zamierzona akcja.

– Gdyby zamieszkała w naszym domku, pomagałaby mi w odrabianiu pracy domowej – stwierdził ze smutkiem chłopiec.

Gary nie ogarniał, co to za komentarz, a był zbyt zalany, żeby tę sprawę rozpracować. Felicity namówiła syna, żeby poszedł spać. Objęła go, niemal zniosła do domu, i mężczyźni zostali sami. Gdzieś za nimi, w wysokich dębach przy drodze krzyczał puszczyk. Czarne cienie nietoperzy przelatowały przez plamy światła. Podczas innych urodzin, innych okazji, tę porę Gary lubił najbardziej. Kiedy siedzieli we czwórkę po kolacji i czuli się tak swobodnie, jak przy nikim innym. Czasami milczeli, czasami rozmawiali o dawnej chwale albo o planach na przyszłość – o zagranicznych podróżach, o napisaniu monografii dzikich ptaków. Jednak dziś byli skrępowani. Jakby ta młoda martwa kobieta leżała na stole między nimi, ociekając morską wodą i domagając się pamięci.

– O co chodziło Jamesowi? – zagadnął Samuel. – Ta

dziewczyna miała tu zamieszkać?

– Nie! – odparł Peter. – To tylko głupie dziecinne gadanie.

I znów zapadła pełna napięcia cisza.

Potem wróciła Felicity i posprzątała ze stołu. Przyniosła talerz serów i zaproponowała kawę. Peter otworzył kolejną butelkę wina. Żona usiadła obok niego. Samuel wrócił do tematu zamordowanej. Dociekał, skąd chłopiec ją znał, ale tym razem kierował pytanie do Felicity.

– Nazywała się Lily Marsh – odpowiedziała. – Była praktykantką w szkole Jamesa... – Miała mówić dalej, ale nagle przerwało jej wołanie, tak głośne, że wszyscy drgnęli przestraszeni.

Gary czuł, że tętno mu skoczyło. Bał się, że dostanie zawału i znów pomyślał, że powinien ograniczyć picie. Nie czas na śmierć. Jeszcze nie.

– Halo! Jest tu ktoś? – Niski, opryskliwy głos. Gary nie potrafił określić: męski czy kobiecy.

W rozsuwanych drzwiach wychodzących na werandę pojawiła się postać. Kobieta. Wysoka i ciężka, ale w spódnicy. Zapaliła w pokoju światło, które obrysowało jej sylwetkę.

– Nie powinniście państwo zostawiać otwartych drzwi – mówiła dalej zrzędlwym tonem nauczycielki przemawiającej do idiotów. – Nawet jak jesteście w domu, nigdy nie wiadomo, kto może wejść.

Wszyscy gapili się na nią osłupiali. Zeszła do nich po stopniach. Kiedy dotarła do stołu, blask świecy padł na jej twarz. Przez chwilę milczała. Gary pomyślał, że oto kolejna osoba, która lubi teatr.

– Inspektor Vera Stanhope. Policja Northumberland. Jestem detektywem prowadzącym sprawę dziewczyny, którą dziś znaleźliście. – Wysunęła sobie krzesło, na którym wcześniej siedział James, i ostrożnie na nim usiadła. Płótno na drewnianej ramie zatrzeszczało. Gary przyglądał się uważnie, spodziewając się odgłosu darcia. Może ona też się tego spodziewała. Zresztą wyglądało na to, że potrafiłaby wybrnąć z idiotycznej sytuacji. Ale płótno wytrzymało i Vera swobodnie zwróciła się do Felicity: –

Zdaje się, że pani ją знаła. Znaczy, tę martwą dziewczynę. Chyba właśnie pani o niej mówiła...

Felicity odpowiedziała, z początku niepewnie. Ciągle zerkła na Petera. Gary nie wiedział, co jest grane. Powtórzyła to, co zaczęła przed teatralnym entré Very Stanhope.

– Nazywała się Lily Marsh. Była praktykantką w szkole mojego syna, podstawówce w Hepworth. Przyjechała tu z nim wczoraj szkolnym autobusem. James powiedział jej, oczywiście bez konsultacji z nami, że może zamieszkać w naszym domku gościnnym do końca semestru.

– Pierwsze słyszę – wtrącił Peter.

– O czym tu mówić? Obejrzała domek i poszła sobie.

– Więc odmówiła jej pani? – spytała Vera Stanhope.

– Chyba żadna z nas nie mogła się zdecydować. Nawet nie wiem, czy domek jej się spodobał. Powiedziała, że się zastanowi. – Felicity zwróciła się do Petera. Gary widział, że zaklina męża w duchu, żeby nie robił scen, żeby nie wyszedł na aroganckiego, nadętego durnia. On sam uwielbiał Petera, ale facet potrafił się nadymać jak nikt inny. – Oczywiście gdyby ta dziewczyna uznała, że jest zainteresowana, przedyskutowałabym to z tobą, zanim podjęłabym jakąkolwiek decyzję. James bardzo ją lubił.

– Czy którykolwiek z panów znał tę Lily Marsh? – Kobieta rozglądała się po ich twarzach. Gary pomyślał, że nawet niewinny człowiek mógłby się przy niej poczuć jak przestępca. – Zdaje się, że była ładną dziewczyną. Kogoś takiego się zapamiętuje.

Przeczące pomruki, kręcenie głowami.

– Proszę mi opowiedzieć o okolicznościach znalezienia ciała. Najpierw zobaczył ją chłopiec, potem państwo poszliście popatrzeć. Czy w pobliżu był jeszcze ktoś?

Clive uniósł rękę. Jak dzieciak w szkole, prychnął w duchu Gary. Nieśmiały, nerwowy dzieciak.

– Na płaskim kawałku trawy przy strumieniu widziałem jakąś rodzinę. Ojca i dwóch chłopców. Grali w piłkę.

– Jakież samochody zaparkowane przy latarni?

Znów odpowiedział Clive.

– Minivan. Taki duży renault. Brązowy. Nie pamiętam numerów, ale rejestrowany w zeszłym roku.

– O, a skąd taka pewność?

– Zauważam różne rzeczy – odparł Clive zaczepnym tonem.
– Szczegóły. Jestem w tym dobry.

– A co w ogóle robiliście na wieży widokowej? To niezbyt odpowiednia pora na morskie obserwacje, na dodatek przy odpływie.

– A co pani wie o morskich obserwacjach? – Słowa wyrwały się Gary’emu z ust, zanim zdążył się powstrzymać.

Spojrzała na niego i się roześmiała.

– Mój ojciec był ptasiarzem. Cóż, podłapuje się takie rzeczy. Ma się je we krwi. Czasami zabierał mnie na wybrzeże, choć tak naprawdę wołał góry. Można powiedzieć, że pasjonowały go drapieżniki. – Umilkła na moment. – To was tam wszystkich zagoniło? Ptasiarstwo?

– Tak. – Gary był ciekaw, czy naprawdę chciała to wiedzieć, i jak by jej to wyjaśnił.

Zawsze interesował się ptakami. Od kiedy jako dziesięcioletek zobaczył w szkolnej bibliotece stary egzemplarz *Wielkiej księgi ptaków*, stało się to czymś w rodzaju obsesji. Muzyka podobnie na niego działała, ale nie w ten sam sposób. Bo muzyka to rozrywka towarzyska, coś, co dzielisz z przyjaciółmi. Ptasiarstwo z początku było jego sekretną pasją. Zaczął od zbierania jajek w parku. Potem w gimnazjum poznał Clive’a Stringera. Poza tym nie mieli ze sobą nic wspólnego i teraz nie pamiętał już, jak się spiknęli. Musiał przypadkowo rzucić jakąś uwagę, która zdradziła, czym się interesuje. Zwykle uważał na to, co mówi. Nie chciał, żeby cała szkoła dowiedziała się, jak spędza weekendy. Musiał dbać o reputację. Fakt, że ktoś jeszcze czuje to samo co on do świata przyrody, był dla niego objawieniem. On i Clive zaczęli razem chodzić na obserwacje. W miejsca, do których mogli dotrzeć autobusem. Nad jezioro Seaton. Na wyspę St Mary’s. Cmentarz w Whitley Bay.

Aż któregoś dnia, kiedy siedzieli w kryjówce nad Seaton i

czekali, aż biegus Temmincka pojawi się w polu widzenia, poznali Petera Calverta. Słynnego doktora Calverta, autora artykułów w „Ptakach Brytanii” i dawnego prezesa Komisji Rejestracji Rzadkich Patków. Miał na sobie czarny garnitur, białą koszulę, krawat, a nie maskujący strój ptasiarza. Może zobaczył, że się gapią, i pomyślał, że powinien to wyjaśnić. Może dlatego zaczął z nimi rozmawiać. Powiedział, że właśnie wraca z pogrzebu. Zmarła żona jego przyjaciela. Wszyscy inni poszli na stypę, ale on nie chciał w tym uczestniczyć.

Potem zasugerował, że mógłby ich uczyć obrączkowania. O tak, rzucił od niechcienia. Nie zdawał sobie sprawy, że dla nich to najbardziej ekscytująca propozycja świata. Powiedział, że jest jeszcze jeden trener. Samuel Parr. To właśnie jego żona zmarła, więc pewnie chętnie zająłby czymś głowę. Poza tym w ekipie Deepden przydałaby się młoda krew. Po tej rozmowie Gary i Clive zaczęli spędzać większość weekendów na wybrzeżu, w rezerwacie w Deepden. Spali na pryczach we wspólnej sypialni obserwatorium ornitologicznego, wstawali o świcie, żeby nastawiać siatki i obrączkować ptaki. Zostali przyjaciółmi.

Gary zorientował się, że policjantka wciąż na niego patrzy.

– No więc? – ponagliła. – Co robiliście na wieży, jeśli nie obserwowaliście morza?

– Zawsze jest szansa, że przeleci jakiś niezły okaz – odparł. – Ale poszliśmy na spacer. Są urodziny Petera. Robimy to co roku.

– Rytuał?

– Tak. Coś w tym rodzaju. – Gary zastanawiał się, dlaczego nikt inny nie raczy się włączyć do tej rozmowy. Dlaczego zostawili to jemu?

Vera cały czas się na niego gapiła. Wyciągnęła nogi przed siebie; wielkie i niezbyt czyste stopy w sandałach.

– Jak pan się nazywa, kotku?

– Gary Wright.

Wyjęła notes z wielkiej torby z miękkiej skóry, otworzyła odpowiednią stronę, spojrzała na bazgroły. Ale Gary podejrzewał, że kobieta robi to dla efektu. Już wcześniej знаła fakty, pewnie

siadając przy stole, dobrze się orientowała, kto jest kim.

– Mieszka pan w Shields?

Przytaknął.

– Na pewno nie znał pan tej dziewczyny? Bo zdaje się, że pan lubi poimprezować. Ma pan niezłą historię. Parę upomnień za spożycie i zakłócanie, wyrok za posiadanie.

Gary poderwał głowę, nagle całkiem trzeźwy.

– To było dawno temu. Pani nie ma prawa...

– Prowadzę śledztwo w sprawie zabójstwa. – Jej głos brzmiał ostro. – Mam wszelkie prawo. Na pewno nigdy się pan na nią nie natknął?

– Nie przypominam sobie tej dziewczyny. W mieście pełno studentów.

– Nie poznał jej pan w pracy?

– Nie mieszam spraw zawodowych z przyjemnościami. – Nie rozumiał, dlaczego uwzięła się na niego. Czuł irracjonalną panikę. Zobojętniające działanie wina zniknęło bez śladu. – Poważnie traktuję swoją pracę.

– Proszę mi o niej opowiedzieć.

– Jestem dźwiękowcem. Prowadzę własną działalność. Obsługuję praktycznie wszystko, od opery w City Hall po Great North Run*. Ustawiam też nagłośnienie dwóm zespołom i jeżdżę z nimi w trasy.

– Ciekawe zajęcie.

– Nieszczególnie. Głównie pracuję w klubach folkowych, małych domach kultury. Ci sami mierni muzycy, w kółko te same nudne piosenki. Noc w motelu, a potem znów rozładowywanie ciężarówki w kolejnym zapyziałym miasteczku. – Dopóki nie zaczął mówić, nie zdawał sobie sprawy, jak bardzo zdążył zniechęcić tę robotę. Podjął decyzję, z którą nosił się od tygodnia. – Rezygnuję z tego. Z tych dorywczych robót. Obsługiwałem parę imprez w Centrum Muzycznym Sage w Gateshead i zaproponowali mi stałą posadę. Regularna pensja, płatne urlopy, emerytura. Nagle wydało mi się to dziwnie atrakcyjne.

– Więc zamierza się pan usatkwować? Dlaczego teraz?

– Wiek – odparł. – Chyba w tym rzecz. Żarcie curry po nocach w smętnych pipidówkach jakoś mi zbrzydło.

– Więc nie chodzi o kobietę?

Zawahał się chwilę: a co ją to obchodzi?

– Nie, pani inspektor – powiedział w końcu. – Nie chodzi o kobietę. A już z pewnością nie o Lily Marsh.

Nie wiedział, czy używając imienia i nazwiska dziewczyny, nie popełnił błędu. Czy to sugerowało, że znał je wcześniej? Ale Vera Stanhope dała mu spokój i zajęła się resztą zgromadzonych przy stole. Gary czuł ulgę, że poszedł na pierwszy ogień. Napił się, zdziwiony, że jego kieliszek wciąż jest prawie pełny. Teraz to on był publicznością. Vera właśnie miała się odezwać, kiedy zadzwonił jej telefon. Wstała i odeszła kawalek, żeby odebrać. Stała na końcu werandy, w całkowitej ciemności. Zaczęli gadać między sobą na znak, że jej rozmowa zupełnie ich nie obchodzi, ale kiedy wróciła, zamilkli.

– Przykro mi, moi drodzy – rzuciła wesoło. – Muszę lecieć. Ale nie martwcie się, mam wasze adresy. Z resztą spotkam się innym razem.

Mimo to wciąż sterczała nad nimi. Nie ruszyła się z miejsca.

Felicity wstała.

– Odprowadzę panią.

– Chcecie wiedzieć, jak zginęła? – spytała Vera, ogarniając ich wzrokiem.

– Ja myślałam, że to samobójstwo – wykrztusiła zszokowana Felicity. – To wyglądało tak dramatycznie, tak finezyjnie.

– Została uduszona. To trudno zrobić sobie samemu.

Patrzyli na nią w milczeniu.

– Ostatnie pytanie. Czy komuś z państwa mówi coś nazwisko Armstrong? Luke Armstrong?

Milczenie.

– Rozumiem, że to odpowiedź przecząca, tak? – rzuciła z irytacją. – On też został uduszony. I to niedaleko stąd. – Wciąż wpatrywała się w nich, czekając na jakąś reakcję. – I te dwie sprawy mają ze sobą sporo wspólnego. Nie chcę, żebyście o tym

rozmawiali. Z nikim, a już z pewnością nie z dziennikarzami. Mam nadzieję, że państwo to rozumiecie.

I tym razem zero odpowiedzi. W końcu poszła z Felicity do domu. Gary, który raz czy dwa zetknął się ze stróżami prawa, patrząc za nią, pomyślał, że takiego przedstawiciela policji to nigdy nie widział.

Vera Stanhope pojechała z powrotem na miejsce, gdzie znaleziono ciało. Trudno o gorsze, powiedział jej szef techników kryminalistycznych. Po prostu brakowało czasu, żeby zająć się nim jak należy. Ciało znaleziono podczas odpływu. Mieli cztery godziny, zanim ten odcinek brzegu znajdzie się całkowicie pod wodą. Poza tym ledwo przyjechali, zaczęło się ściemniać, choć to środek lata.

Vera zaparkowała przy latarni i zobaczyła, że prawie skończyli. Zwłoki zostały usunięte, morze wślizgnęło się żlebem i zakryło jezioro. Ciekawa, czy udało im się wybrać wszystkie kwiaty; wyobraziła sobie, jak dryfują na Morze Północne i wplątują się w śrubę promu DFDS*.

Technik Billy Wainwright jeszcze się krzątał; chował właśnie torbę do bagażnika. Ten błąd, chudy mężczyzna nie postarzał się ani odrobinę przez te dwadzieścia lat, od kiedy go znała. To jeden z tych, których twarz zawsze wygląda chłopięco. Vera wysiadła z auta i podeszła do Billy'ego. Nawet teraz, po północy, powietrze było ciężkie i ciepłe. Nad ich głowami przemknął snop światła latarni morskiej.

– Coś niezwykłego?

– Młoda kobieta. Uduszona. Ułożona w publicznym miejscu w biały dzień. Ciało zasypane kwiatami. Ja bym powiedział, że to dość niezwykłe. Coś jeszcze chciałabyś usłyszeć?

– Na pewno w biały dzień?

– Tak sędzę. Pomyśl o przyptywie. A poza tym nie mogła tu leżeć zbyt długo. W ciągu dnia tu się roi od ludzi. I jeszcze przy takiej pogodzie. Wiem, że jest środek tygodnia i to nie wakacje, ale słońce zawsze wygania ludzi nad morze. Ja obstawiam, że została tu umieszczona na krótko przed tym, jak ją znaleziono.

A jednak miejsce nie tak do końca jest publiczne, pomyślała Vera. Trzeba być u samego wylotu żlebu, żeby do niego zajrzeć. Ale dotarcie na miejsce? To już zupełnie inna sprawa. Ktoś musiał

to widzieć. I zabójca zapewne chciał, żeby natrafiono na dziewczynę, zanim przypląw zmyje całą jego staranną scenografię. Jak by się czuł, gdyby James Calvert nie znudził się i nie poszedł buszować po okolicy?

– Wiemy, od jak dawna nie żyła, zanim znalazła się w wodzie?

– Przykro mi, z tym pytaniem trzeba poczekać na autopsję. John niewiele mógł zrobić w takim miejscu. Kiedy się zjawił, musieliśmy ją powoli zabierać.

– Dziś przeprowadzą sekcję?

– Mam nadzieję, że nie. Przynajmniej dopóki nie zdążę zjeść pizzy. Właśnie siadałem do hinduskiego żarcia, kiedy mnie wezwali. Jestem głodny jak wilk.

Apetyt Billy'ego był stałym tematem drwin. Facet chudy jak szczapa, a jadł za dwóch. Verze przemknęło przez głowę, jak niesprawiedliwie rozdawane są geny.

– Może wstrzymamy się z tym do rana – ciągnął. – Czekam na telefon z Wansbeck.

Jak na zawołanie jego komórka zawibrowała. Billy odszedł kawalek, żeby porozmawiać. Krążyły pogłoski, że ma romans z nową techniczką sekcyjną w szpitalu Wansbeck General, i Vera, która uwielbiała plotki i uważała je za jedno z zawodowych narzędzi, zapisała sobie w pamięci ten smakowity epizodzik z szeptaną rozmową, żeby później podzielić się wieściami z Joem Ashworthem. Jej sierżant będzie udawał, że nie chce tego słuchać, ale wiedziała, że go to zainteresuje. A przy okazji, ciekawe, jak mu idzie. Namierzyli rodziców Lily Marsh we wsi pod Hexham i Joe zgłosił się na ochotnika, że zawiadomi ich o śmierci córki. Stwierdził, że tego nie może zrobić byle kto. Sam był ojcem. Oczywiście nie potrafił wyobrazić sobie, jak to jest stracić dziecko, ale uznał, że nada się do tego lepiej niż ktokolwiek inny z zespołu.

Wainwright skończył rozmawiać i wrócił do Very. Nawet w ciemności wyczuła wystudiowaną nonszalancję. Miała ochotę mu powiedzieć, żeby nie robił z siebie palanta. Był żonaty. I to dość szczęśliwie, jak sądziła. Samotna młoda techniczka bawiła się nim.

Vera upomniała się jednak, że to nie jej sprawa, a sama raczej nie nadaje się na doradcę w kwestii związków.

– John zamierza się tym zająć jak najszybciej – poinformował Billy. – Rano już nie da rady. Więc za godzinę.

– Dobra. Będę.

Stała oparta o maskę swojego samochodu i słuchała falamiących się pod wieżą widokową, dopóki Billy nie odjechał.

Wróciła myślami do grupki zebranej przed tym dziwnym białym domem, tak niepasującym do tutejszych krajobrazów. Pojechała ich odwiedzić, bo nie miała nic lepszego do roboty, dopóki na wybrzeżu pracuje ekipa kryminalistyczna. Razem znaleźli ciało, tego wieczoru mieli siedzieć w kupie, a potem się rozejść. Posterunkowy, który był pierwszy na miejscu, zdążył to ustalić. Pomyślała, że złapie ich, skoro są w okolicy, popyta, czy nie zauważyli czegoś dziwnego. Chyba miała nadzieję, że opiszą samochód podobny do tego, który Julie widziała na swojej ulicy w noc śmierci Luke'a. Ale ci ludzie ją zainteresowali. Nie chodziło tylko o ich związek z zamordowaną dziewczyną. Ani o to, że mężczyźni przypominali jej ojca, jak siedział w domu, w kuchni, z bandą kolegów po potajemnym najeździe na gniazda drapieżnych ptaków w górach. Coś wywołało w niej poczucie, że warto im się uważnie przyjrzeć. Samozadowolenie, które ją irytowało i miało w sobie coś z wyzwania. Próbowała określić, która z tych osób tak na nią podziałała, ale nie potrafiła uchwycić źródła swojego niepokoju. W końcu wsiadła do samochodu i pojechała za Wainwrightem do głównej szosy.

John Keating, patolog, był Irlandczykiem z Ulsteru, po pięćdziesiątce. Jego obcesowość i bezpośredniość przerażała niektórych młodszych funkcjonariuszy. Jeden, jedyny raz widziała, jak okazał emocje podczas autopsji: kiedy szukał przyczyny śmierci trzyletniego dziecka. I kiedy rozmawiał z walijskim sierżantem o meczu rugby. Sam w młodości grał, na pamiątkę został mu spłaszczony nos. Zanim się przebrali, zaparzył jej kawę w swoim gabinecie.

– Jakieś pierwsze wrażenia?
– Została uduszona – oznajmił. – Ale na to pewnie sama wpadłaś.

– Jakieś podobieństwa do sprawy młodego Armstronga?
– Nie za bardzo miałem czas przyjrzeć się denatce na miejscu. To jeziorko to najgorszy koszmar ekipy kryminalistycznej. Jeszcze kilka godzin, a ciało spłynęłoby do morza.

– A wtedy nie zobaczylibyśmy kwiatów, może nawet nie skojarzylibyśmy tego ze sprawą z Seaton. – Wróciła do pytań, które nie dawały jej spokoju pod latarnią morską. – Czy to tego chciał zabójca? Czy to jakiś prywatny rytuał? A może postawił wszystko na jedną kartę, licząc, że dziewczyna zostanie znaleziona w porę?

– Ba! Mnie nie pytaj. Moja działka to trupy, nie żywe umysły. Obserwowała autopsję z za szyby, nie dlatego, że miała słaby żołądek, ale dlatego, że zdawała sobie sprawę ze swoich rozmiarów i bała się, że będzie przeszkadzać. Wokół stołu ze stali nierdzewnej zgromadziło się już tyle osób – technicy, fotograf, Billy Wainwright.

Odwinęli zwłoki z foliowej płachty i przy nieustannych błyskach fleszu zaczęli rozbierać Lily Marsh. Zdjęli jej niebieską bawełnianą spódnicę i haftowaną białą bluzkę. Vera zauważyła, że bielizna denatki nie grzeszy skromnością. Stanik głęboko wycięty, koronkowy, półprzezroczysty. Majtki z małymi czerwonymi kokardkami po bokach, krok z czerwonego jedwabiu. Billy Wainwright chował każdą sztukę odzieży do worka, a Keating wygłaszał komentarz, zerkając od czasu do czasu na Verę, żeby się upewnić, że ta odnotowuje wagę jego słów.

– Ubranie praktycznie nienaruszone. Żadnych widocznych śladów napastowania seksualnego.

Chyba że ubrał ją po wszystkim, pomyślała Vera. Poczekajmy na wyniki wymazów z pochwy, zanim wyciągniemy wnioski. Jednak ciało Luke'a też nie nosiło śladów napaści seksualnej, a przecież już w tej chwili była pewna, że te sprawy są powiązane.

Keating mówił dalej:

– Żadnych zasinień. Otarć skóry. Poproszę o zdjęcia gałek ocznych i powiek. Proszę zwrócić uwagę na wybroczyny.

Vera widziała je już na miejscu – maleńkie jak łebki szpilek wylewy, spowodowane zablokowaniem żył szyjnych. Klasyczna oznaka uduszenia.

– To nie było duszenie dłońmi. Nie ma śladów palców. Widoczna linia wokół szyi. Narzędzie nie przerwało tkanki, więc nie drut, chyba że pokryty plastikiem. Może cienka linka.

Również ten szczegół był taki sam jak w przypadku Armstronga.

Patrzyła, jak patolog kontynuuje oględziny zewnętrzne, jak Billy pobiera wszelkie możliwe próbki – ślad szminki, który pozostał mimo zanurzenia ciała w morskiej wodzie; zeszkrobiny spod paznokci; kosmyk włosów łonowych – ale w jej głowie kłębiło się od teorii i pomysłów. Co mogło łączyć tę dwójkę tak bardzo różniących się od siebie młodych ludzi? Keating zaczął kroić, a jej myśli wciąż gnały jak szalone.

Po wszystkim znów usiadła z patologiem w gabinecie. Na dworze właśnie świtało. Niedługo zacznie się schodzić szpitalny personel na poranny dyżur. Keating miał więcej kawy. I ciastka czekoladowe. Vera poczuła, że jest wściekle głodna. Nie pamiętała, kiedy ostatnio jadła.

– Zdaje się, że niewiele mam dla ciebie – powiedział. – Nic nie wskazuje, żeby sprawca napastował ją przed uduszeniem. Uprawiała seks, ale nie ostatnio. Nie była w ciąży i nigdy nie rodziła dzieci. – Umilkł na chwilę. – To wszystko miała jeszcze przed sobą. Szkoda.

– Nie walczyła – stwierdziła Vera. – Czyżby знаła zabójcę?

– Niekoniecznie. Mógł ją zaskoczyć.

– To mogła zrobić kobieta.

– O tak – przyznał. – Teoretycznie, jak najbardziej.

Ale Vera widziała, że Keating nie wierzy w taki scenariusz. Był rycerskim, staroświeckim mężczyzną. Nad kobietami, które nie miały szansy urodzić dziecka, należało się uzalić. Cóż,

pomyślała, pewnie uzala się też nade mną.

Dziennikarze nie namierzyli jeszcze rodziców Lily Marsh, a jeśli tak, to wykazywali się nietypową powściągliwością. Młody funkcjonariusz, który czekał z nimi, powiedział, że nie było żadnych telefonów i żadnych wizyt, nie licząc proboszcza miejscowej parafii i siostry panny Marsh.

– To chyba do nich nie dotarło. – Wskazał głową dom. – Matka mówi o sprawie tak, jakby dziewczyna tylko wyszła na chwilę i miała zaraz wrócić.

Para była w bardziej podeszłym wieku, niż Vera się spodziewała. Phyllis miała czterdzieści cztery lata, kiedy urodziła Lily, a jej mąż był pięć lat starszy.

– My już się pogodziliśmy z losem, pani inspektor. I tu nagle taki cud.

Więc i dla mnie jest nadzieja, pomyślała Vera, chociaż doskonale wiedziała, że nigdy nie będzie miała dzieci. A bolesne pragnienie bycia matką już prawie ucichło.

Rodzice Lily mieszkali w schludnym bliźniaku z czerwonej cegły, od kiedy się pobrali. Phyllis opowiadała o tym domu, robiąc herbatę.

– Jest już całkowicie spłacony. Chociaż tyle zostawilibyśmy córce. To cały nasz majątek.

Po raz drugi w tym tygodniu Vera słuchała zrozpaczonej matki, która mówiła za dużo, karmiąc słowami myśli i wspomnienia. Kiedy zjawili się tu z Joem, mąż Phyllis, Dennis, był w małej szklarni w ogrodzie za domem i gdy się już przedstawili, pozwolili mu uciec tam z powrotem. Phyllis przywitała Ashwortha jak starego przyjaciela, ale Dennis trzymał się o wiele gorzej niż żona. Miał pusty, trochę dziki wyraz twarzy.

– Przyjdę potem i chwilę z panem porozmawiam – powiedziała Vera. – Po herbacie.

Przez okno małego salonu widzieli go, jak siedzi na odwróconej skrzynce, gapiąc się w przestrzeń.

– Zawsze miał słabe nerwy – wyjaśniła panna Marsh.

Vera odniosła wrażenie, że wychwyciła w tych słowach cień oskarżenia. Teraz, kiedy Phyllis najbardziej potrzebowała wsparcia, jej mąż się rozklejał, wymagał opieki.

Usiedli we trójkę ze spodeczkami i filiżankami w dłoniach. Phyllis przeprosiła, że zapomniała o cukrze, i zerwała się, żeby przynieść go z kuchni. Była niewysoka i energiczna; miała już siedemdziesiąt lat. Białe włosy nosiła ułożone w drobne loczki.

– Zawsze się martwiłam, że któreś z nas umrze, zanim Lily dorośnie i stanie się samodzielna – ciągnęła. – Nigdy nie przeszło mi przez myśl, że to ona odejdzie pierwsza. – Musiała mówić o tym, że Lily nie żyje; inaczej by w to nie wierzyła.

Cały pokój wypełniały pamiątki po córce. Kobieta ciągle wstawiała, żeby wskazywać im kolejne przedmioty. Dyplomy z baletu i stepowania, gry na fortepianie.

– Dotarła już do drugiego stopnia, zanim przestała brać lekcje. Za dużo nauki w szkole. Ale i tak ślicznie grała. Zamierzała jeszcze kiedyś do tego wrócić. Powiedziała, że przyda jej się to w nauczaniu.

Wszędzie stały zdjęcia: na kominku, na parapecie, na pianinie. Lily podczas przyjęcia urodzinowego w wieku pięciu czy sześciu lat, szczerząca się radośnie nad tortem w kształcie jeża. Pozowane szkolne zdjęcia. Już jako czternastolatka była tak atrakcyjna, że pewnie ludzie się za nią oglądali. Nawet w szkolnej bluzie i bez makijażu. To łączyło ją z Lukiem Armstrongiem. Obydwoje piękni fizycznie. Przez całą rozmowę Vera czekała na coś jeszcze, co mogliby mieć ze sobą wspólnego, ale nie usłyszała nic. Na dużym, oprawionym zdjęciu na ścianie widniała Lily w wypożyczonym birecie i todze w dniu rozdania dyplomów, z głową odrzuconą do tyłu, z szerokim uśmiechem.

– Wygląda na to, że dobrze się tam bawiła – zauważyła Vera.
– Lubiła studenckie życie?

– Uwielbiała. Każdą chwilę. Tak bardzo się cieszyłam. Oczywiście wcale nie chciałam jej puścić z domu. Tęskniłam koszmarnie. Ale po co by tu siedziała? Nie miała rodzeństwa. We

wsi młodych ludzi zostało jak na lekarstwo. No i jej ojciec ze swoimi humorami... Nakłaniał ją, żeby została i codziennie dojeżdżała autobusem, ale ja wiedziałam, że nic z tego nie wyjdzie. Powiedziałam mu: „Ciesz się, że nie wylądowała w Kent czy Exeter”. To były uczelnie na jej liście. „Pora, żeby zasmakowała trochę wolności”. W końcu to przełknął.

– Pracowała w trakcie studiów? – spytała Vera. – Większość studentów musi dorabiać w tych czasach, prawda?

– Pracowała w wakacje, a w semestrze w soboty. Po pierwszym roku w akademiku wynajęła stancję w mieście z dwiema innymi dziewczynami. W West Jesmond. Śliczne mieszkanko. Nie wiedziałam, jakim cudem ją na nie stać, ale wyjaśniła, że to własność ojca jednej z tych koleżanek. Kupił je jako inwestycję i na razie stało puste. Pomagaliśmy jej, jak tylko mogliśmy. Dennis dostał przyzwoitą odprawę z zakładów kamieniarskich, kiedy je zamknięto, więc mieliśmy trochę oszczędności.

– Gdzie pracowała w wakacje?

– W Robbinsie, tym eleganckim sklepie odzieżowym niedaleko kolumny Greya.

Vera skinęła głową na znak, że wie, o który sklep chodzi. Nigdy nie była w środku, ale patrzyła na witrynę. Świetnie skrojone lny i śnieżnobiałe bluzki. Żakiety po dwieście pięćdziesiąt funtów.

– Miałam nadzieję, że może znajdzie coś w Hexham, na przykład w którymś z hoteli. Wtedy mogłaby przynajmniej na lato przyjeżdżać do domu. Ale, jak to sama stwierdziła, musiała płacić czynsz, a tutaj nigdzie nie dostałaby takiej pensji jak w Robbinsie. Poza tym zawsze lubiła się dobrze ubrać. Już nawet jako mała dziewczynka. A jako pracownica miała zniżkę na ich ubrania. Przywoziła mi śliczne prezenty urodzinowe... – Ręka jej zadrżała, filiżanka zaklekotała na spodku. Ashworth wstał i wziął ją od niej. Phyllis wyciągnęła z rękawa maleńką bawełnianą chusteczkę i rozplakała się. – Myśleliśmy, że teraz wróci – wychlipała przez łzy. – W głębi duszy to dziewczyna ze wsi, a tutaj mnóstwo szkół błaga

o nauczycieli. Marzyłam, że wyjdzie za miłego chłopaka. Zamieszka tutaj. A przynajmniej gdzieś, gdzie dam radę dojechać autobusem. Że będę miała wnuka, zanim zrobię się za stara, żeby się nim cieszyć. – Wzięła głęboki wdech. – Proszę nie zwracać na mnie uwagi. Gadam bzdury. – Znow urwała, stłumiła szloch. – Tylko się dowiedzcie, kto ją zabił.

Vera ledwie dostrzegalnie skinęła głową Ashworthowi, że teraz jego kolej. Miał więcej taktu w małym palcu niż ona w całym ciele. Sama już wyrobiła sobie pojęcie o tej rodzinie. Jedynaczka dorastająca ze starzejącymi się rodzicami, nadopiekuńczą matką i humorzastym ojcem. Nic dziwnego, że nie przyjeżdżała na wakacje i uspokajała wyrzuty sumienia, kupując przecenione ciuchy z Robbinsa na prezenty urodzinowe dla mamy. Kto mógł jej to mieć za złe? Ale Vera potrzebowała szczegółów i wiedziała, że Ashworth wyciągnie je z Phyllis, nie burząc jej wyobrażenia oddanej córki.

– Kiedy ostatni raz widziała pani Lily? – spytał. – Pewnie trudno jej było wyrwać się z uczelni. Pedagogika to wymagające studia. Dużo nauki, a do tego praktyki w szkołach.

Doskonale podejście, stwierdziła w duchu Vera. Nawet cienia krytyki pod adresem Lily. Gdyby Phyllis wyczuła coś takiego, zamknęłaby się jak ostryga.

– Zajrzała do nas na Wielkanoc – odparła starsza pani.

– Miłe rodzinne spotkanie.

– Cudowne. Jak za dawnych czasów. W niedzielę poszła ze mną do kościoła. Był taki wietrzny, słoneczny dzień. Wszystkie żonkile zakwitły.

– I od tamtej pory się nie pojawiła?

– Zamierzała przyjechać na Zielone Świątki, w połowie semestru – wyjaśniła szybko panna Marsh. – Ale musiała napisać jakąś pracę, chodzić do biblioteki.

– Oczywiście. – Ashworth się uśmiechnął. – Ostatni semestr. Na pewno dużo roboty. – Przerwał na moment. – W jakim nastroju była w Wielkanoc?

– Doskonałym. Dostała się na praktykę, na której jej zależało. W małej wiejskiej szkole na wybrzeżu. Wtedy zrozumiałam, co

planuje. Chciała zdobyć odpowiednie doświadczenie, żeby wrócić tutaj.

Vera uznała, że to stąd wzięło się marzenie Phyllis. Ten miły chłopak i wnuk. Dom gdzieś niedaleko. Lily po prostu rzuciła jakąś uwagę o swojej praktyce, a matka wyśniła sobie resztę.

– Nie przywiozła wtedy nikogo ze sobą? Żadnego chłopaka?

– Nie, zawsze jej powtarzałam, że jej przyjaciele są tu mile widziani, ale przyjeżdżała sama.

– A wspominała o chłopaku? Taka ładna dziewczyna...

– Nie chciałam być wścibska – przerwała mu Phyllis.

– Oczywiście.

– Młodzi w tym wieku są bardzo skryci. Nic rodzicom nie mówią.

– Ale od Wielkanocy jeszcze się kontaktowałyście? Telefonicznie?

– Dzwoniłam do niej co tydzień. W niedzielę. Wtedy są niższe stawki. Przy tak ograniczonym budżecie trudno się spodziewać, żeby ona dzwoniła do nas.

– Dzwoniła pani na stacjonarny czy na komórkę?

– Na komórkę. Żeby nie musiała specjalnie siedzieć przy telefonie.

– I w jakim była nastroju?

– Wspaniałym. Szczęśliwa. Wręcz rozradowana.

– Wie pani, skąd ta jej radość? A może zawsze była taka wesoła?

– Nie, nie zawsze. Wszyscy miewamy gorsze dni, prawda? Nawet się potem zastanawiałam, co ją tak cieszyło. Zapytałam, czy załatwiła sobie pracę na wrzesień. „Ptaszki ćwierkają, że coś się znajdzie”. Tak powiedziała. Niemal słyszałam, że się uśmiechała, kiedy to mówiła. Pomyślałam, że złożyła podanie gdzieś w okolicy. Blisko domu. Może nawet była na rozmowie. Ale nie chciała niczego zdradzić, żeby nam nie robić nadziei. Żebyśmy się nie rozczarowali.

Przez chwilę panowała cisza. Dennis Marsh w szklarni wyjął z kieszeni marynarki puszkę z tytoniem i zaczął zwijać papierosa.

Phyllis zmarszczyła brwi. Pewnie uważała, że skręty są nieeleganckie, nie powinno się ich palić przy gościach. Nawet kiedy właśnie umarła ci córka.

Ashworth pochylił się do przodu i znów ściągnął na siebie jej uwagę.

– Czy Lily miała praktykę w gimnazjum w Whitley?

– Nie, specjalizowała się w nauczaniu początkowym. Gimnazja to nie jej działka.

– Więc nigdy nie uczyła chłopca o nazwisku Armstrong? Nie wspominała o nim?

– A co? To on ją zabił? – Phyllis wypluła te słowa tak głośno i z takim jadem, że zszokowała ich oboje.

– Nie – odparł cicho Ashworth. – Wręcz przeciwnie. On też został zamordowany. I są pewne podobieństwa.

Vera zostawiła ich samych. Gospodyni poszła dorobić herbaty, ledwie trzymając nerwy na wodzy. Rytualne czynności: nastawianie wody w czajniku, szukanie ciastek trochę ją uspokoiły. Joe Ashworth wyraźnie podobałby jej się w roli zięcia. Może nawet myślała o tym, zachęcając go, by wziął sobie jeszcze jedną roladkę z figą. Z kuchni do ogrodu prowadziły szklane drzwi. Vera wyszła przez nie, zamknęła je za sobą i odcięła się od rozmowy sierżanta z Phyllis. Wiedziała, że to tchórzostwo, ale nie mogła dłużej tego znieść.

Dennis na pewno słyszał, że ktoś się zbliża, ale nie podniósł głowy, dopóki nie stanęła w progu szklarni. Wzięła sobie plastikowe ogrodowe krzeselko i usiadła tuż przy wejściu, przodem do pana Marsha. Miał ściągniętą twarz, zrezygnowaną minę – widywała to u mężczyzn w więzieniach albo u bezdomnych. Phyllis przynajmniej przed tym go ratowała. Już ona dopilnuje, żeby się mył i golił, obcinał paznokcie, nosił czyste ubranie.

– Proszę mi opowiedzieć o Lily. – Vera wbiła stopy w trawę.

– W ogóle nie powinienem mieć dziecka – oznajmił.

Chętnie by mu powiedziała, że sama zawsze twierdziła, że dzieci są przereklamowane, ale doszła do wniosku, że nie to

chciałby usłyszeć.

– Chyba nikt, kto wychowuje dziecko, nie uważa, że dobrze mu to idzie.

– Ja nie umiem zadbać nawet o siebie.

– Przecież Lily wyszła na ludzi. Studiowała. Miała zostać nauczycielką. – Vera usłyszała w swoim głosie wesoły ton opiekunki społecznej i zniechęciła się za to.

– Ale nigdy nie czuła się szczęśliwa – odparł. – Tak naprawdę szczęśliwa. Nawet w szkole.

– A jak jej szła nauka?

– Była bystra. O tak, zawsze najlepsza w tej małej szkółce. Prymuska. A przed egzaminami końcowymi sugerowali, żeby wybrała Oksford.

Vera zdziwiła się, że Phyllis o tym nie wspomniała, jednak dalsze słowa Dennisa wyjaśniły jej, dlaczego ten temat nie wypłynął.

– Ale potem na egzaminach jakoś się nie popisała. Był taki jeden chłopak, nie wiem, dostała obsesji na jego punkcie. Zdawało jej się, że jest zakochana. Nie mogła się skupić. Zdała egzaminy, ale nie dość dobrze, żeby startować do Oksfordu.

– Zdarza się – mruknęła Vera. – Nastolatki...

– Ale to nie było normalne – przerwał jej. – To nie było zwykłe zakochanie, tylko jakaś fiksacja. Przestała spać. Przestała jeść. Moim zdaniem coś jej się w głowie pomieszało. Wymagała specjalistycznej pomocy. Phyllis nie chciała tego widzieć.

Vera się nie odezwała.

– Ja wiedziałem, co się dzieje – ciągnął. – Przez lata często trafiałem do szpitala psychiatrycznego. Teraz już rzadziej, od kiedy wreszcie dobrali mi leki, ale pierwszy atak choroby miałem w wieku Lily. To trochę za duży zbieg okoliczności, prawda? Musiała to po mnie odziedziczyć. Miała inteligencję po matce i mój obłęd.

– Pamięta pan nazwisko chłopaka, w którym się wtedy zakochała?

Zmarszczył brwi.

– Pamięć mi szwankuje. Zwałam to na terapię elektrowstrząsami, ale to pewnie tylko wiek.

Vera czekała z nadzieją, że mu się przypomni. Woląła nie poruszać tego tematu z Phyllis, przysparzać jej jeszcze więcej bólu.

– Craven – powiedział w końcu Dennis. – Ben Craven. Całkiem miły chłopak. Nie jego wina.

– Co się z nim stało? Poszedł na studia?

Pan Marsh pokręcił głową.

– Nie mam pojęcia.

– A więc parę razy był pan w szpitalu. W którym konkretnie?

– St George's. To ten w Morpeth.

Pierwsze ogniwo łączące Luke'a Armstronga i Lily Marsh, pomyślała Vera. Marne, ale zawsze to jakiś punkt zaczepienia.

– A Lily? Sądzi pan, że kiedykolwiek tam się leczyła? Może kiedy już nie mieszkała w domu? Nie jako hospitalizowana pacjentka. O tym by pan pewnie wiedział. Ale ambulatoryjnie?

– Powiedziałem jej, żeby się zgłosiła – odparł. – Dałem jej kartkę z nazwiskiem swojego lekarza. Ale czy posłuchała mojej rady? – Wzruszył ramionami, dzielnie spróbował się uśmiechnąć.

– Wie pani, jak to jest. Dwie baby w domu. Nie miałem nic do gadania.

Więc co my tu mamy? – odezwał się Joe Ashworth. – Jakiegoś wariata, który chodzi po świecie i dusi innych wariatów?

Byli już w samochodzie, w drodze do Newcastle. Umówili się na oględziny mieszkania Lily Marsh i na rozmowę z jej dwiema współlokatorkami.

– Może. – Vera odnosiła wrażenie, że to wszystko jest zbyt skomplikowane. Że to jakaś gra. Że jakiś sprytny drań wodzi ich za nos. – Ale na razie zapomnij o dekoracjach. O kwiatkach na wodzie. Gdybyśmy mieli po prostu dwa zabójstwa, jedno po drugim, z tą samą przyczyną zgonu, to byś pomyślał o...?

– W dalszym ciągu o wariacie.

– Seryjnym zabójcy?

– Może – odparł ostrożnie, zaskoczony, że użyła tych słów, nawet w rozmowie wyłącznie z nim. Hasło „seryjny zabójca” oznaczało dziennikarzy z kociokwikiem, rozhisteryzowanych polityków, a to ostatnia rzecz, jakiej by sobie życzyła. Takich hipotez nie rzuca się na wiatr.

– Ale gdyby to nie był jakiś psychol, który zawziął się na atrakcyjnych młodych ludzi?

Zastanawiał się przez chwilę.

– Drugie morderstwo mogłoby służyć do zatuszowania tego pierwszego. Wiemy, że Lily Marsh kręciła się po okolicy. Pracowała w Hepworth. Ile to jest, z dziesięć kilometrów od Seaton, gdzie mieszka Julie Armstrong. Jeśli uda nam się ją umieścić w Seaton w porze, kiedy zginął Luke, zyskamy sensowne wyjaśnienie. Coś zobaczyła, usłyszała. Albo знаła sprawcę, domyśliła się. Doszło do konfrontacji.

– Myślisz, że to jej chłopak?

– Czy ja wiem? Dziwne, że rodzice tak mało o nim wiedzą.

– To co teraz? – Vera zamknęła oczy, kiedy Ashworth za szybko wziął zakręt i musiał gwałtownie hamować. Z przeciwka jechał traktor. Joe nie zaklął, to nie w jego stylu. Ona rzuciła

wiąchę pod nosem.

– Musimy znaleźć związek – powiedział, wciskając się w żywopłot, żeby przepuścić traktor. – Dowiedzieć się, gdzie była tego wieczoru, kiedy zamordowano Luke’a Armstronga. Porozmawiać z jej znajomymi. Wykładowcami. Z ludźmi, z którymi pracowała.

– Czyli ławizna. – Vera przeciągnęła się i ziewnęła. – Kaszka z mleczkiem. – Zanim zdążył odpowiedzieć, zasnęła.

Obudziła się, kiedy dotarli pod dom. Mieli szczęście, że znaleźli miejsce do zaparkowania. Była sobota rano; żeby nie płacić za postój w centrum, klienci sklepów zostawiali auta w West Jesmond i do miasta podjeżdżali metrem. Mieszkanie znajdowało się na parterze edwardiańskiego szeregowca. Vera pomyślała, że trochę tu za bogato jak na studencką kieszeń. Drzwi już oklejono biało-niebieską taśmą, a w środku działał Billy Wainwright. Zawołała do niego przez otwarte okno.

– Wchodźcie – krzyknął. – Prawie kończymy. Jeszcze trochę i wreszcie pójde spać. Zaraz tu się zjawi ekipa przeszukująca.

Przez chwilę wszyscy stali tuż za frontowymi drzwiami. Billy wyglądał na zmęczonego, ale był zbyt nakręcony, żeby się rozluźnić, bawił się zapięciem swojej walizki.

– I co nam powiesz, Billy?

– Nic nie wskazuje, że została zabita tutaj. Żadnych śladów włamania, szamotaniny. Jej współlokatorki wyszły tego wieczoru do miasta. Są teraz u koleżanki, kawałek dalej przy tej samej ulicy, jeśli chcecie z nimi pogadać.

– Zajrzałeś do łazienki?

– Oczywiście. W odpływie znalazłem parę włosów, ale założę się o roczną pensję, że należą do lokatorek. Nic nie łączy tego miejsca z łazienką Luke’a Armstronga.

– Olejki do kąpieli?

– Całe mnóstwo. Weźmiemy je do analizy, ale nie rozpoznałem niczego, co pachniałoby tak jak woda, z której wyłowiliśmy Armstronga. – Ziewnął. – Jeśli pobędziecie tu jeszcze

z dziesięć minut, to ja idę. Jak mówiłem, ekipa przeszukująca jest już w drodze. Pokój ofiary to ostatni po lewej.

Kiedy sobie poszedł, Vera i Joe przez chwilę stali w milczeniu. W przedpokoju panował chłód. Kafelki na podłodze, wysoki sufit.

– To nie jest typowa studencka meta – stwierdził Joe. Pchnął drzwi do salonu. Popatrzyli na drewniany parkiet, żeliwny kominek. Sofa z luźną narzutą w kolorze terakoty, pianino. Pokój schludny, wręcz nieskazitelnie czysty. – Mnie nawet z pensji nie byłoby stać na takie mieszkanie. Jak one dają radę? I podobno studenci są bałaganiarzami.

Vera przeszła dalej. Kuchnia wyglądała jak wyjęta z wnętrzarskich magazynów, które przeglądała w poczekalni u dentysty. Otworzyła lodówkę. Wytłoczka jajek, dwie torby sałaty, jogurt naturalny. Na drzwiach dwie butelki wina. Francuskiego.

Sypialnie były trzy. Dwie od frontu, z widokiem na mały ogródek i ulicę, i jedna, zajmowana przez Lily, od tyłu. Vera zostawiła ją sobie na koniec. Pokoje od frontu w tym samym stylu co reszta domu. Tak gustowne, że Verę korciłoby, żeby powiesić na ścianie jakąś kiepską reprodukcję albo postawić tandetny wazon na parapecie. Mieszkania oglądane w czasopismach zawsze uważała za fantazje, nie wierzyła, że istnieją naprawdę. W swojej pracy nieczęsto odwiedzała takie pomieszczenia.

Pokój Lily wyglądał inaczej. Najmniejszy w domu, mniejszy nawet od łazienki. Meble niezbyt luksusowe; może po poprzednich właścicielach. W oknie wychodzącym na podwórko ze śmietnikami wisiała firanka. Pojedyncze łóżko, biurko i komputer, i powojenna, wolno stojąca szafa podobna do tej, w której Vera trzyma swoje ubrania. Jedną ścianę zasłaniały tanie półki z surowego drewna, zastawione książkami w miękkich okładkach. Vera włożyła lateksowe rękawiczki, ale nadal tylko się rozglądała, nie dotykała niczego. Pokój był tak mały, że Ashworth został w drzwiach.

– Przydałby się pamiętnik – mruknęła Vera. – Albo chociaż notes z adresami.

- A nie trzymałaby takich notatek w komputerze?
- Bardzo prawdopodobne. Ale poczekamy na naszych ekspertów.

Ekipa przeszukująca, specjalnie wyszkolona, nie chciałaby, żeby ktoś obmacywał dowody, zanim zdążą zabezpieczyć je jak należy. Vera otworzyła szuflady biurka. W środku segregatory, tekturowe teczki, na blacie zobaczyła kartę biblioteczną z uczelni i drugą, z biblioteki hrabstwa Northumberland. Dokładnie to, czego należałoby się spodziewać w pokoju typowej studentki. Ale Vera w życiu nie widziała takiego studenckiego pokoju. W tamtych dwóch były przynajmniej jakieś osobiste akcenty. Rodzinne fotki, kartki urodzinowe, zaproszenia na imprezy. Lily mieszkała tutaj prawie trzy lata, ale nie zostawiła nic po sobie. Żadnych zdjęć, plakatów. To mógłby być pokój w anonimowym, tanim motelu. Vera otworzyła szafę i nareszcie udało jej się dostrzec coś, co mówiło o zamordowanej dziewczynie.

Najpierw uderzył ją kolor. Na drążku na drzwiach wisały bursztynowe korale, turkusowa jedwabna apaszka ze srebrną nicią, długie, czerwone, satynowe rękawiczki. Zaczęła wyciągać wieszaki: luźna aksamitna marynarka w kolorze jeżyn, suknia w niebieskie i zielone maziaje, kretonowe spódnice z jaskrawymi nadrukami. Na półkach leżały poskładane bluzki, koronkowa bielizna. I żadnej taniuchy.

– Hm – mruknęła. – Więc lubiła się ubrać. – Popatrzyła na metki zakietów i bluzek. – Część z Robbinsa – stwierdziła. – Ale nie wszystko. Tych rzeczy nie dostałaby ze zniżką. Musiała całą wolną gotówkę wydawać na ciuchy.

I w sumie to wszystko, czego się o niej dowiedzieli. Poza tym nic w pokoju nie dawało żadnej wskazówki na temat jej życia. Siedząc w milczeniu w kuchni, poczekali na ekipę i ucieszyli się, kiedy usłyszeli, jak van podjeżdża pod dom. Wreszcie mogli stąd pójść.

Współlokatorki Lily nocowały u koleżanki, która mieszkała przy tej samej ulicy. Kolejna wielka kamienica, tym razem na rogu, z ogrodem na tyłach. Nie wyglądała na podzieloną na mieszkania. Może to dom studencki. Vera wcisnęła guzik dzwonka raz, potem znowu, kiedy nikt nie zareagował. Miała już dzwonić trzeci raz, ale usłyszała kroki i drzwi się otworzyły. W progu stała drobna dziewczyna; krótkie jasne włosy, figura dziesięciolatki, oczy profesjonalnie pomalowane tak, żeby wyglądały na ogromne.

– Przykro mi – powiedziała. – Annie wyszła.

– Ja nie szukam Annie. – Vera błysnęła legitymacją i weszła do środka bez zaproszenia. – Przyszłam do Emmy i Louise. Koleżanek Lily.

Dziewczyna jakby się spłoszyła.

– Oczywiście. Przepraszam, że pani czekała. Annie zabrała córkę na balet, a Lou i ja jadłyśmy późne śniadanie w ogrodzie. Najpierw dowiedziałyśmy się o Lily, potem musiałyśmy się przenieść tutaj, więc rozumie pani, że nie spałyśmy najlepiej. Proszę. Ja jestem Emma. – Nie mówiła jak ktoś stąd. Była z południa. Bogata.

Miała na nogach skórzane japonki i dreptała drobnym kroczkiem przed Verą i Ashworthem, gadając przez całą drogę. A jednak to nie dom studencki. Nie było puszek po piwie i głośnej muzyki, przestarzałej instalacji elektrycznej ani obłazących tapet. Mieszkała tu rodzina. Pod ścianą korytarza stał oparty rowerek, na tablicy w kuchni wisiały dziecięce rysunki. Ale tutaj też wszystko na bogato. Annie z pewnością nie brakowało pieniędzy.

– Annie studiuje z wami? – Vera spytała o to tak sobie, z czystego wścibstwa.

– Nie, jest starsza ode mnie. Wykłada. I to na wydziale Lily. Jest moją daleką kuzynką. Jej mąż często pracuje poza domem i kiedy szukałyśmy mieszkania, pomyślałyśmy, że fajnie by było

znaleźć coś w pobliżu.

– Bardzo wygodnie – stwierdziła Vera, zastanawiając się, dlaczego tak od razu znieubiła tę dziewczynę.

– Owszem. – Emma odwróciła się na chwilę, po czym wyprowadziła ich na kamienne patio ze stołem, przy którym stały cztery drewniane krzesła. Mały ogród otaczały wysokie mury. Gdzieś w gęstwinie bluszczu śpiewały kosy. Emma nie przestawała mówić. – To moja współlokatorka, Louise.

Louise była jeszcze w piżamie. Miała białe stopy, rozczochrane włosy. Skinęła głową, przez moment bawiła się okruchami croissanta na talerzyku.

– Pójdę dorobić kawy – zaproponowała Emma.

Vera usiadła ciężko.

– My dziękujemy, kotku. Nie przyszliśmy z wizytą towarzyską. Nie mamy zbyt dużo czasu. Chcieliśmy tylko porozmawiać o Lily.

– Oczywiście.

– Jak długo panie mieszkaliście razem?

– No więc, poznałyśmy się na pierwszym roku. Ten sam akademik, chociaż każda studiowała co innego. Lily angielski, Louise lingwistykę, a ja medycynę. Dlatego my trzy ciągle tu jesteśmy, chociaż większość naszych kolegów skończyła naukę. Nasze studia trwają dłużej niż trzy lata, a Lily poszła jeszcze na pedagogikę. W akademiku miałyśmy wspólną kuchnię. Dobrze się dogadywałyśmy, więc postanowiłyśmy zamieszkać razem.

– Jak was stać na chałupę w takiej dzielnicy? – spytała Vera z silnym akcentem, grając tępą policjantkę. Zawsze lepiej, kiedy cię nie doceniają.

– No... to właściwie mojego taty. Pomyślał, że skoro mamy coś wynajmować, to równie dobrze on może kupić mieszkanie. Uznał, że to będzie niezła inwestycja. Płacimy tylko tyle, żeby pokryć raty kredytu. Oczywiście i tak nie jest tanio, ale kiedy się spojrzy na niektóre studenckie mieszkania... Moi rodzice są świetni. Co miesiąc dają mi pieniądze.

– Ale Lily nie miała takiego zaplecza, prawda? Więc skąd

brała na czynsz?

Dziewczyna wzruszyła ramionami.

– Nigdy nie mówiła. Zdaje się, że jej ojciec dostał odprawę pod koniec jej pierwszego roku i odpalił jej trochę na start. Nie płaciła tyle co my, bo jej pokój jest mniejszy. I pracowała w soboty i w wakacje.

– Proszę coś o niej opowiedzieć. Mieszkałyście z nią tak długo, że pewnie znacie ją lepiej niż ktokolwiek inny.

Emma nagle jakby zapomniała języka w gębie. Odpowiedziała Louise.

– Jej nikt dobrze nie znał.

– Ale trzy dziewczyny mieszkające razem? Pewnie się sobie zwierzałyście.

– Nie za bardzo. Takie rzeczy to nie z Lily.

– Na pewno wieczorami robiłyście sobie wypadki do miasta, był alkohol. Wtedy chyba pozwalała sobie na więcej swobody.

– Ona właściwie nigdy na nic sobie nie pozwalała, pani inspektor. Zawsze niezwykle opanowana, bardzo skoncentrowana. Chyba ambitna. Może to przez to, z jakiej rodziny pochodziła. Pracowała ciężiej niż cała reszta.

– Chorowała na coś?

– No tak, ale na nic poważnego. Przeziębienie, infekcje gardła. Jak każdy.

– Nigdy nie przyszło paniom do głowy, że może mieć depresję, skoro tak się izoluje od ludzi?

– Nie. Ona się raczej nie izolowała. Po prostu nas nie włączała w swoje życie prywatne.

– Gdzie panie byliście wczoraj wieczorem?

Znów odpowiedziała Louise.

– Obchodziłam urodziny. Poszliśmy na kolację. Całą paczką.

– A Lily? Ona też miała tam być?

– Jasne, zaprosiłam ją, ale nie zdziwiłam się, że nie przyszła. Nie lubiła takich imprez.

– Spotykała się z jakimś chłopakiem?

Cisza. Dziewczyny spojrzwały po sobie.

– Tak sądziłyśmy – odezwała się w końcu Emma. – Czasami nie wracała na noc. Ale on ani razu nie przyszedł do mieszkania. Chyba że pod naszą nieobecność.

– I nigdy o nim nie mówiła?

– Nie nam. – Emma milczała przez moment. – Pani inspektor, pod pewnymi względami Lily była wzorcową współlokatorką. Uczynną, porządną. Dlatego chciałam, żeby z nami mieszkała. Ale nigdy się nie przyjaźniłyśmy. Nie mam bladego pojęcia, dlaczego ktoś mógłby chcieć ją zabić. Zresztą skąd miałabym to wiedzieć. Jej życie było dla nas tajemnicą.

W porze lunchu Vera zwołała swój zespół. Kupiła kanapki, porządną kawę, ciastka z dziurką. Byle tylko podtrzymać siły. Ona po drzemce w samochodzie czuła się jak nowo narodzona, ale wiedziała, że młodsi koledzy nie są równie wytrzymali. Mimo to byli teraz trochę przytomniejsi. Druga ofiara. Bystra młoda kobieta. W jakiś sposób to sprawiało, że śledztwo stało się bardziej ekscytujące. Dla opóźnionego umysłowo chłopaka jakoś nie zdołali się nakręcić, ale dać im ładną studentkę i nagle tryskają energią. Vera w duchu stwierdziła, że ten cynizm kiedyś ją zabije.

Streściła im przebieg wizyt u rodziców Lily i w jej mieszkaniu, spacerując w tę i z powrotem z przodu sali. Wchodziła i wychodziła z plam światła padającego z okien.

– Współlokatorki panny Marsh siedzą u kuzynki, dopóki ekipa przeszukująca nie skończy pracy. Oczywiście pytaliśmy, czy Lily była w mieszkaniu tej nocy, kiedy zginął Luke Armstrong. Nie było jej. Ale dziewczyny nie widziały w tym nic dziwnego, że nocowała poza domem. Zakładały, że ma chłopaka.

– Nie wypytywały o niego? Musiały być ciekawe – wtrąciła się Holly Lawson. Gorliwa, pełna młodzieńczej werwy. Wyglądała jak szóstoklasistka. – Owszem, można sobie gadać, że szanujesz czyjąś prywatność, ale tak naprawdę zżera cię ciekawość, nie? – Rozejrzała się dookoła.

– Pewnie masz rację. Pojedź tam i porozmawiaj jeszcze z

tymi dziewczynami – poleciła Vera. – Może ty więcej od nich wyciągniesz. Jesteś bardziej w ich wieku. – Napiała się z papierowego kubka. Kawa na początku zebrania smakowała przyzwoicie, ale teraz już wystygła, a na dodatek zostawiała fusy na języku. Vera odstawiła kubek, podeszła do okien i zaciągnęła rolety, żeby słońce nie waliło jej prosto w oczy. W sali nagle zrobiło się mroczno, ludzie zmienili się w niewyraźne kształty. – Zdaje się, że będziemy musieli połknąć tę żabę i zwołać konferencję prasową – oznajmiła. – Nie chcę, żeby wyciekła jakakolwiek informacja na temat miejsca zbrodni. Ani słowa o kwiatach. I o przyczynie zgonu. Ostatnie, czego nam teraz potrzeba, to naśladowca. Ostrzegłam tę grupkę ludzi, którzy znaleźli ciało, że jeśli puszczą parę z gęby przed reporterami, odpowiedzą mi za to. Mimo wszystko ktoś musiał widzieć, jak zabójca przenosi ciało z parkingu na skały. Tam jest kawałek łąki do pokonania i zwykle ktoś się kręci po tym terenie. Ludzie z psami. Rodzice z dziećmi. Poprosimy naszych PR-owców, żeby się tym zajęli. A teraz, co macie dla mnie? – Vera wreszcie przysiadła na biurku z przodu sali. Jak nauczycielka. Przez moment zastanawiała się, jaką nauczycielką byłaby Lily.

– Znaleźliśmy na uczelni kogoś, kto obejrzy kwiaty – powiedziała Holly. – To niejaki doktor Calvert. Wykładowca.

– Nie.

– Słucham?

– Peter Calvert. Nie nadaje się. To on znalazł drugie ciało. A raczej jego syn. On sam dotarł na miejsce chwilę później. Nie możemy skorzystać z jego pomocy.

– Boże, że też nie skojarzyłam. Namierzyłam go jeszcze wczoraj, zanim została zamordowana Lily Marsh – Holly czerwieniła się, jąkała, czekała na zabójczy sarkazm Very.

Ale Vera była w łaskawym nastroju. Myślała o Peterze Calvercie. To pewnie zbieg okoliczności. Nie trzeba być botanikiem, żeby zasypać ciało kwiatami. Ale jeśli szukali kogoś, kto lubił się bawić w umysłowe gierki, to mogła być jego wizytówka, jego podpis.

– Poszukajcie kogoś innego – nakazała. – Nie z Uniwersytetu Newcastle. Spróbujcie na Northumbrii albo Sunderlandzie. Na północnym wschodzie musi być jakiś inny botanik. I sprawdźcie, co doktor Calvert robił w noc śmierci Luke’a. Na wszelki wypadek, żeby niczego nie pominąć. – Przypomniała sobie scenę, którą zastała zeszłej nocy na werandzie. Czterech mężczyzn przy stole. Jedna kobieta. Mniej więcej w tym samym wieku co ja, pomyślała. Ale elegancka, zrobiona. Pożądana. Interesująca grupka.

– Chociaż... zostawcie doktora Calverta mnie. – Miała pretekst, żeby tam wrócić. – Nie mogę ufać waszej bandzie, jeśli chodzi o eleganckie towarzystwo.

Przyjęli to z uśmiechem. W ogóle się nie przejęli. Jeden obowiązek mniej dla nich, a poza tym kto to słyszał, żeby wykładowca uniwersytecki był zabójcą?

Vera znów zwróciła się do zebranych.

– Kto sprawdzał alibi Geoffa Armstronga?

– Ja. – Charlie Robson, starszy od Very. Podejrzewała, że niedaleko mu do emerytury. Nie lubił pracować dla kobiety, ale musiał się z tym jakoś pogodzić.

– No i?

– Najpierw pogadałem z człowiekiem, który zleca mu większość robót. To niejaki Barry Middleton. Drobnym przedsiębiorcą budowlany. Robi kuchnie, łazienki, dobudowuje poddasza. Zna Geoffa od lat, jeszcze zanim zaczęli współpracować. Mówi, że Geoff zawsze miał temperament. To facet, który potrafi się obrazić, kiedy krzywo na niego spojrzysz. Na budowie doszło przez to do paru bójek. Wcześniej, kiedy jeszcze pracował w Londynie, wściekł się na brygadzystę. Dlatego wrócił tu bez pracy. Ale podobno przy drugiej żonie zmienił się nie do poznania. Teraz, według Barry’ego, jest prawdziwym domatorem. Oddanym Kath i córeczce. Zaczął nawet odbudowywać dobre stosunki z Julie.

– Mnie też tak powiedział. – Ale czy w to wierzę? – zastanowiła się Vera. Czy rzeczywiście ludzie zmieniają się tak łatwo?

– Dzisiaj rano podskoczyłem na ich osiedle – ciągnął Charlie.

– Geoff z rodziną właśnie wyjeżdżał, kiedy tam dotarłem. Wyglądało mi to na wypad nad morze. Mieli ręczniki, kosz piknikowy.

– Istna sielanka – podsumowała Vera.

– Nie widzieli mnie. Pogadałem z sąsiadami. Wszyscy mówili to samo. Uroczą rodziną. On trochę mrukliwy. Nie chodzi do pubu ani do klubu. Siedzi w domu, zajmuje się dzieckiem, kiedy żona jest w pracy. Nikt nie powiedział o nim złego słowa.

– A co z czwartkową nocą? Ktoś widział, żeby wyjeżdżał z domu?

– Nie, a jedna para jest pewna, że wiedzieliby, gdyby wyprowadzał samochód. Urządzali grilla i zaprosili paru znajomych. W tym Geoffa. Mieszkają raptem dwa domy dalej, więc myśleli, że mógłby co chwilę zaglądać do małej i sprawdzać, czy nic jej nie jest. Ale w końcu nie przyszedł; tłumaczył, że nie lubi zostawiać córeczki. Ci ludzie siedzieli w ogródku cały wieczór. To dom na rogu, więc zauważyliby, gdyby wyjeżdżał. Prawie na sto procent.

Vera była zadowolona, że mogą wyłączyć Geoffa ze śledztwa. Wyobraziła sobie tę trójkę na jakiejś plaży. Może w Tynemouth. Kath rozkłada sobie ręcznik i odsypia dyżur. Geoff zabawia dziewczynkę, trzyma ją za rączkę, kiedy mała skacze w falach, buduje z nią zamki z piasku, kupuje jej lody. Chyba miękła na starość. Pomyślała, że facet zasłużył na drugą szansę.

Zorientowała się, że podwładni patrzą na nią, czekają, co powie.

– W takim razie zostawmy pana Armstronga. Chyba że coś wyjdzie na jaw. Chciałabym, żeby ktoś porozmawiał z lekarzem Luke'a. I dowiedźcie się, czy Lily Marsh też leczyła się w St George's. Raczej nie była hospitalizowana. Jej współlokatorki by o tym wiedziały. Ale mogła chodzić do przychodni. U ojca zdiagnozowano chorobę umysłową, więc może dziewczyna odziedziczyła pewne problemy. Trzeba też sprawdzić finanse Lily. Konto bankowe, karty kredytowe i tak dalej. Wygląda mi na to, że żyła mocno ponad stan. Czy miała jakieś inne dochody? Bogatego

kochanka? Musimy też znaleźć tego chłopaka, w którym kochała się w szkole. Nazywa się Ben Craven. Może wciąż mieszka w rodzinnych stronach. – Uznała, że dość już tego gadania. Cały zespół lubił gadanie. Gadanie, kawa i bułki ratowały ich przed wyjściem w świat i kontaktem z prawdziwymi ludźmi. Wstała i odczekała chwilę, aż miała pewność, że wszyscy uważają. – Nasz priorytet to znaleźć związek między ofiarami. Miejsca, gdzie obydwójce przebywali, lub osoby, które oboje znali.

Funkcjonariusze siedzieli i gapili się na nią.

– No, do roboty – rzuciła podniesionym głosem. Znów ten nauczycielski ton. – Tutaj tego nie znajdziecie.

Sobota, pogoda wciąż piękna, ale w Fox Mill nikt nie przygotowywał się do pikniku, który Felicity zaplanowała jako dodatkową atrakcję z okazji urodzin Petera. Goście zostali na noc, a rano w ponurej atmosferze zjedli późne śniadanie w kuchni. Cztery mężczyźni byli zamyśleni i zmęczeni. Możliwe że mieli kaca. Nawet James wyjątkowo nie rozrabiał i poczłapał do swojego pokoju, żeby oglądać program dla dzieci.

Felicity poczuła ulgę, kiedy goście pożegnali się przed lunchem. Peter próbował ich przekonać, żeby jeszcze nie wyjeżdżali, ale chyba zdawali sobie sprawę, że ona chciała się ich pozbyć. Dzisiaj nawet obecność Samuela jej nie cieszyła. Po południu Peter zamknął się w gabinecie. Pracował nad wielkim projektem. Książką na temat wpływu pogody na migracje morskich ptaków. Jedno z największych wydawnictw przyrodniczych wyraziło niezobowiązujące, grzeczne zainteresowanie, ale nie padła żadna konkretna oferta. Powiedzieli, że musieliby zobaczyć gotowe dzieło. W miarę analizowania materiału teorie Petera stawały się coraz bardziej skomplikowane. Bywały dni, kiedy Felicity myślała, że mąż nigdy nie ukończy książki.

Wyszła do ogrodu i zaczęła plewić klomby przed domem. Metodyczne, bezmyślne zajęcie dawało natychmiastowy rezultat, sprawiało jej przyjemność. Usłyszała samochód na drodze. W pierwszej chwili nie zwróciła na to większej uwagi. Spacerowicze czasami parkowali na poboczu, a potem ruszali ścieżką na wybrzeże. Potem zorientowała się, że samochód skręcił w podjazd. Wyprostowała się, zdjęła rękawiczki i upchnęła koszulkę w dzinsy, przygotowując się na spotkanie gościa. Może to Samuel. Na pewno zdawał sobie sprawę, że jest wytrącona z równowagi. To by było w jego stylu – zawieźć tamtych dwóch do domu i przyjechać z powrotem. Już planowała, co mu powie, jak go przeprosi za to, że zachowała się niegościnnie. Jak skłamię: „Przecież wiesz, że twoja

obecność mi nie przeszkadzała. Chodziło o tamtych. Po prostu mnie to przerosło”.

Ale to nie był Samuel. Nie rozpoznała auta. Poczula nagły niepokój, a potem ujrzała tę potężną policjantkę z zeszłej nocy. Pani inspektor z trudem dźwigała się zza kierownicy. Felicity przyłapała się na tym, że ma lekkie poczucie wyższości; zawsze ją takie ogarniało na widok kobiety mniej więcej w tym wieku co ona, która sobie odpuściła. Babka mogłaby nawet być atrakcyjna, gdyby się bardziej postarała. Miała bezkształtne ubranie, fatalnie obcięte włosy. Czy naprawdę nie obchodzi jej własny wygląd? Felicity tego nie rozumiała. W jakiś sposób to czyniło Verę Stanhope odporną na ciosy. Natomiast Felicity zawsze uwielbiała być podziwiana. Nie potrafiła sobie wyobrazić, jak to jest mieć gdzieś, co myślą inni.

– Pani inspektor. – Wytarła rękę o spodnie i wyciągnęła ją na powitanie.

Vera uściśnęła jej dłoń krótko, mocno, ale patrzyła na ogród.

– Piękny – powiedziała. – Pewnie wymaga dużo pracy.

– Och. – Felicity wiedziała, że to pochlebstwo, ale i tak było jej miło. – Oczywiście mamy pomoc. Ze wsi przychodzi pewien starszy pan.

– Jakżeby inaczej – odparła policjantka.

Felicity wyczuła sarkazm, to trochę zbiło ją z tropu.

– W czym mogę pomóc? – spytała więc, żeby zmienić temat.

– Chciałabym zadać jeszcze parę pytań. Wie pani, jak to jest.

Wyskakują różne fakty.

Skąd mogę wiedzieć, jak to jest? Nigdy wcześniej nie znalazłam ciała, pomyślała Felicity.

– Państwa przyjaciele wyjechali?

– Tak, musieli już wracać. Zdaje się, że Gary pracuje dzisiaj wieczorem. – Czula się niezręcznie, stojąc tak tutaj, niechlujna i nieprzygotowana.

– Czym się zajmują? Gary mi powiedział. A dwaj pozostali? – Vera weszła w cień domu, Felicity ruszyła za nią.

– Samuel jest bibliotekarzem. I całkiem niezłym pisarzem.

Pisze głównie opowiadania. Clive pracuje jako asystent w Muzeum Hancocka. W sekcji przyrodniczej.

– Naprawdę? W dzieciństwie uwielbiałam tam chodzić. Ojciec mnie zabierał. Miało taki niepowtarzalny zapach. Nie byłam tam od lat. – Vera przez moment wydawała się pogrążona we wspomnieniach. – Pani mąż jest w domu?

– W swoim gabinecie. Proszę za mną.

– On też pracuje?

– Tak, nad swoimi badaniami.

– Jest botanikiem, prawda? To się pewnie przydaje w ogrodnictwie. – Mówiła wesołym, pełnym podziwu tonem.

Felicity nie bardzo wiedziała, co o tym myśleć. Postanowiła nie opowiadać o książce o morskich ptakach. Mogłoby to zostać uznane za hobby, a nie żadną pracę, a chciała, żeby pani inspektor brała Petera poważnie.

– Często o tej porze robimy sobie przerwę na herbatę. Może pani się przyłączy? Zawołam Petera.

Felicity nie zdziwiłaby się, gdyby policjantka uparła się przeszkadzać Peterowi w gabinecie, ale chyba była w ugodowym nastroju.

– Z przyjemnością, kotku. Marzę o czymś do picia.

– Usiądziemy na zewnątrz, żeby złapać jak najwięcej słońca?

– Wolałabym nie, kotku. Mam alergię. Na światło słoneczne.

Natychmiast dostają bąbli i pęcherzy.

Usiadły więc przy kuchennym stole. Felicity poustawiała zastawę herbacianą na tacy i zamierzała przejść do salonu, ale Vera dotknęła jej ramienia i ją zatrzymała.

– Oj, po co tyle zamieszania. Ja bardziej przypominam pomoc domową niż kobietę z wyższych sfer.

Felicity podejrzewała, że policjantka się nią bawi, to ją deprimowało, więc tylko skinęła głową, pokroiła babeczki, które wyjęła z zamrażarki wczoraj po południu, potem nałożyła do salaterki konfitury domowej roboty. Kiedy Peter wyszedł z gabinetu, Vera siedziała z pełnymi ustami i opluła okruchami cały stół, kiedy spróbowała się odezwać. Felicity miała ochotę

powiedzieć mężowi: „Nie daj się nabrać tej kobiecie. Ona chce, żebyś ją wziął za wariatkę. Jest bystrzejsza, niż się wydaje”. Ale widziała, że Peter już zdążył uznać panią inspektor za idiotkę. Kiedy krztusiła się, kaszlała i popijała herbatę, wzniosł oczy do sufitu.

Pantomima wreszcie dobiegła końca i Vera zaczęła mówić.

– Wczoraj mi przerwano, a nie zadałam jeszcze kilku pytań. Rozumiecie państwo. Formalności.

– Oczywiście.

– Pan pracuje na uniwersytecie, doktorze Calvert? Panna Marsh tam studiowała. Podyplomowo na pedagogice. Na pewno jej pan nie znał?

– A z czego robiła licencjat?

– Z angielskiego. Też na Uniwersytecie Newcastle.

– Mimo wszystko nigdy jej nie spotkałem. Ja zajmuję się botaniką. Nasze ścieżki nigdy się nie przecięły. Obawiam się, że to czysty przypadek. To, że uczyła naszego syna, wypytywała o stancję i to, że potem znaleźliśmy ją na brzegu w takich okolicznościach.

Czysty przypadek, powtórzyła w myślach Felicity. Jak podczas morskich obserwacji, kiedy ptaki przelatują akurat w tym miejscu, gdzie ty jesteś. Choć oczywiście to nie zbieg okoliczności sprawia, że ptasiarze trafiają na ptaki. Oni sami starają się być w odpowiednim miejscu w odpowiednim czasie. Co wieczór słuchają morskich prognoz pogody, żeby się orientować, skąd wieje wiatr. Studiują tablice pływów.

– Dziewczyna została zamordowana – rzuciła nagle Vera. – Udużona. Ale to już państwo słyszeliście. Mówiłam o tym wczoraj. Zabójstwo było tak wymyślne, tak zaaranżowane, że można by pomyśleć, że bez trudu znajdziemy sprawcę, jakieś ślady. Może zrobił to wzgardzony kochanek. – Umilkła na moment. – Wzgardzony. Staroświeckie słowo. I zbrodnia w pierwszej chwili też wyglądała na staroświecką. Taką z bardziej cywilizowanych czasów. Dziewczyna leżała tam tak spokojnie, prawda? I te kwiaty. Ale jej śmierć nie była spokojna. Ta młoda

osoba z całą pewnością nie chciała odchodzić.

Felicity poczuła łzy w oczach. Tak jakby to ona w jakiś sposób ponosiła odpowiedzialność. Miło, że Peter też wydawał się poruszony, że milczał.

Policjantka mówiła dalej.

– A to nie koniec komplikacji. Bo mamy jeszcze jedną ofiarę. Dwa dni wcześniej został zabity chłopak. Luke Armstrong. – Spojrzała na nich oboje. – Na pewno nie znaliście go państwo?

– Mówili o nim w telewizji – odparła Felicity. – W lokalnych wiadomościach. Pochodził z Seaton.

– Został uduszony. Ułożony w kąpielni. Zasypany kwiatami. Tego nie podano do publicznej wiadomości i spodziewam się, że państwo również zachowacie to dla siebie. Jak wspomniałam wczoraj, jeśli coś takiego stanie się powszechnie wiadome, może nam utrudnić śledztwo. Rozumiecie państwo? To już nie jest prosta sprawa. Wzgardzony kochanek nie zabije szesnastoletniego chłopaka, żeby na nim poćwiczyć. Po co ryzykować? A ja szukam związków. Matka Luke'a to Julie. Julie Armstrong.

– Czy ta kobieta, o której rozwodził się Gary, nie miała na imię Julie? – Felicity pożałowała tych słów, ledwie wyszły z jej ust. Palnęła głupotę. Napuściła policjantkę na Gary'ego, który muchy by nie skrzywdził. Czowała, że Peter gromi ją wzrokiem, próbowała ratować sytuację. – Cóż, to bardzo pospolite imię. To na pewno nie znaczy...

– Ja i tak chętnie posłucham, kotku.

– Poznał pewną kobietę, i tyle. Przy okazji jakiegoś występu. Obsługiwał miejscowy zespół w North Shields. W tym pubie z widokiem na rzekę. Po koncercie wpadł na nią w barze. Zaczęli rozmawiać i okazało się, że chodzili do tej samej szkoły. Wie pani, jak to jest.

– Chyba jednak nie wiem. Może pani mi wyjaśni?

– Gary lubi sobie pogadać. Gdyby go słuchać, trzeba by uwierzyć, że miał kobietę w każdym mieście. Ale od kiedy zostawiła go narzeczona, chyba na poważnie nie związał się z żadną dziewczyną. Kochał Emily, naprawdę ją kochał. Kiedy

odeszła z kimś innym, załamał się. Po prostu odniosłam wrażenie, że z tą Julie wreszcie coś zaiskrzyło. Liczył na to, że jeszcze się z nią spotka.

– Mówił o niej coś więcej? Na przykład: czy ma dzieci.

– Nie, nic takiego.

– A pan coś wie, doktorze? Rozmawiał z panem o tej kobiecie?

– Przykro mi, pani inspektor. Mężczyźni raczej nie dyskutują o takich rzeczach.

– Naprawdę? – Jakby była szczerze zaskoczona. – No cóż, zawsze mogę zapytać Gary’ego. Dowiedzieć się wszystkiego u źródła.

Felicity pomyślała, że ta męka wreszcie dobiegła końca. Vera Stanhope oblizwała palec, pozbierała okruchy babeczki z talerza, dopiła herbatę.

– Co państwo robiliście w czwartek wieczorem? Późnym wieczorem. Między dziesiątą a dwunastą. – Felicity spojrzała na męża, najpierw oczekując odpowiedzi od niego.

– Byłem tutaj – odparł. – Pracowałem. – Zerknął na żonę. – Siedziałem jeszcze w gabinecie, kiedy przyjechałaś, prawda?

– A co pani porabiała, pani Calvert?

– Byłam w teatrze. W The Live, na nabrzeżu. Wystawiali młodego miejscowego dramaturga. Widziałam już wcześniej niektóre jego sztuki. Bardzo sugestywne. Moim zdaniem należy wspierać młodych pisarzy. – Urwała, bo dotarło do niej, że paple za dużo.

– Wybrała się tam pani sama?

– Nie, z przyjacielem. Peter nie przepada za teatrem. A przynajmniej nie za tego rodzaju przedstawieniami. Poszłam z Samuelem Parrem. Poznała go pani wczoraj.

– Oczywiście – rzuciła Vera. – Samuel bibliotekarz. – Felicity spodziewała się jakiegoś przebiegłego komentarza, ale się nie doczekała. – O której wróciła pani do domu?

– Jakoś przed północą. Po przedstawieniu poszliśmy na kolację, a z miasta jest kawał drogi.

– W takim razie dziękuję. – Tym razem Vera wreszcie dźwignęła się na nogi. – Na pewno państwo rozumiecie, dlaczego musiałam o to zapytać. Pozwolę panu wrócić do pracy, doktorze Calvert.

Felicity odprowadziła policjantkę do samochodu. Słońce zaszło lekką mgłą, ale nie zanosiło się na deszcz. Praca w ogrodzie byłaby o wiele przyjemniejsza teraz, kiedy zrobiło się chłodniej, jednak Felicity jakoś nie miała już ochoty wracać do pielenia. Kąpiel, pomyślała. To ją odpręży. Nagle przypomniała sobie, co pani inspektor mówiła o Luke’u Armstrongu, i przed oczami stanął jej obraz trupa zasypanego kwiatami.

Vera stała przy samochodzie. Felicity już zawracała w stronę domu, gdy usłyszała:

– Jeszcze jedno, pani Calvert. Czy mogłabym zajrzeć do domku gościnnego? Tego, który pokazała pani Lily Marsh dzień przed jej śmiercią.

Felicity przez moment czuła odrazę. Nie chciała się znaleźć tam, gdzie była blisko Lily Marsh; tak blisko, że widziała szew na brzegu sukienki, kiedy dziewczyna szła pierwsza po schodach. Powiedziała sobie jednak, że to idiotyczne. Kiedyś i tak musi pójść do domku. Dlaczego nie teraz? Z pewnością lepiej spełniać zachcianki policjantki, niż robić sobie z niej wroga.

– Oczywiście. Tylko skoczę po klucz.

Przeszły przez łąkę pod drzwi domku. W środku wszystko wyglądało tak jak podczas ostatniej wizyty, tyle że róże w sypialni uschły. Felicity wyjęła je z dzbanka, by zanieść na przyłóżko kompostu; trzymała je ostrożnie, żeby się nie pokłuć. Vera zeszła za nią na dół, ale ociągała się z wyjściem.

– To był ostatni raz, kiedy ktoś ją widział żywą – powiedziała.
– A w każdym razie ostatni raz, do którego ktoś się przyznaje. W piątek nie zjawiała się w szkole. Dzisiaj po południu rozmawialiśmy z dyrektorką, wreszcie udało nam się ją złapać. – Spojrzała ostro na Felicity. – I to też nie jest informacja dla mediów. – Wyjrzała przez okno. – Cóż za piękne miejsce. Można by sądzić, że Lily chętnie skorzysta z takiej okazji.

- Myślałam, że po prostu nie było jej na to stać.
- Ile pani zamierzała sobie policzyć?
- Nie wiem. Nawet się nie zastanawiałam.
- A ona nie pytała?
- Nie – odparła Felicity. – Powiedziała tylko, że to przemyśli.

A potem uciekła.

Julie już wróciła do domu. Drzwi otworzyła matka. Szybko nachyliła się do Very i powiedziała konspiracyjnym szeptem:

– Proponowaliśmy, żeby na jakiś czas przeniosła się do nas, ale ona twierdzi, że potem psychicznie już nie dałaby rady tu wrócić. Więc przeprowadziłam się do niej, żeby mieć na nią oko. Na jakiś tydzień albo dwa.

Vera skinęła głową i weszła do środka. Też mówiła ściszym głosem.

– A Laura, pani Richardson? Jak ona się trzyma?

– Ech, nie wiem. Nic nie je. I cały czas siedzi sama. Pytałam, czy może spotka się z przyjaciółmi, ale nie miała ochoty.

– Jest teraz w domu?

– Tak. W swoim pokoju.

– Zajrzę do niej na moment. A potem przed wyjściem chciałabym się zobaczyć z Julie, jeśli można. Powie jej pani, że przyszedłam?

Laura leżała na łóżku zwinięta w kłębek. Obok jakieś czasopismo, otwarte, ale dziewczyna chyba go nie czytała. Okno było zamknięte i w pokoju panował zaduch. Znajdował się na tyłach domu, a okno wychodziło na padok, gdzie para zmęczonych kucyków wygryzała spaloną słońcem trawę. Dalej łąka. Vera zapukała i weszła, nie czekając na zaproszenie.

Dziewczyna podniosła na nią wzrok.

– Czego pani chce? – Chuda, koścista, płaska czternastolatka. Włosy krótkie i sterczące. W oczach wrogość. A na nosie piegi, przez nie wyglądała na jeszcze młodszą.

Vera pomyślała, że pewnie bardzo niedługo Laura wyrośnie na prawdziwą piękność, ale teraz Laura była przybita, nieszczęśliwa i samotna. Jakiś czas temu Vera desperacko pragnęła mieć dziecko. Ta tęsknota naszała ją niespodziewane, kiedy zbliżała się do czterdziestki, i szokowała ją swoim

nateżeniem. Była silniejsza nawet od pragnienia mężczyzny i seksu. I dobrze, że nic z tego nie wyszło, myślała teraz. Nie poradziłabym sobie z kimś takim, jak ta mała.

– Chodzi o jeszcze kilka pytań – zaczęła. – Miałaś trochę czasu na przemyślenia.

– Nic nie wiem, co się wtedy stało. Spałam.

– Właśnie o tym chcę z tobą porozmawiać, kotku. Jesteś pewna, że niczego nie słyszałaś? Pukania do drzwi, głosów, kroków. Mogłaś pomyśleć, że to Luke i jego kumple. Nie musisz czuć się winna, jeśli coś usłyszałaś.

– Nie czuję się winna.

– Jakoś trudno mi uwierzyć, że się nie obudziłaś.

– Mam kamienny sen. Niech pani spyta mamę. – Łypnęła wrogo.

Vera poczuła się nieswojo. Innego świadka by przycisnęła, ale ta mała właśnie straciła brata.

– I tak możesz mi pomóc – zapewniła. – Interesują mnie koledzy twojego brata. Jak spędzał czas i z kim. Na pewno wiesz o tym więcej niż mama.

– Na pewno nie. – Agresywna odzywka. Jakby Vera zwariowała, że w ogóle coś takiego przyszło jej do głowy.

– To znaczy, że ci się nie zwierzał?

– Nie. – Znów ten ton. Tak mówią nastolatki, kiedy chcą wkurzyć starszych. Kpiący. Aż ma się ochotę im przyłożyć. – Nie chciałam, żeby mi się zwierzał.

– Nie dogadywaliście się?

Laura oparła się na łokciu.

– Wszyscy bez przerwy o tym mówili, tłumaczyli. Mama, babcia, nauczyciele w szkole. Wiem, że te kłopoty z nauką to nie jego wina. Wiem, że zachowywałam się jak świnia. Ale nie mogłam tego znieść. Tego wytykania palcami, że jestem jego siostrą. Tego naśmiewania się za plecami, kiedy zrobił coś głupiego. Jakbym mogła coś na to poradzić. Więc to nie tak, że się nie dogadywaliśmy. Ja po prostu marzyłam o tym, żeby zniknął z mojego życia.

Znaczenie tych słów dotarło do niej dopiero, jak skończyła mówić, mimo to nie zamierzała pokazać, że jest jej przykro. Z powrotem osunęła się na łóżko i odwróciła do policjantki plecami.

Vera coś wiedziała na temat tego, przez co dziewczyna przechodziła. W dzieciństwie też była obiektem kpin. Mieszkała sama z nienormalnym ojcem. Bez matki. Nie było nikogo, kto wyprasowałby szkolny mundurek albo upiekł ciasto na dzień sportu. Nikogo, kto by ją zaprowadził do fryzjera czy porozmawiał o miesiączce. Był tylko Hector, który w wolnym czasie łaził po wzgórzach, i szukał gniazd ptaków drapieżnych. A jemu chyba bardziej zależało na koleżkach zbierających jaja niż na własnej brzydkiej córce. Ale po co opowiadać o tym Laurze. Nastolatki uważają ludzi w średnim wieku za osobniki innego gatunku. Jej przeżycia nie miały żadnego znaczenia dla tej nieszczęśliwej dziewczyny skulonej na łóżku.

Wyciągnęła rękę i dotknęła jej ramienia.

– Ech, kotku, nie zadreńczaj się, bo niczemu nie jesteś winna. Ale mogłabyś pomóc, nawet nie wiedząc, że to robisz.

Laura obróciła się na plecy i wlepiała oczy w sufit.

– Nie znałam jego kumpli.

– A Thomas Sharp?

– On nie żyje.

Vera nie zmieniła tonu głosu. Koledzy w Kimmerston nieźle by się zdziwili, pomyślała, że potrafi być taka cierpliwa.

– No ale chyba go widywałaś, kiedy do was przychodził.

– Czasami.

– I jakie zrobił na tobie wrażenie?

Cisza. Vera zastanawiała się, czy nie za mocno naciska.

– Był okej – odparła w końcu dziewczyna. – Lepszy od innych, z którymi zadawał się Luke. – Śmiech.

Lubiła go, uznała Vera. Może nawet się w nim podkochiwała. Czy coś między nimi zaszło? Ukradkowe pieszczoty za plecami matki? Co na to Luke?

– To musiał być dla ciebie szok, kiedy zginął.

– No, tragedia.

– Byłaś na pogrzebie?

Pokręciła głową.

– Mama nie pozwoliła mi się zwolnić ze szkoły. Twierdzi, że tylko ja w rodzinie mam głowę do nauki, więc powinnam to wykorzystać – umilkła. – Ale poszłam nad rzekę, kiedy zanosili tam kwiaty.

– Czy Luke ci opowiadał, co się działo, kiedy Thomas utonął?

– Mówił, że powinien go uratować. – Odpowiedź padła od razu, przesączona złością.

– A ty uważasz, że powinien?

– Sama nie wiem. Może. Gdyby nie był takim kretynem. Gdyby się bardziej postarał. – Zaczęła płakać, ale nie z powodu brata, tylko jego przyjaciela.

– Znasz kogoś takiego jak Lily Marsh?

– Nie znam żadnych starych bab.

– A dlaczego sądzisz, że to stara baba?

– Bo to imię starej baby, no nie? Lily?

To nazwa kwiatu, pomyślała Vera zdziwiona, że wcześniej na to nie wpadła. Czy to jakoś istotne? Czy Luke miał drugie imię? Coś związanego z kwiatami? Czy istnieją męskie imiona nawiązujące do nazw kwiatów?

Laura zrobiła się niespokojna, ciekawa wbrew sobie.

– No ale kim jest ta kobieta?

– Nie starą babą – wyjaśniła Vera. – To studentka na praktykach. Kojarzysz może taką osobę ze szkoły?

– Nie... – Laura sięgnęła po czasopismo. Zaczęła udawać, że czyta.

Vera zrozumiała, że dzisiaj już więcej z niej nie wyciągnie.

– Muszę teraz porozmawiać z twoją mamą – oznajmiła. – Jeśli coś ci przyjdzie do głowy, zadzwoń. Kładę na parapecie swoją wizytówkę.

Julie siedziała w pokoju zapatrzona w ekran telewizora. Sobotnie popołudnie. Głupi celebryci zmuszający rodziny do wykonywania głupich sztuczek. Pomimo upału Julie była w spodniach od dresu i swetrze. Kiedy zobaczyła Verę, poderwała się

i wyłączyła telewizor, prawdopodobnie zawstydzona, że została przyłapana na robieniu czegoś tak normalnego. Pokój był tej samej wielkości co pokój Sal w sąsiednim domu, tylko bardziej zagracony. Wszędzie rzeczy przypominające o Luke'u – jego ubrania w koszu z praniem stojącym przy desce do prasowania, stosik ulubionych filmów na podłodze.

– Przepraszam za bałagan – mruknęła Julie. – Ale rozumie pani...

Vera kiwnęła głową; bez problemu przyjęła wymówkę, chociaż wiedziała, że tu zawsze będzie bałagan. Może nawet większy niż teraz, podczas obecności pani Richardson. Julie nie wyglądała na porządniką, w przeciwieństwie do Kath – ta to miała zadbane dom.

W drzwiach stanęła matka Julie.

– Herbaty, pani inspektor?

– Chętnie. – Jeśli wypiję jeszcze jedną, chyba utonę, pomyślała Vera, ale nie chciała, żeby pani Richardson przysłuchiwała się rozmowie. Usiadła w fotelu przykrytym brązową narzutą z kordonku i skinęła na Julie, żeby też usiadła. – Chcę zapytać o Gary'ego – zaczęła. – Gary'ego Wrighta.

Julie wolnym ruchem obróciła głowę w jej stronę.

– Tak?

– Znasz go?

– Nie bardzo.

– To znaczy?

– Byłam z nim tej nocy, kiedy zginął Luke. To znaczy nie z nim, nie w tym sensie. Bawiliśmy się w klubie i tylko w klubie. Tańczyliśmy... – Szybko zamknęła usta, jakby myśl o zabawie uznała za coś obscenicznego.

– Ale to nie tam spotkaliście się po raz pierwszy?

– Nie. Kilka tygodni temu wybrałam się z rodzicami do Harbour Bell. W niedzielę po południu. Tuż przed wyjściem Luke'a ze szpitala. Laura spędzała ten dzień ze znajomymi. Tata lubi muzykę, jaką tam puszczają. Jeśli mu pozwolić, będzie godzinami głądził o starych czasach. O Animalsach, klubach z lat

sześćdziesiątych. W Bell w soboty jest muzyka na żywo i wtedy grała kapela, której chciał posłuchać. Jadłam u rodziców obiad i potem z nimi pojechałam. No i dobrze się bawiłam. Gary zajmował się nagłośnieniem. – Głos Julie przygasł. Spojrzała wprost na Verę. – Wie pani, to się mogło wydarzyć miesiące temu. Lata. Mam wrażenie, jak gdyby wszystko się zmieniło. Opowiadam o sobie, a jakbym opisywała kogoś innego.

– Rozumiem – mruknęła Vera.

– Gary mnie rozśmieszał – ciągnęła Julie. – Na początku wydawało się, że się popisuje. Te opowieści o jego pracy. O muzykach. Można by przypuszczać, że to samo mówiłby wszystkim. A przynajmniej kobietom między piętnastką a pięćdziesiątką.

Nawet mnie? – zdziwiła się Vera.

– Ale potem coś między nami zaskoczyło. Okazało się, że chodziliśmy do tej samej podstawówki, i zaczęliśmy plotkować o ludziach, których pamiętaliśmy. W końcu mama musiała mnie stamtąd wyciągać. Martwiła się, że spóźnimy się na czas odwiedzin w szpitalu. Szliśmy z wizytą do Luke'a.

– Więc zaproponowała mu pani następne spotkanie w mieście?

– No niezupełnie. Nie umówiliśmy się na sto procent. – Ale Vera widziała, że Julie nie potraktowała tego lekko. Zależało jej na przyszłej randce. – On tylko zapytał, czy czasami wychodzę się zabawić, a ja odpowiedziałam, że rzadko. Potem przypomniałam sobie o urodzinach Jan i że dziewczyny chciały, żebym z nimi gdzieś wyskoczyła. Więc powiedziałam, że będę w mieście. Tamtego wieczoru.

Vera mogła sobie wyobrazić, jak to wyglądało. Przysłuchująca się matka. Julie stara się mówić obojętnym tonem, ale pilnuje, żeby Gary zapamiętał datę i miejsca, do których dziewczyny zazwyczaj chadzały. „Nie Bigg Market. Na to jesteśmy trochę za stare”. Pewnie cały wieczór go wypatrywała. Aż w końcu się pojawił. Poczula się wtedy jak szesnastolatka, lekki zawrót głowy, uczucie triumfu. A potem wróciła do domu i znalazła ciało

uduszonego syna, obsypane kwiatami.

Z kuchni wyłoniła się pani Richardson z herbatą w jednej i drugiej ręce. Vera odebrała swój kubek i kiedy kobieta wyszła po ciasteczka, prawie całą zawartość wylała do doniczki z przywiedłą palmą. Julie, zapatrzona w pusty ekran telewizora, niczego nie zauważyła.

– Świetna herbata – pochwaliła Vera, popijając resztki. – Tego mi właśnie było trzeba. – Teraz obie kobiety siedziały i patrzyły na nią. Może się domyślały, że chce im coś jeszcze powiedzieć. – Popołniono kolejne zabójstwo. Została zamordowana młoda kobieta. Studentka. Nazywała się Lily Marsh. Coś wam to mówi?

Pokręciły głowami. Tak naprawdę nie obchodziła ich śmierć obcej osoby. Interesował je tylko Luke. Vera poszukała miejsca na kubek na stoliku do kawy.

– Chciałam was uprzedzić – ciągnęła. – Wkrótce ta wiadomość dotrze do prasy. A to może ułatwić poszukiwanie zabójcy Luke'a. – Przynajmniej teoretycznie. Wstała. – Pójdę już, pani Richardson. Jeśli się dowiem czegoś nowego, dam znać.

Julie też się podniosła z krzesła.

– Dlaczego pytała pani o Gary'ego?

– Bez powodu, kotku. Rutynowo.

Przy drzwiach się zatrzymała.

– Czy Luke miał drugie imię?

– Geoffrey. Jak ojciec.

A więc nic powiązanego z kwiatami.

Kiedy wyszła na ulicę, czuła na sobie śledzące ją zza firanek spojrzenia; sąsiedzi zaczekają, aż odjedzie, i dopiero wtedy sięgną po telefony, żeby podzielić się ostatnimi doniesieniami.

Dawniej Gary nigdy by się nie przyznał, że mieszka w North Shields. Na pewno nie kobiecie, na której chciałby wyrzucić wrażenie. Ludzie z zewnątrz mają swoje wyobrażenia. Same ciucholandy i czynszówki, jedyne prawdziwe sklepy to Wilkinson's i Poundstretchers. Nawet teraz, czekając na metro, stoi się na peronie z nieletnimi matkami i gangami wyrostków, którzy na widok kanarów w ostatniej chwili wyskakują z wagonów. Ale ostatnio, gdy mówił, że mieszka w Shields, kiwano głowami ze zrozumieniem. W takim miejscu mogą mieszkać ludzie zajmujący się tym co on. Wciąż niezbyt godni szacunku, a jednak interesujący. W okolicy Fish Quay powstały apartamentowce, bary i restauracje. Wprowadziło się tam kilku pisarzy. Ceny domów w Tynemouth osiągnęły niebotyczne pułapy. Już nie było wstydem mieszkać w Shields. Pub Maggie Bank w Niedzielną Noc Quizów pękał w szwach od nauczycieli i pracowników socjalnych. Gary kiedyś regularnie tam bywał, ale teraz odwiedzał pub tylko wtedy, kiedy chciał się spotkać ze starymi znajomymi. Pewnie mógłby uciulać kilka punktów w dziedzinie muzyki, ale na wygraną nie miał szans.

Mieszkał w dość nowym budynku przy jednej ze stromych ulic między Fish Quay a miastem. Czteropiętrowy budynek z jednej strony sąsiadował z gotycką kaplicą metodystów, z drugiej z hurtownią dywanów. Mieszkanie kupił krótko po rozstaniu z Emily; patrząc wstecz, niewiele pamiętał z przeprowadzki. Kiedy podpisywał umowę, był wkurzony; krzyczał na agenta nieruchomości, bo ten go czymś zirytował. Clive pomógł mu wnieść meble – do windy się nie mieściły – załatwił w Northern Electric podłączenie prądu i nawet przygotował herbatę. Cały Clive. Nie jęczy i zawsze pomaga, kiedy trzeba. Gary miał nadzieję, że w odwrotnej sytuacji zachowałby się podobnie, chociaż wcale nie był przekonany... Z czasem mieszkanie stało się dla niego prawdziwym domem. Bardziej niż inne miejsca, w których

mieszkał, odkąd dorósł. Żał byłoby się wyprowadzać.

Tego poranka podwoził Clive'a z Fox Mill. W drodze rozmawiali o zamordowanej dziewczynie i włączyli radio na lokalne BBC, żeby ewentualnie posłuchać o zabójstwie w wiadomościach. Gadał głównie on. Clive mało mówił, ale on nigdy nie gada za dużo. Może dlatego tak dobrze się porozumiewali; Gary lubił mieć słuchaczy. W szkole Clive był samotnikiem. Nadal miał niewielu przyjaciół. Tylko Gary'ego, Samuela i Petera. Informacja o tragicznym wydarzeniu rozpoczęła wiadomości, ale nie podano szczegółów. Nic o tym, jak zwłoki zostały znalezione, i nic o kwiatach. Nie padło nawet imię dziewczyny.

Gary wyszedł na balkon i popatrzył na miasto i rzekę – w górę sunął prom, właśnie odbił od mola w South Shields. Miał ze sobą komórkę. Oparł się o barierkę, żeby wybrać numer. To było najwyższe piętro, więc odgłosy z ulicy mu nie przeszkadzały. Już wystukiwał cyferki, gdy nagle rozległ się brzęczyk interkomu, więc wrócił do mieszkania, żeby sprawdzić, kto czeka w lobby. Nie żałował, że musi odłożyć rozmowę. Nadal jeszcze nie zdecydował, co dokładnie powie.

– To ja, kotku. Vera Stanhope. – Inspektorka z poprzedniego dnia. Sądził, że wczoraj odpowiedział na wszystkie pytania, więc wizyta policjantki wprawiła go w zdumienie. Kiedyś nie miał problemów z takimi sytuacjami. Potrafił beczelnie wywinać się z każdej okoliczności, każdego kłopotu. Teraz już nie szło mu tak łatwo. Ale przecież nie mógł jej tam zostawić, pozwolić, żeby czekała.

– Zapraszam. – Mówił lekkim tonem na znak, że nie ma niczego do ukrycia.

Przejrzał się w długim lustrze. Z przyzwyczajenia. Żeby poczuć się pewniej. Z tego samego powodu czasami wydaje fortunę na nową fryzurę lub na parę porządnych butów. Potem otworzył drzwi i wyszedł na korytarz. Nie słyszał szumu windy, więc pomyślał, że może policjantkę wezwano do ważniejszych spraw, ale wtedy się pokazała na szczycie schodów. Dyszała ciężko z braku tchu.

– Nie lubię wind. – Słowa wypadały z jej ust w szybkich oskarżycielskich sapnięciach, jakby miała do niego pretensję, że mieszka tam, gdzie mieszka. – Zawsze się boję, że mnie nie udźwigną.

Zdał sobie sprawę, że jest wyczulona na punkcie swojego wyglądu. Pewnie w szkole dzieciaki jej dokuczały i jedyny sposób, żeby sobie z tym poradzić, to uprzedzić docinki. Dziwił się, że poprzedniego dnia czuł się przy niej niepewnie. Oparty o drzwi wpuścił ją pierwszą do mieszkania.

W środku przyglądał się, jak kobieta obserwuje wnętrze. Patrzył na mieszkanie jej oczyma. Było czystiej, niż się spodziewała. Miał mnóstwo elektronicznego sprzętu, ale wszystko spakowane w kartony i podsunięte pod ścianę. Mały nieporządek mu nie przeszkadzał, ale kipiszu nie lubił. Pod tą samą ścianą stało długie biurko z pecetem i drukarką, parą słuchawek i stertą magazynów audiofilskich. Na środku pokoju kanapa i stolik do kawy. W rogu telewizor i odtwarzacz DVD. Kilka powiększonych czarno-białych zdjęć na ścianie. Jedno to widok rzeki w centrum miasta. Zmierzch, szarówka. Ujęcie na wszystkie mosty aż po Blinking Eye. Ale w fotografii nie ma nic osobistego, pomyślał. Nic, co mogłoby go zdradzić. Pozwolił sobie zachować jedno zdjęcie Emily, ale fotka stała na biurku, mała, nic specjalnego i przyciągającego wzrok. Pani inspektor jej nie zauważy.

– Proszę usiąść – zaproponował. – Zrobić herbaty? Kawy?

Jej twarz była czerwona od wysiłku wspinania się po schodach. Sam też nie korzystał z windy, chyba że musiał wnieść coś ciężkiego, jednak nigdy nie dyszał po dotarciu na górę. Skarcił się w duchu za tę swoją pieprzoną próżność. Pani inspektor to otyła kobieta w średnim wieku. Z kim tu się porównywać.

– Pewnie nie dostanę tu piwa, co? – spytała. – Ale nie jestem wybredna, kotku. Daj, co tam masz w lodówce.

Złapał się na tym, że się uśmiecha. Wbrew sobie czuł sympatię do tej kobiety. Przyniósł dwa piwa i szklankę dla gościa. Ostrożnie opuściła się na kanapę. On usiadł na podłodze, wyciągnął przed siebie nogi. Policjantka bacznie mu się

przyglądała.

– W aktach wyczytałam, że ma pan trzydzieści pięć lat – zaczęła. – Dobrze się pan trzyma. Dba pan o siebie, co? Gdyby kazano mi zgadywać, dałabym panu pięć lat mniej.

– Dzięki. – Był zły na siebie, że pochwała sprawiła mu przyjemność. Dziwne, że mówi mu takie rzeczy; dziwne, że tak się na niego gapi. Uświadomił sobie, że kobiety pewnie zawsze tak na niego reagowały.

– To mieszkanko sporo kosztowało, prawda? – Spojrzała w stronę balkonu. – Z takim widokiem.

– Wcale nie. Kupiłem je zaraz po wybudowaniu, sześć lat temu. Wszyscy uważali, że zwariowałem, że się przeprowadzam do Shields. Gdybym je teraz sprzedał, pewnie sporo bym zyskał.

– Mieszka pan sam?

– Tak.

Zamierzał dodać, że nie jest samotnikiem. Przynajmniej nie takim jak Clive. Że kiedyś był zaręczony. Z Emily. Miłością swojego życia. Zamierzali razem zamieszkać. Potem też pojawiały się kobiety. Chociaż nie na stałe. Żadne tam poważne związki. Ale nigdy długo nie był sam. A teraz miał Julie.

Pociągnęła za metalowe kółko na wieczku puszki. Ukradkiem zerknął na zegarek. Nie zapomniał o zaległej rozmowie telefonicznej.

– Spodziewa się pan kogoś? – spytała.

– Nie – zaprzeczył szybko. – Nikogo. Czy chodzi o tę zamordowaną studentkę? Sądziłem, że wczoraj pani już skończyła mnie przepytować.

Musiał poczekać, aż Vera napije się piwa prosto z puszki. Łyknęła, nie zwracała sobie głowy szklanką, którą postawił przed nią na stoliku.

– Zadam panu pytanie – oznajmiła. – Już je pan słyszał. Ale tym razem proszę się dobrze zastanowić, zanim pan odpowie.

Chciał jej przerwać, powiedzieć, że marnuje czas, że nic nie wie na temat śmierci studentki. Ale ona machnęła puszką na znak, żeby milczał, więc milczał. Potrafiła osiągnąć to, czego chciała.

Znowu czekała, do chwili aż uznała, że skupił na niej całą uwagę.

– Luke Armstrong. Czy zna pan to imię i nazwisko?

– Nie. Mówiłem już wczoraj.

– Prosiłam, żeby się pan zastanowił.

Patrzyli na siebie bez słowa. Gary pokręcił głową.

– Jego matka ma na imię Julie. A siostra Laura. Może to panu odświeży pamięć.

Zamarł z piwem przy ustach.

– Syn Julie – wymamrotał w końcu.

– Zgadza się, syn Julie. Ten chłopak, który chorował.

– Nie zamierzałem wprowadzić pani w błąd, pani inspektor.

– Ale wprowadził pan.

– Nigdy go nie widziałem. Julie o nim opowiadała. Wiem, że przeżył ciężkie chwile. Ale nazwisko jakoś nie zapadło mi w pamięć. Wciąż myślę o niej jako o Julie Richardson. – Podniósł na nią wzrok. – On nie żyje?

– Został zamordowany – odparła. – Nie czytał pan w prasie?

– Rzadko kupuję gazety. Dzisiaj rano w drodze powrotnej od Petera słuchałem radia. Mówili o Lily Marsh, ale nie o chłopaku.

– Nie zachęcamy mediów, żeby łączyły te sprawy.

– Został zamordowany w ten sam sposób co ta dziewczyna?

– Niezupełnie. Ale są pewne podobieństwa.

– O Boże – westchnął. – Julie się załamała. Mówiła, że chłopak nie był łatwym dzieckiem, ale wiem, że za nim szalała. To znaczy kochała oboje dzieci, ale Luke'a chyba traktowała wyjątkowo. Potrzebował jej. Co teraz? Właśnie miałem do niej dzwonić, kiedy pani przyszła. Myślałem, że się ze mną skontaktuje. Obiecywała. Ale się nie odezwała, więc pomyślałem, że zmieniła zdanie i się ze mną nie spotka. Teraz rozumiem. – Umilkł na chwilę. – Nie sądzę, żeby w tej sytuacji chciała mnie widzieć.

– Typowy facet – mruknęła Vera, sama do siebie. – Kobieta traci syna, a jemu tylko jedno w głowie: jak ją przelecieć.

– Nie! – zaprzeczył. – Nie o to chodzi. Myślałem, że przydałby się jej ktoś bliski. Ale raczej nie ja. To znaczy, pewnie

lepiej, żeby pogadał z nią ktoś, kto zna ją dłużej, prawda? Ja tylko bym zawadzał. Jak pani uważa?

– Ech, kotku. Jestem detektywem, nie pracownikiem biura matrymonialnego.

Podniósł na nią wzrok.

– Jak ona się czuje?

– Straciła syna. Jak się panu wydaje?

Wstał z podłogi i przeszedł do balkonu. Drzwi nadal były otwarte. Na zewnątrz skrzeczały mewy. Zdawał sobie sprawę, że to patetyczne i okropne, ale zrobiło mu się żal samego siebie. Tak naprawdę wcale nie myślał o Julie.

Vera dźwignęła się na nogi i dołączyła do niego.

– Nie wiedział pan, że chłopak został zmordowany w ten wieczór, kiedy spotkał się pan z Julie?

Odwrócił się do niej. Wydawał się przerażony.

– W czwartek?

– Tak. Wróciła do domu i go znalazła. – Przymrużyła oczy. – Niektórzy powiedzieliby, że to dziwny zbieg okoliczności. Rozmawiał pan z matką pierwszej ofiary tuż przed tym, jak doszło do zabójstwa, a niedługo później trafił pan na drugą ofiarę.

– Nie znałem ich wcześniej – zaperzył się. – Słowo.

– Niech pan opowie, jak się zeszliście z Julie – poprosiła. – Ktoś was ze sobą spiknął? Jakiś znajomy ją zobaczył i uznał, że to babka dla pana? Ktoś pociągał za sznurki?

– Nie, nic z tych rzeczy. Dlaczego pani pyta?

– Pewnie bez powodu. Szukam powiązań. Przyszło mi na myśl, że to mógł być sposób, żeby śledzić Julie. Ktoś, kto was ze sobą poznał, miałby dostęp do informacji. Ale nigdy nie byłam dobra w teoriach konspiracyjnych.

Gary opowiedział, jak poznał Julie. Chciał o tym opowiedzieć. Takie historie z czasem stają się rodzinnymi legendami, opowiada się je wnukom. Stali obok siebie oparci o barierkę balkonu i spoglądali w dół na ulicę.

– Spotkaliśmy się przypadkowo. Zwykły traf. Zobaczyłem ją w pubie. To znaczy najpierw ją usłyszałem, jej śmiech. Taki

zaraźliwy, wie pani? Potem wydało mi się, że chyba skądś ją znam. Nie widziałem jej od skończenia podstawówki, ale ją rozpoznałem. Niesamowite, po tylu latach. I wtedy mnie olśniło. Tego właśnie chciałem. Zejść się z kimś takim. Z kimś, kto potrafi się tak śmiać. Wcześniej zawsze oglądałem się za młodszymi kobietami. Za laskami, rozumie pani. Ale te związki szybko się rozpadały. A tu człowiek zaczyna myśleć, żeby się z kimś związać na stałe. To chyba ma coś wspólnego ze starzeniem się. Tak jak to, że wziąłem etat w Sage, chociaż zawsze się zaklinałem, że do końca życia będę wolnym ptakiem.

Słuchała go bez większego zainteresowania.

– No tak – mruknęła. – To samo mówiła Julie. Ale trzymała się faktów. Łzawe kawałki pominęła.

– Wspominała o mnie?

Vera pozostawiła pytanie bez odpowiedzi.

– Czy chwalił się pan komuś, że macie się spotkać tamtego wieczoru?

Nie umiał powstrzymać szerokiego uśmiechu.

– Wszystkim kumplom. Zresztą nie mam przed nimi tajemnic.

– Ci ludzie, którzy panu towarzyszyli, kiedy znalazł pan Lily Marsh, oni wiedzieli, że zamierza się pan zobaczyć z matką Luke'a w czwartek wieczorem?

– Chyba tak. Gadałem o Julie z Felicity. Potem, w poniedziałek wieczorem, mówiłem o tym swoim kolegom w klubie ptasiarzy. Później poszliśmy na piwo. Chciałem, żeby mi doradzili... jak to rozegrać. Prawdopodobnie zanudziłem ich na śmierć.

– O, to faceci rozmawiają o takich sprawach?

– No taak... Nigdy nie byłem typem twardziela.

– A inni? Oni też są tacy wrażliwi i emocjonalni?

– Jesteśmy sobie bliscy. – Gary nagle spowaźniał. – Nie widzę w tym nic złego.

– Powinna już iść – rzuciła, ale nie ruszyła się z miejsca.

Zauważył, że pociąga ją widok z balkonu.

– Czy Julie wyjaśniała panu, co wywołało chorobę Luke’a? – spytała.

– Jego kolega utonął...

– Tu na dole – przerwała mu. – Przy Fish Quay. Nie słyszał pan?

Pokręcił głową.

Wróciła do pokoju, zatrzymała się przy biurku i wskazała zdjęcie Emily.

– A to kto?

Poczuł, że się czerwieni, ale nie mógł nic na to poradzić. To chyba czarownica, skoro podeszła prosto do zdjęcia.

– Stara znajoma.

Stała tam przez jakąś chwilę, przyglądając się fotografii.

– Dziwna babka – mruknęła raczej do samej siebie. – Chociaż całkiem ładna, pod warunkiem że lubi się anorektyczki.

Już otwierała drzwi, żeby wyjść, kiedy spytał:

– Co pani zdaniem powinienem zrobić w związku z Julie? Mam do niej zadzwonić?

Zatrzymała się tylko na sekundę.

– To nie moja sprawa, kotku.

Gary'ego obudziło pikanie pagera. Ustawił go tak, żeby się odzywał tylko w przypadku bardzo ważnego komunikatu, gdy w kraju ktoś wypatrzył wyjątkowo rzadki okaz ptaka. Była szósta rano, ale o tej porze roku i tak daleko na północ dzień trwał już od przeszło godziny. Spał z pagerem przy łóżku i teraz wymacał go ręką, powcisnął odpowiednie guziki i zmrużył oczy, żeby odczytać tekst. Już nie jeździł po całym kraju, żeby zobaczyć rzadkie okazy, mimo to nadal podnosiło mu się ciśnienie, gdy otrzymywał wiadomość.

Trochę potrwało, zanim do niego dotarła. „Pokrzewka czarniawa. Rezerwat przyrody Deepden. Northumberland”. Jego rejony. Miejsce, gdzie on i Clive zaczęli zajmować się obrączkowaniem z Peterem i Samuelem. Jedyne, w którym potrafił znaleźć wytchnienie od myśli o Emily. Potem było ukłucie zazdrości. To powinienem być ja. To ja powinienem wypatrzyć tego ptaka. A jeśli już nie ja, to przynajmniej któryś z nas. A tak naprawdę to Clive, myślał. Dla niego znaczyło to więcej niż dla reszty. Clive mało mówił o swojej matce, ale wszyscy wiedzieli, że tylko te weekendy w Deepden utrzymywały go przy zdrowych zmysłach. Nadal wspomagał rezerwat, chociaż reszta już dawno sobie odpuściła.

Nadal pogrążony w kołaczących mu po głowie myślach, Gary wstał z łóżka i sięgnął po komórkę. Tylko on miał pager. Reszta udawała, że takie komunikaty ich nie obchodzą. Zajmowali się historią naturalną, a nie rejestrowaniem rzadkich okazów ptaków. Najpierw wybrał numer Petera. Jeśli uznać ich za wspólnie działającą grupę, to Peter Calvert był ich przywódcą. I chociaż starał się robić wrażenie, że tworzenie rejestrów jest poniżej jego godności, z pewnością nie chciałby, żeby ta wiadomość go ominęła. To między innymi on ufundował obserwatorium w Deepden w latach sześćdziesiątych.

Peter wysłuchał bełkotu Gary'ego, potem cicho zaklął.

– Mam o dziesiątej wykład. Ale skoro tak obiecująco to wygląda i jeśli szybko wrócę... – I Gary już wiedział, że Peter pojedzie bez względu na wykład. – Zadzwoń do Sama – ciągnął. – Może znajdzie chwilę przed pracą.

Gary pomyślał, że z nich wszystkich tylko Peterowi ujdzie płazem, że zadzwonił do Sama pisarza.

Rozłączył się, po czym wybrał numer Clive'a. Nie miał wątpliwości, że ten pojedzie. Gdyby musiał, rzuciłby wszystko; spędził noc na miejscu i od rana znowu zaczął obserwować. Tylko że Clive potrzebuje podwózki. Gdy odebrał telefon, szepcząc do słuchawki, bo jego schorowana matka spała w pokoju obok, Gary był już w połowie schodów na swoim piętrze, z lornetką na szyi i lunetą na ramieniu.

Tysiąc razy słyszał historię o początkach obserwatorium w Deepden. W dzieciństwie, kiedy tam zaglądał w każdy weekend, często przysłuchiwał się opowieściom starszych członków klubu. Po całym dniu obrączkowania zasiadali przy ognisku i, popijając whisky albo piwo, od nowa przeżywali radość z tego, że udało im się kupić dom od starszej kobiety, do której należał teren, radość z założenia ogrodu, wykopania stawu, wycięcia w zaroślach przecinek na siatki ornitologiczne. Radość z wielkiego otwarcia obserwatorium – przyciągnęło ono wszystkich, którzy coś znaczyli w dziedzinie historii naturalnej. Ale może, gdy cała praca była już wykonana, uszedł z nich entuzjizm, bo nawet wtedy więcej czasu spędzali na popijaniu herbaty niż w terenie. Teraz w dwóch sypialniach domu w obserwatorium obozowało nowe pokolenie ptasiarzy. Często zaglądali do pubu Fox and Hounds w Deepden, a potem wracali stamtąd wieczorami, zataczając się, żeby od rana ze świeżym zapalem zabrać się do wypatrywania rzadkich gatunków ptaków.

Ich czwórka przestała regularnie odwiedzać obserwatorium kilka lat temu. Tak postanowili. Zresztą już wcześniej Gary'ego bardziej interesowało obserwowanie ptactwa morskiego, więc w rezerwacie zjawiał się sporadycznie. Nie pamiętał, czego dotyczyła różnica zdań. Chyba poszło o polityczne spory w gronie członków

funduszu obserwatorium. Albo że Peter nie czuł, że jest traktowany z należnym mu szacunkiem. Zrezygnował z funkcji prezesa i pozostała trójka go poparła. Weekendowy rytuał spotkań w rezerwacie urwał się nagle. Clive przeżył to bardziej niż reszta. Obserwowanie ptaków stanowiło całe jego życie. Chyba że prowadził inne obserwacje w ukryciu, co zdaniem Gary'ego było bardzo możliwe. Oczywiście wciąż od czasu do czasu wpadali do rezerwatu, jednak dziwnie się tam czuli w roli ludzi z zewnątrz.

Clive czekał na ulicy przed domem matki.

– Powinniśmy tam się wybrać już wczoraj po wyjeździe z Fox Mill. – To jego pierwsze słowa, zanim się jeszcze przywitał, zanim zdążył wsiąść do vana.

Potem całą drogę na północ wydawał się spięty; tkwił na siedzeniu pasażera sztywny jak kij. Gary mówił o Julie, o tym, że ktoś zamordował jej syna. Każdy z nich zwierzał się Clive'owi, bo wiedzieli, że potrafi dochować tajemnicy.

– To musi być koszmarne. Wyobrażasz sobie, co to za przeżycie, stracić syna w taki sposób? A dla córki? Spała obok w pokoju, kiedy to się stało.

Clive nic na to nie odpowiedział. Zmienił pozycję tylko raz, gdy pager Gary'ego zabłysnął na czerwono. Sięgnął po niego i przeczytał świeże doniesienia na temat pokrzewki czarniawej.

Obserwatorium leżało czterysta metrów od wybrzeża – pierwszy skrawek bezpiecznego lądu dla migrujących ptaków, kiedy docierały do morza. Dom był niski, parterowy, wybudowany przed wojną na bungalow wczasowy. Otaczało go pół hektara ogrodu, który teraz stanowił obszar rezerwatu. Ale to przede wszystkim lokalizacja czyniła to miejsce wyjątkowym. Sam budynek nie wyróżniałby się niczym szczególnym w żadnym nadbrzeżnym miasteczku – przysadzisty, raczej brzydki, z cegły i białego tynku, o tej porze roku nieco bardziej atrakcyjny dzięki klematisowi, który obrósł werandę i właśnie zakwitał.

Z A1, rażeni w oczy wschodzącym słońcem, zjechali na wschód w wąską szosę, prowadzącą przez mało urokliwą wieś ku gruntowej drodze. Na jej końcu znajdowało się obserwatorium.

Kiedy dotarli na miejsce, na poboczu stało już sześć samochodów. Gary rozpoznał volvo Petera i sportowy mały volkswagen – ostatni nabytek Samuela. Clive wyskoczył z vana, zanim jeszcze Gary zdążył wyłączyć silnik. Przebiegł przez drewnianą bramkę, zostawiając ją otwartą. Ogród był jak oaza na środku płaskiego, jałowego terenu otaczającego dom. Trochę dalej ciągnął się pas kopalni odkrywkowych – hałdy kamieni i głębokie doły. Pomimo wczesnej pory jeździły tam już wielkie ciężarówki na grubych oponach. Między domem a linią wydm, wyznaczających granicę wybrzeża, na podłużnym pasie pola pasło się bydło.

Ogród został zaprojektowany tak, żeby przyciągał ptaki i owady. Na miejscu zdartej murawy powstał staw – teraz tak zarośnięty, że prawie nie było widać wody. Lustro pokrywały płaskie lśniące liście lilii wodnych, a teren wokół porastała trzcina. W miejscu dawnego ogródka zielnego obecnie z ziemi wyrastały długie wiechy wabiących motyle budlei oraz krzaki głogu – jego jesienne jagody przyciągały drozdy. Rozciągnięte siatki oznaczały, że w rezerwacie przebywa grupa obserwatorów zajmujących się obrączkowaniem. Pewnie natknęli się na pokrzewkę przy pierwszym obchodzie siatek. Trochę dalej od domu ciągnął się mały sad, założony w tym samym czasie, gdy stawiano dom. Właśnie tam zgromadzili się obserwatorzy.

Pokrzewkę czerniawą dostrzegli na czubku krzewu głogu, który tworzył żywopłot wyznaczający kraniec rezerwatu. Stali w pstrokatym cieniu rzucanym przez jabłoń, z podniesionymi lornetkami. Z oddali nie sposób było stwierdzić, czy ptak tam był, czy ludzie go tylko wypatrywali. Zanim Gary dotarł na miejsce, Clive zdążył rozstawić statyw i już gapił się w lunetę.

– Zniknął w krzakach dziesięć minut temu – poinformował.
– Nikt nie wie, którędy tam wleciał. – Z tonu głosu wynikało, że jest wściekły.

Gary domyślił się, że obserwatorzy pewnie zamiast pilnować ptaka, gadali w najlepsze. Po drugiej stronie grupy dostrzegł Petera i Samuela, gawędzili o czymś wesoło. Człowiek się relaksuje, kiedy już wypatrzy poszukiwany okaz, bo schodzi z

niego całe napięcie. Nie musi być już mocno skoncentrowany. Popatrzył w stronę krzaków, czując ucisk niepokoju w żołądku. Nie lubił takiego obserwowania ptaków. Stresowało go to wyczekiwanie i niepewność, czy ptak jest jeszcze tam, gdzie go zauważono, czy już odleciał. Wolał obserwować ptactwo morskie. Nie znał bardziej relaksującego zajęcia, jak siedzenie w wieży widokowej. Nie mógł przywabić ptaków, więc nie miał powodów do nerwów. Teraz jego serce przyspieszyło rytm, spróbował uspokoić oddech, ale zarazem zastanawiał się, czy dobrze zrobił, że tu przyjechał.

– Tam jest. – Clive, nadal pochylony nad lunetą, mówił tak cicho, że ledwie Gary go usłyszał. – Jakies cztery metry od ogrodzenia, na gołej gałęzi tuż poniżej czubka.

I wtedy Gary go zobaczył w oku lunety. Widział wnętrze dzioba, kiedy pokrzewka zaczęła tokować, i kolor oczu. Niesamowite. Szósty brytyjski rekord i to tutaj w Deepden. Warto było zwlec się z łóżka o szóstej rano i przeżyć to całe napięcie podczas jazdy.

Reszta towarzystwa podchwyciła jego podekscytowanie; wszyscy w oniemieniu przypatrywali się ptakowi. Po chwili pokrzewka zniknęła za krzakiem, a oni patrzyli na siebie i radośnie szczerzyli zęby. Później niektórzy, napomykając coś o kanapkach z bekonem i pracy, zaczęli odchodzić. Ale Clive pozostał na posterunku i kiedy ptak znowu się pojawił, nieco dalej na gałęzi uschniętego drzewa, to właśnie on go zauważył.

Peter Calvert pęczniał z dumy. Tak jakby to on pierwszy w ogóle wypatrzył pokrzewkę.

– Każdego roku odnotowujemy przynajmniej jeden rzadki okaz. I to w tak małym rezerwacie. A kiedy zaczynaliśmy, mówili, że tylko marnujemy czas.

Gary z rozbawieniem pomyślał, że Peter nadal przypisuje sobie zasługę za coś, co się wydarzyło przed czterdziestu laty. Nie przeszkadzało mu to, ale rozumiał, dlaczego Calvert budził w innych irytację.

– Muszę wracać – oznajmił. – Mam rano wykład. Nie chcę

zawieść swoich studentów. Jedziesz, Clive? Mogę cię podrzucić do miasta.

I Clive, który wyraźnie miał ochotę zostać, złożył statyw i poszedł do samochodu. Peter wciąż był jego bohaterem. Gary uważał, że Clive, gdyby Peter mu kazał, rzuciłby się nawet w ogień. Na pobocze nadal zajeżdżały auta. Jeden z członków komitetu rezerwatu stał przy bramce z koszykiem i zbierał opłaty za wejście.

Samuel i Gary przeszli do domu. Nadal płacili składki członkowskie, więc nikt ich nie mógł zatrzymać. Już w środku Gary'ego ogarnęły wspomnienia z czasów, kiedy ich czwórka należała do regularnych bywalców. Dom wciąż pachniał dymem drzewnym, chociaż od ostatniego palenia w kominku musiało minąć wiele miesięcy. Dym drzewny i pasty uszczelniające, którymi nacierało się kurtki i buty. Zrobili herbatę, wykradli po ciasteczku dla każdego z puszki w kredensie i usiedli na rdzewiejących metalowych krzesłach ustawionych przy stawie.

– Co myślisz o tej całej sprawie z piątkowego wieczoru? – spytał Samuel.

Dopiero po chwili Gary zorientował się, że Sam mówił o dziewczynie znalezionej przy latarni. „Ta cała sprawa”, dziwne określenie na opisanie odkrycia zwłok.

– Nie wiem. Wczoraj miałem wizytę pani inspektor. Tej dużej babki, która przyszła do Fox Mill. Chłopak, który został zamordowany w Seaton, to syn Julie. A ona była ze mną w mieście w czwartek wieczorem, potem wróciła do domu i go znalazła. Dziwny zbieg okoliczności, ale policjantka chyba mi uwierzyła, kiedy powiedziałem, że w ogóle nie znałem tej dziewczyny.

Samuel odezwał się dopiero po chwili. Gary czytał kilka jego opowiadań. Zawsze go szokowało, że Samuel, taki wesoły i zwyczajny, pisze takie rzeczy, które mogą prześladować. Do tego stopnia, że obrazy z jego opowiadań budziły człowieka w nocy. Imponujące, ale też trochę straszne.

– Ale ty naprawdę nie znałeś tej Lily Marsh, no nie? – spytał w końcu.

– Nie! Nigdy wcześniej jej nie widziałem.

Samuel wydawał się zadowolony z odpowiedzi.

– Może powinniśmy znowu tu przyjeżdżać – mruknął. – Pokazać im, jak to się robi.

Ale Gary uważał, że Deepden budzi w nim zbyt wiele przykrych wspomnień. O tym, jak się załamał, kiedy Emily go rzuciła. Wtedy potrzebował tego miejsca i trzech przyjaciół, żeby się pozbierać. Ale teraz, myślał, pora iść dalej. Mimo że w Sage miał się zjawić dopiero po południu, powiedział Samuelowi, że musi wracać do pracy. Wstąpił do domu, żeby odstawić kubek, potem przeszedł do vana. Całe pobocze było tak zastawione samochodami, że prawie pół godziny mu zajęło, zanim zdołał wykręcić i odjechać.

Poniedziałek rano. Jak często ostatnio Vera obudziła się z lekkim kacem, z wrazeniem, że nie wyspała się porządnie. Okno było otwarte; pianie koguta sąsiadów zagłuszało wszelkie inne odgłosy, tak jakby ptaszysko zamieszkało w jej głowie. Uświadomiła sobie, że musi wzbudzać ciekawość pary prowadzącej małą farmę. Małżeństwo niedawno przeprowadziło się z miasta. Usilnie starało się z nią zaprzyjaźnić, żywiąc idiotyczne przekonanie, że ludzie ze wsi posiadają wrodzoną znajomość natury. Dopatrywali się w tym czegoś niemal mistycznego. Później, kiedy się dowiedzieli, że Vera jest policjantką, chyba się do niej zniechęcili. Brali udział w marszach protestacyjnych, więc gliniarzy uważali za swoich wrogów. Verze nie przeszkadzało ani jedno, ani drugie podejście. Tylko czasami marzyła o tym, żeby udusić koguta.

Zamknęła okno i poszła do kuchni zrobić sobie herbaty. Nie zwracała uwagi na stertę brudnych naczyń w zlewie. Już po pierwszym łyku pograżyła się w rozmyślaniach na temat śledztwa. W głowie jej buzowało, zapomniiała nawet o wyrzutach sumienia z powodu picia. Kogut przestał istnieć. To było to, do czego została stworzona.

Tego dnia zaplanowała wyprawę do Newcastle, wielkiego miasta. Tak je postrzegała jako mała dziewczynka i nadal wycieczkę tam traktowała jak przygodę. Po drodze zajechała po Joego Ashwortha. Wiedziała, że sama nie powinna najeżdżać akademickiego świątka. Nie nadawała się do tego. Była zbyt głośna i ostra, pewnie skończyłoby się na tym, że kogoś by obraziła. Joe mieszkał w małym domku na skraju Kimmerston. On też dorastał w mieście i teraz miał wszystko, o czym marzył: ładne gniazdko, prawdziwi sąsiedzi, rodzina. Jego żona znowu była w ciąży, w prawie ósmym miesiącu, i nie czuła się najlepiej. Kiedy Vera się zjawiała, kobieta zwlekała się z łóżka – wydęty brzuch i nabrzmiałe piersi opatulone bawełnianym szlafrokiem, zaczerwienione oczy.

Joe przy wtórze szumiącego w tle radia karmił córkę. Rozpromieniona mała dziewczynka siedziała na wysokim krześle, a on wkładał jej do ust plastikową łyżeczkę z ready brek. Kolejna szczęśliwa rodzinka, pomyślała Vera. Tyle się mówiło o rozpadzie rodziny, ale dokądkolwiek poszła, wszędzie ludzie zadawali temu kłam. Przez to czuła, że z nią coś nie tak. To wpędzało ją w depresję.

W niedzielę wieczorem zadzwoniła do Petera Calverta do domu i umówiła się z nim na spotkanie na uniwersytecie. Chciała się z nim zobaczyć z dala od jego idealnego domu i idealnej żony. Jako pretekstu użyła kwiatów.

– Trzeba sprawdzić, skąd pochodziły. A zanim laboratorium przeprowadzi badania, minie trochę czasu. Pan je widział, przynajmniej na drugim miejscu zbrodni. To mógłby być dobry początek...

Był zachwycony, że zwraca się do niego z prośbą o opinię. Czuła to.

– Jak rozumiem, jest pan ekspertem – dodała i prawie usłyszała, jak facet pomrukuje z zadowolenia.

Na uniwersytet dotarli trochę za wcześnie; Calvert jeszcze prowadził wykład. Stali z tyłu audytorium i słuchali. Kiedyś została wysłana na kurs. O mowie ciała. Próbowowała sobie przypomnieć, co mówił psycholog, ale nic nie wracało. Mogła tylko stwierdzić, że Peter Calvert gustował w młodych kobietach. W przednich rzędach siedziało kilka ładnych dziewczyn. Ubranych w falbaniaste muślinowe spódnice, prawie przezroczyste, i koronkowe bluzeczki. Zdawało się, że Calvert kieruje swoje wypowiedzi właśnie do tych słuchaczek. Kiedy jedna ze ślicznotek zadała mu pytanie, skomplementował ją. Stwierdził, że poruszyła ważny aspekt, i zmarszczył czoło, żeby pokazać, że traktuje pytanie poważnie. Ale może wszyscy sześćdziesięciolatekowie są tacy, zastanawiała się Vera. Nie ma nic złego w tym, że człowiek się gapi, nawet jeśli robi z siebie idiotę. Sama oglądała się za młodymi facetami, chociaż starała się być dyskretna.

Calvert nadal był w dobrym nastroju, kiedy przyjmował ich w

swoim gabinecie. Gmierał coś przy ekspresie do kawy, który stał na parapecie.

– Niestety mogę zaproponować tylko czarną. Nie piję mleka. Ale w razie czego pożyczę od kogoś z kolegów. Chciała mnie pani zapytać o kwiaty?

– Nieoficjalnie – pospieszyła z wyjaśnieniem. – Nie w roli biegłego. Tym się zajmiemy później, jeśli zajdzie taka potrzeba. Ale na tym etapie śledztwa pośpiech jest bardzo wskazany.

– Naturalnie.

– Widział pan kwiaty, kiedy pański syn znalazł ciało?

– Tak. To znaczy przede wszystkim chciałem zabrać stamtąd Jamesa. Był strasznie roztrzęsiony. Wiadomo, taki widok. A jeszcze bardziej się zdenerwował, gdy się okazało, że znał tę dziewczynę. Więc nie miałem czasu przyglądać się kwiatom, ale oczywiście zwróciłem na nie uwagę.

– I co pan myśli?

– Polne kwiaty, takie jakie rosną na łąkach. Maki, stokrotki, jaskry. Reszta to kwiaty ogrodowe. Byliny. Nie dostrzegłem żadnych egzotycznych lub niecodziennych.

– A więc raczej nie z kwaciarni?

– O nie. W żadnym wypadku. Ktoś je zerwał. I to całkiem niedawno. Albo trzymał w wodzie. Jeszcze nie zwiędły. Przynajmniej nie pamiętam, żeby wyglądały na przywędnięte.

– A jakieś podobne rosną u pana w ogródku? Chętnie bym zobaczyła, jak wyglądały. Oczywiście mogłabym obejrzeć je w atlasie, ale to nie to samo. Poza tym, może coś by pan sobie przypomniał. To jak?

– Nie jestem pewien, czy u nas są takie – odparł lekko. – Czy pani wie, ale to Felicity jest ogrodniczką. Jak najbardziej zapraszam. Niech się pani rozejrzy. Wieczorem, jeśli to pani pasuje. Wtedy zazwyczaj oboje jesteśmy w domu.

– I na pewno nie ma pan niczego do powiedzenia na temat Lily Marsh?

– Oczywiście, pani inspektor. Jak sama pani widzi, to duża społeczność. Nasze ścieżki nigdy się nie przecięły.

Rozległo się pukanie do drzwi i do środka wetknął głowę młody chłopak.

– Chciał pan dzisiaj ze mną porozmawiać, doktorze Calvert. Może być teraz?

– A tak, Tim. Za chwilę. Jeśli już skończyliśmy, pani inspektor... Pod koniec semestru zawsze mamy tu duże zamieszanie. Muszę spotkać się z kilkoma studentami.

Świetna wymówka, pomyślała. Niewykluczone, że Calvert specjalnie umówił studenta na tę godzinę, żeby szybciej zakończyć rozmowę. Co oczywiście wcale nie oznaczało, że coś ukrywa. Mógł być zwykłym aroganckim dupkiem, który uważa, że jego czas jest zbyt cenny, żeby go marnować na tropienie zabójcy. Uśmiechnęła się słodko i wyprowadziła Ashwortha z pokoju.

W połowie korytarza, na otwartej przestrzeni znajdowało się biuro. Przed pecetami siedziały trzy kobiety w średnim wieku. Na regałach stały doniczki z kwiatami i zdjęcia wnuków. Kobiety z przejęciem dyskutowały na temat w ogóle niezwiązany ze sprawami uczelni. Vera stwierdziła, że pewnie lubią plotkować tak bardzo jak ona. Zastukała w uchylone drzwi i weszła do środka. Ashwortha zostawiła na czatach. W pomieszczeniu zapadła cisza, ale Vera uznała, że to raczej milczenie zaciekawienia niż wrogości.

– Przepraszam, czy mogłybyście mi panie pomóc? Nazywam się Vera Stanhope i prowadzę śledztwo w sprawie zabójstwa jednej z tutejszych studentek. – Tak jak się spodziewała, jej słowa wzbudziły w kobietach zainteresowanie. Będą miały o czym paplać aż do przerwy na lunch. – Doktor Calvert miał mi udzielić porady eksperckiej, ale przyjmuje studenta i nie chcę mu przeszkadzać. Czy któraś z pań dysponuje jego grafikiem? Chciałabym sprawdzić kilka dat, zobaczyć, kiedy jest wolny.

Przysadzista babka o matczynym wyglądzie, z siwymi włosami, pomachała ręką niczym podekscytowane dziecko z końca klasy, które zna odpowiedź na trudne pytanie.

– To ja jestem tą biedną ofiarą. Marjorie. Marjorie Beckwith. Vera się rozpromieniła.

– Domyślam się, że doktor uzupełnia grafik w komputerze.

– Powinien – odparła pobłażliwym tonem Marjorie. – Żeby reszta wydziału знаła jego plan. Obawiam się jednak, że doktor lekko traktuje przepisy. – Sięgnęła do regału za plecami i podała Verze czarny dzienniki w twardej oprawie.

A więc to aż tak proste. Vera zaniósła dziennik do wolnego stołu i zaczęła wertować strony. W czwartek, kiedy zginął Luke, Peter Calvert uczestniczył w porannym spotkaniu wydziału. Po piątej miał zaplanowane ćwiczenia z dwójką studentów. Nie było nazwisk, tylko same inicjały. Wpis przekreślono dwiema kreskami i ktoś starannym charakterem między nimi dopisał uwagę „odwołane”. W piątek – w dniu śmierci Lily – umówione spotkanie w porze lunchu. Brak nazwiska. Tylko: „12.30–14.00, lunch na mieście, niedostępny”. Prawdopodobnie Marjorie na tym skorzystała. Dalej czysto. Vera przewróciła strony. Wyglądało na to, że wypadki w czasie lunchu weszły Calvertowi w krew.

– Chciałabym się z nim umówić w piątek po południu – oznajmiła. Przerzuciła kartki tydzień do przodu i stwierdziła, że w grafiku pod tą datą nie widnieją żadne adnotacje. – W tym dniu nic nie jest zapisane. Czy to znaczy, że w piątki doktor Calvert nie ma stałych zajęć? Ani wykładów?

– Zgadza się – przytaknęła Marjorie. – Doktor Calvert nigdy nie wykląda w piątki. – Podniosła wzrok, wyraźnie skora do pomocy. – Umówić panią wstępnie?

– Nie, dziękuję, kotku. Zadzwońię do doktora w tygodniu, jeśli będziemy potrzebowali jego porady. – Vera odstawiła dziennik na półkę, pomachała trzem kobietom i wróciła do Joego, który nadal trzymał straż na korytarzu.

– No i?

– Miał wolne w oba popołudnia. W czwartek przed śmiercią Luke’a i w piątek przed zejściem Lily. W czwartek odwołał ćwiczenia zaplanowane na piątą.

– A więc miał sposobność – mruknął Ashworth. – Razem z pięćdziesięcioma procentami populacji północnego wybrzeża. Ale brak nam motywu. I powiązań. O ile wiemy, nawet nie znał ofiar.

Vera zamierzała odpowiedzieć, że mało ją to interesuje. Nie

polubiła faceta. Jednak nie chciała, żeby Ashworth zrobił jej wykład na temat obiektywizmu i niekierowania się emocjami, więc sobie odpuściła.

Na zewnątrz nadal panował upał. Studenci leżeli na trawnikach albo spacerowali w cieniu gotyckich budynków. Do następnego spotkania została im godzina i Verę dręczyło przekonanie, że tracą czas. Zadzwoiła do Kimmerston, ale niczego nowego się nie dowiedziała. Holly umówiła na popołudnie spotkanie ze współlokatorką Lily, a Charlie próbował wydostać jej dane z banku. Na następny dzień mieli zaplanowaną konferencję prasową, a miejscowym funkcjonariuszom kazali pytać przechodniów pod latarnią, czy czegoś nie widzieli. Konferencję poprowadzi rzecznik policji, co Verę bardzo cieszyło. W takich okazjach zawsze się czuła jak niedźwiedź na występach. Wyłączyła telefon.

– Kawa – rzucił Ashworth. – I bułka. Nie zdążyłem zjeść śniadania. – Wyczuwał frustrację szefowej i wiedział, że jak coś zje, przynajmniej na chwilę się wyciszy.

Vera pomyślała, że traktuje ją jak swoją córkę, próbuje rozproszyć jej uwagę, zanim dostanie ataku szału.

Posadził ją w cieniu parasola na krzesłach wystawionych na chodnik, a sam wszedł do środka. Kawiarenka znajdowała się w pobliżu uniwersytetu i wydawało się, że pełno w niej obijających się studentów. Do jej stolika szły dwie młode dziewczyny, więc łypnęła na nie wrogo z nadzieją, że je odstraszy. I wtedy je rozpoznała. To te ślicznotki z wykładu w audytorium, dla których Peter Calvert dał taki występ.

– Przepraszam – rzuciła. – Możecie się przysiąść. Już zabieram torbę z krzesła.

Popatrzyły na nią niepewnie. Jak na groźnego psa, pomyślała. Czy młodych już nikt nie uczy dobrych manier? Nie wiedzą, że należy być uprzejmym wobec starszych? Wtedy pojawił się Ashworth, cały w słodkich słówkach i uśmiechach, i Vera po raz kolejny uświadomiła sobie, dlaczego może na nim polegać.

– Pozwólcie, że postawię wam kawę – zaszczębiotał. –

Studentki, prawda? Pamiętam, jak to było. Zwłaszcza pod koniec roku, kiedy kredyt studencki się wyczerpywał.

Jedna z dziewczyn parsknęła śmiechem.

– Mnie się wyczerpał po pierwszym tygodniu.

– Ja pójdę – oznajmiła Vera i weszła do środka po dodatkowe kawy, żeby Joe opowiedział dziewczynom jakąś wciągającą historyjkę.

Kiedy wróciła, z tacą, wszyscy się śmiali. Joe też mógł być studentem, chociaż dobrze wiedziała, że nigdy nie postawiłby stopy na uniwersytecie.

Przedstawili się sobie. Śmieszne imiona z południa, które zapomniała już po pięciu minutach. Camilla? Amelia? Jemima? Nieistotne. Ashworth na pewno je zapisał.

– To Vera – powiedział. – Moja ciotka.

Popijały spienioną kawę i patrzyły na niego z politowaniem. Obowiązkowe wyjście, myślały. Może z okazji urodzin. A może prowadził ciotkę na wizytę lekarską do pobliskiego szpitala. Vera zacisnęła zęby, godząc się, żeby Joe ciągnął swoją grę.

– A więc studiujecie botanikę – kontynuował. – Mój kumpel to skończył kilka lat temu. Jak się nazywa ten wykładowca, ten sławny? Calvin?

– Peter Calvert. On tylko myśli, że jest sławny, ale od lat niczego nie opublikował.

– Nie lubicie go?

– To zbok. No wiesz, stary, a leci na młode laski.

– Taak, a wszyscy wiedzą, że ma żonę i dzieci. A wydawałoby się, że ktoś z jego pozycją zachowa więcej godności. Cały wydział go obgaduje. Ale niektóre dziewczyny mu się podkładają. No kapujesz, flirtują z nim, żeby dostać lepsze oceny.

– Tylko flirtują? – spytał Ashworth lekkim tonem. Jakby rzucał żarcik.

– Jezu, dziewczyna musiałaby być naprawdę zdesperowana, żeby posunąć się do czegoś więcej. Wyobrażasz sobie, że on cię dotyka? Aż się człowiekowi robi niedobrze.

– No ale jakieś plotki krążyły – wtrąciła druga. – Pamiętasz,

na początku semestru. Ktoś go widział za miastem z dużo młodszą panną. Ludzie zaczęli gadać, że ma romans ze studentką.

– Och? – mruknął Ashworth. Bez specjalnego zainteresowania. Tak z grzeczności. Moja szkoła, stwierdziła Vera.

– To pewnie tylko plotka – skwitowała studentka. – Nikt nie znał szczegółów. A bardzo się starałyśmy dowiedzieć, co jest grane. To znaczy, mógł być z kimkolwiek. Nawet ze swoją córką. Na pewno nie żadną z nas. Żadną z wydziału.

I dalej tak nawijały przy akompaniamencie bransoletek pobrzękujących na ich odsłoniętych opalonych rękach.

Joe wydawał się szczęśliwy, że do czasu spotkania z Clive'em Stringerem może wygrzewać się w słońcu, z lubością ściskając w dłoni kubek z wymarzoną kawą. Ale Vera się niecierpliwiła i była niespokojna.

– Spróbuję złapać Annie Slater, tę kobietę, która wpuściła współlokatorki w noc, kiedy Lily została zamordowana. Była jej opiekunem. I mieszkały przy tej samej ulicy. Spotkamy się w muzeum.

I zanim zdążył się sprzeciwić lub zaproponować, że z nią pójdzie, odeszła. Miała dosyć Joego Ashwortha w roli niańki. Czowała się jak nieposłuszny dzieciak, który zerwał się ze szkoły, i zastanawiała się, czy jej koledzy po fachu też czasami tak reagują. Znalazła Annie w pokoju wykładowców. Kobieta stała przed szafką z przegródkami i przeglądała stosik z pocztą. Współlokatorki Lily opowiadały o dzieciach opiekunki; Vera pomyślała, że Annie zajście w ciążę musiała odkładać do ostatniego momentu. Babka po czterdziestce, ale dobrze zakonserwowana. Kruczoczarne włosy krótko obcięte na pazia, bardzo mocna czerwona szminka. Wprowadziła Verę do małego biura i spojrzała na nią pochmurnie.

– Nie mam za dużo czasu. Za dziesięć minut zaczyna się zebranie.

– Będę się streszczać. Chcę tylko zadać kilka pytań na temat Lily Marsh.

– No tak – mruknęła. – Biedna Lily. Szok. Człowiek słyszy podobne historie, ale rzadko coś takiego zdarza się komuś, kogo znamy. – Vera stwierdziła, że kobieta całkiem nieźle ukrywa zaszokowanie. Wydawało się, że nadal jest pochłonięta jednym z listów, który trzyma w dłoni.

– Czy Lily miała zadatki na dobrą nauczycielkę?

Annie zawahała się i dopiero teraz skupiła się na rozmowie.

– Kompetentna, ale bez natchnienia. Ale to i tak więcej niż mogłabym powiedzieć o znacznej części studentów z jej grupy.

Ciężko pracowała, przygotowywała lekcje, dobrze odnosiła się do uczniów, ale nie sądzę, żeby wkładała w to całe serce. Nie potrafię jej sobie wyobrazić za dwadzieścia lat nadal w szkole.

– Czy kiedykolwiek sprawiała wrażenie przygnębionej lub zdenerwowanej?

– Niczego takiego nie zauważyłam, ale nawet gdyby coś ją szczególnie martwiło, pewnie i tak nie zwróciłabym uwagi. To krótki kurs i mamy mało czasu na indywidualny kontakt. Lepiej niech pani o tym porozmawia z jej przyjaciółmi.

Zrobię to, kotku. Tylko nie jestem pewna, czy jakichś miała.

– Jak to się stało, że praktyki nauczycielskie odbywała w Hepworth?

– Poprosiła o to. Podobno czytała raport kuratorium i stwierdziła, że dużo się tam nauczy. Podobało mi się, że z taką pasją podchodzi do nauczania, i dlatego postarałam się załatwić jej to miejsce.

– Jak jej szło?

– Cóż, kilka tygodni temu rozmawiałam z nauczycielką stamtąd. Mówiła, że Lily naprawdę bardzo się stara nawiązać kontakt z uczniami. Wcześniej odnosiłam wrażenie, że prowadzi lekcje trochę mechanicznie. Więc cieszyła mnie taka opinia.

– A wiedziała pani coś o jej życiu prywatnym?

Slater podniosła oczy na Verę, najwyraźniej zaskoczona pytaniem.

– Ależ skąd. Nie byłyśmy koleżankami ani się nie przyjaźniłyśmy. Nic w tym stylu.

– Mieszkałyście przy tej samej ulicy. Z jej współlokatorkami utrzymywała pani kontakt.

– To coś zupełnie innego. Z Emmą łączą mnie więzy rodzinne.

Poruszałyście się w innych kręgach. Vera na kilometr wyczuwała snobizm. I może to kazało jej drążyć temat.

– Więc nie słyszała pani żadnych plotek o tym, że Lily wdała się w romans z jednym z tutejszych wykładowców?

– Nie słucham uniwersyteckich plotek, pani inspektor. – Co

nie było żadną odpowiedzią. Kobieta opuściła wzrok na list, dając sygnał, że Vera powinna już sobie pójść.

Vera spotkała się z Joem przed Muzeum Hancocka. Musieli zaczekać, aż rodzice i nauczyciele zagonią do środka grupę dzieciaków z podstawówki. Na wystawę dinozaurów – zrekonstruowanych szkieletów, ruchomych modeli. Afisze wisiały w całym mieście; głowy tyranozaurów straszyły z reklam na autobusach, w metrze i na sklepowych witrynach. Dzieci były zadziwiająco spokojne, onieśmiałe wyglądem budynku i myślą o wielkich bestiach – do Newcastle zawitał Park Jurajski.

Vera i Ashworth weszli za wycieczką i rozkoszując się panującym w muzeum chłodem, czekali w lobby na Clive’a Stringera.

– Świetna sprawa, nie sądzicie? – rzucił Ashworth, patrząc za dziećmi, które powoli zniknęły w galerii. – Zaszczepianie wiedzy w takich maślach.

Zaczekaj jeszcze kilka lat, pomyślała Vera, a sam będziesz tu przyprowadzał swoje pociechy.

– Czy ja wiem. – Clive zamrugnął niepewnie zza szkieł w grubych oprawkach. – Raczej nie mam kontaktu ze zwiedzającymi.

Jego królestwo znajdowało się za drewnianymi drzwiami na kartę magnetyczną. Było tam kilka wysokich pokoi zastawionych rzędami zakurzonych gablot. W środku kręciła się garstka innych członków personelu. Clive zaprowadził gości do pracowni. Przypominała pomieszczenie w Wansbeck General, gdzie John Keating przeprowadzał sekcję zwłok Lily Marsh. Centralne miejsce zajmował podłużny stół z głębokimi zlewami na jednym końcu, w powietrzu unosił się odór chemikaliów i śmierci. Ale tutaj wszystko było starsze, drewno i emalia zamiast stali nierdzewnej, i nie sprawiało wrażenia sterylnej czystości. Okna pokrywała taka warstwa brudu, że światło musiało się przez nie dosłownie przesączać.

Na blacie leżało truchło biało-czarnego ptaka. Obok skalpel,

waciki, małe metalowe miski. Inny rodzaj sekcji.

– Czy to nie jest mała alka?

– Tak. Jednoroczna. Zdmuchnęło ją w głąb łądu w listopadzie. Została znaleziona martwa w ogrodzie w Cramlington. Przyniósł ją właściciel ogrodu. Trzymałem ptaka w zamrażarce, ale teraz chcę go już spreparować. – Spojrzał na Ashwortha, który wyraźnie nie rozumiał, o co chodzi. – Zdejmujemy skórę do celów naukowych, nie na wystawę. Będzie trzymana tutaj w muzeum jako eksponat dla studentów i naukowców.

Ojciec Very też zajmował się taksydermią, tyle że amatorsko. Preparował ptaki na kuchennym stole w Old Station Master's House. Ale nie robił tego w celach naukowych, chociaż twierdził, że interesuje go wyłącznie aspekt badawczy. Już wtedy się okłamywał. Wypychał gatunki z wrzosowisk, najczęściej ptaki padlinożerne, trofea myśliwych. To też w jakimś sensie była sztuka, myślała Vera. Potem taka działalność stała się nielegalna, ale ojcu to nie przeszkadzało. Co więcej, wypychanie sprawiało mu jeszcze większą przyjemność. Był też kolekcjonerem jaj. Kiedy umarł, Vera spaliła całą kolekcję; urządziła wielkie ognisko w ogrodzie. Popijając ulubioną whisky słodową, stwierdziła, że nie odczuwa żadnego żalu. Ogarniała ją jedynie ulga, że ojca już nie ma.

– Jak długo pan tu pracuje? – zainteresował się Ashworth.

– Od ukończenia liceum.

– Nie trzeba mieć studiów, żeby coś takiego robić?

– Zaczynałem jako stażysta. – Umilkł na chwilę. – Dopisało mi szczęście. Peter znał kuratora i szepnął mi za mną słówko.

– Mówi pan o doktorze Calvercie?

– Tak.

– Od dawna się znacie?

– Mhm. Szkolił mnie, gdy zająłem się obrączkowaniem.

Miałem wtedy piętnaście lat.

– Obrączkowaniem?

– Chodzi o badania nad migracją. Łapie się ptaki w siatki i zakłada na nogi metalowe obrączki. Jeśli ptak znów wpadnie w

siatkę lub ktoś go znajdzie martwego, można określić, gdzie i kiedy został po raz pierwszy zaobrączkowany.

– I pan Parr oraz pan Wright też się tym zajmują? Tak się poznaliście?

– Teraz już mniej obrączkujemy. Tylko ja jestem regularnym bywalcem obserwatorium w Deepden, ale i tak rzadko tam jeżdżę. Reszta ma inne zajęcia. Bardziej ekscytujące. Ale nadal się przyjaźnimy. I wciąż razem obserwujemy ptaki.

– Także morskie? – Vera po raz pierwszy włączyła się do rozmowy.

Clive posłał jej coś w rodzaju uśmiechu.

– To pasja Gary’ego. W określonych porach roku potrafi godzinami tkwić na ambonie. Lubi się lenić, więc dobrze znosi chwile bezczynności. Twierdzi, że wyczekiwanie na ptaki to coś jak medytacja.

– Piątkowe odkrycie zwłok to musiał być szok.

– Zgadza się.

– Ale chyba nie dla pana, bardziej dla pozostałych – zauważyła Vera. – Pan ma na co dzień do czynienia ze zwłokami.

– Owszem, ale ptaków i zwierząt, nie młodych dziewczyn.

– Faktycznie. Nie młodych i atrakcyjnych dziewczyn. – Na chwilę zamilkła. – A pan ma dziewczynę, panie Stringer?

Kiedy go pierwszy raz zobaczyła w Mill, wyglądał jej na przerośniętego, przedwcześnie łysiejącego licealistę. Teraz się zaczerwienił i to wrażenie wróciło. Aż Verze zrobiło się go żal.

– Nie – odparł. – Nie mam.

– Jest pan gejem?

– Nie.

Patrzyła na niego, czekając na wyjaśnienia.

– Niełatwo nawiązuje kontakt z kobietami – wyznał wreszcie. – Jestem nieśmiały. I nie prowadzę bujnego życia towarzyskiego. Mieszkam z matką. Owdowiała, kiedy byłem dzieckiem, i często choruje. Zostałem jej tylko ja.

Vera miała ochotę powiedzieć, żeby zaczął wychodzić i korzystać z życia, póki jeszcze czas. Ale to nie jej sprawa.

– A doktor Calvert ma dziewczynę?
Clive obrzucił ją oburzonym spojrzeniem.

– Nie rozumiem.

– Mówię o kochance. O romansie.

– Oczywiście że nie. Peter jest żonaty, z Felicity.

– Może to pana zdziwi, kotku, ale zdarza się, że żonaci mężczyźni dopuszczają się zdrady.

– Nie Peter. Widziała ich pani. Są ze sobą szczęśliwi.
Dobrze odgrywają swoje role, sprostowała w myślach. A to nie to samo.

Uśmiechnęła się do Stringera.

– W porządku – mruknęła. – Może i racja. – Skinęła w stronę Ashwortha, żeby przejął pałeczkę.

– Pracował pan w zeszły czwartek?

– Tak, do wpół do piątej. Zaczynam o ósmej i kończę o czwartej, ale najczęściej zanim się zbiorę, mija z pół godziny.

– Co pan robił później?

– Poszedłem do domu. Po drodze wstąpiłem do supermarketu. W piątek wieczorem wychodziłem do Petera, więc chciałem kupić coś na zapas dla matki. Zjedliśmy obiad. Matka wcześniej się kładzie. Około dziewiątej. Potem założyłem słuchawki i oglądałem telewizję. Dokument o lasach tropikalnych. Matka zazwyczaj zaczyna rozmowę, kiedy oglądam programy, które jej nie interesują.

– I nie opuszczał pan domu?

– Nie.

– Bardzo dokładnie pamięta pan, co robił tamtego wieczoru.

– Mam dobrą pamięć. Jak już wspominałem w piątek, dobrze zapamiętuję detale.

– Prowadzi pan samochód?

– Potrafię. Zrobiłem prawo jazdy, ale nie lubię jeździć. Zawsze wyobrażam sobie, co złego może się wydarzyć. Poza tym żał mi środowiska. Emisja gazów cieplarnianych. Kilka lat temu zdecydowałem, że obejdę się bez samochodu. Publiczny transport do centrum działa całkiem sprawnie. Zresztą mam rower.

Vera widziała, że Stringer czuje się nieswojo. Pomimo że w sali było mroczno i chłodno, zaczął się pocić. Nerwowo kręcił skalpelem na stole. Upomniała się, że nie powinna się spieszyć z wnioskami. Prawdopodobnie już dawno z nikim nie prowadził tak długiej rozmowy, nie licząc matki. W towarzystwie robił pewnie wyłącznie za słuchacza. Postanowiła przyjąć lekki ton, prawie plotkarski. Matka faceta z pewnością lubiła sobie poplotkować.

– Czy Gary opowiadał panu o swojej nowej dziewczynie?

Ta zmiana tonu chyba go zaskoczyła i trochę potrwało, zanim się odezwał.

– Tak, mówił nam o niej – umilkł. – Ale to nie nowość. W jego życiu ciągle pojawiają się kolejne dziewczyny. Szaleje za każdą. Przez jakiś tydzień. Ale żadna nie zostaje.

– Twierdził, że tym razem jest inaczej – zauważyła Vera.

Znowu uśmiechnął się tak, jakby na uśmiech pozwalał sobie raz na pół roku.

– On zawsze tak gada. Od czasów Emily ciągle szuka kogoś, kto ją zastąpi.

– Emily?

– Byli zaręczeni. Rzuciła go.

– Poznał pan Julie, jego ostatnią przyjaciółkę?

– Nie. Nie zabiera mnie na swoje randki.

– Chłopak, który został zamordowany, był jej synem – wyjaśniła Vera. – Został uduszony tak jak Lily Marsh.

– Przykro mi to słyszeć.

– Przypuszczam, że nie zna pan rodziny o nazwisku Sharp – spytała, choć raczej nie spodziewała się twierdzącej odpowiedzi.

– Davy Sharp mieszka przy naszej ulicy. Kiedy nie siedzi w więzieniu.

– Poznał pan chłopaka, Thomasa?

– Widywałem go. Matka czasami się nim opiekowała, kiedy był mały. Miała do niego słabość. Siedział u nas, kiedy wracałem z pracy. Oczywiście nie ostatnio. Nigdy nie dojrzał na tyle, żeby sam o siebie zadbać.

– Pana matce musiało być smutno, kiedy zginął.

– Tak, poszliśmy nad rzekę. Widziała kwiaty na wodzie w wiadomościach i chciała to zobaczyć na własne oczy. Pożegnać się.
– Znowu chwila ciszy. – Ale nie było na co patrzeć. Kiedy tam dotarliśmy, odpływ zabrał już wszystko do morza.

Siedzieli w milczeniu. Przez otwarte okno słyszeli wycie syreny i podniesione głosy.

– Proszę nam coś opowiedzieć o swoich kolegach – odezwała się w końcu Vera. – O Garym, Peterze i Samuelu. Przyjaźnicie się, prawda? Tylko że niewiele was łączy. Oprócz ptasiarstwa.

– Jesteśmy sobie bliscy. Jak rodzina.

– Pan i Gary jesteście jak bracia, a Samuel i Peter jak mama i tata?

– Proszę nie opowiadać bzdur!

Wiedziała, że przeciąga strunę, ale chciała się przekonać, czy facet wreszcie straci nad sobą panowanie. Wydawał się bardzo rozgorączkowany.

– Okej, no więc tak naprawdę nie jesteście jak rodzina. Proszę wyjaśnić, dlaczego tak dobrze się dogadujecie, co was przy sobie trzyma tyle lat. – Naprawdę ją to interesowało. Nie wiedziała, co sądzić o przyjaźni. Miała znajomych, ludzi, obok których dorastała, którzy mieszkali blisko niej w dolinie. Ale nikogo, wobec kogo czułaby się w jakiś sposób zobowiązana, dla kogo musiałaby się poświęcać. Uważała, że przyjaźń to broń obosieczna. Można skończyć, dając więcej, niż się dostaje.

– Częściowo chodzi o ptasiarstwo – odparł. – Ludzie z zewnątrz tego nie rozumieją. Uważają nas za dziwaków, nudziarzy. Ale to nie wszystko. Chociaż bardzo się różnimy, ufamy sobie. Wspieramy się nawzajem.

Vera cicho zachichotała.

– Ech, kotku, zupełnie się pogubiłam. To mi brzmi jak jakaś łzawa historyjka z pism kobiecych.

Wzruszył ramionami.

– Nie oczekiwałem, że pani zrozumie.

– A co z piątkiem? – wtrącił się Ashworth. On też sprawiał wrażenie, jakby irytowały go uwagi i pytania Very. Nie zamierzał

tkwić tu cały dzień. – Co pan robił, zanim pojechał pan na kolację w Fox Mill?

– Spotkałem się na lunchu z Peterem.

– Kolejna urodzinowa uroczystość?

– Nie, nic z tych rzeczy. Widujemy się w prawie każdy piątek. Razem wypijamy piwo, jemy po kanapce i tyle. W czasach, kiedy częściej zajmowaliśmy się obrączkowaniem, właśnie tak zaczynały się nasze weekendy. Mam elastyczny czas pracy, więc mogłem się wcześniej zwalniać. Po lunchu Peter podwoził mnie na wybrzeże do obserwatorium. Reszta dojeżdżała później. Teraz już tak często się nie spotykamy, ale wciąż, kiedy możemy, wyskakujemy sobie na lunch.

Vera ze smutkiem pomyślała, że dla Stringera to był zapewne najprzyjemniejszy moment w całym tygodniu. Lunch z podstarzałym egocentrycznym kolegą, któremu zależało tylko na podziwie ze strony słuchacza.

– W jakim nastroju był doktor Calvert?

– W dobrym. Jak zawsze. Z niecierpliwością czekał na weekend.

– O czym rozmawialiście?

– Nie bardzo pamiętam...

– Och, przecież ma pan doskonałą pamięć. Do szczegółów. To pana mocna strona.

– Peter pisze książkę. O tym rozmawialiśmy.

– A po lunchu?

– Pojechałem do domu, żeby posiedzieć z matką.

– A doktor Calvert? – zapytał Ashworth. – Dokąd poszedł?

– Wrócił na uczelnię. Przynajmniej tak mi się zdaje. Nie mówił, ale odszedł w stronę uniwersytetu.

– Jak się pan dostał do Fox Mill?

– Gary mnie podwiózł.

– Przyjechał po pana do domu?

– Nie, miał jakieś opóźnienie i jechał prosto z pracy, więc umówiliśmy się na mieście. Dotarłem tam metrem. – Znowu sięgnął po skalpel, obrócił ciało martwego ptaka, przeciągnął

palcem po czaszce. – Przykro mi, ale powinienem się do tego zabrać. Chociaż przyznam, że nie rozumiem tych pytań. Byłem w miejscu, gdzie znaleziono ciało. To wszystko. Nie znałem ofiary.

Vera obejrzała się na Ashwortha, czy ten chce jeszcze coś dodać. Pokręcił głową.

– Więc na tym skończymy – oznajmiła. – Na razie.

– Wyprowadzę państwa. – Clive oderwał wzrok od alki i pierwszy wyszedł na korytarz, gdzie w promieniach słońca wpadających przez podłużne okna wirowały drobiny kurzu. Otworzył drzwi oddzielające obszar personelu od strefy publicznej i zawahał się, jakby nie miał ochoty pójść dalej. Vera też się zatrzymała i popatrzyła mu w oczy.

– Powiedziałyby nam pan, gdyby podejrzewał któregoś z kolegów o dokonanie tych zabójstw?

Odpowiedział natychmiast.

– Oczywiście że nie. Ufam im. I wiem, że gdyby zrobili coś tak strasznego, musieliby mieć ku temu poważne powody.

Odwrócił się i odszedł, a Vera i Joe patrzyli za nim zastygli w oniemieniu.

Felicity wracała do domu z ogródka, niosąc cedzak z fasolką. Pomyślała, że za dużo jej zerwała. Na kolacji będą sami; James umówił się z kolegą. W kuchni ogarnął ją nagły niepokój – wyobraziła sobie, jak siedzą z Peterem po przeciwnych stronach stołu i jedzą. Nie miała pojęcia, o czym mogliby rozmawiać. Wyobraziła sobie też, że siedzi z nimi Lily Marsh. Duch ładnej studentki, który klinem wdzierał się w ich małżeństwo.

To nedorzeczne, że tak się przejęła śmiercią obcej osoby. Wmawiała sobie, że nie powinna histeryzować. Ale to życie, które od tylu lat starała się tworzyć – dom, ogród, szczęśliwa rodzina – nagle wydało jej się niezwykle kruche. W wyobraźni widziała, jak pani inspektor Stanhope je niszczy swoim donośnym, natarczywym głosem, swoimi wielkimi stopami i potężnymi dłońmi, którymi wali w stół. Swoimi pytaniami. Vera wszystko zniszczy.

Zerknęła na zegar na ścianie. Zamiast cyfr miał obrazki z ptakami. Słodkie trele ogłaszały nadejście pełnej godziny. Śmieszny prezent od Clive'a na któreś urodziny Petera. Nienawidziła tego zegara, ale mąż się uparł, żeby go powiesili. Dochodziła druga. Do powrotu Petera zostały co najmniej cztery godziny. Pobieгла na górę, przebrała się ze spodni w sukienkę, pomalowała szminką usta i skropiła się perfumami. Zanim strzyżyk skończył świergotać, chwyciła kluczyki samochodowe ze stolika w przedpokoju i prawie biegiem wypadła na ulicę.

Nigdy nie odwiedzała Samuela w pracy. Nie była nawet pewna, gdzie go ma tam szukać. Za to świetnie wiedziała, że nie będzie zadowolony z tego niezaplanowanego spotkania. Podzielił swoje życie na oddzielne przegródki. Nie mogła jednak siedzieć w domu i się zamartwiać. Dotąd nigdy niczego od niego się nie domagała. Zrozumie, że nie dała rady znieść presji.

Jechała prostą wąską szosą. Niecierpliwiła się, kiedy musiała zwolnić, bo drogę zajechał jej traktor. Samochód był stary, bez

klimatyzacji, więc opuściła szyby. Słońce paliło ją w ręce i barki. W mieście zaparkowała na ulicy obok biblioteki. I przez chwilę siedziała nieruchomo, myśląc, że ta cała wyprawa to potworny błąd. Samuel nie jest głupi. Gdyby uważał, że powinni się spotkać i ustalić strategię, na pewno by to zaproponował. Jej przyjazd uzna za niemądre, nieprzemyślane działanie. W końcu jednak pragnienie, żeby go zobaczyć, zwyciężyło nad rozsądkiem. Zresztą należała do biblioteki. Miała prawo się w niej pokazać.

W środku było chłodniej niż na dworze. Przy stanowiskach z komputerami siedziała para studentów i starszy mężczyzna. Za kontuarem tkwiła chuda, niechlujna dziewczyna w pogniecionych lnianych spodniach i białej wymiętej bawełnianej bluzce. Napotkała spojrzenie Felicity i uśmiechnęła się do niej. Wyglądała znajomo. Felicity przemknęło przez myśl, że to może być córka jednego ze znajomych z klubu czytelniczego.

To właśnie on połączył ją z Samulem. Należała do klubu od roku i uwielbiała jego członków. Lubiała podekscytowanie towarzyszące poznawaniu nowych książek. Namówiła Samuela, żeby wygłosił dla nich prelekcję. Prawdziwy pisarz. Klubowicze przeczytali wcześniej jego ostatnio wydaną antologię i nikt nie miał pojęcia, co powinni o niej sądzić. Te opowiadania są okropnie przygnębiające, mówili. Dobrze skonstruowane, ale zawile i przerażające. Jedna z kobiet twierdziła, że po nich śniły jej się koszmary. Ogólnie wszyscy woleli szczęśliwe zakończenia. Ale gdy ich odwiedził, mieli już pozytywniejsze nastawienie. Posadzili go w szerokim fotelu przed kominkiem. Spotkanie urządzili w domu postawnej obrotnej kobiety, która pracowała jako fizykoterapeutka. Jej mąż był chirurgiem. Ich salon robił wrażenie. Zielone ściany pokryte obrazami, potężne stare meble. Był luty i gospodyni starannie zaciągnęła zasłony, żeby powstrzymać chłód wsączający się przez szpary w oknach. Publiczność składała się z samych kobiet. Piły białe wino z wysokich kieliszków. Samuel je oczarował, rozmawiał z nimi tak, jakby niezwykle cenił sobie ich opinie. Rozprawiał o strukturze opowiadań. W tych czasach ludzie mają obsesję na punkcie

bohaterów, perorował. Bohaterowie są ważni, to oczywiste, ale każdy może dość wiernie odtworzyć postaci podobne do siebie lub znajomych. Jego bardziej interesowały idee. Ich tematyka odzwierciedlała się w konstrukcji fabuł jego dzieł. Nie tyle chodziło mu o to, żeby oddać rzeczywistość, ale żeby stworzyć świat, w którym możliwe są najmniej spodziewane wydarzenia.

– To sposób na zabawę w Boga – wyjaśniał.

Jedna z kobiet zapytała wtedy, czy to znaczy, że jest bardziej poetą niż pisarzem. Uśmiechnął się zachwycony i odparł, że to całkiem możliwe. To wszystko trochę przerastało Felicity. Martwiła się, o czym będą rozmawiali, kiedy zostaną sami.

– Ale czy nie zarobiłby pan więcej, gdyby pan pisał powieści?

– To pytanie padło z ust jakiejś farmerki, zachłannej czytelniczki, która jednak nie rozumiała literackiego snobizmu. Nigdy nie zaglądała do recenzji i list nagród literackich.

Zapadła chwila milczenia. Reszta kobiet obawiała się, że Samuel mógł się poczuć urażony. Ale najwyraźniej również to pytanie sprawiło mu przyjemność.

– Gdybym zajął się powieściami, wydałoby się, że nie jestem aż tak dobrym pisarzem – odparł. – Nie potrafię napisać więcej niż pięć tysięcy słów za jednym razem. – Popatrzył na Felicity jak na współnika zbrodni. Na jego twarz padł blask ognia z kominka.

Kobiety w pokoju wybuchnęły śmiechem. Nie dało się ukryć, że są Samuelem zachwycone.

To ona przywiozła go na spotkanie klubu i również ona miała go odwiedzić. W samochodzie zaproponował, żeby wpadli gdzieś na drinka.

Zgodziła się. Czowała, że powinna, w ramach wdzięczności za prelekcję. W pubie panował tłok i gwar; w zwykłych okolicznościach żadne z nich nie wybrałoby takiego miejsca. Możliwe, że wylądowali w nim, bo było anonimowe. Usiedli w ciemnym rogu przy małym stoliku.

Wyznanie padło niespodziewanie. Samuel ujął jej dłonie w swoje ręce i powiedział, że chyba ją kocha. Z początku nie wierzyła, że mówi serio. Sądziła, że żartuje. Słyszał z tego, że lubi

robić kawały. Dodał, że nic z tego nie wyjdzie. Bo przyjaźni się z Peterem. Wtedy zrozumiała, że jest śmiertelnie poważny, i poczuła się dowartościowana. I poruszona. Co za szlachetny i honorowy mężczyzna! Na parkingu przed pubem, skąd rozciągał się widok na nagi stok wzgórza, przyciągnęła go do siebie i pocałowała. Włosy i kurtkę miał wilgotne od mgły.

Później, przed jego domem, zapytała: „Nie zaprosisz mnie na kawę?” Doskonale wiedziała, co robi. Już się zastanowiła, jakie ma na sobie majtki i że rano goliła nogi. Wahał się dłużej, niż się spodziewała. Możliwe, że łączyła go z Peterem aż tak silna przyjaźń, że był skłonny odmówić. Ale w końcu skinął głową i otworzył jej drzwiczki samochodu. Kiedy już weszli do mieszkania, wziął ją za rękę. To wydarzyło się pięć lat temu. Zostali wtedy kochankami i byli nimi do teraz. Cały czas pamiętali o dyskrecji. Dzwonili do siebie tylko wtedy, kiedy się upewnili, że nikt ich nie podsłucha. Pisali maile, których żadna niepowołana osoba nie mogła przeczytać. Spotykali się kilka razy w miesiącu, zazwyczaj w jego schludnym małym domku w Morpeth. Te spotkania w niczym nie przypominały ich wspólnych przyjacielskich wypadów, do teatru lub na balet, całkowicie pozbawionych intymności.

Mimo to nawet po tak długim czasie Felicity nie traktowała ich relacji jak romansu. Bo nie było w tym nic romantycznego – żadnych kwiatów, prezentów czy kolacji przy świecach. Zdawała sobie sprawę, że Samuela zżera nieustające poczucie winy. Po pierwszym spotkaniu już ani razu nie mówił o miłości. A jej nawet przez myśl nie przeszło, żeby porzucić Petera. Była potrzebna mężowi. Rozkosz i ekscytację, jakie odczuwała dzięki Samuelowi, traktowała jako wynagrodzenie za to, że utrzymuje nudne pozbawione przygód małżeństwo, że ciągle odtwarza widowisko zatytułowane *Szczęśliwa rodzinka Calvertów*. Na ogół kobiety inaczej patrzą na te sprawy, ale nie widziała powodu, żeby oni wszyscy nie mogli się nadal przyjaźnić. Tak myślała przynajmniej do chwili, aż do jej życia wpakowała się Vera z tymi swoimi pytaniami.

Teraz Felicity błędziła między regałami bibliotecznymi, jakby

szukała czegoś dobrego do czytania. Nigdzie nie zauważyła Samuela, co jednak nie znaczyło, że nie ma go w pracy. Zajmował stanowisko kierownika, więc jego biuro prawdopodobnie znajdowało się za jakimiś drzwiami z napisem „Wstęp tylko dla personelu”. Mógł być tam albo na zebraniu z pracownikami, a może pojechał do jednej z hurtowni dla bibliotek, żeby wybrać nowe książki. Często, kiedy przed rozstaniem popijali herbatę w jego małym domku w Morpeth, prosiła, żeby opowiadał jej o swojej pracy. Fascynowały ją szczegóły dotyczące zawodów innych ludzi. Kiedy popołudniami leżała w kąpeli, wyobrażała sobie, jak Samuel pracuje za biurkiem lub w charakterystyczny dla siebie zwięzły i autorytatywny sposób prowadzi zebranie z podwładnymi. Ekscytowało ją, że żaden z pracowników nigdy by się nie domyślił, co szef robi w wolne dni.

Już się szykowała, żeby zapytać dziewczynę przy kontuarze, czy Samuel jest na terenie biblioteki, kiedy właśnie wyłonił się zza drzwi z tabliczką „Wstęp tylko dla personelu”. Niósł aktówkę i wyglądało na to, że wychodzi gdzieś na zewnątrz. Miał na sobie rozpiętą pod szyją koszulę i jasną płócienną marynarkę. Pomyślała, że to z powodu pogody. Zwykle, kiedy się spotykali, już po jego pracy, był zawsze pod krawatem. Dobrze się ubierał; zależało mu na tym, jak się prezentuje. Początkowo jej nie zauważył. Uśmiechał się do młodej pracownicy za kontuarem. Felicity poczuła nieprzyjemne ukłucie w okolicy serca, które dopiero po chwili rozpoznała jako oznakę zazdrości. Zaczęła się zastanawiać, czy Samuel w wolne popołudnia zabiera do siebie do domu również inne kobiety.

Wtedy się odwrócił i ją dostrzegł. W żaden sposób nie pokazał po sobie, że się znają. Zwrócił się do dziewczyny:

– Jadę do Berwick. Będę tam do końca dnia. Jeśli ktoś zadzwoni, powiedz, żeby skontaktował się jutro. To ważne zebranie i nie chcę, żeby mi przeszkadzano.

Felicity dogoniła go na zewnątrz. Szedł chodnikiem do swojego auta. Gdyby za nim nie pobięła, prawdopodobnie odjechałby, nie dając jej szansy, żeby z nim porozmawiała.

– Wybacz, Samuelu, ale musiałam się z tobą zobaczyć.

Zapewne słyszał jej kroki za sobą, a mimo to udał zaskoczenie.

– Ale ja naprawdę spieszę się na zebranie w Berwick. – Zmarszczył czoło. Wydawał się raczej zdenerwowany niż niezadowolony.

– Zajmę ci tylko dziesięć minut. – Teraz, kiedy już przed nim stała, nie wiedziała, czego tak naprawdę od niego chce. Chyba zapewnienia, że wszystko będzie jak dotąd.

Zgodził się na spotkanie w Little Chef na A1 i już tam siedział, kiedy dotarła na miejsce. Udawał, że uważnie studiuje menu. Nawet jeszcze zanim do niego podeszła, wyczuła, że jest wystraszony, że potrzebuje pokrzepienia bardziej niż ona. Restauracja świeciła pustkami. Przez otwarte okna do środka wlewał się hałas z ulicy. Zamówili herbatę u miłego młodego kelnera, po czym wlepili w siebie spojrzenia.

– Ty coś wiesz – wypaliła nagle. – O tej dziewczynie. O Lily. Spotykaliście się?

– Nie. Ależ skąd! – Mówił jednak zaczepnym tonem, zupełnie jak nie on, nie ten zawsze opanowany Samuel. Bo nie chodziło o jedno z jego opowiadań. Nie mógł ułożyć fabuły tak, jak by chciał.

– W takim razie wiesz coś o tym chłopaku. Luke’u Armstrongu. Słyszałeś o nim?

– Wydaje mi się, że Gary spotykał się z jego matką. Tą kobietą, o której opowiadał. Nazywa się Armstrong. Pamiętam, mówił, że ona ma syna. Pewnie dlatego policja się nami interesuje. Szukają powiązań.

– Powiedziałam pani inspektor, że Gary widywał się z kobietą o imieniu Julie. I że on na pewno nikogo by nie zabił!

– Wiadomo, że nie, ale policja i tak nie zostawi nas w spokoju. Oni nie wierzą w zbiegi okoliczności.

Felicity pomyślała, że ona sama prawie w ogóle nie ma związku z tą sprawą. Kobieta o nazwisku Armstrong, która miała syna. Ilu Armstrongów jest w książce telefonicznej? Samuel wiedział więcej, niż chciał ujawnić.

Wrócił kelner. Kiedy stawiał tacę na stole, herbata ułała się z filiżanek. Chłopak zamarł. Spodziewał się, że go ofukną, poskarżą się, ale oni siedzieli w milczeniu, czekając, aż odejdzie.

– Bałam się, że ta wścibska policjantka dowie się o nas – zaczęła Felicity.

– Niby jak? – prychnął, ale nie ulegało wątpliwości, że on też o tym myślał.

Możliwe, że dlatego był taki spięty, taki niepodobny do tego kulturalnego, pewnego siebie mężczyzny, jakiego dotąd znała.

– Zastanawiałam się, czy nie powinniśmy jej powiedzieć, w tajemnicy. Wtedy zrozumie, że nie mamy nic wspólnego z tą zamordowaną dziewczyną.

– Przecież nie mamy! – rzucił ze zniecierpliwieniem.

Wyobraziła sobie, że właśnie takim tonem zwraca się do niezdarnych asystentek w bibliotece. Do oczu napłynęły jej łzy.

– My to wiemy. – Starła się mówić rozsądnie. – Ale Lily Marsh zjawiała się w Fox Mill na dzień przed tym, jak została zamordowana. Policja pewnie już wyciągnęła z tego wnioski, ułożyła scenariusz wydarzeń. Na przykład, że się wtedy spotkaliśmy, a ona nas widziała. To mógłby być dla nas motyw, żeby ją zabić.

Sądziła, że on znowu zareaguje złością, ale tylko się uśmiechnął.

– Powinnaś pisać powieści – mruknął. – Masz wybujałą wyobraźnię. Byliśmy wtedy razem? Ale nie po południu. Cały czwartek spędziłem w pracy. Najpierw selekcja książek, potem zebranie kierowników. Mogę to udowodnić. Spotkaliśmy się dopiero wieczorem, żeby pójść do teatru. Poza tym, kiedy ta dziewczyna przysłała do was, w domu był James.

– Tak – potwierdziła. – Był.

Samuel rozejrzał się po restauracji – żadnych gości. Kelnerzy pogrążeni w rozmowie stali przy ladzie. Sięgnął nad stołem i wziął Felicity za rękę.

– Jakim cudem ktoś miałby się o nas dowiedzieć? Zachowywaliśmy się tak ostrożnie. I nie chciałbym, żeby

cokolwiek się wydało. Wyszlibyśmy na niegodziwców. Nikt by nas nie zrozumiał. – Zabrał rękę i odchylił się na oparcie krzesła. Potem mówił tak cicho, że ledwie wyłapywała słowa. – Nie zniósłbym, gdyby to dotarło do Petera. Chybabym umarł.

Kiedy skończyli z Clive'em Stringerem, Vera odesłała Joego do domu. Widziała, że chłopak niepokoi się o ciężarną żonę i córeczkę. Ale ją samą nosiło. Zajechała do komisariatu w Kimmerston i jak poparzona biegała po całym budynku, domagając się działań i odpowiedzi. Holly już wyszła, jednak Charlie nadal był na służbie, zgarbiony nad biurkiem gapił się w ekran komputera. Z jego kosza wysypywały się śmieci – puste puszki po coli, kartony po hamburgerach, zatłuszczone torebki po chipsach. Przypomniała sobie, że ktoś jej mówił, że niedawno żona rzuciła go dla młodszego. Tak jak Vera, pewnie nie miał po co wracać do domu.

– Na wyciągach z konta bankowego Lily Marsh nie znalazłem niczego niezwykłego – poinformował. – W tym roku miała nieco większe dochody, bo dostali grant na ten kurs dla nauczycieli, mimo to nie przekraczała limitu kredytu studenckiego. Żadnych tajemniczych wpływów, sugerujących, że mogła mieć nadzianego chłopaka. Pensję ze sklepu odzieżowego dostawała bezpośrednio na konto, ale to nie była żadna fortuna. Trochę powyżej minimalnej płacy. – Umilkł na chwilę. – Coś jednak zwróciło moją uwagę. Nie wiem, jak opłacała czynsz. Nie robiła tego ani czekiem, ani za pośrednictwem stałego zlecenia. Nie odnotowałem też regularnych wypłat gotówki.

– Może miała jeszcze jedno konto – odpowiedziała Vera. – W kasie mieszkaniowej. Internetowe. Trzeba przejrzeć dokumenty, które znaleźliśmy w jej mieszkaniu. Zajmij się tym, Charlie. Żyła ponad stan. Powinna tonąć w długach. Ale nie tonęła. Coś tu nie pasuje. – I wymaszerowała z pokoju, nie dając mu szansy na sprzeciw.

Postanowiła wrócić do domu, choć doskonale zdawała sobie sprawę, że kiedy tylko tam dotrze, znów zacznie pić. Była w takim nastroju. Duża whisky przed kolacją, a potem już jazda w dół. Mijając skręt na Morpeth, zdecydowała, że zajrzy do Samuela

Parra. Widziała ich tamtego dnia. Całą grupę. Czterech ptasiarzy. Twierdzili, że nie mają nic wspólnego z zabójstwami, oprócz tego, że byli przy tym, jak znaleziono zwłoki. Jej jednak coś podpowiadało, że prawda wygląda inaczej. Gary zakochany w matce Luke'a Armstronga. Clive, który w przeszłości miał kontakt z najlepszym przyjacielem Luke'a. I Peter Calvert, wykładowca na uczelni, gdzie studiowała Lily Marsh. Małe społeczności to norma na północnym wschodzie kraju. Tutaj wszyscy są ze sobą jakoś powiązani. Zawsze tak było i będzie. Więc może przesadzała, mimo to nie zamierzała przymknąć oka na te zbieżności. I jak w to wszystko wpasowywał się Samuel Parr?

Wyglądało tak, jakby niedawno wrócił. Kiedy nacisnęła dzwonek na ścianie jego małego domku z kamienia, otworzył od razu. Stał w holu. Może dopiero co zamknął za sobą drzwi. U stóp schodów stała aktówka. Miał na sobie płócienną marynarkę, lekko pogniecioną.

– Przychodzę nie w porę? – spytała.

Samuel Parr – pomniejszy miejscowy celebryta. Sprawdziła go. Jego opowiadania puszczano w Radio 4. Został odznaczony Orderem Imperium Brytyjskiego za działania na rzecz ludności w bibliotekarstwie. Uznała, że lepiej, jeśli okaże mu nieco szacunku. Przynajmniej na początku.

– Ależ skąd, pani inspektor. Zapraszam. Chodzi o piątek? Okropna sprawa. – Zdjął marynarkę i przewiesił przez barierkę. – Wróciłem późno, bo miałem spotkanie w Berwick. A na A1 straszny tłok. – Wysoki, kościsty i krótko ostrzyżony.

Pamiętała, że słuchała kiedyś jednego z jego opowiadań. Nie przepadała za telewizją, ale radio grało u niej na okrągło. Jakaś historia rodzinna. Kobieta i mężczyzna, niekochające się małżeństwo. I przyjezdny, który zostaje kochankiem. Koniec był przerażający i zupełnie niespodziewany. Para postanowiła zabić kochanka. Okazało się, że małżonkowie pragnęli stabilności i poukładanego życia bardziej niż ekscytacji miłosnymi uniesieniami. Vera próbowała sobie przypomnieć, co zrobili ze zwłokami. Pamiętała, że opowiadanie wywołało w niej niepokój.

Nie epatowało krwawymi scenami przemocy, a jednak budziło uczucie grozy, z którego potem przez wiele dni nie mogła się otrząsnąć. Pewnie, żeby już jej nie dręczyło, wyrzuciła je z głowy i dlatego nie mogła sobie przypomnieć szczegółów. Teraz, kiedy się przyglądała temu spokojnemu mężczyźnie w średnim wieku, trudno jej było uwierzyć, że to on wymyślił taką historię. Postanowiła wypożyczyć z biblioteki antologię jego dzieł. Żeby sprawdzić zakończenie opowiadania.

– Zawsze o tej porze raczę się kieliszeczkim wina. Skusi się pani?

Pomyślała, że odgrywa przed nią rolę stereotypowego bibliotekarza. Zupełnie inaczej się zachowywał na ambonie, kiedy obok, niesione wicherą, przelatowały wydrzyki. Darł się wtedy i przeklinał jak cała reszta.

– Chętnie – odparła.

– Ale niestety mam tylko czerwone. Odkąd jestem sam, kupuję wyłącznie to, co lubię.

– Jest pan wdowcem?

– Tak. – Chwila przerwy. – Claire, moja żona, popełniła samobójstwo.

– Bardzo mi przykro. – Vera zawsze uważała, że samobójstwo to najbardziej samolubny czyn, jakiego można się dopuścić.

– Już kiedy ją poznałem, cierpiała na depresję. Jednak nawet nie przypuszczałem, że czuje się aż tak nieszczęśliwa. Oczywiście do końca życia będę to sobie wyrzucał.

Wprowadził ją do prostokątnego wąskiego pokoju, długiego na całą szerokość domu. Otworzył okno, wpuszczając do środka gwizd kosa i zapach ściętej trawy. Podszedł do wiktoriańskiego kredensu i odwrócony plecami, otworzył wino. Vera nie umiała ocenić, czy rzeczywiście jest taki spokojny, na jakiego wygląda. Miała ochotę zapytać, w jaki sposób jego żona się zabiła. Utopiła się? Ale takich pytań nie zadaje się przy kieliszku australijskiego shiraza. Zresztą, sama to sobie sprawdzi. W raporcie z sekcji zwłok. Musi się też dowiedzieć, gdzie żona leczyła się na depresję.

Na ścianie wisiała fotografia jakiejś kobiety. Roześmianej, z odchylną głową. Claire? Wydawało się, że to jedyna pamiątka po niej w tym pokoju.

Samuel już się odwrócił i podawał jej trunek. Wskazała zdjęcie.

– Ładna.

Nie odpowiedział.

Przyjęła kieliszek i usiadła w zniszczonym skórzanym fotelu. Czekala, aż gospodarz się odezwie. W końcu utrzymywał się z opowiadania historii. Chciała dać mu pierwszeństwo.

– To był okropny szok, znalezienie zwłok tej dziewczyny – zaczął. – Kiedy usłyszałem krzyk Jamesa, najpierw zareagowałem poirytowaniem. Nigdy nie czułem potrzeby posiadania dzieci, nawet kiedy żyła Claire. Wiem, że powinniśmy zachęcać dzieciaki do korzystania z biblioteki, ale przyznam szczerze, niespecjalnie się do tego przykładam. Dzieci są bardzo hałaśliwe. Uciążliwe. Później, kiedy zobaczyliśmy tę dziewczynę, jej włosy na wodzie, sukienkę... przypomniało mi się malarstwo prerafaelitów. Ciemne barwy w tle. Może dlatego, że patrzyliśmy na nią z góry, z odległości.

– Scena wyglądała na wyreżyserowaną – pomogła mu. – Dziewczyna została upozowana jak modelka przez artystę?

– Właśnie. – Podniósł na nią oczy zdziwiony, że tak szybko złapała tok jego rozumowania. – Nie chodziło tylko o to, że ktoś chciał ją zabić, ale o to, żeby coś zaznaczyć.

– Nie rozpoznał jej pan?

– Nie.

– A teraz, kiedy miał pan czas się zastanowić, jest pan pewien, że nigdy jej nie widział?

– Nie wyglądała jak rzeczywista kobieta. Nie wiem, czy jej nie widziałem, ale nazwisko na pewno nic mi nie mówi.

– W rzeczach w jej mieszkaniu znaleźliśmy kartę członkowską bibliotek z terenu hrabstwa Northumberland.

– Nie znam wszystkich osób zapisanych do naszych bibliotek, pani inspektor.

– Dlaczego się do nich zapisała, skoro mieszkała w Newcastle?

– Skoro pracowała w Hepworth, pewnie było jej wygodniej wypożyczać w naszym tamtejszym oddziale niż w miejskiej bibliotece. Jest otwarty tylko kilka godzin w tygodniu, ale mieści się bardzo blisko szkoły. Może chciała mieć dostęp do poczty internetowej.

– Sprawdziłby pan, co ostatnio wypożyczyła?

– Czy to ważne?

– Prawdopodobnie nie – odparła. – Ale chciałabym wiedzieć. Zwykła ciekawość... – Uśmiechnęła się. – To chyba wspólna cecha pisarzy i detektywów.

– Dzisiaj nic nie zdołałam, nawet gdybym pojechał do biblioteki. System już jest zamknięty. Ale mogę zajrzeć do komputera jutro i dam pani znać, czy miała na koncie jakieś niezwykle pozycje. Więcej nie mogę zrobić.

– Uważa pan, że da się określić charakter człowieka na podstawie tego, co czyta?

Roześmiał się.

– Na pewno nie. Wielu naszych czytelników to łagodne starsze panie, które uwielbiają najbardziej krwiste amerykańskie thrillery.

Vera uzmysłowiła sobie, że polepszył jej się nastrój. Wpływ wina i chyba też dobrego towarzystwa. Spodziewała się kogoś sztywnego i nudnego, jednak teraz nawet jej gospodarz się rozluźnił.

– Co pana skłoniło, żeby się zająć obserwacją ptaków?

– Dobry nauczyciel – odparł. – Zabierał nas na wycieczki w teren. Mieszkałem na przedmieściach i te wypadki na wzgórza to była dla mnie prawdziwa przygoda. Przypuszczam, że na naturę reaguję bardziej jak romantyk niż naukowiec. Lubię piękne rzeczy.

– Doktor Calvert ma podejście naukowe?

– Tak. Chodziliśmy do tej samej szkoły. Jest kilka lat starszy ode mnie, ale poznaliśmy się w Towarzystwie Historii Naturalnej. Wybraliśmy różne kierunki studiów, ale nadal się przyjaźniliśmy.

Jego pociągały przedmioty przyrodnicze; ja kocham czytać.

– Dlaczego wybrał botanikę? Czemu nie zoologię?

– Twierdzi, że woli obserwować ptaki dla przyjemności, nie z obowiązku.

– Wiedział pan, że Gary ma nową dziewczynę?

Nagła zmiana tematu chyba go nie zbiła z tropu.

– Tak, podobno się w kimś zakochał. – Przerwał na chwilę. – Teoretycznie to mogła być ta zamordowana dziewczyna. Właśnie takie mu się podobały. Ale jego ostatnia zdobycz różniła się od nich, jak sądzę. Była starsza. Chodzili do tej samej podstawówki. Nabijaliśmy się z niego z tego powodu. Pytaliśmy, czy wreszcie dorósł. Jest po trzydziestce, ale zawsze w naszej paczce grał rolę zbuntowanego nastolatka.

– Ta nowa kobieta w jego życiu nazywa się Julie Armstrong. To matka chłopaka, który został uduszony w Seaton dzień przed śmiercią Lily Marsh. – Spojrzała na niego. – Nie słyszał pan? Jesteście tacy zżyci, przypuszczałam, że któryś z kolegów coś panu o tym wspominał. Oni wiedzą.

– Może próbowali się do mnie dodzwonić – odparł. – Cały dzień byłem na spotkaniach i dopiero dotarłem do domu.

– Jeśli Gary to zbuntowany nastolatek, kogo odgrywa Clive? – Zauważyła, że wypila już swoje wino, więc odstawiła kieliszek na stół. Zastanawiała się, czy zaproponuje jej następny i czy, jeśli się zgodzi, nie będzie mogła usiąść potem za kierownicą.

Samuel przez chwilę się namyślał.

– Clive jest pasjonatem – odezwał się wreszcie. – To świetny ptasiarz. Najlepszy z nas. Zaczytuje się w przewodnikach turystycznych jak ja w powieściach. I pamięta każde słowo. Za to kiepski z niego towarzysz do pubu. Nie potrafi nas rozśmieszać. Nie tak jak Gary. Nawet nie tak jak Peter, kiedy jest w formie. Ale wyszukuje dla nas ptaki. I przede wszystkim nie pozwala zapomnieć, co nas ze sobą połączyło.

– Gdzie pan był w piątek, zanim przyjechał pan do Fox Mill na przyjęcie urodzinowe?

Spojrzał na nią sponad obrzeża kieliszka.

– Jestem podejrzany, pani inspektor? – Nie wydawał się zły. Raczej rozbawiony pomysłem.

– Muszę wykluczyć każdego, kto miał jakieś powiązania z ofiarą, nawet bardzo odległe.

– Ja jej nie znałem. Nie za życia. – Odstawił kieliszek. – Proszę wybaczyć, pani inspektor, nie powinienem traktować tego tak lekko. Ma pani prawo zadawać pytania. W piątek pracowałem w bibliotece w Morpeth. Wszedłem trochę wcześniej niż zwykle, około czwartej, i pojechałem do domu. Dopracować opowiadanie, bo chciałem je ze sobą zabrać.

– Żeby podarować w prezencie doktorowi Calvertowi? Napisał pan coś specjalnie z okazji jego urodzin?

– Nie, nie. Peter nie czytuje beletrystyki. To Felicity jest fanką moich opowiadań. A ja sobie cenię jej opinię. Zależało mi, żeby zerknęła na tekst, zanim odeślę go do agenta.

Vera zamierzała zapytać, o czym było to opowiadanie, ale ostatecznie doszła do wniosku, że to pewnie nieistotne. Może próbowała przeciągnąć rozmowę, żeby nie wracać do pustego domu.

– Czy ktoś potwierdzi pana obecność w domu? Ktoś dzwonił albo wpadł?

– Niestety nie. Zresztą, kiedy pracuję, nigdy nie odbieram telefonów.

– Może jakiś sąsiad widział, jak pan wyjeżdża na przyjęcie?

– Proszę ich zapytać, pani inspektor, ale zdziwiłbym się, gdyby udało się pani czegoś dowiedzieć. W tej okolicy ludzie zajmują się wyłącznie swoimi sprawami. – Uśmiechnął się. – Jeszcze wina, pani inspektor? Pół kieliszka, bo wiem, że przyjechała pani samochodem.

Kusiło ją, ale pokręciła głową i wstała. Ciekawe, dlaczego był dla niej taki miły. Mężczyźni rzadko się przy niej starali, a Samuel, chociaż nie powiedziałaaby, że z nią flirtował, na pewno chciał, żeby go polubiła. Taki nawyk? Pracował z ekscentrycznymi podstarzałymi kobietami. Może nabrał tego zwyczaju, kierując biblioteką. Albo miał inny powód, żeby wzbudzić w niej sympatię.

Odprowadził ją do drzwi, uścisnął jej rękę na pożegnanie i stał w małym ogródku od frontu, czekając, aż otworzy drzwiczki auta. Odjeżdżając, miała uczucie, że w jakimś stopniu została przez niego uwiedziona. To on kontrolował rozmowę. Przebiegła dokładnie tak, jak tego chciał.

Gary'ego przez cały dzień prześladowała myśl o spotkaniu się z Julie. Uczepiła się go i nie chciała odejść. Zupełnie tak, jak niektóre melodie – zagnieżdżają się w głowie i wciąż po niej krążą. Miał tak kilka lat temu z piosenką z Cosmic Relief*. Człowiek próbuje zastąpić natrętny motyw czymś lepszym, ale te wysiłki tylko wszystko pogarszają i durna melodyjka robi się jeszcze głośniejsza, aż się człowiek nie może normalnie skupić.

Przeprowadzał próbę dźwięku w sali Centrum Muzycznego Sage. Przystosowywał parametry nagłośnienia odpowiednio do pomieszczenia, w którym miał się odbyć występ. Wieczór recytatorski z udziałem zespołu muzycznego. Zwykle, kiedy pracował, nie potrafił myśleć o niczym innym tylko o perfekcyjnym ustawieniu dźwięku. Sage idealnie się nadaje na koncerty dużych orkiestr, ale w przypadku małej i intymnej imprezy trzeba się nieźle namęczyć, żeby osiągnąć odpowiedni efekt. Zależało mu jednak na wyniku, bo zespół towarzyszący był naprawdę dobry. Bluesowy i nastrojowy. Przyłapał się na tym, że przysłuchuje się tekstom wierszy, chociaż nie przepadał za poezją. Może dlatego, że artystka przypominała mu Julie. Nie pod względem fizycznym – przede wszystkim była Murzynką, w dodatku młodszą od Julie – ale emanowało z niej jakieś ciepło i dużo się śmiała. Więc cały dzień myślał o Julie i o tym, żeby się z nią skontaktować. I zastanawiał się, czy to dobry, czy fatalny pomysł.

Między próbą a występem miał kilkugodzinne okienko. Występ zaplanowano na wieczór, chodziło o to, żeby przyciągnąć ludzi wracających z pubów i artystyczny tłumek, który nie musiał zrywać się rano do pracy. Zszedł po schodach prowadzących w stronę rzeki. Jakiś czas spędził w klimatyzowanym budynku, więc teraz upał uderzył w niego ze zdwojoną mocą. Kto by pomyślał, że może tu być tak gorąco, dumął. Gateshead to ostre wschodnie wiatry i deszcz ze śniegiem. Przy samym brzegu wolno obracał się

diabelski młyn. Sage z tyłu był rozświetlony, przez przeszkolone ściany Gary wyraźnie widział obie sale. Wyglądały jak dwa olbrzymie statki. Duża sala przypominała liniowiec z rzędami pokładów, a druga holownik z zadartym dziobem. Zamierzał przejść kładką do miasta, żeby coś zjeść, ale nagle zmienił zdanie.

Wrócił biegiem na parking i już po chwili mknął furgonetką na północ. Chciał zobaczyć dom Julie. Nie żeby postanowił się z nią spotkać. Podjedzie tylko pod dom i zawróci. To lepsze niż nic.

Potem przypomniał sobie spotkanie w pubie po zebraniu Klubu Ptasiarzy, jak opowiadał o Julie i jak Peter się z niego nabijał. „Mój Boże, ależ ci dzisiejsi młodzi są romantyczni. W głowie im tylko spacerki w blasku księżyca i kwiaty”. I Gary, przedzierając się na skrót przez Heaton, żeby ominąć najgorsze korki, uzmysłowił sobie, że właśnie to zobaczyła Julie po powrocie do domu w noc, gdy został zamordowany jej syn. Blask księżyca i kwiaty. To miała na myśli ta policjantka, kiedy mówiła, że zabójstwo Luke’a było podobne do zabójstwa Lily. Sprawca tak samo upozował ciała.

Gary wiedział, gdzie jest dom Julie. Wyszukał adres w książce telefonicznej. Budynek stał zaledwie czterysta metrów od miejsca, gdzie mieszkała w dzieciństwie. On też dorastał w tej wsi, tyle że po drugiej stronie, na prywatnej posesji. Dziwnie się czuł, wracając tutaj. Kiedy chodził do liceum, codziennie jeździł autobusem główną szosą z Whitley. Wspomnienia napływały szerokim strumieniem, nareszcie spychając w głąb jego niepokój o to, co pomyśli Julie, kiedy go zobaczy przed drzwiami. Wyrostki wydzierają się na górnym pokładzie autokaru, rozrzucając papierowe torebki. On, obejmując ramieniem Lindsay Waugh, podgryza koniuszek jej ucha, aż dziewczyna się czerwieni po cebulki włosów, a wszyscy dokoła zaczynają chichotać. I wypad nad rzekę Blyth, żeby zobaczyć zielonoskrzydłą cyrankę. Siedzi obok Clive’a i udaje, że go nie zna, bo Clive to kujon i dziwak, więc co powiedziałyby Lindsay i jak zareagowałyby inni, gdyby się dowiedzieli, że Gary też jest ptasiarzem.

Nawet nie zdawał sobie sprawy, że wjechał do wsi i skręcił w

ulicę Julie. Była szósta po południu i dzieciaki bawiły się na dworze. Pilnowało ich kilka matek – siedziały na stopniach schodów przed domami. Domyślał się, że po śmierci Luke’a wszyscy będą się na niego gapili. W okolicy pojawił się obcy. Gdyby nie ci ludzie, pewnie dojechałby do końca ulicy, posiedział w samochodzie, poddałby się i odjechał. Ale ich widok wzbudził w nim bunt. Jest znajomym Julie. Co w tym złego, że chce ją odwiedzić? Poza tym ktoś już pewnie zapisał numery jego samochodu. Gdyby teraz się zmył, poleciliby na policję donieść o podejrzanym osobniku, który kręcił się w pobliżu.

Więc zaparkował przed samym domem i nie zwracając uwagi na ciekawskie spojrzenia kobiet, ruszył ścieżką do drzwi. Zapukał. Kiedy tak czekał, pomyślał, że powinien coś ze sobą przynieść. Jakiś prezent. Ale jaki? Na pewno nie kwiaty. Wyszłoby na to, że jest totalnie niewrażliwy. Może więc wino, tylko że to by wyglądało, jakby się wpraszał bez zaproszenia. Stał z rękami w kieszeniach dżinsów, bo zupełnie nie wiedział, co z nimi zrobić. Czasami, kiedy przesadził z piwem i ostrym curry, śnił mu się taki koszmar. Stoi na scenie w City Hall przed pełną salą i manipuluje przy mikrofonie, ale ten nie działa. A on, Gary, jest nagusieńki. Tak właśnie się teraz czuł.

Drzwi się otworzyły. Pojawiła się w nich dziewczyna w szkolnym mundurku. Czymś w stylu mundurka. Biała koszula, krótka czarna spódniczka. Uznał, że pomylił domy, ale potem przypomniało mu się, że Julie ma jeszcze jedno dziecko, córkę. Przeczesał pamięć, szukając jej imienia. Laura. Zanim jednak zdążył się odezwać, z wnętrza domu wyłoniła się kobieta w podeszłym wieku. Na jednej ręce miała kuchenną rękawicę, przez co przypominała rachitycznego boksera.

– Laura, kochanie, mówiłam, że ja będę otwierać.

Dziewczyna przez chwilę przyglądała mu się w milczeniu, potem wzruszyła ramionami i zniknęła na piętrze.

Starsza kobieta odwróciła się do Gary’ego. Teraz mówiła już bardziej agresywnym tonem.

– O co chodzi? Nie udzielamy wywiadów. Wezwę policję, jak

pan nie odejdzie.

– Ja nie z prasy. Jestem znajomym Julie.

Kobieta wybałuszyła na niego oczy. Bardzo małe, zawzięte.

– Julie nie ma nastroju do wizyt.

Prawie z ulgą postanowił się poddać. Może zostawi wiadomość. Żeby Julie przynajmniej wiedziała, że o niej myśli. Ale usłyszał ten głos, ledwie rozpoznawalny.

– Mamo, wpuść go. Chcę się z nim zobaczyć.

Kobieta przez chwilę stała niezdecydowana, potem odsunęła się na bok. Kiedy ją wyminął i wszedł dalej, z trzaskiem zamknęła za nimi drzwi na oczach ciekawskich sąsiadów.

Przeszedł przez salon i od razu zwrócił uwagę na nieporządek. Zastanawiał się, czy tak jest zawsze. I czy mógłby żyć w takim bałaganie. Na pewno to nie Fox Mill, jego ideał, jeśli chodzi o wygląd domu. Zasłonięte białe żaluzje z wąskich paneli odgradzały pokój od słońca i wścibskich oczu. W półmroku trudno było dostrzec detale. Potem zobaczył Julie. Leżała zwinięta na kanapie. Usiadł przy niej, wziął ją za rękę. Starsza pani stała w drzwiach zaniepokojona i zatroskana.

– Miałam zaraz podać obiad – oznajmiła. Prawie warczała, gardłowo wypluwała słowa.

– W porządku, mamo. To przyjaciel.

– Będę w kuchni. – To do Gary’ego. Ostrzeżenie i przestroga. Kobieta obrzuciła go wściekłym spojrzeniem i wyszła.

– Przepraszam za mamę – wymamrotała Julie.

– Nie przejmuj się. Tak samo bym się zachowywał, gdybym się tobą opiekował.

Posłała mu krótki uśmiech. Poglaskał ją po dłoni.

– Jestem okropnie żaloszna – poskarżyła się. – Nie mogę nic robić. Cały dzień tylko tak tkwię beczynn timer.

– Nie jesteś żaloszna. Nie ty.

– Powinnam być silna ze względu na Laurę.

Pomyślał, że to zdanie to echo tego, co mówiła jej matka. Nie wiedział, jak zareagować. Nie wiedział, co myśleć o Laurze, chudej i długonogiej. Miała w sobie coś, co mu przypominało Emily, i to

zbijało go z tropu. Za żaluzjami okno było otwarte. Dzieciaki grały na ulicy w skuchę na skakance i głośno przy tym recytowały jakąś rymowanekę. Już dawno czegoś takiego nie słyszał. Minęły lata od czasu, gdy widywał dziewczynki grające w skuchy. Może tej zabawy nauczyły się od matek, które zachowały w pamięci teksty rymowanek. To go przeniosło z powrotem do podstawówki w Seaton, gdzie ganiał z Julie po placu zabaw i próbował jej wykraść całusa w krzakach, gdy nikt nie patrzył. Może myślała o tym samym, bo też zaczęła skandować.

– „Myszka Miki gra w guziki”. – Umilkła nagle. Dzieci na ulicy już bez niej kończyły wierszyk:

– „Kaczor Donald pije sok. A my wszyscy bim, bam, bom”.

– Głupio się czuję – odezwał się. – Siedzę tu i nie wiem, co powiedzieć. Nie wiem, jak ci pomóc. Jestem bezradny.

Ścisnęła jego dłoń.

– Nie, nie. Pomagasz mi, naprawdę – zapewniła.

– Zastanawiałem się, czy powinienem przyjeżdżać...

Wtedy zrobiła coś niespodziewanego. Przyciągnęła go do siebie i pocałowała. To był prawdziwy, namiętny pocałunek. Wsunęła mu język w usta, głęboko. Przytulił ją mocno, czuł jej piersi. Czuł, że się podnieca. Chociaż nie chciał. Zdawał sobie sprawę, że do niczego nie dojdzie. Nie, kiedy w domu jest jej matka i córka. Nie, kiedy jest taka załamana. Ale jego dusza śpiewała, bo wiedział, że będzie dobrze. Że zrealizują się marzenia, jakie snuł od ich powtórnego spotkania. Luke im w tym nie przeszkodzi. Nie wejdzie im w drogę.

Odsunął ją od siebie delikatnie, pogłaskał po włosach, nachylił się i pocałował w miejscu, gdzie się rozdzielały, gdzie widział ciemniejsze odrosty. Julie płakała.

– O Boże – jęknęła. – Przepraszam.

Niedobrze, nie powinien się tak czuć. Powinien być smutny, bo ona się smuci.

– Nie masz za co przeproszać. – Starał się mówić z powagą, niskim głosem. Niski głos brzmi seksownie, czyż nie? – Chcesz porozmawiać o Luke’u? Nie znałem go, ale jeśli potrzebujesz z

kimś pogadać... – Za jej plecami obrócił nadgarstek, żeby spojrzeć na zegarek. Musiał wrócić do Sage na ósmą trzydzieści.

– Nie – odparła. – Ostatnio nie robię nic innego, tylko rozmawiam o Luke’u. Z policją, z mamą, ze znajomymi. Chciałam o nim zapomnieć. Przynajmniej na minutę. Żeby się przekonać, czy potrafię.

– I potrafisz?

– Nie bardzo. – Uśmiechnęła się, ale niezupełnie tak jak dawna Julie. – Mimo wszystko dobrze było spróbować.

Przy drzwiach rozległ się jakiś hałas. Myślał, że to starsza pani, ale nie, to Laura. Wkroczyła do pokoju i wlepiła w nich oczy. Gary odsunął się od Julie.

– Laura była dzisiaj w szkole – odezwała się Julie nienaturalnie promiennym głosem. – Zuch dziewczyna. I jak tam, słonko?

– W porządku. Nauczyciele starali się być mili. Zorganizowali apel w tej sprawie. To znaczy w sprawie Luke’a i w ogóle. Powiedzieli, że mogę nie iść.

– I nie poszłaś?

– Nie... Ale stałam na korytarzu i słyszałam, co mówią. Same bzdury. Nikt by się nie domyślił, że chodzi o Luke’a.

– Ale trzeba docenić to, że o nim pamiętali, że chcieli go pożegnać.

Laura zrobiła taką minę, jakby miała ochotę rzucić jakąś niegrzeczną i lekceważącą uwagę, ale się powstrzymała.

– To Gary – wyjaśniła Julie. – Stary znajomy. Chodziliśmy razem do podstawówki.

Laura skwitowała wiadomość milczeniem, jak gdyby nie słyszała matki.

– Babcia kazała przekazać, że obiad prawie gotowy.

Gary wstał.

– Powiniennem się zbierać.

– Nie zostaniesz? – spytała Julie. – Mógłbyś z nami zjeść.

Ale on widział, że znowu wpadła w otępienie. Że działała jak automat.

– Pracuję wieczorem. Przy koncercie w Sage.

Ruszył do drzwi, zastanawiając się, czy Julie podniesie się z kanapy, żeby go odprowadzić, ale ona chyba znowu odpłynęła. To Laura go wypuściła. Kiedy otworzyła drzwi, dzieciaki na ulicy przerwały zabawę i wlepiły w niego oczy. Matki na schodach poderwały głowy znad czasopism. Sądził, że dziewczynę onieśmieli ich zainteresowanie. Sam to z trudem znosił. Chętnie by wrzasnął: I na co się tak gapicie? Przypuszczał, że Laura od razu zatrzaśnie za nim drzwi i wróci do środka, ale tego nie zrobiła. Stała i patrzyła, jak on wsiada do furgonetki i odjeżdża.

Wtorek rano. Vera zwołała cały zespół na zebranie. Charlie wyglądał tak, jakby spał przy biurku; pewne było, że się nie golił. Joe przód koszuli miał wypačkany ready brek. Tylko Holly wydawała się przytomna. Patrząc na nią, wysportowaną i szczupłą, Vera poczuła ukłucie paskudnej destruktywnej zawiści. Ona nawet w młodości tak nie wyglądała. Kiedy przyszła, wszyscy siedzieli przy okrągłym stole. Joe mówił o Clivie Stringerze.

– O co chodzi ze Stringerem? – spytała, bo słyszała tylko koniec wypowiedzi.

– Jeśli szukamy świra, to Stringer jest cokolwiek dziwaczny.

Czyżby? – pomyślała. Dorastała w towarzystwie kilku takich dziwaków. Samotników z obsesjami. Akolitami ojca.

– Całe dni grzebie w bebeczach martwych ptaków, nie ma dziewczyny ani znajomych, nie licząc tej grupy z Fox Mill.

Vera zastanawiała się, czy ją również Joe nazwałby wariatką. Ona też prowadziła życie samotnika.

– A motyw? – spytała.

– Nie wiem. Dostawiał się do Lily i go spławiła?

– Musielibyśmy znaleźć jakiś dowód na to, że się spotykali. I to nie wyjaśnia śmierci Luke'a.

– To może zazdrość? Obie ofiary były atrakcyjne i młode. Jemu mogło to wystarczyć.

– Brak dowodów – odparła. – A Stringer nie ma samochodu.

– Ale ma prawo jazdy. Samochód mógł od kogoś pożyczyć.

– Od kogo? Jak sam zauważyłeś, nie otacza się stadem znajomych.

– No to ukradł albo wziął z wypożyczalni.

– Jasne – burknęła. – Sprawdź wypożyczalnię. Jeśli już, to na pewno go zapamiętali.

– Powinniśmy też porozmawiać z jego matką.

– Oczywiście – przytaknęła, ale tylko po to, żeby nie wybuchnąć. – Tak czy inaczej zachowajmy otwarte umysły.

Joe się zamknął. Chyba poczuł się urażony. Pewnie uważał, że już tak długo ze sobą pracują, że nie musiała mu niczego wytykać. Bardzo często to on jej przypominał, że się zapędziła.

– W porządku – rzuciła. – Co jeszcze? – Czyli: dajcie mi coś konkretnego. A nie spekulacje albo domysły.

Starła się zachować spokój. To nie był dobry moment, żeby panikować, chociaż do tej pory powinni już mieć podejrzanego. Kiedy tam siedzieli, znowu ogarnęło ją przeświadczenie, że marnują czas, bo całkiem możliwe, że zabójstwa były przypadkowe bez zrozumiałego motywu. Że wkrótce znajdą kolejną piękną dziewczynę lub przystojnego chłopaka, utopionych i przybranych kwiatami.

Charlie poruszył się niespokojnie na krześle i odchrząknął tak, jak pijak zbierający ślinę, żeby splunąć. Vera sama poczuła flegmę w gardle.

– Dowiedziałem się, w jaki sposób Lily opłacała czynsz.

– No, w jaki?

– Przelewem ze swojego konta w kasie mieszkaniowej. North of England. W rzeczach z jej pokoju znalazłem książeczkę oszczędnościową. Raz w miesiącu pobierała z konta czek.

– Skąd się brały pieniądze na koncie? Pensja ze sklepu?

– Nie, już ci mówiłem. Pensję dostawała przelewem na bieżące konto. – Odchylił się na oparcie krzesła. Mało brakowało, a Vera wrzasnęłaby na niego, żeby już to z siebie wydusił. – Co jakieś sześć tygodni wpłacała na rachunek w kasie pięćset funtów. – Znowu umilkł. – Gotówką.

– Skąd ją miała?

Wzruszył ramionami.

– Może sobie dorabiała na boku jako ekskluzywna panienska do towarzystwa. Niektóre studentki tak robią. Tak przynajmniej słyszałem.

Kolejna okazja, żeby się pośmiać. „A gdzie o tym słyszałeś, Charlie?” Ale chyba wyczuli, że Vera nie doceniłaby żartu.

Myślała o ubraniach w szafie Lily, drogiej bieliźnie, ciuszkach, które przypominały kostiumy na bal przebierańców.

– Cóż, sądzę, że to całkiem prawdopodobne. Przejedź się ze zdjęciem po hotelach. Może ktoś ją rozpozna.

Holly podniosła rękę. Grzeczna uczennica chce coś ważnego dodać.

– Tak? – Vera starała się ukryć zniecierpliwienie.

– Albo sponsorował ją bogaty kochanek...

– Są jakieś przesłanki, żeby to podejrzewać?

– Rozmawiałam z jej współlokatorkami.

– Mnie mówiły, że z nikim się nie spotykała – odparła Vera takim tonem, jakby się broniła; nie mogła się powstrzymać. – A jeśli się spotykała, to one nic o tym nie wiedziały.

– Wstydzily się przyznać, że podsłuchały jej rozmowę telefoniczną. W kuchni jest drugi aparat. To się zdarzyło tylko raz. Ale bardzo chciały wiedzieć, co się święci. Nie dziwię się im. To znaczy, to całkiem normalne, no nie? Trochę je przycisnęłam. Lily do kogoś zadzwoniła, a dziewczyny podniosły słuchawkę w kuchni.

– I?

– Nic konkretnego. Żadnych imion. Żadnych czułych słówek. Myśla, że się zorientowała, że ją podsłuchują, bo bardzo szybko się rozłączyła.

– A co udało im się usłyszeć?

– Rozmawiała z jakimś starszym facetem. Wykształconym, wygadany. Umówili się na obiad.

– To mógł być każdy. Ktoś z rodziny. Kolega. Szef ze sklepu.

– Na kogoś z rodziny to mi nie pasuje – wtrącił się Joe. – Phyllis na pewno by wspomniała o kimś takim. Przechwalałaby się.

– Domyślam się, że dziewczyny nie wpadły na jakiś bardziej użyteczny pomysł – drążyła Vera. – Na przykład nie postanowiły śledzić Lily, żeby zobaczyć, jak ten gość wygląda.

Holly uśmiechnęła się szeroko.

– Nie. Kusilo je, żeby zamówić stolik w tej samej restauracji, ale to dobrze wychowane panienki. Uznały, że nie wypada szpiegować koleżanki.

– Nienawidzę dobrze wychowanych panienek – prychnęła

Vera.

– Na szczęście dziewczyny, z którymi pracowała w sklepie odzieżowym, nie są aż tak przyzwoite.

Na usta Very wypłynął powolny uśmiezek. Może jednak przekona się do Holly.

– Co z nich wyciągnęłaś?

– Nic ekscytującego – przyznała. – Nic, co mogłoby się nam przydać. Tylko potwierdzenie, że starszy pan to nikt z rodziny ani z pracy. Lily była bardziej otwarta przy koleżankach ze sklepu. Chyba czuła się przy nich swobodniej. Podobało jej się, że dzieli eleganckie mieszkanko z szykownymi dziewczynami z południa, ale nie miały ze sobą wiele wspólnego.

– Mów.

Holly wyciągnęła mały notesik zabazgrany równym pismem prymuski. Popisywała się.

– Jakies pół roku temu przysłała do pracy z pierścionkiem na palcu. Opal oprawiony w srebro. Typ starej biżuterii. Powiedziała, że to prezent. Facet dał go jej, kiedy pojechali na dzień do Yorku. To był ich pierwszy wspólny wyjazd.

– Wyciągnęły z niej nazwę hotelu? – przerwała jej Vera.

– Nie. Ale jedna z nich zapamiętała, co Lily wtedy mówiła. „Spotykanie się ze starszymi mężczyznami to świetna sprawa. Tacy wiedzą co i jak”. Dopytywały, ile facet ma lat, ale nie chciała tego zdradzić. „Nie zrozumiałybyście”. Jedna spytała, czy jest tak stary, że mógłby być jej ojcem. Lily tylko się roześmiała, więc domyśliły się, że dobrze zgadywały.

– Nigdy go nie widziały?

– Nie. Jak wspomniałam, nic istotnego z nich nie wyciągnęłam.

– Och, uwierz mi, kotku, wyciągnęłaś mnóstwo istotnych rzeczy. Trzeba znaleźć pierścionek. Charlie, nie było go z rzeczami, które przynieśli technicy?

– Nie sądzę.

– Sprawdź jeszcze raz. Nie pamiętam niczego takiego w mieszkaniu, ale pierścionek musiał tam być. No i kogoś czeka miły

wypad na dzień do Yorku. Trzeba odwiedzić tamtejsze sklepy z antykami i jubilerów. O ile tajemniczy kochanek nie płacił gotówką, istnieje spora szansa, że go wytropimy. I niech ktoś podzwoni po porządniejszych hotelach.

– Czy to nie jest oczywiste? – odezwał się Joe.

– To znaczy co? – Vera odwróciła się w jego stronę.

– Słyszeliśmy od studentek Petera Calverta, że miał romans z młodszą kobietą.

– Słyszeliśmy, że krążyły takie plotki – poprawiła. – Nic konkretnego, żadnych dowodów. A nawet jeśli w plotkach tkwiło ziarno prawdy, w Newcastle jest całkiem sporo kościstych studentek. To nie musiała być Lily Marsh.

Zresztą, myślała, Peter Calvert to niejedyny starszy mężczyzna w tej sprawie. Jest jeszcze Samuel Parr. Lily miała kartę Biblioteki Northumberland. Z Parrem też mogła się spiknąć. I gdyby to Vera miała wybierać między Peterem Calvertem a Samuelem Parrem, bez cienia wątpliwości wiedziałaby, do kogo się zabrać. No i to reżyserowanie miejsc zbrodni bardziej pasowało do Parra. Jednak nie podzieliła się tymi rozważaniami z zespołem. Podejrzenia zatrzymała dla siebie. Dla własnej uciechy. Żeby móc ich zaskoczyć pod koniec dochodzenia. Jeśli się okaże, że trafiła w dziesiątkę.

Uświadomiła sobie, że się w nią wpatrują, czekając na ciąg dalszy.

– Więc? – zapytała. – Coś jeszcze?

Joe nachylił się do niej nad stołem.

– Odszukałem Bena Cravena.

Wiedziała, że nazwisko powinno jej coś mówić, ale nie mówiło. Przyglądał się jej. Widać było, że jest z siebie zadowolony. Jak na mój gust, kotku, robisz się ociupinkę zbyt zarozumiała.

– To chłopak, w którym zakochała się na zabój w szóstej klasie. Ten, przez którego opuściła się w nauce.

– Oczywiście – mruknęła, jakby od początku kojarzyła, o kogo chodzi. Ale nikogo nie nabrała. – I co on porabia?

– Wyjechał na studia. Do Liverpoolu. Zrobił kurs dla

pracowników socjalnych. W zeszłym roku latem wrócił na północny wschód. Zgadnijcie, czym się teraz zajmuje? – Popatrzył na nich, przez moment rozkoszując się chwilą, i dopiero potem odpowiedział na własne pytanie. – Pracuje na oddziale psychiatrycznym w szpitalu St George's. Właśnie tam leczył się Luke Armstrong.

– Miał z nim kontakt? – Vera nie była w nastroju na zgadywanki.

– Nie wiem. Jeszcze z nim nie rozmawiałem.

– Nie rób tego. Najpierw pogadam z Julie. Nie możemy faceta spłoszyć. – Dlaczego Joe od razu jej o tym nie powiedział? Powinna mu kazać się wytłumaczyć. Ale nie teraz. Nie w obecności reszty. Zrobił się arogancki. Zbyt pewny siebie. Myśli, że może się ze mną spoufalać.

Prawdopodobnie wyczuł, że ją rozzłościł, bo dalej mówił już skruszonym tonem.

– Na razie skontaktowałem się tylko z jego matką. Tuż przed zebraniem.

Ja też się z nim spoufalam. Traktuję jak członka rodziny, oczekuję od niego więcej, niż powinnam.

– Żona Samuela Parra popełniła samobójstwo – poinformowała. – Chcę znać wszystkie szczegóły o tym, jak się zabiła. Charlie, zajmiesz się tym?

Skinął głową i zrobił notatkę na skrawku kartki.

– Jakież wieści spod latarni? Ktoś zapamiętał człowieka ze zwłokami dziewczyny pod pachą? – Wiedziała, że to nie jest śmieszne, ale zaczynało ją to już irytować. Tupet zabójcy. Jego bezczelność.

– Na razie nic przydatnego. Podobno przez godzinę pracowali tam ludzie z wodociągów. Dowiem się, czy chłopaki coś widzieli.

– No cóż – odezwała się promiennie. – Wygląda na to, że mamy co robić...

Charlie znowu odchrząknął. Flegma chyba cały czas zawałała mu gardło.

– Jest coś jeszcze. Chociaż to pewnie nic ważnego.

– Wypluj to z siebie, Charlie! – Jeszcze kiedy mówiła, pomyślała: tylko nie traktuj tego dosłownie, kotku. Nie, nie, tylko nie to.

– Znalazłem to w papierach z mieszkania – ciągnął. – I pomyślałem, że jak z kwiatami, to może mieć jakieś znaczenie.

Podniósł przezroczystą plastikową koszulkę. W środku znajdowała się kremowa kartka formatu A3, z naklejonym sprasowanym kwiatkiem. Żółtym, delikatnym. Podobny do wyki, oceniła w duchu Vera. Kiedy była dzieckiem, wszyscy mieli kręćka na punkcie prasowania roślin. Zaczęło się od jednej nauczycielki. Kwiatek wkładało się między dwa arkusze bibuły i przyciskało ciężkimi książkami – tych w domu Very walało się mnóstwo, ale zabawa jakoś jej nie porwała. Chociaż, kiedy sprzątała dom po śmierci Hectora, między stronami jednego z jego przewodników przyrodniczych znalazła swoją starą prasowaną. Pierwiosnek, zerwany, sprasowany i zapomniany na więcej niż trzydzieści lat. Wylądował w ognisku z resztą śmieci.

– Z tyłu jest coś napisane?

Charlie odwrócił plastikową koszulkę. XXX, czarny atrament. Rządek całusów. Coś w stylu laurki od dziecka dla matki. Ale to nie to, pomyślała Vera. Wyrazy miłości?

– Kartka była w kopercie?

– Nie. Sama.

– W takim razie nie możemy liczyć na próbki DNA.

– To wskazuje na Petera Calverta, nie sądzicie? – zapytał niepewnie Joe Ashworth.

– Możliwe. – Ale jakoś nie wyobrażałam sobie, że arogancki wykładowca poświęca czas i wysiłki na robienie prasowanek. Raczej kpiłby z takich rzeczy. – Może Lily sama ją zrobiła, tylko nie zdążyła wysłać. Albo zamierzała wykorzystać to na lekcjach w szkole. Oddajcie do analizy. Może technicy znajdą coś w kleju.

Wszyscy wyszli, ale ona nadal tkwiła przy stole. Nalała sobie resztkę kawy z termosu i wypila, nie spiesząc się. Nie mogła się pozbyć uczucia, że ktoś się z nią bawi. Była częścią

skomplikowanej układanki. Zwykle zabójstwa tak nie wyglądają. Są brutalne, brudne, najczęściej niezaplanowane, zawsze brzydkie. Przypomniała sobie Julie Armstrong w jej domu w Seaton, jak wpatrywała się pustym wzrokiem w telewizor; Dennisa Marsha, jak ukrywał się w szklarni. Próbowwała sobie wyperswadować, że nie cieszy jej każda minuta tego śledztwa.

Lekarz przepisał Julie leki, które miały pomóc jej zasnąć. Każdej nocy, kiedy myślała już, że nie zadziałają, niespodziewanie przychodził sen. Jakby dostała w głowę, traciła przytomność. Tego ranka po raz pierwszy pamiętała, że coś jej się śniło. Obudziła się nagle, jak zawsze po tabletkach. Był wczesny ranek. Domyśliła się po śpiewie ptaków i po tym, że nie słyszała odgłosów ruchu na ulicy. Przez cienkie zasłony przebijało światło; znów wstawał słoneczny dzień.

Od razu pomyślała o Luke'u, jak każdego ranka od jego śmierci. Ciało w wannie, silny zapach, para skraplająca się i ściekająca z lustra do umywalki. Ale od razu wiedziała też, że to nie on odgrywał główną rolę w jej śnie. Sen był erotyczny, podobny do fantazji na jawie, które towarzyszyły jej od odejścia Geoffa, kiedy sądziła, że nigdy więcej nie będzie uprawiała seksu z mężczyzną. W tym śnie szła z Garym plażą w nocy. Księżyc świecił mocno tuż nad horyzontem, szumiały fale. Jak z taniego czasopisma, takiego, które starsze panie zabierają na wycieczki autobusowe. Ale później obraz się zmienił i kochali się na wydmach. Pamiętała ciężar jego ciała na niej, piach pod plecami i ramionami, jego język w jej ustach. To przypominało raczej wspomnienie prawdziwego zdarzenia. Leżąc w łóżku, położyła prawą rękę na lewej piersi i wydawało jej się, że pierś nadal jest tkliwa, jakby była dotykana i ściskana. Zaczęła przesuwać dłonią po brzuchu i pomiędzy nogami, ale się powstrzymała. Uderzyło ją poczucie winy. Co ja wyprawiam? Jak w ogóle może myśleć o seksie w takim momencie? Co ze mnie za matka? Powinnam odesłać Gary'ego. Co mnie podkusiło, żeby wpuścić go do domu?

Spojrzała na zegarek przy łóżku. Dochodziła szósta. Wcisnęła guzik pilota i włączyła przenośny telewizor na komodzie. Wpatrywała się w obraz, nie słuchała słów. W końcu się zdrzemnęła. Ocknęła się dopiero, gdy matka przyniosła kubek herbaty i stos korespondencji. Wiedziała, że listów jest więcej.

Wszyscy jej przyjaciele pisali, że ją wspierają, że im przykro. Wiedziała, jak wyglądają te kartki – ozdobione ilustracjami kościołów, krzyży i lilii. Nie była w kościele od chrztu Laury i zastanawiała się, co takiego jest w umieraniu, że w takiej chwili wszyscy przypominają sobie o religii. Nie potrafiła zmierzyć się z kolejną falą współczucia, więc nowe koperty dołożyła do sterty nieotwartej poczty przy łóżku.

Przez cały ranek walczyła, żeby odegnąć od siebie myśli o Garym. Matka chyba wyczuwała, że córka jest dzisiaj bardziej niespokojna, i starała się znaleźć jej zajęcie. A może pomyślała, że wystarczy już tego rozczulania się nad sobą i pora się pozbierać. Nie była sentymentalna i łatwo się irytowała. Kazała wstać jej na śniadanie, a potem przygotować Laurze lunch do szkoły. Po wyjściu dziewczyny, kiedy Julie nadal siedziała przy kuchennym stole i patrzyła przed siebie, pani Richardson zniosła plik listów i kartek z sypialni.

– Trzeba na nie odpowiedzieć, Julie. Nie możesz ich zignorować. To nieuprzejme.

Julie zastanawiała się, gdzie dzisiaj jest Gary. Przecież ma do niego numer. Może zadzwonić. Fantazjowała, że przyjechałby i zabrał ją ze sobą do pracy. Ciemna sala, migoczące światła i kapela rockowa. Głośna muzyka przegoniłaby z jej głowy wszystkie myśli. W całym ciele czułaby wibrujące dudnienie basu. Nagle znów dopadły ją wyrzuty sumienia. Przysunęła sobie kubek kawy z mlekiem i, tak jak kazała matka, zaczęła otwierać listy.

Kiedy zadzwonił dzwonek do drzwi, puls jej przyspieszył. Gary wrócił. Matka ścieliła łóżka.

– Ja otworzę! – krzyknęła z góry.

Julie została tam, gdzie siedziała, i zmusiła się, żeby oddychać powoli. W kółko powtarzała sobie, że nie powinna w takim momencie myśleć o mężczyźnie. Usłyszała głos Very Stanhope, na tyle głośny, że niósł się chyba na całą ulicę. Zebrało jej się na płacz.

Policjantka weszła do kuchni i usiadła obok Julie.

– Przepraszam, że znowu pani przeszkadzam, kotku. Mam

parę dodatkowych pytań. – Zauważyła kartkę na stole. – Piękna. Dzisiaj przyszła?

Julie spojrzała w dół. Nie zobaczyła ilustracji kościoła. To była jedna z tych ekskluzywnych ręcznie robionych rzeczy, które kosztują majątek. Suszony kwiat na grubym kremowym kartoniku. Chciała go podnieść, żeby przeczytać wiadomość na odwrocie, ale Vera ją powstrzymała, fizycznie – położyła swoją wielką łapę na jej dłoni.

– Niech mi pani odpowie, kotku. To może być ważne. Doręczono ją dzisiaj?

– Nie wiem. Nie miałam siły ich otwierać. Przychodzą od soboty.

– Ma pani kopertę?

– Tak, leży tam.

Patrzyła oszołomiona, jak Vera wyciąga z torebki długopis i przewraca nim kopertę, żeby spojrzeć na adres i znaczek. Nie miała pojęcia, co w tym może być tak ważnego, właściwie jej to nie obchodziło, patrzyła za okno na traktor jeżdżący w koło po polu w oddali.

– Nie jest zaadresowana do pani – usłyszała głos Very. – To do Luke’a.

Wtedy przeniosła wzrok na kopertę – biała, nie kremowa, nie pasowała do kartki.

Zaadresowana była czarnym atramentem, dużymi literami. „Luke Armstrong, 16 Laurel Way, Seaton, Northumberland”. Bez kodu pocztowego.

Podniosła oczy na Verę.

– Jest błąd. Nie Laurel Way, a Laurel Avenue. Laurel Way jest przy szkole.

Nadal nie mogła zrozumieć, o co to całe zamieszanie.

– Wysłana w środę – podjęła Vera. – Priorytetem. Gdyby ktoś wpisał dobry adres, dotarłaby w czwartek.

– Gdyby dotarła w czwartek, wziąłby ją Luke. Za nic nie otworzyłabym listu do niego. Dzisiaj pewnie też bym nie otworzyła, gdybym się zorientowała. Byłam przekonana, że to do

mnie. – Obserwowała Verę, która marszczyła czoło. – Kartka przysłała z pozostałą pocztą w sobotę. Na pewno. Czy to ważne?

– Pewnie nie, kotku. Sprawdźmy, co jest napisane. Mogłaby mi pani pożyczyć pęsetę?

Julie poszła na górę zadowolona, że coś robi. Matka sprzątała w łazience. Julie słyszała odgłos wody, później syk spreju do czyszczenia. Matka codziennie myła wannę, nisko pochylona szorowała ją mocno, wydawało się, że zedrze emalię. Dla Julie nie miało to znaczenia. I tak by nie korzystała z tej wanny. Ale drzwi łazienki były zamknięte, więc przynajmniej nie musiała tłumaczyć, co się dzieje. Kiedy wróciła do kuchni, Vera ostrożnie chwyciła kartkę pęsetą i odwróciła. Zero tekstu.

– Może to jakiś żart – powiedziała Julie.

– Tak. Może. Ale zabiorę ją ze sobą, jeżeli pani pozwoli. Sprawdzę to.

Julie się zaciekawiała, ale tylko na krótką chwilę. Właściwie jakie to ma znaczenie, co zamierza policjantka? Wstała i nastawiła wodę na kawę dla Very. Kiedy wróciła z kubkiem w ręce, koperta już zniknęła.

– Mówiła pani o jakichś dodatkowych pytaniach? – Wcale jej to nie interesowało, chciała po prostu jak najszybciej mieć to z głowy. Dlaczego? Żeby móc wrócić do wymagowanego świata rocka i chłopaka, za którym jako sześciolatka uganiała się na placu zabaw? Otworzyła puszkę z herbatnikami i przesunęła ją przez stół.

Vera wyjęła czekoladowe ciasteczko, zamoczyła w kawie i ugryzła szybko, zanim zdążyło rozmięknąć.

– Czy Lukiem zajmował się ktoś z opieki społecznej?

– Pojawił się ktoś taki, kiedy syn zaczął mieć problemy w szkole. Wścibska krowa. – Julie nie myślała o niej od lat. Kobieta uwielbiała długie swetry, buty na płaskiej podeszwie i grube rajstopy w dziwnych kolorach. Miała pieprzyk na nosie z jednej strony. Julie w duchu przeżywała ją wiedźmą. – Nie pamiętam jej nazwiska.

– A ostatnio?

– Nie potrzebuję opieki społecznej. Radzę sobie. – Spojrzała na Verę podejrzliwie. – I nie chcę, żeby ktoś wtykał nos w moje sprawy. Wystarczy, że mam na miejscu matkę.

– Wiem, że pani sobie radzi – powiedziała Vera takim tonem, że zabrzmiało to szczerze. – Ale szukamy powiązań między Lukiem a zamordowaną dziewczyną. Pomogłyby nam ustalić, co się wydarzyło. Rozmawiała pani z jakimś pracownikiem socjalnym szpitala?

– Chyba nie. Ale niewykluczone. Bo to nie jest taki zwykły szpital, gdzie pielęgniarki noszą czepki i od razu widać, kto jest kim. Tam cały personel chodzi ubrany jednakowo. Lekarze, pielęgniarki, psychologowie. Wszyscy tacy młodzi, jakby dopiero co skończyli szkoły. Nosili plakietki z nazwiskami, ale się nie wczytywałam. Tyle miałam na głowie, że i tak bym nie zapamiętała. Poza tym za każdym razem, jak tam szłam, zastawałam kogoś nowego.

– Chodzi mi o młodego mężczyznę – uściśliła Vera. – Świeżo po studiach. Nazywa się Ben Craven. Mówi to pani coś?

Julie chciała pomóc. Chciała uszczęśliwić Verę, zadowolić ją, ale wspomnienia wizyt szpitalnych były mgliste. Pamiętała tylko zapach – stęchłego dymu papierosowego i starego jedzenia – i wielkie przerażone oczy Luke'a.

– Przepraszam – powiedziała. – Możliwe, że pracował tam ktoś taki. Nie wiem.

– Ale w domu się nie pojawił?

– O, nie. – Tego Julie była raczej pewna. – Tutaj nie. W każdym razie podczas mojej obecności.

– A gdyby ktoś przyszedł, kiedy była pani w pracy, Luke by o tym wspomniał?

Julie się zastanowiła.

– Trudno powiedzieć. Nie przechowywał w głowie myśli przez dłuższy czas. Nie umiał ich ogarnąć. Na pewno nie zatrzymałby tego w tajemnicy celowo, ale może po prostu wyleciało mu z pamięci.

– A może Laura wie?

– Luke rozmawiał więcej ze mną niż z nią.

Zapadła cisza. Julie wiedziała, że policjantka chce już iść, ale chociaż była zła, kiedy się pojawiła, teraz nie miała ochoty jej wypuścić.

– Jeżeli się pani czegoś dowie, przyjdzie z tym pani do mnie? Jak najszybciej.

Vera wstała i zaniósła kubek do zlewu, żeby go opłukać.

– Oczywiście. Od razu. – Mówiąc to, stała tyłem do Julie, więc ta nie mogła ocenić, na ile to prawda.

Felicity odprowadziła Jamesa do szkolnego autobusu i powoli ruszyła drogą w stronę Fox Mill. Od urodzin Petera właściwie nic się nie zmieniło. Dalej co wieczór prała, robiła zakupy i gotowała. Pilnowała, żeby James odrabiał lekcje. Przy kolacji pytała Petera, jak minął mu dzień w pracy. Potem kładła się z nim do łóżka.

Zeszłej nocy próbowała z nim porozmawiać o zamordowanej dziewczynie. Przez otwarte okno dochodziły zapachy ogrodu, ale aromatowi skoszonej trawy i wiciokrzewu towarzyszyła wyimaginowana woń morza. Felicity powędrowała myślami do latarni morskiej, do czystego słonego powietrza, wodorostów i pływających na wodzie kwiatów.

– Myślisz, że już wiedzą, kto ją zabił? – spytała.

Leżała na plecach i wpatrywała się w sufit. Wiedziała, że Peter nie śpi, ale nie odpowiadał tak długo, że zastanawiała się, czy przypadkiem nie udaje, że zasnął.

– Nie – odparł w końcu. – Wydaje mi się, że nie mają pojęcia. Byli dzisiaj u mnie porozmawiać. Ta policjantka i jakiś młodszy facet.

– Po co? Co mówili? – Odwróciła się do niego twarzą, żeby widzieć chociaż jej zarys. Kiedyś wyciągnęłaby rękę i pogłaskała go po czole, policzkach, karku. Po wargach. Uwielbiała czuć pod palcami jego skórę. Teraz nie dotykali się nawet stopami.

– Pytali, czy potrafiłbym rozpoznać kwiaty. Nie wiem... Może to był tylko pretekst.

– Chyba nie podejrzewają, że któreś z nas miało z tym coś wspólnego.

– Nie – powiedział gładko. – Jasne że nie. – Wziął ją w ramiona jak na początku małżeństwa. Jak ojciec pocieszający dziecko. Leżała nieruchomo, udając, że ten gest przynosi jej ulgę.

Szła w cieniu bzów i myślała, że chociaż z pozoru wszystko jest takie samo, już nigdy takie nie będzie. Kiedy tylko ta refleksja

zaświtała jej w głowie, odegnała ją, potraktowała jak melodramatyczny nonsens. Problem w tym, że nie miała z kim o tym porozmawiać. Oczywiście opowiedziała przyjaciołom o znalezieniu ciała. Przez kilka ostatnich dni tyle razy opisywała to zdarzenie – przez telefon, w różnych kuchniach nad kubkami z kawą i kieliszkami z winem – że nie była już do końca pewna, co jest prawdą. Może lekko ubarwiła opowieść dla lepszego efektu? Jednak za nic nie podzieliłaby się podejrzeniem, które kołatało jej w głowie, że mordercą może być ktoś, kogo zna. Podobnie jak nie zwierzyła się nikomu z romansu z Samuelem.

W pustym domu czuła, że potrzebuje towarzystwa. To tragiczne wydarzenie zepsuło urodziny Petera. Teraz powinna zorganizować przyjęcie, grill. Ale wyczuwała w tych planach cień rozpacz i wiedziała, że jeżeli je zrealizuje, wieczór będzie okropny, jeszcze gorszy niż poprzedni. Porażka. Potem wpadła na to, żeby zaprosić do siebie córki z partnerami i rodzinami. Wyprawilaby wielką rodzinną uroczystość. W roli matki i babci czuła się pewnie. Porozmawia o tym pomysle z Peterem wieczorem. Przynajmniej będzie o czym rozmawiać. Wypełni głuchą ciszę przy kolacji.

Kiedy Joanna, jej młodsza córka, przyjeżdżała z chłopakiem, zatrzymywali się zawsze w domku. Ta tradycja sięgała czasów, kiedy Joanna rozpoczęła studia. Wpadała na weekend z grupą przyjaciół i Felicity uznała, że tam narobią mniejszego zamieszania. Mogli siedzieć całą noc, pić i słuchać muzyki – nie przeszkadzaliby Peterowi i nie obudziliby Jamesa. Teraz postanowiła, że przygotowuje domek na ich przyjazd. Włożyła do wiaderka ściereczki, szufelkę, szczotkę, miotelki i pastę do polerowania, i poszła przez łąkę do domku. Jej matka, kiedy klęczała na zimnej posadzce i czyściła krzesła, na których nikt nigdy nie siadał, mówiła o terapeutycznym działaniu sprzątanina. Ona wprowadzi teorię w życie.

Nie zaglądała tu od tego weekendu, kiedy Vera Stanhope poprosiła, żeby pokazać jej domek. A od świąt nikt w nim nie nocował. Mimo ładnej pogody czuć było wilgocia i stęchlizną.

Wcześniej te zapachy nie wydawały jej się aż tak mocne. Może to odstraszyło Lily Marsh od wynajmu. Może właśnie przez to znikła, nie dając odpowiedzi. Przy otwartych drzwiach wyraźnie słyszała odgłos młyna, szum wody na zewnątrz.

Zdjęła pościel i położyła na kupce pod schodami, odkurzyła komodę i wypolerowała ją pszczelim woskiem. Później weszła na krzesło, żeby umyć okno w sypialni; opuściła ramę na tyle, żeby móc sięgnąć na zewnątrz. Nastrój powoli jej się poprawiał. Złapała się na tym, że nuci fragment piosenki, której James nauczył się w szkole. Przyniosła szczotkę z kredensu w kuchni i zamiotła pod łóżkiem. Wygarnęła kurz z drewnianej podłogi, wsunęła go na szufelkę. Uświadomiła sobie, że nie zabrała ze sobą worków na śmieci, więc ostrożnie zniosła szufelkę na dół.

Umyła kafelki w łazience, wyszorowała płytę kuchenki i szafki wewnątrz, zmiotła jeszcze więcej kurzu na kupkę. Później stwierdziła, że musi się napić kawy. Tutaj trzymała słoik rozpuszczalnej i trochę mleka w proszku, ale zasługiwała na coś lepszego. Wyszła na zewnątrz i wróciła do domu. Wysoka trawa łaskotała ją po gołych nogach.

Felicity nastawiła wodę w czajniku i sprawdziła telefon. Jedna wiadomość. Samuel. Nijaki i zdystansowany, jak zwykle. „Mogłabyś do mnie oddzwonić w wolnej chwili? Nic pilnego”. Ale nawet taki kontakt ją ucieszył. Pomyślała, że Samuel chce się spotkać. Wyobraziła sobie, jak wchodzi do domu w Morpeth, jak ją wita. Wybrała bezpośredni numer. Nie odebrał. Rozłączyła się rozczarowana, ale też zadowolona. Spróbuje jeszcze raz później, będzie miała na co czekać. Odwlekana przyjemność. Wlała kawę do kubka termicznego. Pomyślała, że zabierze go do domku i napije się, siedząc na stopniu i patrząc na wodę. Przyznała przed sobą, że zachowuje się dziecinnie. Mary Barnes zrobiła wiosenne porządki parę miesięcy temu i zrobiłaby je znowu, gdyby Felicity powiedziała jej, że przyjeżdża Jo. Tego ranka jednak zabawiła się w dom, jak mała dziewczynka. W ostatniej chwili przypomniała sobie, że potrzebuje worka na śmieci, i poszła po niego.

Pijąc kawę, rozmyślała o Samuelu, jego szczupłych plecach z

wyraźnie zarysowanym długim kręgosłupem. Znow zachowuje się jak podłotek, stwierdziła w duchu. Najwyższy czas dorosnąć. Ale uśmiechnęła się do siebie. Poszła z powrotem do domku i zamknęła okna. Spuściła wodę w toalecie, żeby spłukać wybielacz. Podniosła szufelkę ze śmieciami i wrzuciła je do worka. Nagle dostrzegła coś błyszczącego. Odłożyła szufelkę, przegarnęła śmieci i wyłowiła przedmiot. Pierścionek. Bardzo ładny. Seledynowe kamienie w owalnej srebrnej oprawie. Wzór art déco. Jakby znajomy. Widocznie pierścionek należał do którejś z dziewczyn, uznała zadowolona, że go uratowała. Pewnie do Joanny. Córka uwielbia takie rzeczy. Ale jest beztroska, skoro nawet nie zauważyła, że zgubiła biżuterię.

Dopiero w domu, w sypialni, na plecionym wiklinowym krześle przy telefonie, kiedy szykowała się, żeby znowu zadzwonić do Samuela, przypomniała sobie, gdzie widziała pierścionek. Na palcu Lily Marsh. Zauważyła go, kiedy dziewczyna wyciągała rękę, żeby pomóc Jamesowi wysiąść ze skrzypcami z autobusu. Widocznie był za luźny i spadł jej w czasie oglądania domku. Felicity położyła go na łóżku. Na grubej bawełnianej białej narzucie prezentował się wspaniale. Kusilo ją, żeby go sobie zatrzymać. Wsunęła go na środkowy palec. Pasował jak ulał. Kto się dowie? Od czasu romansu z Samuelem stała się bardziej tolerancyjna dla różnego rodzaju zdrożności. Upajała się świadomością, że zachowuje się wbrew konwenansom, wbrew oczekiwaniom rodziny i przyjaciół, którzy opisaliby ją jako bardzo dobrego człowieka. Z pierścionkiem na palcu wykręciła numer Samuela. Tym razem odebrał natychmiast.

– Parr.

– Tu Felicity. Oddzwaniam. – Zawsze się przedstawiała, chociaż wiedziała, że na pewno rozpozna je po głosie. Nawet kiedy nie było nikogo, kto mógłby podsłuchać rozmowę, zachowywali pozory, że łączy ich zwykła przyjaźń. Dopóki nie znaleźli się sami w jego domu.

– To dobrze – przerwał. – Chciałem sprawdzić, czy wszystko u was w porządku. Po tej niepokojącej sprawie w piątek

wieczorem...

– Och, tak. No cóż, wiesz...

– A James?

– W porządku.

– Dowiedziałaś się czegoś więcej od policji?

– Przyszli wczoraj do Petera do pracy.

– Policjantka była też u mnie. W domu – dodał.

Felicity poczuła odrazę. Wydawało jej się niemal świętokradztwem, że ta wielka, brzydka kobieta siedziała wśród przepięknych rzeczy w domu Samuela.

– Nie bardzo rozumiem, czego chciała.

Nie wiedziała, co na to odpowiedzieć, i złapała się na tym, że mówi coś, co nie ma związku z nurtującymi ją myślami.

– Właśnie znalazłam biżuterię Lily Marsh. Pierścioneł. Był w domku. Widocznie jej spadł, kiedy ją oprowadzałam.

– Zgłosiłaś to policji? – Zniecierpliwienie w jego głosie zaskoczyło Felicity.

– Nie, jeszcze nie – odparła na przekór lekkim, figlarnym tonem. – Jest bardzo ładny.

– Chyba nie zamierzasz go zatrzymać! – Niemal krzyknął zszokowany. – Musisz im powiedzieć. Natychmiast. Inaczej pomyślą, że coś ukrywasz.

– To na pewno bez znaczenia. Przecież wiedzą, że była w domku.

– Wszystko jedno. Dla nich to dowód.

– Dobrze. Tylko się droczyłam. – Pomyślała, że bywa uparty i przemądrzały.

– A mnie chodzi tylko o ciebie. – Ten przejaw wielkiej poufałości, jak na rozmowę telefoniczną, zaskoczył ją i wzruszył. – Proszę, zadzwoń do inspektor Stanhope. Natychmiast.

– Dobrze.

– Obiecujesz?

– Tak. Obiecuję. Masz wolne popołudnie?

– Nie. Jestem umówiony na spotkanie.

Nie wiedziała, czy mówi prawdę, czy ciągle stresuje się tym,

że są razem. Może wyobrażał sobie, że policjantka zapuka do jego drzwi i zażąda, żeby ją wpuścił, kiedy będą się kochali. Ależ by się wściekł, gdyby przyłapano go, kiedy nie ma nad wszystkim całkowitej kontroli. Pomyślała, że jej związek z Samuelem również bardzo się zmienił od chwili znalezienia ciała Lily Marsh.

– Muszę iść – oznajmił. – Potrzebują mnie w biurze. – Zakończył bez pożegnania.

Siedziała przez chwilę, wyglądając przez okno na latarnię migoczącą w oparach upału, a potem znów podniosła słuchawkę, żeby zadzwonić na policję.

Vera umówiła się z Benem Cravenem w ośrodku opieki dziennej dla pacjentów z problemami psychicznymi. Raz w tygodniu spotykał się tam z ludźmi wypisanymi ze szpitala. Ośrodek znajdował się na obrzeżach nadmorskiego miasteczka, kiedyś znanego z doków. Teraz słynęło jedynie jako narkotykowa stolica północnego wschodu.

Po drodze zajęła do biblioteki w centrum miasta, która mieściła się w gotyckim budynku z czerwonej cegły z wieżą zegarową i olbrzymim obrazem w holu, przedstawiającym statek pod pełnymi żaglami. Znalazła zbiór opowiadań Samuela Parra na półce oznaczonej hasłem: „Autorzy miejscowi”. Ciekawe, co myślał na temat takiego zaszczerowania. Uważał je za zaszczyt? Czy może należało rozumieć, że nie jest na tyle dobry, żeby znaleźć się na półkach obok prawdziwych pisarzy. Stała, przez chwilę przeglądając tomik, ale nie mogła odnaleźć tego opowiadania czytanego w radiu. W końcu zdecydowała się wypożyczyć książkę.

– To taki miły człowiek – powiedziała bibliotekarka, kiedy Vera podawała tomik razem z kartą biblioteczną. – Miał u nas odczyt w zeszłym roku.

Vera przypomniała sobie ostatnią rozmowę z Samuelem Parrem. Obiecał, że sprawdzi, co czytała Lily. Zaciekawiona i zainteresowana, jak będzie brzmiała odpowiedź Parra na jej prośbę, postanowiła iść tym tropem. Z samochodu zadzwoniła do biblioteki Morpeth i poprosiła o połączenie z Parrem.

– A tak, pani inspektor. Już patrzę w systemie. Jak się nazywała? Lily Marsh?

W co ty pogrywasz, pomyślała. Na pewno pamiętasz nazwisko dziewczyny. To ty znalazłeś jej ciało.

– Nie ma zaległych książek na jej karcie, pani inspektor. Obawiam się, że nie mogę pani pomóc.

Rozłączyła się, nie wiedzieć czemu – rozczarowana.

W budynku, gdzie mieścił się ośrodek psychiatrycznej opieki

dziennej, wcześniej było przedszkole i Vera, wchodząc, odniosła niepokojące wrażenie, że wszyscy tu – nawet personel – cofnęli się do wczesnego dzieciństwa. W jednej z sal odbywały się zajęcia plastyczne. Pacjenci mieli na sobie czerwone fartuszki, chroniące ubranie i posługiwali się grubymi pędzlami i jaskrawą farbą akrylową. W innym pomieszczeniu trwały zajęcia muzyczne z tamburynami, cymbałkami i dzwonkami. Wszędzie unosił się zapach dymu papierosowego. Nigdy nie zawracała sobie głowy tym, że inni mają ochotę się zabijać, ale teraz czuła ten zapach w gardle i w płucach. Wiedziała, że jak się nie przebierze, nie pozbędzie się smrodu. Żeby dotrzeć do pracownika socjalnego, musiała przejść przez wspólną salę. Ludzie siedzieli na krzesłach ustawionych w małych grupach, ale nikt z nikim nie rozmawiał. Wszyscy palili. Chuda kobieta mówiła do siebie pod nosem – jakaś długa historia o rencie i o tym, że ściga ją zarząd. Inni nie zwracali na nią uwagi.

Craven miał mały gabinet na końcu korytarza. Drzwi były otwarte i zobaczyła go, zanim ją zauważył. Pochylony nad biurkiem stukał w klawiaturę komputera z prędkością, jakiej ona nigdy nie osiągnie. W pierwszej chwili zaświtała jej w głowie myśl, że jest niezły. Takich młodych mężczyzn zauważa się na ulicy, podąża za nimi wzrokiem dla samej przyjemności patrzenia, jak się poruszają. Wysoki, umięśniony blondyn. Z opalenizną, która podkreśla kolor oczu. Mrużył je, patrząc na ekran, ale wiedziała, że są niebieskie. Na pewno pojawiał się w fantazjach wielu pacjentek. Nic dziwnego, że Lily Marsh się w nim zakochała. Ale byłaby z nich para.

Usłyszał, że się zbliża, i podniósł wzrok.

– Tak? – Jedno słowo, za to wypowiedziane tym łagodnym, protekcjonalnym tonem, jakim profesjonaliści zwracają się do wariatów. Uśmiech, żeby poczuła się swobodnie. Wziął ją za pacjentkę.

Zastanowiła się, czy ona nie rozmawia w ten sposób ze świadkami. Jak z dziećmi.

– Vera Stanhope. Inspektor. Byliśmy umówieni. –

Zachowywała się na tyle obcesowo, żeby wprawić go w zakłopotanie. Dziecinnie gra o władzę, którą zwykle gardziła.

Wyłączył komputer i wstał. Podał jej rękę.

– Pani inspektor. Herbaty? Kawy?

– Nie, dzięki.

– Chodzi o pacjenta? Może powinniśmy zaprosić do rozmowy moją szefową?

Puściła to mimo uszu.

– Niech pan słucha – powiedziała. – Moglibyśmy porozmawiać gdzieś indziej? Może wyskoczymy na lunch?

– Czuje się pani niezręcznie wśród psychicznie chorych, pani inspektor?

– Nie wygłupiaj się, chłopcze. Przewinięło mi się przez ręce więcej wariatów niż tobie gorących obiadów przez żołądek. I nie mówię tylko o przestępcach.

Uśmiechnął się i pomyślał: czemu nie, w końcu też jestem człowiekiem.

– O tej godzinie na ogół robię sobie przerwę.

Wyszli na ulicę. Po drugiej stronie jezdni znajdował się wąski pas wydm, a za nim rozciągało się morze. W oddali niszczejaca elektrownia. Poprowadził Verę przez taras edwardiańskich domów z oknami i drzwiami po obu stronach, nadal okazały mimo niezbyt pięknej okolicy. Wejście do pubu Syrenka zdobila płaskorzeźba przedstawiająca dziób statku. W nocy pewnie handlowano tu narkotykami, jak wszędzie w miasteczku, ale teraz panował spokój. Dwóch starszych mężczyzn ze świszczącym oddechem grało w kacie w domino. Para w średnim wieku przy stole jadła tartę z mięsem i frytkami.

Craven zamówił sok pomarańczowy i kanapkę. Ona zdecydowała się na małe piwo Workie Ticket i burgera. Stojąc przy barze, żeby zapłacić, patrzyła na niego w słonecznym świetle, aż zorientowała się, że się gapi, i odwróciła wzrok.

– Luke Armstrong – powiedziała, kiedy usiadła. – Mówi to panu coś?

– To ten chłopak zamordowany w Seaton?

– Znał go pan?

– Nie, nigdy z nim nie pracowałem. Ale słyszałem rozmowy innych pracowników szpitala. Plotki. Stąd wiem, że był pacjentem St George's. Chyba nigdy nie został skierowany do oddziału opieki społecznej.

– Nie widział go pan w szpitalu?

– Może przelotnie, kiedy odwiedzałem kogoś na oddziale, ale na pewno go nie pamiętam. Naprawdę lepiej, gdyby porozmawiała pani z moją przełożoną. Ona będzie wiedziała, czy rodzinę objęto opieką społeczną.

– A Lily Marsh? – spytała Vera. – Ją pan znał.

Siedział w milczeniu. Nieruchomy jak posąg. Ozłocony blaskiem słońca. Takie dzieło sztuki chętnie miałoby się u siebie w domu, pomyślała, nie do końca żartem.

– Nie widziałem Lily, odkąd skończyła osiemnaście lat.

– Słyszał pan, że nie żyje?

– Matka zadzwoniła do mnie w weekend. Powiedziała, że zdarzył się jakiś wypadek. Lily utonęła. Gdzieś na wybrzeżu.

Vera zastanawiała się, czy taką informację puściła Phyllis w swojej wiosce, kiedy poinformowano ją o śmierci córki. Czyżby uznała, że wstyd być ofiarą zabójstwa? Że to niezbyt ładne? Takiej fikcji nie zdoła długo podtrzymać.

– Lily została uduszona. Tak jak Luke Armstrong.

– To znaczy, że te dwie śmierci mają jakiś związek?

Nie dość, że ładniutki, to jeszcze bystry.

– Nie odnotowujemy takiej liczby nagłych zgonów w tej części Northumbrii – powiedziała, nie kryjąc sarkazmu. – A już na pewno nie w ciągu tygodnia. Nie wydaje się pan zszokowany – dodała i badawczo popatrzyła na niego. – To okropna sprawa. A pan był kiedyś z Lily bardzo blisko.

– Oczywiście że jestem zszokowany. – Podniósł na nią wzrok.

– Ale nie zaskoczony. Niezupełnie. Nie wierzę w predyspozycje do bycia ofiarą, ale z nią naprawdę niełatwo było utrzymywać bliską więź. Czasami miałem ochotę ją zabić. Nie jej wina. Zorientowałem się już wtedy. Chciałem ją zrozumieć. Może to

skłoniło mnie do wybrania tego zawodu. Ale nadal chętnie bym ją udusił.

– Proszę mi o tym opowiedzieć.

– Byłem w niej zakochany. Pałałem szaleńczym, namiętym, obsesyjnym uczuciem, do jakiego jest zdolny tylko nastolatek. Chciałem pisać dla niej wiersze, spędzać z nią każdą chwilę...

– Zedrzyć z niej spódnicę – wtrąciła pomocnie Vera.

– No, to chyba też. – Roześmiał się. – Ale czule i romantycznie. Czytaliśmy Lawrence’a. Wyobrażałem sobie takie zbliżenie przy blasku księżyca, na sianie. Coś w tym stylu. Młodzi ludzie są niesamowicie pretensjonalni.

Vera pomyślała o Luke’u Armstrongu i Thomasie Sharpie – kradli na budowach, włóczyli się w brudzie po nabrzeżu, wspierali się, kiedy zaczęło się prześladowanie. Nie wszyscy młodzi ludzie, pomyślała. Pulchna kobieta o matczynym wyglądzie podeszła do nich z jedzeniem. Vera odczekała, aż kelnerka wróci do baru, i dopiero wtedy zaczęła mówić dalej.

– Oczekiwania się spełniły?

– Z początku tak.

Zamierzała spytać, czy zrobili to na świeżym powietrzu, jak w jego fantazjach, ale doszła do wniosku, że to byłoby lubieżne. Nie chciała się zachowywać jak ponurzy detektywi w średnim wieku, którzy uważają dzień za udany, jeżeli każe im się przejrzeć stos skonfiskowanych filmów porno.

Miała go ponaglić, ale ciągnął bez zachęcania.

– Była jesień, początek ostatniej klasy liceum. Wtedy zebrałem się na odwagę, żeby zaprosić ją na randkę. Wiedziałem, że w ratuszu występuje jej ulubiony zespół. Udało mi się zdobyć bilety i spytałem, czy pójdzie. Dopiero co zrobiłem prawo jazdy. Przekonałem matkę, żeby pożyczyła mi samochód na ten wieczór. Inaczej nie miałbym jak wrócić do domu tak późno. Strasznie się denerwowałem, zanim zagadnąłem Lily, czy chce ze mną iść. Pamiętam, że się trząsałem. Czekaliśmy na przystanku na autobus do szkoły. Oboje przyszedliśmy wcześniej i skorzystałem z okazji. Dzień był piękny jak na październik. Słoneczny, ale rześki. W

końcu wykrztusiłem z siebie tę propozycję, czułem się jak ośmiolatek. Uśmiechnęła się. Wtedy wiedziałem, że będzie dobrze. „Myślałam, że nigdy nie spytasz”. Tylko tyle powiedziała. Później na przystanku pojawili się inni.

– A kiedy zaczęło się psuć?

– Tuż przed Bożym Narodzeniem. Mieliśmy napisać pracę zaliczeniową, żeby dostać szóstkę. Dla Lily to było jeszcze ważniejsze niż dla mnie. Przyznano jej warunkowo miejsce na Oksfordzie. Ale nagle nauka do egzaminów przestała się dla niej całkowicie liczyć. Oczekiwała, że będę się z nią spotykał co wieczór, chociaż całe dni przebywaliśmy ze sobą w szkole. Zacząłem czuć, że się duszę.

– Więc pan z nią zerwał?

– Nie od razu. Zasugerowałem, żebyśmy widywali się w weekendy. Dzięki temu wspólnie spędzany czas miał być bardziej wyjątkowy.

– Zgodziła się?

Pokręcił głową.

– Nadal mi na niej zależało, ale już powoli działała mi na nerwy. Oskarżała mnie, że za jej plecami spotykam się z innymi dziewczynami.

– A tak było?

– Nie! Staralem się zdobyć przyzwoite oceny, żeby dostać się na studia – przerwał. – Doszło do potwornej awantury. Byliśmy w pubie w wiosce, w której mieszkała, i potem odprowadzałem ją do domu. Sporo wypła. Nagle się wściekła, zaczęła krzyczeć, wyzywać mnie. Powiedziała, że nigdy jej nie kochałem, że cały wieczór gapiłem się na laskę za barem, że nie zniesie czegoś takiego. Miałem dość. W porządku, powiedziałem. W takim razie to koniec. Była prawie pod domem, więc się odwróciłem i ruszyłem z powrotem. Pobieгла za mną, błagała, żebym zmienił zdanie. „Przepraszam, Ben. Nic na to nie poradzę. Tak bardzo cię kocham”. Lała jak z cebra i pomyślałem, że wygląda jak wariatka, stojąc tak, zapłakana, ze ściekającym po policzkach makijażem. Nie wiedziałem, co robić. Była strasznie smutna. Więc objąłem ją i

odprowadziłem pod same drzwi. Poczekałem, aż wsadzi klucz, i uciekłem.

– Prawdziwy dżentelmen – skwitowała Vera.

– To było za dużo jak dla mnie. Powiniennem porozmawiać z Marshami, wytłumaczyć, dlaczego córka jest taka zdenerwowana, ale nie mogłem spojrzeć im w oczy. Zawsze wydawali mi się starzy. Dość staroświeccy. Poza tym o takich sprawach nie chce się gadać nawet z własną rodziną. – Przerwał, bawił się pustą szklanką. – To się działo w piątek. Potem długo nie pojawiała się w szkole. Jej rodzice przekazali informację, że ma infekcję gardła. Czułem ulgę, bo nie musiałem się z nią spotykać. Wydawało mi się, że na tym koniec. Że wróci do szkoły i wszystko będzie tak jak wtedy, zanim zaczęliśmy się umawiać. Ludzie ze sobą zrywają. Nic wielkiego.

– Ale ona widziała to inaczej.

– Najwyraźniej. Zadzwoiła do mnie jej matka i poprosiła, żebym odwiedził Lily. Podobno nie spała, nie jadła. Miałem dość rozsądku, żeby odmówić. Wiedziałem, że jeżeli dam jej jakąkolwiek zachętę, wszystko potoczy się od nowa. Po paru tygodniach przyszła do szkoły. Wyglądała strasznie, blada, wymizierowana. Zastanawiałem się, czy przypadkiem nie cierpi na jakąś nieuleczalną chorobę, a ja tylko pogarszam jej stan. Naprawdę uważałem, że panna Marsh powinna zabrać ją na badania. W pewien sposób mi to pochlebiało. Że wywarłem taki efekt na kimś, kogo uwielbiałem. Lily zaczęła się izolować i była wycofana. Nigdy nie miała prawdziwych przyjaciół. Zanim się do siebie zbliżyliśmy, nie uświadamiałem sobie, jak bardzo jest samotna. Ale myślałem, że wszystko się poukłada. Wydawało mi się, że rzuciła się w wir nauki. Sądziłem, że już poradziła sobie z rozstaniem. Nie urządzała żadnych scen. Mniej więcej po tygodniu wyglądała nawet trochę lepiej. To znaczy, bardziej o siebie dbała, odzywała się do mnie, kiedy się spotkaliśmy.

– Ale się nie poukładało?

– Niestety. Oczywiście, teraz rozumiem, jak bardzo musiała być przybita. Jej stan się wcale nie poprawiał. To, że się ładnie ubierała, zagadywała do mnie, było spowodowane nadzieją, że

zaraz do niej wróć. Kryzys nastąpił przed Wielkanocą. Pojawiła się u mnie w domu, wystrojona, cała w skowronkach. „Dokąd mnie zabierzesz?” Ubzdurała sobie, że gdzieś razem się wybierzemy. Nie wiedziałem, co robić. W końcu odprowadziłem ją do domu, do matki. Kiedy dotarło do niej, co się dzieje, zaczęła szlochać. Koszmar. Wtedy zaczęły się telefony. Wydzwaniała dziesiątki razy dziennie. Wiedziałem, że jest chora, i starałem się być wyrozumiały, ale to mnie wykańczało. A moich rodziców doprowadzało do szału. Zmieniliśmy numer, zastrześliśmy go. Nie wiem, czy się leczyła, czy po prostu sama się z tego otrząsnęła. Przez większość następnego semestru mieliśmy wolne na naukę do egzaminów. Prawie jej nie widywałem. Sporadycznie gdzieś mi mignęła, jak szła do klasy, ale pilnowałem, żeby usuwać jej się z drogi.

– Widział ją pan od tamtej pory?

– Nie. Nie przyszła do szkoły, nawet kiedy czekaliśmy na wyniki egzaminów. Chyba zdawała sobie sprawę, że nie poszło jej rewelacyjnie, i wolała nie patrzeć, jak inni się cieszą.

– Czy potem była pacjentką szpitala St George’s? Albo dziennego ośrodka?

– Nie wiem.

– Ale musiał być pan ciekawy. Przyznał pan, że to poniekąd z tego powodu zdecydował się na pracę opiekuna społecznego. Nie sprawdzał pan, czy nazwisko Lily figuruje w systemie? Ja na pewno bym tak zrobiła.

– Nie odpowiedział od razu.

– Nadal o niej myślę – przyznał. – Była moją pierwszą dziewczyną. Pewnie najpiękniejszą ze wszystkich, które poznałem. – Spojrzał na Verę. – Proszę spytać lekarzy o to, czy się leczyła. Ale ma pani rację. Byłem ciekaw. I nie trafiłem na żaden jej ślad.

Kelnerka przyszła sprzątnąć ze stolika. Ben wstał, żeby odejść. Vera siedziała dalej, a on zatrzymał się, spojrzał na nią z góry i dotarło do niego, że to nie koniec pytań.

– Czy nazwisko Parr coś panu mówi? Claire Parr. Kobieta pod czterdziestkę, z depresją. Popełniła samobójstwo.

– Nie – odpowiedział.

Widziała, że facet chce już wracać do ośrodka.

– Nieważne – mruknęła właściwie do siebie. – Pan chyba jeszcze wtedy nie pracował.

Vera zadzwoniła z samochodu pod domowy numer Clive'a Stringera. Zaparkowała za wydrami i spoglądała na plażę. Wzdłuż brzegu szedł starszy mężczyzna z pochyloną głową. Co jakiś czas przystawał, podnosił kawałki węgla morskiego i wkładał je do reklamówki sieci Aldi. Pomyślała, że pewnie facet teraz ma w mieszkaniu centralne ogrzewanie, ale stare nawyki ciężko wykorzenić.

Wybrała przyciski w telefonie. Sygnał pikał i pikał – nie było ustawionej automatycznej sekretarki – i już miała zrezygnować, kiedy odezwała się kobieta, słabym, zasapanym głosem.

– Pani Stringer?

– Słucham – burknęła podejrzliwie, przyzwyczajona, że ludzie sprzedają informacje. Może syn kazał jej się rozłączać, kiedy zadzwoni ktoś nieznajomy.

– Nazywam się Vera Stanhope. Pracuję w policji. Może Clive wspominał, że będę się kontaktować. Chodzi o tę dziewczynę, której ciało znaleziono przy latarni.

– Nie wiem...

– Czy zastałam pani syna? Mogłabym z nim porozmawiać? – Splotła palce obu dłoni i telefonomal nie wyslizgnął jej się z rąk. Wczesnym popołudniem facet na pewno siedzi w muzeum.

– Jest w pracy. Najlepiej niech pani tam się pofatyguje.

Vera znowu pomyślała, że staruszka zaraz się rozłączy.

– Wie pani co, za pół godziny będę niedaleko pani domu. Zadzwonię. Mogłybyśmy porozmawiać.

– Wolałabym, żeby pani poczekała, aż wróci Clive.

Vera odniosła wrażenie, że słyszy w jej głosie panikę. Ale to nic nie znaczyło. Mnóstwo starszych ludzi niepokoi się, kiedy puka do nich ktoś obcy. Oglądają wszystkie kampanie uświadamiające na temat przestępstw.

– Nie ma powodu do niepokoju. – Vera usłyszała, że przemawia tonem Bena Cravena: „Jesteś stuknięta, a ja wiem, co

dla ciebie najlepsze”, i się skrzywiła. – Pokażę legitymację. Będzie pani mogła zadzwonić na policję, żeby się upewnić. – Wcisnęła przycisk, żeby zakończyć rozmowę, zanim pani Stringer zaprotestuje.

Stringerowie mieszkali w niskim przedwojennym domku w North Shields. Dawniej ulica była główną trzypasmową ruchliwą drogą, ze sklepami po obu stronach, ale okolicę przebudowano, a nowy system dróg wyłączył ją z użytkowania. Teraz Gunner Lane kończyła się nagle przy murze z pustaków. Za nim szklano-betonowy klub sportowy rzucał długi cień na środek ulicy. Vera знаła te rejony. Parę razy odwiedziła tu Sharpa i zawsze się dziwiła, że Davy mieszka w tak niepozornej, spokojnej dzielnicy. To trochę jego przykrywka, dzięki temu się nie wyróżniał.

Mary Stringer musiała jej wypatrywać. Jak tylko Vera zapukała, drzwi natychmiast lekko się uchylły. Vera zobaczyła drobną kobietę, z łagodnymi rysami twarzy i szyją tak cienką, że wydawało się niemożliwe, żeby utrzymała głowę.

– Dzwoniłam do syna. Nic nie wiedział o tym, że ma pani przyjść. – Przez szparę w drzwiach Vera dostrzegła, że staruszka się trzęsie.

Nie próbowała wejść do środka siłą. Poszukała w torebce legitymacji.

– Musi pani przyznać, że to ja. Proszę spojrzeć na zdjęcie. Na północnym wschodzie na pewno nie ma drugiej osoby z taką aparycją.

– Clive powiedział, że nie muszę z panią rozmawiać.

– To fakt, ale chyba nie chcemy, żeby cała ulica słuchała o pani sprawach, prawda?

Brak odpowiedzi. Ale Vera widziała, że staruszka mięknie.

– Proszę otworzyć, kotku, niech mnie pani wpuści. Wstąpiłam do piekarni na rogu i wzięłam dwie kremówki. Nastawmy wodę na herbatę i porozmawiajmy jak ludzie.

Kremówki chyba przeważyły. Kurczowy uścisk na klamce rozluźnił się. Vera lekko pchnęła drzwi i weszła do środka.

Wnętrze domu chyba niewiele się zmieniło, odkąd Mary

Stringer się wprowadziła. Dość czysto i schludnie, ale meble stare, podniszczone. Vera stała tuż za progiem i czekała, aż staruszka ją poprowadzi. Kiedy pani Stringer już zdecydowała się wpuścić gościa, wyglądała na zadowoloną z towarzystwa. Zaprowadziła Verę do małego, zagraconego salonu i znikła, żeby zrobić herbatę. Nad kominkiem wisiała ślubna fotografia. Mary w tradycyjnej bieli i mężczyzna tak chudy jak ona, o srogim wyglądzie – wyglądał na zadowolonego z siebie mimo źle skrojonego garnituru.

Mary wróciła z tacą i zobaczyła, na co patrzy Vera.

– Zmarł, kiedy Clive miał miesiąc. Wypadek w stoczni. Ale zachowali się w porządku. Dostałam po nim rentę.

– Mimo to i tak było ciężko samotnie wychowywać syna. Pomagał pani ktoś z rodziny?

– Nie, wszyscy mieszkali daleko. Ale miałam wspaniałych sąsiadów. Nie wiem, jak byśmy sobie poradzili bez nich. W tamtych czasach to była przyjazna okolica. Właściwie nadal jest.

– Clive powiedział, że czasami pilnowała pani małego Thomasa Sharpa.

– Tylko w ramach przysługi – wyjaśniła szybko Mary. – To znaczy, dawali mi parę funtów, żebym go pilnowała. Wie pani, Davy lądował w więzieniu. Nie chciałam, żeby ci od renty się dowiedzieli o moim zarobku. Nigdy oficjalnie nie zarejestrowałam się jako opiekunka.

– Pomagała pani sąsiadce. – Vera zastanawiała się, czy stąd to całe zdenerwowanie. Dziesięć lat temu Mary złamała kilka zasad i nadal wpadała z tego powodu w panikę. – Teraz nikt się tym nie będzie zajmował.

Mary rzeczywiście się rozluźniła i weszła w rolę gospodyni. Herbatę podała w porcelanowych filiżankach z podstawkami. Talerzyki były od kompletu. Vera wyjęła lepkie ciastka z torebki, jedno podała Mary i oblizała palec.

– Poznała pani kolegę Thomasa, Luke’a Armstronga? – Małe szanse, ale tak czy owak, warto spróbować.

– Ostatnio rzadko Toma widywałam. Nie mówiąc już o

rozmowie. Pomachał mi, kiedy przechodził na autobus do miasta i to wszystko. Zresztą co się dziwić. Co miałyby robić ze staruszką?

– Ale Clive zna go dość dobrze?

– Bardzo się opiekował Thomase, jak ten był malutki. Parę razy zmienił mu nawet pieluszkę. Po młodym chłopaku człowiek by się nie spodziewał, prawda? Zabierał go na spacer w wózku.

Vera odnosiła wrażenie, że Mary robiła dla Sharpów coś więcej, nie tylko okazjonalnie zajmowała się dzieckiem. Nie skomentowała tego jednak. Wzięła kęs kremówki, tak słodkiej, że wyobrażała sobie, jak zęby psują jej się do samych korzeni. Krem waniliowy wypłynął zmiażdżony dwoma twardymi, niestrawnymi kawałkami ciasta. Zebrała go palcem i wsadziła sobie do ust.

Mary przyglądała jej się serdecznie.

– Mój Clive lubi jeść, ale nie tyje ani grama. Widocznie wszystko spala.

– Jest trochę nerwowy, co? – spytała Vera.

– Może to moja wina. Nie cierpię siedzieć w domu sama. Pewnie zawsze trochę go ograniczałam. Nie przeżyłabym, gdyby coś mu się stało. – Przerwała i uśmiechnęła się lekko, zadowolona. – To dobry chłopak. Jakiś czas temu miałam zawał. Nic bardzo poważnego, mimo to niejeden syn wykorzystałby okazję, żeby oddać matkę do domu opieki. Ale nie on. Wziął wolne w pracy, przywiózł mnie tutaj i się mną opiekował.

– Więc jesteście blisko?

– Tak, bardzo.

– Wiedziałyby pani, gdyby coś go dręczyło?

– No, to inna sprawa. On nie jest z tych wylewnych, ten nasz Clive. Trudno mi dociec, co mu chodzi po głowie.

– Spotykał się ostatnio z jakąś dziewczyną?

– Nie! – Ta myśl była dla niej najwyraźniej nie do przyjęcia.

– Jesteśmy tu szczęśliwi, we dwoje. – Po chwili dodała dla porządku: – Ale to by mnie nie zmartwiło. Wspaniale, gdyby znalazł dobrą kobietę, z którą założyłby dom. Chciałabym mieć wnuki.

– Czy Clive leczył się kiedyś na nerwy?

– To znaczy? – Nagle stała się podejrzliwa. Jadła ciastko małymi kęsami, podskubując brzegi jak myszka. Teraz ze zmarszczonym czołem spoglądała na Verę znad kremówki.

– Tylko pytam, kotku. Mnóstwo ludzi się leczy.

– Nie cierpi na depresję, jeżeli o to pani chodzi. Jesteśmy tu bardzo szczęśliwi, on i ja. Nie potrzebujemy, żeby ktoś wtykał nos w nasze sprawy.

Vera dała za wygraną, choć zastanawiało ją, dlaczego kobieta tak bardzo protestuje.

– Nie ma mu pani za złe, kiedy nocuje poza domem?

– Ostatnio nie zdarza się to często. Kiedyś wyjeżdżał co weekend. Na wybrzeże, z tymi swoimi przyjaciółmi. Nie narzekałam. Ma swoje życie. Ale po tym moim zawale stał się bardziej troskliwy. Zresztą powiedziałam mu: Jak byś się czuł, gdybym znów dostała zawału i była tu sama?

Vera zaczęła myśleć, że Mary to toksyczna wiedźma. Zrozumiałaby, gdyby chciał z nią skończyć.

– Wiedziała pani, że nie wróci w zeszły piątek?

– Oczywiście. Nie zaplanowałyby tego, gdyby najpierw mnie nie spytał.

– Przygotował pani coś do jedzenia?

– Mówiłam, to dobry chłopak. Zwykle gotuje, kiedy tu jest. Ale sam nic nie tknął. – Prychnęła. – Wiadomo, na przyjęciu naje się frykasów.

– A dzień wcześniej, w czwartek?

– Wrócił trochę później z pracy, bo po drodze wstąpił do sklepu. Wypatrywałam go z niecierpliwością. Kiedy człowiek cały dzień siedzi sam, nie może się doczekać towarzystwa.

– Z tego co wiem, nie jeździ teraz dużo samochodem.

– No tak – umilkła. – Kiedyś nawet cieszyły mnie nasze wycieczki autem, ale on nigdy za bardzo nie lubił prowadzić. Kiedy parę lat temu samochód nie przeszedł przeglądu, Clive nie zawracał sobie głowy naprawą i sprzedał go za grosze. Mówi, że ze względu na planetę lepiej korzystać z transportu publicznego. Ale teraz samochód by mi się przydał. Clive mógłby mnie podrzucić do

poradni w szpitalu. – Zerknęła na ścienny zegar. – Coś jeszcze? Za chwilę zaczyna się w telewizji mój ulubiony teleturniej, zawsze go oglądam.

Vera stwierdziła, że pójdzie, zanim powie coś, czego będzie żałować. Sprawdziła historię Clive'a. Nie mogła postrzegać go jak szaleńca, który zabijał młodych ludzi tylko dlatego, że zazdrościł im wyglądu. Może Clive miał depresję, ale kto by jej nie miał przy takiej matce egoistce?

Mary włączyła duży telewizor. Wcześniej Verze było jej żal. Teraz wiedziała, że ta kobieta całkiem nieźle zorganizowała sobie życie pod siebie. Wstała.

– Sama trafię do drzwi, dobrze?

Drobna staruszka skinęła głową.

– Jeśli będzie pani tak łaskawa. Po chorobie niezbyt dobrze się trzymam na nogach.

Vera zamknęła za sobą drzwi salonu i stała w korytarzu. Melodia rozpoczynająca program wybrzmiała. Gospodarz rzucił żart. Mary zachichotała. Vera pchnęła jedne z drzwi na korytarzu. Podłoga wyłożona grubą białą wykładziną. Podwójne łóżko z różową wytłaczaną narzutą. Typowy zapach starszej pani – znoszonej nocnej bielizny i talku. Za następnymi drzwiami znajdowała się łazienka. Bardzo mała: prysznic nad wanną, niebieska zasłona z wzorem w jasne ryby. Tu zapach trochę bardziej męski. Żel pod prysznic? Płyn po goleniu? Spojrzała na butelki na półce. Czyżby Clive zawsze mocno dbał o wygląd, w nadziei że któregoś dnia znajdzie sobie kobietę i zyska pretekst, żeby się wyprowadzić od matki?

Po chwili podeszła do drzwi pokoju Clive'a. Zamknięte, ale nie na klucz. Otworzyła je, lekko przekręcając gałkę. Zasłony były zaciągnięte, więc musiała włączyć światło. Spodziewała się miejsca zakurzonego, pełnego okazów jak w muzealnej pracowni, ale zobaczyła niezagracone, anonimowe wnętrze. Pojedyncze łóżko, sosnowe szafy i komoda do kompletu. Regał na książki z typowymi albumami przyrodniczymi. W jednym rogu siatka na ptaki wciśnięta w płócienny worek. Kolejny ptasiarz. Kilka powieści,

otwarta książka na szafce nocnej. Biurko z komputerem. Szachy. Żadnych obrazów na ścianie. Wyglądało to tak, jakby wiedział, że matka ma wstęp do jego pokoju, i nie chciał się z niczym zdradzać. Jedyna fotografia stała na szafce nocnej. Można by się spodziewać, że to zdjęcie dziewczyny albo kochanki. Tymczasem to czwórka przyjaciół – Clive wyglądał na speszonego, onieśmiałego, Gary się śmiał, a po obu ich stronach stali Peter Calvert i Samuel Parr. Zdjęcie zostało zrobione przy latarni, wszyscy patrzyli na morze.

Vera wycofała się na korytarz. Dobiegł ją wybuch śmiechu studyjnej publiczności. Wykorzystując hałas, zamknęła za sobą wejściowe drzwi i wyszła na ulicę.

Stała przez moment, a potem przeszła trzy domy dalej, do tego, gdzie mieszkali Sharpowie. Skoro już tu jest, może uda jej się porozmawiać z żoną Davy'ego.

Vera czuła, że Diane Sharp wie, kto przyszedł, jak tylko otworzyła drzwi – nie знаła nazwiska, ale rozpoznała w niej policjantkę. Widocznie lata praktyki rozwinęły w niej swoisty szósty zmysł. Była pulchną kobietą po czterdziestce, z bardzo ładną twarzą i włosami, które wyglądały tak, jakby co tydzień chodziła do fryzjera. Miała na sobie różową bluzkę i białą lnianą spódnicę.

– Marnuje pani czas – powiedziała. – Davy jest w Acklington.

– Wiem. Rozmawiałam z nim w zeszłym tygodniu. – Vera usiłowała sobie przypomnieć, czy już kiedyś zetknęła się z żoną Davy’ego, ale raczej nie.

– A nasz Brian tu nie mieszka. Ma własne mieszkanie w mieście.

– Chcę porozmawiać z panią – oznajmiła Vera.

Kobieta wydała się tym zaskoczona na tyle, że odsunęła się i wpuściła policjantkę do środka.

– Nie wtrącam się w ich sprawy. – Poprowadziła Verę na tył domu. Wszystko było bardzo schludne, zadbane. Otworzyła drzwi i nagle światło zalało całą przestrzeń. Wzdłuż domu rozciągała się oranżeria wychodząca na mały skrawek trawnika. – Davy to zrobił, kiedy ostatnim razem tu był – powiedziała. Klapnęła w wiklinowym fotelu i skinęła na Verę, żeby też usiadła.

– Nie chodzi mi o to, co porabiają pani mężczyźni – wyjaśniła Vera i zamilkła na chwilę. – Tak mi było przykro, kiedy dowiedziałam się o Thomasie.

Diane siedziała nieruchomo.

– Już nikt nic na to nie poradzi – odezwała się w końcu. – Cóż, wypadek.

– Jest pani pewna?

– Tak. Oczywiście, człowiek łatwiej by to zniósł, gdyby dało się kogoś obarczyć winą, ale to były po prostu wygłupy młodych.

– Czytała pani w gazecie, że Luke Armstrong został zamordowany?

Przytaknęła.

– Wspaniały chłopak – stwierdziła. – Tom spędzał u niego dużo czasu.

– Przychodził tutaj?

– Nie za często. Wtedy jeszcze mieszkał tu Brian. Działy się różne rzeczy. Nie chciałam, żeby Tom był w to wciągnięty.

– Jakie rzeczy?

Zawahała się, szukała właściwych słów.

– Brian zadaje się z niewłaściwym towarzystwem – odparła w końcu. Równie dobrze mogłaby opowiadać o pięciolatku, który ma nieodpowiednich kolegów w szkole.

Vera wiedziała, że jeden z tego niewłaściwego towarzystwa dostał wyrok za usiłowanie zabójstwa, pchnięcie nożem w pubie w śródmieściu, ale dała spokój.

– Niech mi pani opowie o tych kwiatach na rzece dla Toma. Czyj to pomysł?

– Nie wiem, kto na to wpadł. – Diane wyglądała za okno na skoszony trawnik. – Pewnie ktoś z sąsiedztwa. Wszyscy tutaj bardzo lubili Toma. To chyba nie była zorganizowana akcja. Najpierw ktoś rzucił jeden pęk kwiatów. Potem dołączyli się inni.

– Czy ktoś obwiniał za śmierć Toma Luke’a Armstronga?

– Ma pani na myśli Briana? – Diane uniosła głowę. – Chodzi o zemstę?

– Pani młodszy brat twierdzi, że chcielibyście móc kogoś obarczyć winą. Jak pani powiedziała: tak byłoby łatwiej.

Pokręciła głową.

– To nie Brian. Słyszałabym o tym.

Vera stwierdziła, że to pewnie prawda. Poza tym Brian Sharp raczej wywaliliby kopniakiem drzwi Armstronga i spuściłby chłopakowi łomot pięściami. Nie upiększałby przedsięwzięcia kwiatami.

– Niech mi pani opowie o Stringerach. Pani sąsiadach.

Ta nagła zmiana tematu zaskoczyła kobietę.

– Czemu pani o nich pyta?

– Clive jest świadkiem w innej sprawie. Jestem po prostu ciekawa.

– Mary Stringer była dla mnie jak matka, kiedy się tu przeprowadziliśmy. Davy często przebywał poza domem, a ja chodziłam w ciąży z Tomem. Oprócz syna nikogo nie miała. Męża straciła w wypadku. Clive różnił się od moich chłopców. Zawsze z nosem w książkach. Nie sprawiał kłopotów. Prawie. Trochę go kusiło, jak był mały, ale Brian szybko go ustawił. Jesteśmy prawie jak rodzina. Mary opiekowała się Tomem przez większość czasu, zanim poszedł do przedszkola. Ja miałam dużo roboty przy Brianie, a ona utrzymywała się tylko z wdowiej renty. Potrzebowała pieniędzy, a ja cieszyłam się, że mogę dać jej parę funtów. Clive uwielbiał Toma. Opiekował się nim, jak mało który dzieciak w jego wieku. Przez kilka lat byli jak bracia.

– Czy Clive poznał Luke’a Armstronga?

– Możliwe. Tom nic mi o tym nie wspominał.

Verze nie przychodziło do głowy już żadne pytanie, więc zebrała się do wyjścia. Diane głośno zatrzasnęła za nią drzwi. Na zewnątrz przy jej samochodzie stał Clive Stringer. Musiał wyjść z pracy, jak tylko zadzwoniła do niego matka i powiedziała o zapowiedzianej wizycie pani inspektor. Miał na sobie czarne dżinsy, czarną koszulkę polo i czarne adidasy. Czerwona od słońca twarz błyszczała mu potem. Vera wiedziała, że gotował się w tym upale, wpadając w coraz większą złość, gdy czekał, aż ona wróci do auta.

– Jakim prawem nachodzi pani moją matkę?

– Nie zauważyłam, żeby miała coś przeciwko temu, kotku. Wypiłyśmy sobie herbatkę.

– Jeżeli chce pani o coś spytać, proszę przyjść bezpośrednio do mnie.

– Panu chyba też dobrze by zrobiło, gdyby pan coś wypił, kotku. Jest w pobliżu jakieś miejsce, gdzie moglibyśmy się czymś orzeźwić? Nie będę musiała znowu niepokoić pana mamy. Jeżeli postoiemy tu jeszcze chwilę, ściągniemy tłum gapiów.

Grupa nastolatków wlokła się ze szkoły i już zaczęli się im przyglądać. Clive wzruszył ramionami.

– Na rogu jest kawiarnia. – Ruszył chodnikiem, nie oglądając się na Verę.

Kawiarnia miała ogródek na chodniku. Próba stworzenia kontynentalnej atmosfery została unicestwiona przez zapach tłustych burgerów i papierosów dolatujący przez otwarte drzwi, ale chodnik o tej porze tonął w cieniu, więc mimo wszystko usiedli na zewnątrz. Vera piła kawę rozpuszczalną, Clive zamówił butelkę jaskrawej oranżady. Znowu pomyślała, że ten facet nigdy nie dorośnie.

– Na pewno nie było łatwo dorastać bez taty – zaczęła. Jak tylko wypowiedziała te słowa, stwierdziła, że zabrzmiały protekcyjnie, ale podczas krótkiego spaceru Clive wyraźnie się uspokoił.

– Moja matka nigdy nie była łatwą osobą. – Podniósł wzrok z nagłym uśmiechem, jakby żartował.

– Jest zależna od pana? – Vera wyczuwała, jak do niego podejść. Jedno niewłaściwe słowo i gość znowu się zatnie.

– Nie ma nikogo innego. Żadnych krewnych. Żadnych przyjaciół. Od innych wymaga, ale sama nic od siebie nie daje.

– Ale dla Diane Sharp się wysiliła.

– Diane jej płaciła. Poza tym mama uwielbiała małego Toma. Mogła sobie wyobrazić, że jest jej synem. Nie lubiła go już tak bardzo, jak podrósł na tyle, żeby jej odpyskować.

– Pan nigdy nie pyskował?

– Nie. To nie w moim stylu.

Spodziewała się, że znów się uśmiechnie, ale wyglądał dość poważnie.

– Jakie miał pan stosunki z Sharpami?

– Swego czasu bardzo rodzinne – odparł, a Vera przypomniała sobie, że Mary powiedziała niemal to samo. – Łatwo byłoby dać się w to wszystko wciągnąć. Wie pani, w te ich sprawy. Ale zainteresowałem się ptakami i to okazało się dla mnie wybawieniem.

- I drugą rodziną.
 - Tak. – Cieszył się, że próbowała go rozumieć.
 - Przychodzi panu do głowy, o co może chodzić w tych zabójstwach? Kwiaty. Woda. – Wydawało jej się, że ze wszystkich ludzi akurat on mógłby coś wiedzieć. Miał umysł, który wyłapywał schematy. Zadała pytanie, zanim pomyślała, czy jest sens pytać.
- Siedział przez chwilę, mrugając gwałtownie za grubymi szklami okularów.
- Nie – odpowiedział. – Oczywiście że nie.

Felicity zakładała, że pierścionek Lily Marsh odbierze Vera Stanhope, więc trochę się zdziwiła, kiedy zobaczyła w progu młodego mężczyznę. Przedstawił się jako Joe Ashworth, a kiedy nadal wydawała się nieprzekonana, pokazał jej legitymację.

– Pani Stanhope jest moją szefową.

Mógłby być młodszym wspólnikiem w małej firmie. Kulturalny, miły – od razu jej się spodobał. Dotarło do niej, że była głupia, skoro oczekiwała, że sama pani inspektor zjawi się w tak trywialnej sprawie.

Prawie w tej samej chwili zjawił się James. Ciągłe stali w progu, a on minął ich, wszedł do domu, do kuchni, z wypuszczoną koszulą, rozwiązanymi adidasami, wygłodniały jak zawsze po powrocie ze szkoły. Nawet kiedy dołączyli do niego, nie przejął się nieznanym – dalej wyciągał ciastka z puszki i z pełnymi ustami opowiadał o dniu sportu. Żałowała, że nie zrobił lepszego wrażenia, że nie zachowywał się grzeczniej. Ale Ashworth chyba rozumiał dzieci i uśmiechnął się nad głową chłopca. Usiadł i rozpoczął pogawędkę, tak jakby nigdzie mu się nie spieszyło.

– Podobno to pani jest rodzinnym ogrodnikiem.

– Chyba tak. Mąż jest bardzo zajęty. I chociaż z zawodu jest botanikiem, jego prawdziwą pasją są ptaki. Woli spędzać czas na wybrzeżu.

– My mieszkamy w nowym osiedlu – powiedział Ashworth. – Mamy zaledwie kawałek ogródka. Ale moja żona o niego dba. Ogląda nawet specjalne programy telewizyjne.

Kiedy rozmawiali o jego żonie, córce i kolejnym dziecku w drodze, Felicity myślała o tym, jakim miłym człowiekiem jest ten Ashworth i jak bardzo by się cieszyła, gdyby Joanna wyszła za kogoś takiego zamiast za Olivera, który pracuje w telewizji i prawie w ogóle nie zauważa tego, że ma dziecko.

– Ostatnio żonę pochłonęło robienie kartek – ciągnął Ashworth. – Mieli w Klubie Kobiet gościnny wykład o suszeniu

kwiatów. Sarah zaczęła hodować rośliny, które można później zasuszyć. Sprzedaje je w wiosce. Robi też takie bukiety na specjalne okazje, jeżeli ktoś ją poprosi. Nie przynoszą wielkiego zysku, ale zwracają się koszty, a ona to kocha.

– Boże! Jak ja bym chciała ściągnąć do naszego klubu jakąś młodą kobietę! U nas średnia wieku wynosi jakieś siedemdziesiąt pięć lat, ja jestem najmłodsza z całego towarzystwa.

– Może pani klub odwiedziła z pogadanką ta sama osoba?

– Raczej nie. Te wszystkie wykłady na temat rękodzieła to taka trochę paplanina. Niezbyt mnie interesuje. Mam dwie lewe ręce. Wolny czas wolę poświęcać na ogród. Później pana oprowadzę, jeśli pan sobie życzy.

James wybiegł przed dom bawić się z dziewczynkami z farmy, ale Felicity i Ashworth zostali w kuchni i rozmawiali dalej. Położyła pierścionek na stole pomiędzy nimi.

– Śliczny, prawda? – Uśmiechnęła się. – Kusilo mnie, żeby go sobie zatrzymać – wyznała.

– Jest pani pewna, że należał do Lily Marsh?

– Tak. Jak tylko go zobaczyłam, byłam pewna, że już gdzieś go widziałam. Ale dopiero kiedy wróciłam do domu, przypomniałam sobie gdzie.

– Nie zauważyła pani, że Lily nie ma już pierścionka na palcu?

– Gdybym zauważyła, od razu bym jej powiedziała – oznajmiła z przekonaniem.

– Oczywiście. – Zawiesił głos. Wydał jej się bardziej rozważny niż Vera Stanhope, dobrze rozumował i mówił wolniej.

– Nie mam pojęcia, jak mogła go zgubić. Kiedy korzystała z łazienki? A może sama go zdjęła, żeby umyć ręce? – Przywołała w myślach obraz dziewczyny w Fox Mill. – Nie – odezwała się po chwili. – Do łazienki poszła tu, w domu, zanim wybrałyśmy się do domku. Albo po prostu był za luźny. Jeżeli schudła, odkąd został kupiony...

– Tak. – Uśmiechnął się niepewnie. – Ale wtedy raczej usłyszałybyście, jak upada. Chyba że w domku jest wykładzina.

Zaczynała tracić cierpliwość. Zastanawiała się, czy przypadkiem nie pomyliła się co do tego młodego człowieka. Czyżby opowieści o żonie i córce były wybiegiem? Próbował ją podejść?

– Nie ma wykładziny – odparła ostrzejszym tonem. – Na dole są kamienne płytki, a w sypialni deski. Czy to naprawdę ważne? Spadł, i tyle. Ja go oddaję.

– To może być ważne. Jeżeli nadal nosiła pierścionek, kiedy wychodziła, to oznaczałoby, że wróciła. Nadal nie wiemy, gdzie panna Marsh została zamordowana. Rozumie pani teraz, dlaczego te szczegóły są tak istotne?

Felicity nagle zrobiło się niedobrze. Nie docierało do niej znaczenie słów detektywa.

– Sugeruje pan, że ktoś ją zabił w naszym domku? To niedorzeczne. Niemożliwe.

– Moim zdaniem nie jest to niemożliwe – powiedział spokojnie. Równie dobrze dalej mógłby opowiadać o suszeniu kwiatów i klubie kobiet. – Stąd do miejsca, gdzie znaleziono ciało, jest tylko parę kilometrów. Wiemy, że to jej pierścionek. Wiemy, że dużo dla niej znaczył. To prezent od kogoś bliskiego. Jeżeli znajdziemy dowód, że miała go, kiedy od pani wychodziła, to wiedzielibyśmy, że wróciła, prawda? Pewnie tego dnia, w którym została zabita.

Zapadła cisza. Felicity zorientowała się, że się na niego gapi, że powinna się odezwać.

– Naprawdę, nie pamiętam, czy miała na palcu pierścionek, kiedy się rozstawałyśmy. Ale to obca osoba. Po co by wracała? Myśli pan, że zmieniała zdanie co do wynajęcia domku?

Ashworth puścił mimo uszu ostatnie pytanie.

– Jest pani pewna, że pani mąż jej nie znał?

– Oczywiście. Powiedział panu – odparła, choć sama zastanawiała się, czy to prawda. Peter nie wiedział o jej romansie z Samuelem. Wydawało jej się całkiem prawdopodobne, że w tajemnicy przed nią prowadzi drugie życie. Przerazająca myśl. Skąd ta hipokryzja? Jakie miała prawo czuć się zazdrosna czy

zraniona? Ale Lily była taka młoda i ładna. Z drugiej strony wykluczone, żeby wdała się w romans z Peterem. Na pewno uważała go za staruszka. Co za nedorzeczny niepokój. Nagle zorientowała się, że detektyw znowu coś mówi, i starała się skupić na jego słowach.

– Nasi technicy kryminalistyczni rozejrzą się po domu, dobrze? Na wszelki wypadek. Więc znalazła pani pierścionek dziś rano. Czy ktoś poza panią wchodził w domku od czasu, kiedy pokazywała go pani Lily?

– W weekend wpuściłam panią inspektor Stanhope.

Niespodziewanie uśmiechnął się szeroko.

– Jej ślady będą dość charakterystyczne. Te jej sandały jak dla słonia. Technicy ich nie pomylą.

– Nie znajdą żadnych śladów! – Nie chciała być niegrzeczna i chociaż zdała sobie sprawę, że tak właśnie to zabrzmiało, nie mogła się powstrzymać. – Sprzątałam tam. Właśnie to robiłam, kiedy znalazłam pierścionek! Pozamiatałam i wyszorowałam wszystkie podłogi, umyłam blaty. Nie ma sensu sprowadzać specjalistów.

Zachował spokój i spojrzał jej prosto w oczy.

– A łóżko? – spytał.

– Dziś rano wyprałam poszewki. Suszą się na sznurku. Mówiłam panu, traci pan czas. Nic pan nie znajdzie.

– Zdziwiłaby się pani, co potrafimy znaleźć. Rozumiem, że wyraża pani zgodę, żebyśmy się rozejrzeli?

– Oczywiście. – Wiedziała, że już za późno, żeby się wycofać. Teraz na pewno nabrał przekonania, że posprzątała dom, żeby zniszczyć wszelkie dowody, że Lily została w nim zamordowana. – Pomożemy we wszystkim, w czym będziemy mogli. Nie mamy nic do ukrycia.

Przez kuchenne okno przyglądała się rozwojowi wydarzeń. Stał przed domem i dzwonił, tyłem do niej, więc nie widziała, jaką dostał odpowiedź. Z bagażnika wyjął rolkę biało-niebieskiej taśmy. Spodziewał się takiego obrotu spraw? Przywiózł ją ze sobą specjalnie? Przeszedł przez łąkę i zakleił taśmą drzwi domku.

Felicity chciała przywrócić przyjazną atmosferę, jaka towarzyszyła im, kiedy się pojawił. Może powinna do niego pójść, zaproponować herbatę? Wyczuwała jednak, że potraktuje ją jak intruza. Domek co prawda należał do niej, ale teraz to jego terytorium.

Wrócił na podjazd, usiadł na klombie, na którym wiosną rosły krokusy i przebiśniegi. Czekał. Otrzepał pył i trawę – przyczepiła mu się do spodni, kiedy szedł przez łąkę. Zabrzęczał jego telefon. Z domu nie słyszała rozmowy, ale widziała, jak odpowiada. Niespodziewany uśmiech. Triumfalny. Bardziej przerażający niż wtedy, kiedy swobodnie z nią rozmawiał. Pomyślała, że lepiej zadzwoni do Petera do pracy i uprzedzi go, co się dzieje, ale kiedy wybrała jego bezpośredni numer na uniwersytecie, nie odebrał. Z kuchennego zegara rozległ się donośny głos kukułki. Szósta. Pewnie już wyszedł. Usiłowała sobie przypomnieć, co zaplanowała na kolację, ale myśl jej umknęła, kiedy znów wyjrzała przez okno.

James w krótkich spodenkach snuł się sam po podjeździe. Dziewczynki z farmy widocznie zawołano na herbatę. Miał brudne kolana. Detektyw uniósł dłoń na powitanie i chłopiec usiadł przy nim na trawie. Był ciekaw, co tu robi nieznajomy. Rozmawiali przez kilka minut. Felicity zauważyła, że dobrze się dogadują. Wyglądali tak, jakby żartowali. Na pewno widzi, że nie moglibyśmy dopuścić się morderstwa, stwierdziła w duchu. Mamy wspaniałego syna, zbyt wiele do stracenia. Jesteśmy sympatycznymi, szanowanymi ludźmi. Takimi jak on.

James wstał i wszedł do domu. Na chwilę zniknął jej z oczu, potem pojawił się w kuchni.

Jest jak szpieg z czasów zimnej wojny, który przyszedł z drugiej strony. Może mieć cenne informacje, pomyślała, chociaż wiedziała, że to głupia przesada.

Ale syn jakby nigdy nic otworzył lodówkę i zajrzał do środka.

– Umieram z głodu. Kiedy podwieczorek?

– Niedługo. – Starła się panować nad głosem. – O czym rozmawiałeś z panem Ashworthem?

– Tak się nazywa? – Napił się soku pomarańczowego prosto z kartonu. Powstrzymała się, żeby nie warknąć na niego, że ma wziąć szklanę. – Powiedział, żebym mówił mu Joe. Pytał o pannę Marsh. Jaką była nauczycielką. Jak radziła sobie z dzieciakami z mojej klasy. – Mówił coraz bardziej podekscytowanym głosem. – Sprowadzają techników kryminalistycznych, żeby obejrze dom. Jak w telewizji. Może tam być jakiś ślad, który im pomoże złapać zabójcę panny Marsh. Ale minę robi Lee Fenwick, jak mu opowiem. – Lee, jego najlepszy przyjaciel i najbardziej zaciekły rywal. W zimie co wieczór grali w szachy.

Usłyszała niewyraźny odgłos samochodu skręcającego z jezdni. Spodziewała się Petera. Proszę, trzymaj nerwy na wodzy. Proszę, bądź kulturalny, błagała go w duchu On tylko wykonuje swoją pracę. Ale to była biała furgonetka. Wyskoczyli z niej mężczyzna i kobieta, przywitali się z Joem Ashworthem jak ze starym kumplem. Włożyli na siebie kredowobiałe kombinezony, jakie widziała w filmach, i zaczęli wynosić sprzęt z bagażnika furgonetki.

James zapomniał o jedzeniu.

– Mogę wyjść popatrzeć?

– Nie – zakazała ostro, ale zaraz pożałowała swojego tonu. Trudno się dziwić, że dzieciak jest zafascynowany. Ją też to bardzo ciekawiło, tyle że jednocześnie przerażało. – Lepszy widok będziesz miał chyba z sypialni.

James wybiegł, a ją nagle ogarnęła ulga – nie musi już udawać, że wszystko jest normalnie. Kiedy syn otwierał lodówkę, zauważyła białe wino otwarte poprzedniego wieczoru i poczuła, że rozpaczliwie chce się napić. Wyjęła butelkę, wyciągnęła próżniowy korek i nalała sobie duży kieliszek. Ręka jej drżała.

Kiedy stanęła z powrotem przy oknie, zobaczyła samochód Petera, jechał podjazdem. Jego miejsce parkingowe zajmowała furgonetka. Felicity widziała, jak mąż wysiada i szykuje się, by zażądać, żeby ją przestawiono. Nagle dotarło do niego, co jest grane. Dwie ubrane na biało postacie szły przez łąkę. Przechylały się do środka, niosąc razem ciężką metalową skrzynkę. Podobnie

jak James naoglądał się tyle filmów, że rozumiał, co robią. Felicity zauważyła, że podchodzi do niego Joe Ashworth i wyciąga rękę, ale Peter go nie widział. Nie spuszczał wzroku z domku i z kosmicznych postaci, które zdążyły podejść do drzwi. Twarz miał bladą i nieruchomą. Mój Boże, przeraziła się Felicity. Wygląda na winnego. Winnego jak cholera. Na miejscu Joego Ashwortha podejrzewałabym, że zabił tę dziewczynę.

Nie odważyła się zapytać siebie samej, czy też to podejrzewa. Ta myśl kołatała jej się z tyłu głowy, ale odpędziła ją i skupiła się na rybie, którą planowała przyrządzić na kolację, i na tym, czy powinna zrobić kanapki dla Ashwortha i jego znajomych. Teraz Peter i Ashworth, pochłonięci rozmową, szli w stronę domu. Nastawiła się, żeby zachowywać się normalnie i serdecznie. Drzwi się otworzyły. Wzięła głęboki wdech.

Peter spoglądał na nią z taką miną, jaka pojawiała się na jego twarzy, kiedy słyszał złą wiadomość, odrzucano mu dokumenty, odsyłano projekt. Smutny. Wiedziała, że mąż oczekuje pocieszenia, ale ona nie miała serca, żeby mu je dać. W końcu odezwał się Ashworth.

– Doktor Calvert zgodził się pojechać do komisariatu w Kimmerston, żeby porozmawiać z inspektorem Stanhope. Chcemy wyjaśnić kilka kwestii. To nie potrwa długo.

– Oczywiście. – Wysiliła się na uśmiech. – Mówiłam, że cokolwiek możemy zrobić, żeby pomóc...

Vera uznała, że Ashworth popełnił błąd, wciągając w sprawę Calverta. Mało prawdopodobne, że botanik puści parę. Za szybko odkryli karty. A może to ona źle zrobiła, dzwoniąc do Ashwortha, żeby mu powiedzieć, że Charlie odnalazł sklep z antykami w Yorku, ten, w którym został kupiony pierścionek Lily. Nadal nie było dowodów, że kochankiem jest Calvert. „Starszy mężczyzna z atrakcyjną młodą kobietą”, stwierdził właściciel. „Wysoki, w formie jak na swój wiek”. Taki opis mógł pasować do wielu ludzi, z Samuelem Parrem włącznie. Znaleźli zdjęcie Calverta na obwolucie podręcznika jego autorstwa, ale książka została wydana prawie dwadzieścia lat temu, a wtedy miał dłuższe i ciemniejsze włosy. Nic dziwnego, że antykwariusz go nie rozpoznał. O ile to Calvert był w sklepie.

Pierścionek kupiono w kwietniu, za gotówkę. Właściciel wyciągnął z tego własny wniosek.

– To nic niezwykłego. Przecież nie chciał, żeby żona znalazła to w wyciągu z karty, prawda?

I może właśnie to wskazywało na Calverta. Samuel Parr nie miał już żony, która by go sprawdzała.

– Pamięta pan coś jeszcze na temat tego dżentelmena? – spytał policjant.

Vera wyobrażała sobie Charliego, jak stoi, taki niechlujny, w ekskluzywnym sklepie. York to zupełnie nie jego bajka. Z wyjątkiem wyścigów. Tam czułby się swojsko.

Wtedy właściciel podzielił się jedyną użyteczną informacją, jaką od niego wyciągnęli.

– Brał udział w jakiejś konferencji. Przyszli tu w porze lunchu i powiedział, że zaraz musi wracać na popołudniową sesję. Dziewczynie wcale się to nie podobało. Usiłowała go namówić, żeby sobie odpuścił. Nie zrobiła mu awantury, nic z tych rzeczy. Po prostu nalegała. Dlatego to zapamiętałem. I dlatego, że była piękna.

Vera wolałaby mieć potwierdzenie, że Calvert uczestniczył w konferencji w Yorku, zanim usiądzie naprzeciwko niego w pokoju przesłuchań. Podzwoniła w różne miejsca, ale o tej porze wieczorem nie znalazła nikogo, kto mógłby jej pomóc. Kazała Holly przeszukać Internet, portale uniwersytetu, towarzystw botanicznych, ale większość stron została zaktualizowana. Po wydarzeniu sprzed trzech miesięcy nie było śladu.

Pilnowała, żeby traktowano go z szacunkiem. Nie miała czasu użerać się ze skargami i chciała, żeby ich nie doceniał. Powie więcej, kiedy będzie się czuł ważny. W ostatniej chwili poprosiła Holly, żeby dołączyła do niej w pokoju przesłuchań zamiast Ashwortha. Może Calvert zacznie się popisywać przed ładną młodą kobietą. Wśród reszty zespołu panowała atmosfera entuzjazmu. Byli przekonani, że zbliżają się do końca.

Zrobiła Calvertowi kawę, z własnego zapasu, nie wzięła tych popłuczyn z automatu – i zaniósła ją do pokoju przesłuchań.

– Przepraszam, że nie daliśmy panu zjeść kolacji – powiedziała. Usiadła niespiesznie. Kiedy odstawiała torbę na podłogę, wypadły z niej papiery. Po chwili znowu ją podniosła i zaczęła szukać długopisu. – Ale raczej nie zajmiemy panu dużo czasu. Mamy kilka kwestii do wyjaśnienia. Zgodzi się pan, żebym nagrała rozmowę? Standardowa procedura. – Spojrzała na niego po raz pierwszy. Wydawał się dość opanowany. Ashworth powiedział, że facet prawie wymiękł, jak zobaczył techników idących w stronę domku, i między innymi dlatego zdecydował się go ściągnąć. Przedstawiła Holly, a Calvert skinął głową i posłał dziewczynie taki uśmiech który mógł przyprawić o gęsią skórę. – Czy był pan w kwietniu na konferencji akademickiej w Yorku?

Nie spodziewał się tego pytania, zbiło go z tropu. Widziała, że gość myśli gorączkowo. Starał się być taki ostrożny, za wszystko płacił gotówką. Jak mogli na to wpaść? Ashworth miał rację. To Calvert był kochankiem Lily.

– Doktorze? – Mówiła cicho, niepewnie. – Wie pan, że zdołamy to sprawdzić – dodała, kiedy nadal milczał.

Zebrał myśli.

– Przepraszam, pani inspektor. Tak, byłem. Po prostu nie widzę związku między swoim odczytem na konferencji a waszym dochodzeniem.

– Miał pan towarzystwo – wypaliła prosto z mostu. – Nie na konferencji, ale w Yorku.

Tym razem zareagował szybciej.

– Ach, tak. Więc moje grzechy wyszły na jaw. – Na jego twarzy pojawił się uśmiech, w założeniu czarujący. – Musi pani zrozumieć, dlaczego w tej kwestii skłamałem, pani inspektor. Mam wspaniałą żonę i rodzinę. Tyle do stracenia. Ukrywałem to, żeby ich nie zranić.

– Łączył pana romans z Lily Marsh?

– Tak. Kiedyś. Rozstaliśmy się jakiś czas przed jej śmiercią. Ale może sobie pani wyobrazić, jaki przeżyłem szok na widok jej ciała w wodzie. I ta świadomość, że mój syn ją znał.

– Nie może pan liczyć na nasze współczucie, doktorze Calvert.

– Oczywiście – powiedział szybko. – Ale próbuję wytłumaczyć, dlaczego tak źle zachowałem się w tej sytuacji, dlaczego nie byłem do końca uczciwy.

– Nie był pan wcale uczciwy. To się musi skończyć. Nie mogę być wyrozumiała dla pańskich słabości, kiedy prowadzę śledztwo w sprawie zabójstwa. Dwóch zabójstw. – Zorientowała się, że mówi tonem nauczycielki ze szkoły niedzielnej, ale mimo to Calvert odpowiedział.

– Naprawdę nie wiem nic o pierwszym zabójstwie. Nie znałem Luke’a Armstronga.

– Ale słyszał pan o nim. Gary Wright zakochał się w jego matce. Mówił o tym w pubie po ostatnim zebraniu Klubu Ptasiarzy.

– Tak? – Calvert wydawał się naprawdę zmieszany. – Przykro mi. Widocznie nie słuchałem. Na zebraniu padło parę kwestii, z którymi się nie zgadzałem. Chodziło o krytykę artykułu, jaki napisałem w zeszłym miesiącu do „Świata Ptactwa”. Teraz to błałostka, ale wtedy się martwiłem.

– Proszę opowiedzieć o romansie z Lily. Jak ją pan poznał?

– Dość przypadkowo, zeszłego lata. Poszedłem do sklepu, w którym pracowała, po prezent urodzinowy dla Felicity. To kłopotliwa sytuacja dla mężczyzny. Co my wiemy o kobiecych strojach? Lily bardzo mi pomogła. Rozmawialiśmy krótko, powiedziała, że jest studentką. Później zobaczyłem ją na uniwersytecie, postawiłem jej kawę, żeby podziękować. Wtedy na tym się skończyło. Nie wierzyłem, że mogłaby się zainteresować kimś takim jak ja. Chyba mi to pochlebiało, staremu głupcowi.

– Dawał jej pan pieniądze?

– Tak, na czynsz. Miała szansę na przyzwoite mieszkanie w Jesmond. Rodzice nie mogli jej pomóc. Moje córki skończyły studia. Chyba chciałem pokazać, że stać mnie na taki gest. Zrobić coś dobrego. Pewnie pomyśli pani, że jestem naiwny, że ona była ze mną tylko dla pieniędzy.

Nie odpowiedziała. Pocieszanie go nie należało do jej zadań. Ale w rzeczywistości wcale tak nie pomyślała. Lily miała obsesję. Nie zależało jej na pieniądzach.

– Więc zaczął się pan z nią spotykać. Gdzie się umawialiście? Chwila wahania.

– To zabrzmiało żałośnie. Popołudniami w tanich hotelach. Od czasu do czasu w jej mieszkaniu, kiedy wiedziała, że nie będzie koleżanek. Podejrzewam, że z początku podniecała mnie tajemnica. Później wszystko okazało się raczej niesatysfakcjonujące.

– Czy kiedykolwiek odwiedzała pana w domu?

– Nie, w domu, nie. To byłoby trochę nieprzyzwoite.

– Nie w domu. A w domku?

Znów się zawahał.

– Tak, spotkaliśmy się w domku. Kilka razy. Kiedy Felicity akurat wyszła na koncert albo do teatru, a James bawił się u kolegi. Lily bardzo się tam podobało. Moim zdaniem to było za blisko domu. Nigdy nie potrafiłem się całkowicie odprężyć.

Pograżał się w rozmyślaniach i Vera po raz pierwszy przez krótką chwilę poczuła, że go rozumie. Może przypominał sobie

konkretny wieczór. Na przykład zimowy, z oszronioną trawą na łące i ogniem w palenisku. Ale nigdy się tym nie cieszył, zawsze nasłuchiwał samochodu na podjeździe, bał się, że ktoś im przeszkodzi.

– Kto zakończył związek? – spytała kategorycznym tonem, ale nie mogła sobie pozwolić na współczucie.

– Żadne z nas, właściwie. Po prostu wspólnie doszliśmy do wniosku, że trzeba się rozstać. Zanim wszyscy się dowiedzą.

– To nie miałyby dla Lily znaczenia, nie sądzi pan? Przecież ona nie była mężatką. Niczego by nie straciła.

– Musiała zdawać sobie sprawę, że ten związek donikąd nie prowadzi. Ona chyba chciała tego wszystkiego, co miały jej koleżanki: wspólnego domu, prawdziwego partnerstwa, a w końcu rodziny. Bardzo lubiła dzieci. Ja nigdy bym jej tego nie dał.

To brzmiało wiarygodnie. Tylko że Lily Marsh nie była taka, jak jej koleżanki.

– Jak pan sądzi, dlaczego przyszła obejrzeć domek? Skoro rozstali się państwo w zgodzie, wydaje się to dziwne.

– Może uderzył ją ten zbieg okoliczności, że uczy Jamesa, i postanowiła popatrzeć na domek z dawnych czasów. Może nawet uznała to za specyficzny żart. Spodziewała się, że Felicity powie mi o jej wizycie.

– A to był zbieg okoliczności, że uczyła Jamesa?

– Oczywiście. A co innego?

Zaaranżowała to, pomyślała Vera. Miała na twoim punkcie obsesję taką samą jak na punkcie Bena Cravena. Dowiedziała się, do jakiej szkoły chodzi James, i poprosiła Annie Slater o posadę w Hepworth. Poznała chłopca, zorganizowała wizytę w domku. Po co? Żeby wyrzucić na niego presję? Forma szantażu? Przez chwilę siedzieli w ciszy. Calvert wyglądał na zmartwionego, ale nie wydawał się niespokojny. Czyżby był na tyle pewny siebie, żeby myśleć, że uda mu się ukryć zbrodnię? W końcu przerwał milczenie.

– Szuka pani jednego sprawcy obu zabójstw?

– Nad taką teorią aktualnie pracujemy. – Nie zamierzała

zdradzić się z niczym więcej. Szczegóły z miejsca zabójstwa Armstronga utrzymali w tajemnicy przed prasą, ale plotki krążyły. Przyjaciele i rodzina rozmawiali ze sobą. Policjanci i technicy to też tylko ludzie. Nowinkami trzeba się dzielić. Nie mogła wykluczyć, że śmierć Lily była kopią wcześniejszego zabójstwa. Ktoś chciał jej śmierci i posłużył się szczegółami zabójstwa Luke'a, żeby zmaćić wodę. Ten zwrot utkwił jej w głowie. Zmaćić wodę. Uznała, że jest trafny.

– Nie mogłem zabić tego chłopaka. Zaglądałem do notatek w swoim kalendarzu, w czwartek wieczorem wykonałem telefon. O dziesiątej trzydzięci. Musiałem spytać kolegi o pewną rzecz. Przypuszczam, że znajdziecie potwierdzenie w moim billingu. To było długie połączenie z numerem komórkowym.

Vera nie odpowiedziała od razu, za to po raz pierwszy odezwała się Holly.

– Bardzo przekonujące wyjaśnienie, doktorze Calvert. Szkoda że nie wspomniał pan o tym wcześniej. Oczywiście musimy porozmawiać z pańskim kolegą. Zadzwoić mógł każdy z pana domu.

Ten komentarz go rozdrażnił. Facet wysiłał się, żeby zachować spokój. Znów uśmiechnął się do Holly. Pewnie wydawało mu się, że dobrze sobie radzi z młodymi kobietami.

– Rozumiem, że popełniłem wielki błąd, nie mówiąc o Lily. Wiem, że to sprawdzicie. Ale uwierzcie mi, niczego więcej nie ukrywam.

– Co pan powie żonie na temat romansu? – spytała Holly. Posłała mu nawet uśmiech. Zuchwały, niemal wyzywający. Co jeszcze masz na sumieniu? Co jeszcze ukrywasz?

– Prawdę. Zasluguje na to. Zna mnie na tyle dobrze, żeby wiedzieć, że nikogo bym nie zabił.

– Wśród rzeczy panny Marsh znaleźliśmy kartkę – włączyła się Vera. – Z suszonymi kwiatami. To pan ją wysłał?

Milczał.

– Nie mam sentymentalnych odruchów, pani inspektor. Żadnej kartki nie wysyłałem.

– Na pewno?

– Oczywiście. Czegoś takiego bym nie zapomniał.

W takim razie, od kogo ją dostała? I dlaczego na jej kartce znajdowały się ślady pocałunków, a ta do Luke'a była czysta?

– Utrzymywał pan bardzo bliski kontakt z Lily? Nie pytam o kontakt fizyczny, bo to oczywiste. Ale czy dużo ze sobą rozmawialiście? Czuł pan, że zna ją dobrze?

Pytanie po raz pierwszy wprawiło go w zakłopotanie. Musiał wyteńczyć umysł, żeby znaleźć odpowiednie słowa. W końcu odpowiedział bardzo jasno.

– Byłem zaślepiony. Wydawało mi się, że ją kocham. W każdym razie, przez chwilę. Nie, nie chodziło tylko o seks.

– Powiedziała panu coś, co mogłoby jakoś naprowadzić nas na trop zabójcy? Zwierzała się panu z kłopotów? Bała się czegoś? Coś ją niepokoiło?

– Niewiele o sobie mówiła.

Nie miała okazji, pomyślała Vera.

– Tuż przed naszym rozstaniem powiedziała, że spotkała się z kimś, kogo znała z rodzinnej wioski. Odniosłem wrażenie, że to dużo dla niej znaczyło. Była samotniczką. Nie miała prawdziwych przyjaciół.

– Z mężczyzną czy kobietą?

Ben Craven?

– Z kobietą – przerwał. – Jeżeli się minutę zastanowię, przypomnę sobie, jak się nazywała. A przynajmniej jak miała na imię. Pracowała jako pielęgniarzka. Kath.

Vera potrzebowała chwili, żeby połączyć fakty, Kath Armstrong. Żona Geoffa. Macocha Luke'a.

Vera znalazła Kath Armstrong w szpitalu. Kobieta właśnie zaczęła dyżur i była na odprawie. Stanhope czekała przy dyżurce i słyszała ściszone głosy dochodzące z pokoju pielęgniarek, od czasu do czasu stłumiony śmiech. Obchód się skończył i na oddziale panował spokój. Pacjentki w salach oglądały telewizję albo czytały. Prowadziły jakieś błahe rozmowy. W głębi korytarza salowa pchała wózek z herbatą. Na okiennym parapecie pogrzebowe wiechcie wędły w upale. Vera nigdy nie leżała w szpitalu i wiedziała, że nienawidziłaby tego. Nie choroby czy bólu. Nawet nie potwornego jedzenia ani braku alkoholu. Ale utraty kontroli. Tego, że znajduje się na łasce ludzi, którzy o jej ciele wiedzą więcej niż ona sama.

Odprawa dobiegła końca i Kath wyszła. Rozmawiała z koleżanką, nie zauważyła Very siedzącej na pomarańczowych krzesłach, na których pacjenci czekali na wypis.

– Mogę na słówko? – spytała Stanhope. – Przepraszam, że panią tu niepokoję, ale czegoś się dowiedzieliśmy.

– Nic się nie stało, prawda? – Chwila paniki.

Vera wiedziała, że Kath myśli o swojej córeczce.

– Nie, nic z tych rzeczy. Możemy gdzieś spokojnie porozmawiać?

Pani Armstrong odwróciła się i szeptem zwróciła do kobiety w średnim wieku o matczynym wyglądzie.

– Maggie pozwoliła nam skorzystać ze swojego gabinetu.

Usiadły w pokoju, w którym wcześniej tłoczyły się pielęgniarki na spotkaniu. Na biurku stało zdjęcie dwóch małych chłopców opartych o bramę na farmie, obok brodaty mężczyzna w okularach. Mąż i dzieci oddziałowej. Do ściany przyczepiony dziecięcy obrazek. Kolejna szczęśliwa rodzina.

– Słucham. Dowiedziała się pani, kto zabił Luke'a?

Vera pominęła to pytanie.

– Nie mówiła nam pani, że znała Lily Marsh.

– Nie pytali państwo.

– Bo jeszcze żyła, kiedy z panią rozmawiałam, kotku. Rozumie pani, to dość ważne. Dwa zabójstwa w ciągu tygodnia, a pani zna obie ofiary.

– Nie znałam jej dobrze. To znaczy, pomyślałam tylko: co za dziwny zbieg okoliczności. Nie mogłam wnieść nic do śledztwa. – Sprawiała wrażenie szczerze zaskoczonej.

Vera zastanawiała się, czy przypadkiem nie za dużo czasu w życiu poświęciła na dochodzenia, doszukiwanie się związków, które były bez znaczenia, dostrzeganie motywów, które nie istniały. No i nabawiła się swoistej paranoi, nie dopuszczała żadnych zbiegów okoliczności.

– Jak ją pani poznała?

– Dorastałyśmy razem. Jestem od niej starsza, ale mieszkałyśmy w tej samej wiosce. Moja mama przyjaźniła się z panią Phyllis Marsh. Wie pani, jak to jest w takich miejscowościach. Chodziły razem do szkoły, spotykały się w kościele, w Klubie Kobiet. Pilnowałam Lily, kiedy byłyśmy młodsze. W pewnym sensie byłyśmy sobie bliskie. Uwielbiała do mnie przychodzić. Dzieci lubią przebywać w towarzystwie starszych od siebie. Zwłaszcza dziewczynki. A ja może zawsze miałam w sobie coś matczynego. Straciłyśmy kontakt, kiedy wyprowadziłam się do miasta i zaczęłam tu pracować.

– Ale niedawno wasze drogi znowu się zeszły?

– Tak. Lily pojawiła się w szpitalnej poradni. Myślała, że jest w ciąży. Od kilku miesięcy nie miała okresu, ale domowy test ciążowy wyszedł jej negatywnie. Chciała to sprawdzić. Wpadłam na nią w windzie, kiedy wychodziła.

– Czy w takich sprawach nie chodzi się raczej do ginekologa?

– Musiałaby czekać na wizytę. A ona chciała wiedzieć natychmiast.

– Nie była w ciąży – powiedziała Vera. Sekcja zwłok jasno to wykazała. Pamiętała ponurą refleksję patologa, że Lily nigdy nie zostanie matką.

– Tak. I widziałam, że jest smutna. Kończyłam wtedy zmianę,

więc zabrałam ją na kawę. Znowu te matczyne zapędy. Powinnam się nauczyć odpuszczać.

– Chciała dziecka?

– Rozpaczliwie. Mówiłam jej zwykłe rzeczy. Że jest młoda. Że kiedyś się doczeka. Że lepiej, jak najpierw skończy studia. Ale to nic nie pomagało.

– Powiedziała pani, kto jest ojcem?

– Bez żadnych szczegółów. Tylko tyle, że to starszy mężczyzna. To wszystko.

– I widziała ją pani tylko ten jeden raz?

– Nie, martwiłam się o nią. Wiem, że przechodziła lekkie załamanie w ostatniej klasie liceum. Stres egzaminacyjny. Phyllis miała wobec niej wielkie oczekiwania. Oksford, błyskotliwa kariera. Sama miała średnio udane małżeństwo, więc żyła życiem córki. Nikt nie wytrzymałby takiego napięcia. Spytałam Lily, czy się leczy. Zdenerwowała się, odpowiedziała, że nie jest chora, że wszystko w porządku. Dałam jej numer swojej komórki, prosiłam, żeby zadzwoniła, jak będzie chciała pogadać.

– Zadzwoniła.

– Oj, tak. – Kath westchnęła. – Prawdę mówiąc, zrobiła się trochę uciążliwa. Często czekała na mnie na parkingu pod szpitalem. A ja po nocnej zmianie marzę tylko o tym, żeby wrócić do domu, wziąć długą kąpiel i przespać się kilka godzin. Poza tym nie sądziłam, że mogę się na coś przydać. Ona potrzebowała pomocy psychiatry. Któregoś dnia, w sobotnie popołudnie, zjawiała się u mnie w domu. Akurat spędzaliśmy ten dzień leniwie, po całym tygodniu pracy człowiek chce po prostu odpocząć. Rebecca bawiła się w ogródku, a Geoff oglądał sport w telewizji. Był u nas Luke i on też wpatrywał się w telewizor. Ja krzątałam się w kuchni, zerkałam przez okno na Rebeccę. I nagle widzę w ogrodzie Lily. Zaczęła rozmawiać z Rebeccą, potem posadziła ją na huśtawce i zaczęła bujać. Kiedy wyszłam, już trzymała moją córeczkę na rękach – przerwała. – Nie wiem, co by się stało, gdyby mnie tam nie było.

– Myśli pani, że mogła z nią uciec?

Kath wzruszyła ramionami.

– Pewnie jestem przewrażliwiona. W końcu zamierzała być nauczycielką, na miłość boską. Czemu miałaby zrobić coś takiego? Ale jasno dałam jej do zrozumienia, że nie życzę sobie jej wizyt w domu. Powiedziałam, że Geoffowi to by się nie spodobało. Luke wyszedł do ogrodu i zrobił się wyraźnie niespokojny, kiedy zobaczył, że jestem zdenerwowana. Odeszła bez fochów, przeprosiła za najście. Następnym razem, kiedy czekała na mnie pod pracą, znalazłam wymówkę, żeby nie poświęcać jej czasu. Czulałam się podle, ale już nie dawałam rady. Nic nie mogłam zrobić. Powiedziałam, że jeśli potrzebuje pomocy lekarza, załatwię jej wizytę. To była chyba ukryta groźba. Więcej jej nie widziałam. Kiedy usłyszałam o jej śmierci, poczułam najpierw ulgę. Przynajmniej nie będzie nas już nękać. Straszne, prawda?

– Zdenerwowała się, kiedy zagroziła pani, że załatwi jej psychiatrę?

Kath milczała.

– Nie odezwała się, ale popatrzyła na mnie ze złością – odparła w końcu. – A potem odwróciła się bez słowa. Straszne. Wiedziała, że mnie nienawidzi. Kusilo mnie, żeby za nią pójść, naprawić sytuację, ale tego nie zrobiłam. Nie potrafiłam znieść myśli, że mogłaby znów pojawić się u nas w domu.

– Nigdy więcej się z panią nie kontaktowała?

– Nie. – Kath zerknęła na zegarek. – Muszę lecieć. Przywożą pacjentkę z wypadku. Trzeba ją przyjąć.

– Nie mówiła o niczym, co by panią zaniepokoiło? W takim sensie, że grozi jej niebezpieczeństwo? Nie wydawało się pani, że Lily się kogoś obawia? Tego mężczyzny, z którym się spotykała?

– Nic z tych rzeczy. Twierdziła, że ją kocha. Zastanawiałam się, czy to prawda. Może ją odrzucił i dlatego sprawiała wrażenie tak zdenerwowanej? Jeżeli miałabym się czymś martwić, to chyba jedynie tym, że a nuż sobie coś zrobi.

– Ma pani na myśli samobójstwo?

Kath wzruszyła ramionami i wstała.

– Wiem, że pewnie powinnam być miłsza, bardziej się

przejmować tym, czy wszystko u niej w porządku. Ale rodzina jest dla mnie na pierwszym miejscu.

Vera wracała do domu zadowolona, że zostawia za sobą miasto i śledztwo. Kiedy skręciła na zachód i wjechała pomiędzy wzgórze, zachodzące słońce niemal ją oślepiło. W końcu dotarła do służbowego mieszkania, ale siedziała przez chwilę w samochodzie zbyt zmęczona, żeby wejść do środka. Dopiero po paru minutach wysiadła, otworzyła drzwi. Zrobiła krok nad stosem korespondencji na podłodze, wyciągnęła puszkę piwa z lodówki i wyniosła na zewnątrz. Nawet teraz, chociaż się ściemniało, było całkiem ciepło. Usiadła na białej ławce, na której kiedyś pasażerowie czekali na lokalną kolejkę, i patrzyła na dolinę. Wszystko skąpane w cieniu i pozbawione koloru. Tutaj, pomyślała, chyba da się odpocząć.

Ale jej umysł nie mógł oderwać się od śledztwa. Była tak rozgorączkowana i ogarnięta obsesją jak Lily. Rozpamiętywała szczegóły, doszukiwała się związków. Gdyby to wszystko spisać, może udałoby się od tego uwolnić. Ale nie miała siły chwycić za kartkę i długopis. Zresztą w tym skupieniu jest coś twórczego, w tym przymusie, żeby zapamiętywać detale, wyraźnie. Nagle pomyślała, że tak musi się czuć pisarz. Postaci, historie i pomysły wirują mu w głowie. Jak je uporządkować? Nadać im sens, nadać formę.

Gdybym pisała powieść, morderczynią byłaby Lily. Byłby to thriller psychologiczny, w którym część akcji przedstawiona jest z punktu widzenia mordercy, napisana inną czcionką albo w czasie teraźniejszym. Vera czasami wypożyczała takie książki z biblioteki i z radością ciskała nimi przez pokój, kiedy autor źle przedstawił szczegóły policyjnej procedury. Więc główną bohaterką jest Lily. Ma przerąbane od dzieciństwa. Niespełniona matka i ojciec z depresją. Matka nie mówi o problemach psychicznych w rodzinie. Dziewczyna staje się samotnicą. Piękną, ogarniętą obsesją samotnicą. Pewnego dnia zakochuje się w starszym mężczyźnie. Widzi w nim swoje wybawienie, przez chwilę nawet będzie

szczęśliwa. Później on ją odepchnie, bo stanie się zbyt wymagająca, dręcząca. Lily znów popada w obłąd. Wyobraża sobie ciężę. I wszędzie, dokądkolwiek pójdzie, widzi szczęśliwe rodziny. Kath, Geoff i Rebecca. I Luke. W tej historii mogłaby zabić chłopaka ze złości. Z chorej zemsty. Bo nie wie, że jemu też nie jest lekko.

Vera bezwiednie wróciła do domu, wyrzuciła pustą puszkę do kartonu na surowce wtórne, otworzyła kuchenne okno, żeby wpuścić trochę powietrza. Włożyła do tosterka ostatnie dwa kawałki chleba, obłożyła go plasterkami sera, spojrzęła na zakorkowaną butelkę białego wina w lodówce, ale oparła się pokusie. Zamiast tego wzięła kolejną puszkę piwa.

Nie przestawała myśleć nad inną fabułą. Lily nie jest zabójcą, jest ofiarą. Jak to rozpracować? Co zrobić, żeby miało sens?

Była utrapieniem Petera Calverta. Cieszył się, że ma piękną dziewczynę, seks na zawołanie, żadnych zobowiązań. To na pewno lechtało jego starzejące się ego. Później zaczęła stawiać wymagania, wtrącała się w jego szanowane życie wykładowcy i głowy szczęśliwej rodziny, że wykluczone, że oboje postanowili się rozstać. Rozmowa Lily z Kath wszystko wyjaśniła. To z tym starszym mężczyzną spotykała się Lily.

Czy zabił ją Calvert? Vera nie wiedziała. To tchórz – poza tym miał zbyt dużo do stracenia. Żona we wszystkim mu pobożęła, więc pewnie i na to przymykała oko. Vera mogła sobie wyobrazić tę rozmowę w eleganckim salonie w Fox Mill, przy otwartych oknach, żeby wpuścić trochę morskiej bryzy, z widokiem na latarnię. „Tak mi przykro, kochanie, nie wiem, co mnie napadło. Wybaczysz mi?” Oczywiście, że mu wybaczyła, bo ona miała tyle samo do stracenia co on. A gdzie w tym scenariuszu miejsce na Luke’a Armstronga?

Gdyby Lily została zamordowana pierwsza, to jeszcze dałoby się jakoś wytłumaczyć. Był motyw zabójstwa. A Luke stał się na przykład mimowolnym świadkiem zbrodni. Ale odwrotnie... bez sensu.

Vera siedziała przy kuchennym stole i jadła tost serowy.

Kiedy zapaliła światło, w pełnej krasie zobaczyła rupiecie na blatach i plamy na podłodze przy koszu na śmieci. Wróciła myślami do czterech mężczyzn, którzy byli w pobliżu, kiedy James znalazł ciało Lily. Każdy inny. Ale wszyscy porażeni, jeżeli chodzi o relacje z kobietami. Clive, tak zdominowany przez matkę, że Verze chciało się płakać. To za bardzo przypominało jej dom. Cały czas żyła w cieniu Hectora, chyba się załamano, gdyby pozwoliła sobie rozmyślać o straconych okazjach, jeżeli chodzi o mężczyzn. Gary, który zarzekał się, że Julie jest odpowiedzią na wszystkie jego modlitwy. A jednak uganiał się za szczupłą laską z wielkimi oczami, za to bez cycków. Samuel – jego żona popełniła samobójstwo. I Peter. Udawał, że jego małżeństwo jest idealne, ale uległ czarowi Lily Marsh. Nagle ją olśniło, że jest jeden sensowny podejrzany. Ale dopóki się nie dowie, dlaczego i jak Lily i Luke zostali zamordowani, podejrzanie to pozostawało jedynie domysłem. Nie mogło wpływać na sposób, w jaki prowadzi dochodzenie.

Wypiła kolejne piwo, wiedząc, że to błąd i że będzie musiała w środku nocy biec do łazienki. Niepewnym krokiem weszła na górę i położyła się do łóżka, cały czas daleka od jakiegokolwiek konkluzji. Wyjęła z torebki zbiór opowiadań Samuela Parra i zaczęła czytać.

Gary miał w pracy spokój. Chłopcy z zespołu skończyli próbę, a on uzyskał najlepszy dźwięk, jaki się dało. Zresztą i tak nikt nie usłyszałby różnicy. Muzycy przyjechali ze Szwecji. Grali jazz eksperymentalny, dziwne nieharmonijne hałasy, aż uszy bolały. Teraz okupowali bar i czekali na rozpoczęcie koncertu. Za dawnych czasów Gary siedziałby z nimi, pijąc piwo za piwem. Kiedy Emily odeszła, rozpadł się na kawałki. Przeżył straszny szok. Ciągle dokładnie pamiętał, jak mówi mu, że ślubu nie będzie. Potrafił odtworzyć tę scenę w głowie – jak była ubrana, jak miała spięte włosy, jakimi perfumami się spryskała.

Ślub już zaplanowany. Suknia kupiona, zaproszenia rozesłane. Znaleźli dla siebie mieszkanie w Jesmond. Emily pracowała w banku Northern Rock i dostała tani kredyt. Jego to przerażało, perspektywa żony i domu naraz, ale zgodził się, bo tego chciała Em. Zrobiłby wszystko, żeby ją zadowolić. Jej matka nigdy go nie lubiła, ale cieszyła ją wizja wystawnego ślubu. Załatwiła kościół, tort, fraki. Dla jej córeczki zawsze musiało być to, co najlepsze.

Nagle – ni z gruszki, ni z pietruszki – pojawił się jakiś chłopak, dawny kolega Em ze studiów, który wyznał jej miłość po grób. Chudy, wysoki, nie taki zły z wyglądu, jeżeli lubi się romantycznych facetów z niedowagą. Emily najwyraźniej się podobał, bo rzuciła Gary’ego w przeddzień ich wielkiego dnia. Nadal jest z tym kolesiem, teraz nauczycielem w jakiejś szkole w Ponteland. Gary zobaczył go kiedyś w barze w mieście i mu wpieprzył. Facet nie zaczynał, ale Gary zrobił do dla świętego spokoju. Wcześniej sporo wypił. Dziś by już tak nie zareagował.

Idealizował Emily i ją odstraszył. Kto mógłby tak żyć? To nie była wina chudzielca.

Teraz Gary nigdy nie popijał w pracy. „Gdybyście pracowali w biurze, nie siedzielibyście z butelką wina na biurku”. Tak mówił innym chłopakom, którzy tłoczyli się w ciasnym korytarzu, ich

„biurze”. Za kulisami Sage przypominało raczej łódź podwodną, a nie centrum kulturalne. Rury, kable i szara połyskliwa farba.

Pracę traktował poważnie. To jedyna rzecz, w której był dobry, jedyna, która trzymała go w pionie. Kiedy rodzice kupili dom w Hiszpanii, powiedzieli, że powinien wyjechać z nimi. Że znajdzie tam mnóstwo roboty. W tych wszystkich barach. W wielu grają muzykę na żywo i na pewno potrzebują dźwiękowca. Ale on postanowił zostać w Shields. Miał to mieszkanie i kontakty. Przyjaciół od ptaków. Mógł wybierać koncerty, przy których chce pracować. Owszem, stracił elastyczność, kiedy zdecydował się na etat w Sage, ale powtarzał sobie, że nie żałuje. Niezupełnie.

Wbiegł po schodach małego korytarza i przesunął swoją kartą przy drzwiach, żeby dostać się za scenę, a potem przeszedł do biura technicznego. Neil, kierownik, siedział rozwalony na krześle i naparzał na komputerze.

– Ta oferta stałej pracy... – zaczął Gary.

– Tak? – Neil nie odrywał wzroku od ekranu. Pytał Gary’ego mnóstwo razy wcześniej i odpowiedź zawsze brzmiała: nie.

– Zdecydowałem się na nią.

To zwróciło uwagę kierownika. Wyprostował się i przestał poruszać palcami. Kiedy odwrócił się do Gary’ego, miał wniebowziętą minę. Zerwał się na równe nogi, chwycił Gary’ego za rękę i poklepał go po plecach. Gary złapał się na tym, że się uśmiecha. Ale kiedy odchodził, drżał. Nie był pewien, czy dobrze zrobił.

Teraz miał w głowie obraz tego, jak będzie. On i Julie razem w domu w Seaton. To dobre miejsce. Nie za daleko wybrzeża, gdzie wiatr kieruje się na wschód i zlatują ptaki migrujące. Nie za daleko od wieży, skąd można obserwować morze. Oczywiście nie mógł poganiać Julie. Teraz rozpaczała po śmierci Luke’a. Ale na pewno się otrząśnie. To silna kobieta. Nawet taka tragedia jej nie zmieni. A on będzie przy niej, żeby ją wspierać i pomóc jej przez to przejść.

Nie wiedział, jak poradziłby sobie z pasierbem. Czy Julie oczekiwała od niego, że odegra rolę ojca? Niełatwo to przyznać, ale

nie czuł żalu, że Luke nie żyje. Obecność chłopaka oznaczałaby komplikacje. Julie zawsze stawiałaby syna na pierwszym miejscu. Takie spojrzenie na sprawy jest okropne, ale nic nie mógł na to poradzić. Przypomniała mu się Laura. Wyobraził ją sobie taką, jaką ją ostatnio widział, na chodniku przed domem w Seaton. Patrzyła, jak on odjeżdża. Oceniała go. Tak to odebrał. Miała krótką czarną spódnicę i białą bluzkę. Starał się nie myśleć o niej w zmysłowy sposób. To odrażające. Przecież byłaby dla niego jak córka, gdyby związał się z Julie, a to byłoby odrażające. Ale coś w niej – jej młodość albo energia i krnąbrność nie dawały mu spokoju. Czasami wydawało mu się, że w równym stopniu pociąga go Laura jak i Julie. Może lepiej nie rozważać wprowadzenia się do domu w Seaton, dopóki dziewczyna nie dorośnie.

Miał jeszcze pół godziny do rozpoczęcia pracy, więc wyszedł na zewnątrz zaczerpnąć powietrza. Podszedł do frontu olbrzymiego obłego budynku i spojrzał na Tyne. Jego rodzice wyjechali do Hiszpanii, bo nie mogli znieść tutejszej pogody, ale on nie wyobrażał sobie życia gdziekolwiek indziej. Był dumny ze swojego miasta. Lubił mówić ludziom, że pracuje w Sage. Z prawej strony przy rzece stała monumentalna budowla – Bałtycka Galeria Sztuki Współczesnej. Pamiętał ją jako niszczeni magazyn, schronienie dla riss* w popękanych murach, pokrytych ptasimi odchodami. Kiedy została otwarta, poszedł z Samuelem Parrem na wystawę Gormleya. Sam by się nie wybrał. Dobrze czuł się tylko za sceną. Ale uwielbiał rzeźbę, wszystkie te figury z powykęcianego metalu, cienkie jak łyżeczka do cukru. Dziwnie się tam czuł z Samuelem, którego rozpoznawała część personelu. Przyjaciel należał do mafii artystycznej znad Tyne. A Gary gardził nimi jako rasą obcą, kiedy przychodzili do Sage.

Rzeka miała wysoki poziom, płynęła leniwie. Na północnym brzegu ludzie wylewali się z barów. Usłyszał linię melodyczną, która wybrzmiała, zanim ją zlokalizował, odgłos klaksonów. Niskie słońce odbijało się we wszystkich szybach i barwiło wodę na czerwono. Czy Samuela, Clive'a albo Petera Calverta zdziwiłby widok Gary'ego w pracy: jak siedzi za konsolą, kontrolując dźwięk,

ma wpływ, poważny wpływ, na przeżycia publiczności zgromadzonej we wspaniałej sali? Oni znali go tylko jako demona morskich obserwacji. Przyjaźnili się od lat, ale tak naprawdę niewiele o sobie wiedzieli. Owszem, słyszeli, że się zakochał w Julie, swojej miłości z dziecięcych lat, w dziewczynie z zaraźliwym śmiechem, szczupłym, zgrabnym ciałem. Nigdy by się nie domyślili, że marzy o nastoletniej Laurze w krótkiej czarnej spódnicy. Wierzyli, że są najbliższymi kolegami, ale każdy z nich miał tajemnice, z których nie zwierzyłyby się innym.

Zadzwęczał mu telefon. Wiadomość od Julie. Ogarnęło go poczucie winy, fizycznie. Twarz zaczęła go palić, jakby się czerwienił. „Co robisz wieczorem?” Odegnął myśli o Laurze i odpisał od razu. „Pracuję, skończę około północy”. Na odpowiedź musiał czekać tak długo, że prawie zwątpił, że ją dostanie. Może poczuła się urażona, odebrała to jako odrzucenie, a nie informację. Powinien staranniej dobrać słowa. Marszcząc czoło, zaczął w myślach układać kolejną wiadomość. Pora iść zrobić ostatnią próbę. W czasie pracy zawsze wyłączał telefon. Odpowiedź przyszła, kiedy wchodził z powrotem po schodach, tyłem do rzeki. „Przyjadę po ciebie. Do zobaczenia”.

Julie czuła, że jeżeli nie wyjdzie z domu, zacznie krzyczeć. Stała na szczycie schodów, nabrała powietrza do płuc, otworzyła usta i wydobyła z siebie dźwięk tak głośny, że słycać by ją było na drugim końcu ulicy. Matka nadal sprzątała. Przez cały dzień Julie towarzyszył warkot odkurzacza. Snuły się za nią zapachy wybielacza i pasty. Odnosiła wrażenie, że to w ogóle nie jej dom. A kiedy pani Richardson nie sprzątała, mówiła, starając się przywołać Julie do życia za pomocą ostrych słów i poczucia winy. Jakby nie dość czuła się winna. Zawsze łatwiej dogadywała się z ojcem. Gdyby był przy niej on zamiast matki, mogliby się razem powściekać. Siedziałyby przy niej na kanapie, oglądałyby programy muzyczne w telewizji i opowiadałyby stare historie o muzykach, których znał. I przytulałyby ją, kiedy miałyby ochotę się wypłakać.

Nie mogła powiedzieć matce, żeby sobie poszła, bo ta była przekonana, że jest potrzebna córce, i poczułaby się dotknięta. I Julie znowu poczułaby się winna. Więc od rana wynajdowała pretekst, żeby wyjść. Wymyśliła, że została zaproszona do Lisy, tam coś zje i ewentualnie przenocuje w wolnym pokoju. Matka Julie lubiła Lisę, która pracowała jako sekretarka w dużej kancelarii notarialnej w mieście. Później Julie wymknęła się do ogrodu i zadzwoniła do Lisy na komórkę. Po drugiej stronie wybiegu dla koni koszone trawę. Obserwowała traktor jeżdżący w tę i z powrotem, miarowo, hipnotyzująco. Mogłaby tak patrzeć i patrzeć, ale matka nigdy by jej na to nie pozwoliła. Dla niej byłby to przejaw lenistwa i kaprys, i zaraz znalazłaby Julie coś do roboty.

– Gdyby dzwoniła moja mama, powiedz, że jestem u ciebie, ale zasnąłam i nie chcesz mnie budzić.

Lisa była dobrą koleżanką i nie zadawała pytań. Ona naprawdę ugotowałaby coś dla Julie, piła z nią wino i dała jej się wypłakać. Ale mieszkała w eleganckim nowym mieszkaniu w Tynemouth, a to nie miejsce, gdzie Julie mogłaby zrzucić buty i się

wyluzować. To całe wymyślanie kłamstw sprawiło, że Julie poczuła się tak, jakby znów była nastolatką. Zanim popołudnie dobiegło końca, była tym wszystkim wykończona. Ale też trochę podniecona. Przecież tak naprawdę spotka się z Garym.

Przed wyjściem wzięła prysznic, stojąc w wannie, w której leżał Luke. Wcześniej mieli starą zasłonę prysznicową z różowawymi plamami pleśni u dołu, ale zabrała ją policja. Matka pojechała po nową do Matalan. Julie zaciągnęła zasłonę i zamknęła oczy, żeby umyć włosy. Po raz pierwszy od śmierci syna. Do tej pory korzystała z mieszkania Sal, kiedy chciała się wykapać. Szykowała się powoli, umalowała się, spryskała perfumami. To nie wzbudziło podejrzeń matki. Należała do pokolenia kobiet, które nie wyszły z domu, dopóki się nie ogarnęły.

Laura siedziała w swoim pokoju. Ostatnio spędzała tam całe dnie, wychodziła tylko, żeby coś zjeść i zrobić siku. Julie wydawało się, że córka była już taka przed śmiercią Luke'a. Zapukała, wetknęła głowę do środka. Dziewczyna leżała na łóżku. Nie czytała, nie oglądała telewizji, zwyczajnie patrzyła w sufit.

– Wszystko w porządku, kochanie? – Usiadła na łóżku.

Laura odwróciła się i wysiliła na uśmiech. Julie pomyślała, że powinna zostać. Córka zaczynała jej przypominać Luke'a w początkach depresji. Ale nie mogła się zdecydować. Jeżeli nie wyjdzie z domu, sama zwariuje.

– Posłuchaj, Lisa zaprosiła mnie do siebie. Chciałabym się z nią spotkać. Nie masz nic przeciwko temu?

Laura patrzyła na nią dłuższą chwilę, w końcu wzruszyła ramionami.

– Skąd. – Julie pomyślała, że nigdy nie zgadnie, co tak naprawdę myśli Laura, nigdy nie będzie w stanie.

– Prawdopodobnie zostanę na noc. Będzie tu babcia.

– W porządku. Naprawdę.

Julie siedziała w starym fiacie, którego miała od odejścia Geoffa. Samochód trzymał się kupy dzięki zaprawie i farbie. Co roku przed każdym przeglądem technicznym następowała sytuacja kryzysowa i uzdolniony mechanicznie syn koleżanki Jan

odprawiał czary, żeby podreperować auto. To był kolejny pierwszy raz. Nie prowadziła od śmierci Luke'a. Wyobrażała sobie, że sąsiedzi podglądają ją zza firanek, czekając, aż odjedzie. Co sobie myśleli? Że jest suką bez serca czy że na tyle odważną kobietą, że zaczyna na nowo układać sobie życie? Sama nie była tego pewna.

Dopiero dochodziła ósma, ale Julie pojechała prosto do miasta. Jak zwykle wpadła w panikę, kiedy dojechała do autostrady za starym rondem. Nigdy nie wiedziała, z którego pasa wjeżdża się na most. Później w Gateshead przegapiła zjazd do Sage i trafiła na parking pod Bałtycką Galerią. Ale już nie miała siły zawracać. Siedziała bezmyślnie przez dwadzieścia minut, w końcu kupiła bilet w automacie. Dziewiąta. Światła zaczęły się zapalać. Dotarło do niej, że upaja się samotnością.

Wysiadła z samochodu i podeszła od frontu do Bałtyckiej Galerii. Na dole w barze odbywało się przyjęcie. Przez wysokie okna dostrzegła kobiety w długich sukniach i mężczyzn w garniturach. Popijali szampana z wysokich kieliszków. Jakaś gruba dama z krótkimi włosami wygłaszała przemowę. Julie poczuła się tak, jakby wylądowała w innym kraju, jakby te egzotyczne istoty znacząco się od niej różniły. Pod wpływem impulsu przeszła po nowej milenijnej kładce z Gateshead do Newcastle. Tego z kolei nigdy wcześniej nie robiła. Stała na środku i spoglądała w górę rzeki na łuki i wieże innych mostów, na Tyne, High Level, Redheugh. Znane widoki w zupełnie innym świetle. Na nabrzeżu Newcastle precyzyjnie się przez tłum do baru, żeby skorzystać z toalety. Nie kusiło jej, żeby zatrzymać się na drinka. Chciała mieć trzeźwy umysł, kiedy spotka się z Garym. I tak czuła się lekko skołowana.

Zanim wróciła na południowe wybrzeże Tyne, zrobiło się ciemno. Rzeka sączyła się do morza. Eleganckie towarzystwo cały czas było w barze w Bałtyckiej, ale przemowy się skończyły. Usiadła na ławce przed galerią i przyglądała się ludziom. Miała wrażenie, jakby wielkie okno było olbrzymim ekranem kinowym, a ona – chociaż nie słyszała słów – potrafiła połapać się w akcji. Jedna ładna młoda kobieta nie mogła sobie znaleźć miejsca.

Kręciła się od grupy do grupy, rozmawiała, śmiała się, robiła się coraz bardziej niepewna. Kiedy odchodziła, grupy skupiały się i zaczynały o niej gadać. Wydawała się tak samotna, że Julie chciało się płakać.

Zadzwoił jej telefon. Odbierając, zerknęła na zegarek. Dwudziesta trzecia trzydzieści osiem. Siedziała tak prawie dwie godziny. I cieszyła się każdą minutą samotności.

To Gary.

– Cześć. Skończyłem wcześniej, niż myślałem. Gdzie jesteś?

– Już tutaj. Przed Bałtycką, nad rzeką. – Chciała dodać, że właśnie przyjechała. Żeby nie myślał, że czeka na niego od paru godzin. Ale on opowiadał o koncercie, że dobrze wypadł. Mimo beznadziejnej muzyki i małej publiczności. Że niektóre wieczory takie są. Gładkie i słodkie. Sama radość. Zobaczyła, jak idzie w jej stronę, cały czas nawijając przez komórkę. Zszedł schodami od wejścia do Sage. Wstała, żeby ją zobaczył. Telefon zamilkł, wsunęła go do torebki, żeby mieć wolne ręce. Stali przez minutę i patrzyli, a potem omal się nie poprzewracali, biegnąc do siebie jak dzieci. Spodziewała się, że ją pocałuje, ale on tylko trzymał ją w objęciach i głaskał po plecach.

– Dokąd chcesz pójść?

– Możemy iść do ciebie? – spytała. – Nie mam ochoty na towarzystwo.

– Jasne.

– Lepiej pojedę za tobą – powiedziała. – Nie znam drogi.

Miała nadzieję, że Gary zaproponuje coś innego. Na przykład: „Zostawimy twoje auto tutaj. Podrzucę cię rano”. Ale nie zrobił tego, więc byli razem tych kilka krótkich chwil, a potem znowu się rozdzielili. Poprosił, żeby poczekała na niego w swoim samochodzie, i wytłumaczył, co ma robić, gdyby go zgubiła. Czowała się jak ta dziewczyna snująca się w tłumie po Bałtyckiej. Zagubiona i odosobniona.

Ale nie chciała wyjść na idiotkę, więc postąpiła tak, jak jej polecił. Stała przy wyjeździe z parkingu, aż wyłoniła się biała furgonetka, wtedy pojechała za Garym aż do Shields. Kiedy

zostawała na światłach, zwalniał, żeby mogła go dogonić. Ustawiała się za nim, gdy zaparkował w wąskiej uliczce. Stąd znowu roztaczał się widok na rzekę. Julie, nagle zdenerwowana, żałowała, że nie jest u siebie w domu i nie siedzi w nocnej koszuli przed telewizorem, z krzątającą się matką za plecami.

W mieszkaniu było łatwiej. Otworzył wino, a ona niemal duszkiem wypła duży kieliszek. Pieprzyć to, pomyślała. I tak nie zamierzała wracać w nocy do domu. Włączył muzykę, której nie znała. Siedzieli na kanapie, opierając się o poduszki tak, że właściwie leżeli. Obejmował ją ramieniem i opowiadał o muzyce, co w niej kocha. Mówił szeptem, czuła jego oddech na swoim policzku. Położył dłoń na jej szyi i zaczął ją głaskać za uchem.

Nagle pomyślała o Luke'u. O tym, że ktoś położył rękę na jego szyi i założył mu na szyję sznur i zacisnął tak mocno, aż go udusił. Nie krzyknęła. Nie chciała robić zamieszania. Ale Gary wyczuł jej napięcie, bo ostrożnie cofnął dłoń.

– Przepraszam – wymamrotała.

– Nie masz za co przepraszać.

Powiedziała mu, o czym pomyślała. O Luke'u w łazience i o kimś, kto go dusi.

– Przepraszam – powtórzyła. – Trochę jestem jak kula u nogi. – Za szybko wypła wino i miała problem, żeby się wysławić. Zachichotała, a on jej zawtórował.

– Możemy robić, co chcesz. Odwieźć cię do domu?

Wyobrażała sobie, jak bardzo samotna będzie się czuła w dużym łóżku. Matka na pewno je pościeliła, naciągnęła kołdrę, brzegi wetknęła pod materac. Julie nigdy nie zawracała sobie tym głowy, wołała miękką, lekko pogniecioną pościel.

– Nie. Możesz mi jeszcze trochę nalać?

Napełnił kolejny kieliszek.

Obudziła się z kacem na kanapie, całkowicie ubrana, jedynie bez butów. Światło było dziwne i padało z innej strony niż w domu, więc od razu wiedziała, że nie jest we własnym łóżku. Z kuchni dolatywał zapach prawdziwej kawy. Nie sądziła, że lubi kawę. Gary pewnie tylko czekał, aż ona się obudzi, bo od razu

wszedł z kubkiem i tostem na talerzu.

– Mogłaś spać w łóżku. Ale nie dałem rady cię stąd ruszyć.

– Rany, czuję się strasznie. Która godzina? – Naprawdę czuła się koszmarnie, jak zawsze po alkoholu, mdliło ją i miała ciężką głowę. Mimo wszystko to dobry znak, życie wraca do normy. I zasnęła bez tabletek nasennych.

– Dziesiąta.

– O mój Boże. Laura już wyszła do szkoły. Mama mnie zabije.

– Opuściła nogi na podłogę, więc miał miejsce, żeby usiąść przy niej na kanapie. – Słuchaj. Jeżeli chodzi o wczorajszy...

– Nic się nie stało, spędziłem wspaniały wieczór.

– Naprawdę? Nie sądzę.

– Dobrze mi w twoim towarzystwie. Nawet kiedy jesteś pijana. I przed nami jeszcze mnóstwo wspólnych dni.

Przytaknęła.

– Mam taką nadzieję.

Jechała malowniczą drogą przez Whitley Bay nad morzem. Mijała St Mary's Island, podśpiewywała sobie, słuchając jednej z taśm ze składankami, które nagrał dla niej tata. Motown. Starła się odsunąć chwilę powrotu do domu. Prowadziła tak wolno, że facet w astrze za nią wciskał klakson i wrzeszczał na całe gardło. Ale tutaj czuła się dobrze. Prawie mogła uwierzyć, że cała reszta, ten dramat, ten koszmar przydarzył się komuś innemu.

Jak tylko otworzyła drzwi, z kuchni wyłoniła się matka. Przypominała figurkę mechanicznego zegara. Oczywiście, nie kukułkę. Wieśniaczkę w fartuszkach, kiwającą głową, ze złożonymi rękami.

– Dzięki Bogu. Gdzie ty się podziewałaś? Tak się martwiłam.

– Mówiłam, że będę nocować u Lisy. – To nie kłamstwo, prawda?

– Myślałam, że wrócisz, zanim Laura wyjdzie do szkoły. – Znów to wzbudzanie poczucia winy.

– No ale wypięłam trochę za dużo. Spóźniła się?

– Nie, tylko nie zdążyła zjeść śniadania.

– Nigdy nie ma czasu na śniadanie.

– Ty chyba też nic nie jadłaś, co? – Natychmiast poczłapała do kuchni nastawić wodę na herbatę i usmażyć bekon. – Kupiłam u porządnego rzeźnika w Monkseaton. Nie jest to sama woda i tłuszcz.

Julie od samego zapachu chciało się wymiotować, ale usiadła przy stole i czekała, aż pojawi się przed nią kanapka, a potem wmusiła ją w siebie. Za to, że okłamała matkę. Za te wszystkie godziny, kiedy nie myślała o Luke’u.

Dopiero kiedy talerz był pusty, matka przyniosła jej pocztę do przejrzenia. Zaledwie kilka listów. Na górze leżała długa biała koperta.

– Patrz – powiedziała Julie, próbując rozładować napięcie. – To do Laury.

Pani Richardson, która w fartuchu w nagietki stała przy zlewie, odwróciła się.

– To miłe. Może od kogoś ze szkoły.

– Może. – Julie zdążyła rozpoznać kanciaste drukowane litery i przypomniała sobie reakcję policjantki na poprzednią kartkę. – Ale chyba zadzwonię do inspektora Stanhope.

Kiedy Julie zadzwoniła, Vera siedziała w swoim gabinecie, czytała Samuela Parra. Poprzedniego wieczoru zaczęła krótkie opowiadanie, o którym wcześniej nawet nie słyszała. Zostało zamieszczone w antologii opublikowanej przez małe wydawnictwo z siedzibą w Hexham – wczoraj wzięła tę książkę z biblioteki po drodze na spotkanie z Benem Cravenem. Tytuł: *Żartownisie i kochankowie*, coś jej mówił, ale nie pamiętała, skąd to zna. Na okładce było napisane, że zbiorek dostał jakąś nagrodę. Opowiadania, którego szukała, tego, co kiedyś słyszała w radiu, tutaj nie znalazła, ale i tak zabrała się do lektury. Po kilku akapitach zasnęła, ale to może piwo w jej żyłach sprawiało, że początkowy obraz pozostał z nią na całą noc – scena uprowadzenia nastoletniej osoby. Porwanie zostało opisane z czułością. Letni poranek. Słońce. Nazwy kwiatów rosnących w żywopłocie. To bardziej przypominało uwiedzenie, a nie akt przemocy. Płeć ofiary autor z rozmysłem przedstawił dwuznacznie, ale Vera wyobraziła sobie Luke’a. Starannie ukazane piękno bardzo młodej osoby. Oszalamiająca forma. A Luke mógłby być dziewczyną, z tymi długimi rzęsami i smukłym ciałem. Pół dziecko, pół mężczyzna – on też był dwuznaczną postacią.

W komisariacie Vera przeprowadziła poranne spotkanie. Joe Ashworth sprawdził wszystkie wypożyczalnie samochodów w North Tyneside.

– Nikt, kto nazywa się Clive Stringer i odpowiada jego opisowi, nie wynajął samochodu w czwartek wieczorem ani w piątek. Myślę, że to go wyklucza z grona podejrzanych. – Wyglądał na rozczarowanego.

Verze prawie zrobiło się żal Joego. Przedstawiła rozmowę z Peterem Calvertem.

– Wiemy, że był kochankiem Lily. Wiemy, że jest zakłamanym sukinsynem, chorobliwie zainteresowanym kościstymi panienkami. Wiemy, że Lily zostawiła srebrny

pierścionek z opalem w domku Calvertów. Ale nie możemy udowodnić, że nie zgubiła go, kiedy dzień wcześniej się rozglądała. I nie mamy też żadnego dowodu, że istnieją jakiegokolwiek powiązania między szanownym doktorem a Lukiem Armstrongiem. – Potem przeszła do opisywania związków między Lily a Kath. – Czy to istotne, że nowa pani Armstrong nie powiedziała nam, że znała dziewczynę Calverta? Bóg raczy wiedzieć. Oczywiście, musimy to sprawdzić. Może po prostu chciała zapomnieć o tym wszystkim i żyć dalej.

Potem Vera wróciła do gabinetu. Wiedziała, że czekają ją ważniejsze rzeczy, ale powiedziała sobie, że jej zespół sam się nimi zajmuje. Opowiadanie znów ją pochłonęło, dziwny główny bohater. Wtedy zadzwonił telefon.

– Pani inspektor, Julie Armstrong na linii. Chce rozmawiać tylko z panią.

Vera słuchała w milczeniu, kiedy Julie opisywała kopertę, charakter pisma.

– Nie chciałam pani zawracać głowy. Ale ostatnim razem wyglądało, że to dla pani ważne. Nie dotykaliśmy tego. Hm, tylko moja mama, kiedy przyniosła kopertę spod drzwi wejściowych.

– Czy Laura ma komórkę?

– Ależ tak, w dzisiejszych czasach oni wszyscy mają komórki, prawda?

– Niech pani do niej zadzwoni i powie, żeby została w szkole. Nie wolno jej z nikim wychodzić, nawet jeśli to znajomy, dopóki pani się nie zjawi. Przyślę kogoś z samochodem, żeby mogła pani pojechać i zabrać Laurę. Skontaktuję się ze szkołą. Proszę zostawić kopertę tam, gdzie jest. I nie otwierać.

– Ona nie ma włączonej komórki. – Vera słyszała w głosie Julie zmieszanie, początki paniki. – Taki przepis. Nie wolno im.

– Nie martw się, kotku. Po prostu wyślij jej SMS i zostaw wiadomość na poczcie głosowej. Resztą ja się zajmę.

Odłożyła słuchawkę, potrzebowała chwili, żeby wrócić do siebie. Zdenerwowanie Julie trochę się jej udzieliło, czuła, że dostaje dokuczliwej wysypki i mózg zaczyna się jej gotować. Potem

zadzwoiła do liceum w Whitley Bay, przedarła siê przez nadgorliwà sekretarkê do dyrektora. Natychmiast zrozumiaå, co trzeba zrobiç. Vera pomyÅlå, że strach przed tytuåami w tabloidach: „Jak mogli na to pozwoliç? Måoda dziewczyna porwana spod bramy szkoåy”, motywuje go w rwnym stopniu jak obawy o bezpieczestwo Laury. Potem stwierdziå, że jest cynicznà jedzà. Powiedziaå, że odnajdzie uczennicê i zatrzyma jà w swoim gabinecie, a¿ przyjedzie Julie z policjà. Oddzwoni do Very i poinformuje o wszystkim. Vera siedziaå, czekaå. Jej wzrok przenisÅ siê z powrotem na ksiàzkê na biurku, na nastrojowà okåadkê w przygaszonych bÅekitach i szaroÅciach. ZadzwoiÅ telefon.

– Tak?

Dyrektor siê nie przedstawiÅ. Kiedy mówiÅ, Vera Åyszaå drzenie w jego ÅÅosie i natychmiast sama zaczÅå siê trzàÅç.

– Nie przyszå do szkoåy. W dzienniku ma nieobecnoÅç.

– Nikt siê nie dowiadywaÅ, dlaczego siê nie pojawiå?

– Nie sprawdzamy takich rzeczy, kiedy chodzi o jeden dzien.

A po tym, co siê staå z jej bratem, rozumiemy, że mo¿e potrzebowaç trochê czasu. – UsprawiedliwiaÅ siê przed sobà i przed bezlitosnà prasà, która bdzie chciaå obarczyç kogoÅ odpowiedzialnoÅcià. Ju¿ siê wymigiwaÅ.

– OczywiÅcie – odparå Vera. – Nie pana wina. – Mo¿e moja? Mo¿e powinnam zrozumieç, że to siê zbli¿a? – Czsto wagarowaå?

– Nie. To dobra uczennica. Pracowita. Jedna z najzdolniejszych.

– MgÅby pan popytaç jej kolegw, dzieciakw, z którymi jeÅdziå autobusem? PoÅlå kogoÅ, żeby zebraÅ zeznania. – Zdecydowaå, że wydeleguje Ashwortha. Åwietnie sobie poradzi z mÅodymi laskami.

– MogÅby pani zachowaç dyskrecjê? – zapytaÅ. – To znaczy bez ÅÅyskajàcych ÅwiataÅ i mundurw. Nie chcê tu masowej hysterii, zdenerwowanych rodzicw, spanikowanej mÅodzie¿y. Luke te¿ byÅ naszym uczniem.

To ją zaniepokoiło.

– Znał go pan? To znaczy, nie tylko z twarzy i z nazwiska?

– Owszem, lubię dzieciaki takie jak Luke. Takie, które walczą. Dlatego zostałem nauczycielem. Czasem to ważne, żeby o tym nie zapominać.

– Nie wie pan, dlaczego ktoś chciał jego śmierci?

– Nie! – Odpowiedź była błyskawiczna i ostra. – Trochę mało pojętny, ale miły chłopak. Ogólnie lubiany. – Starał się to wyjaśnić. – I całkowicie nieszkodliwy. – Nie spodobałby mu się ten opis, ale Vera zrozumiała, o co chodzi.

Kiedy przyjechała do domu Julie, drzwi były otwarte, a kobieta czekała gotowa do wyjścia. Jej matka stała z tyłu. Julie odwróciła się, żeby się pożegnać, ale Vera wstrzymała ją gestem.

– Zmiana planów – powiedziała spokojnie. – Już nie ma pośpiechu. Wejdzmy. Pani Richardson, dostanę herbatę? – Zaprowadziła Julie do saloniku i usiadła na kanapie. – Laura nie dotarła do szkoły, kotku. Na pewno wsiadła do autobusu?

– Nie wiem. Nie widziałam. Ostatni wieczór spędziłam u przyjaciela. – Spojrzała na policjantkę. – Byłam u Gary’ego. Niech pani nie mówi mojej mamie. Ale musiałam stąd się wynieść, napić się trochę wina.

– O której się pani obudziła? Trochę skacowana, co?

– Tak, trochę tak. Wyszłam o dziesiątej.

– I Gary był z panią cały czas?

– Nie spaliśmy ze sobą. Ja położyłam się na kanapie.

– Więc mógł się wymknąć niepostrzeżenie. – Vera mówiła jakby do siebie. Nie spodziewała się odpowiedzi.

– Gdzie Laura? – Zabrzmiało to jak krzyk, pani Richardson wybiegła z kuchni.

– Nie wiemy. Wszyscy jej szukamy. Szkoła. Mój zespół, a lepszych od nich się nie znajdzie.

– O której Laura wyszła z domu? – Julie zwróciła się do matki. – Wsiadła do autobusu?

– Wyszła jak zwykle. I jak zwykle się spieszyła, nie zdążyła zjeść śniadania. Przygotowałam jej lunch, ale go nie wzięła.

– Musiałaś się na nią rzucić, co?– Julie poczerwieniała ze złości. – Zawsze tylko zrzedzisz.

Starsza kobieta omal nie wybuchła płaczem.

– Wcale się na nią nie rzuciłam. Powiedziałam, że jest bardzo dzielna, że idzie, i mam nadzieję, że miło spędzi dzień.

– Och, mam, przepraszam. To moja wina. Powinnam tutaj zostać. Byłam zajęta sobą, a ona mnie potrzebowała. Znowu to samo co z Lukiem.

– Naprawdę nie mamy na to czasu – ucięła Vera. – Napady złego humoru zachowajcie panie na później, jak już opanujemy sytuację. Potrzebuję informacji. Czas odjazdu autobusu. Nazwiska kolegów, z którymi Laura jeździ. Ulubieni nauczyciele. Nauczyciele, których nie znosi. Chłopcy, byli i obecni. Proszę zrobić listę. Ja zajmę się tą kopertą. – Wydarła kartkę z notatnika i dała pani Richardson długopis. Kiedy wyszła, siedziały obok siebie na kanapie. Obie we łzach, które nieocierane wysychały na policzkach, zmagaly się z problemem, przypominały sobie nazwiska.

Koperta leżała na środku kuchennego stołu. Odkąd Julie zatelefonowała, Vera wmawiała sobie, że kobieta pewnie przesadza. Że to kartka od kolegi, krewnego albo nauczyciela. Nic niezwykłego. Ale kiedy ją zobaczyła, natychmiast rozpoznała wielkie litery. Tym razem adres wpisano prawidłowo. Nawet z kodem pocztowym. Koperta nie była zaklejona. Część z klejem wetknięta w środek. Ani śladu śliny. Znaczek samoprzylepny. Vera wyjęła z torebki pęsetę i lateksowe rękawiczki, wyciągnęła kartkę. Przyczepiony kwiat. Mały, niebieski, nie wiedziała co to za roślina. Na odwrocie pusto, tak jak na kartce do Luke'a. Żadnych pocałunków.

Wystukała numer Holly w Kimmerston.

– To na pewno to samo. Niech szybko wezmą tę kartkę do laboratorium do analizy. I popędź ich z tymi innymi rzeczami. – Zadzwoiła do Ashwortha, ale natychmiast usłyszała, że otacza go grupa rozgadanych dziewczyn i nie może rozmawiać. – Daj mi znać, jak tylko będziesz coś miał. – Oczywiście nie musiała tego

mówić, ale lepiej się poczuła, wydając polecenia.

Przybrała łagodną, lekko głupawą minę, zanim weszła do saloniku. Napisała bezpośredni stacjonarny numer do Holly i dała go Beryl Richardson.

– To miła dziewczyna. Proszę do niej zadzwonić i podać wszystkie nazwiska, które pani przysły do głowy. – Zwróciła się do Julie. – Chciałabym, żeby pani mi towarzyszyła, pokazała, któredy Laura mogła pójść na przystanek. Mam z sobą komórkę, zadzwonią, jak tylko będzie jakaś informacja. Obu nam przyda się trochę świeżego powietrza.

Kazała Julie wstać i wyciągnęła ją z domu, zanim któraś z kobiet zacznie protestować. Przy furtce, zamiast skrócić w lewo, w stronę środka wsi i głównej drogi, Julie skręciła w prawo.

– Laura nie lubiła czekać razem z mnóstwem dzieciaków na przystanku przy pubie. Szczególnie od śmierci Luke’a. Inna sprawa, że tłum zawsze ją peszył, ale od tamtego czasu to się pogorszyło. Idzie tutaj skrót i dochodzi do przystanku, który jest bliżej miasta. – Zatrzymała się, odwróciła do Vera. – Powinnam ją podwieźć. Ale byłam taka zagubiona. Nie potrafiłam się otrząsnąć.

– To nie pani wina – powiedziała Vera, powoli wymawiając słowa. – Nic nie jest pani winą.

Julie poprowadziła ją wąską uliczką: z jednej strony pola i łąki, z drugiej – tyły domów. Doszły do przełazu. Vera przystanęła tam i dysząc, przyglądała się krajobrazowi. Ścieżka, obok skoszonej poprzedniego dnia łąki, prowadziła wzdłuż kawałka lasu w stronę głównej drogi. Laure widziano by przez cały czas z okien na piętrach przy ulicy Julie. Vera pomyślała, że musi przysłać ekipę, żeby pochodzili po ludziach. Mało prawdopodobne, żeby dziewczynę ktoś zobaczył, ale warto spróbować. Jeśli ją porwano, to stało się to z pewnością tutaj. W autobusie byłaby z innymi dzieciakami. Przeszła na drugą stronę, obciągnęła spódnice, żeby przyzwyczajenie wyglądać. Julie ruszyła za nią.

– Kto jeszcze wiedział, że Laura pójdzie tą ścieżką do autobusu? – Vera zatrzymała się, żeby wyciągnąć źdźbła trawy z

sandała; udawała, że to nieistotne pytanie.

Julie wzruszyła ramionami.

– Chyba inne dzieciaki.

– Geoff? Kath?

– Mogła o tym wspomnieć. Ale raczej nie. Ostatnio nie była gadatliwa.

Więc to było zaplanowane, stwierdziła Vera. I tak już wcześniej się tego domyśliła, ze względu na kartkę, ale teraz zyskała potwierdzenie. Ktoś czekał i obserwował, śledził rodzinę. Nie z ulicy. Zauważyliby. Może stąd albo ze skraju lasu, skąd jest widok na wieś. Dobra lornetka i da się zobaczyć, co dzieje się w domu.

Potem pomyślała, że bez względu na motyw pierwszego zabójstwa sprawca dobrze się bawił. Albo bawiła. To stało się grą, obsesją. Sztuką teatralną. Nie tylko ułożenie zwłok, ale seria wydarzeń, które do tego prowadziły. Miała nadzieję, że zabójca będzie chciał przedłużyć sobie przyjemność. Miała nadzieję, że dzięki temu Laura nadal żyje.

Tego ranka, kiedy Laura Armstrong zniknęła, Felicity Calvert wracała z przystanku, na który odprowadziła Jamesa do szkolnego autobusu, i próbowała pogodzić się z myślą, że Peter był kochankiem Lily. Zastanawiała się, czy powinna uważać się za zdradzoną. Nie przez Petera – jakie miała prawo go osądzać? Ale przez Samuela. Była przekonana, że Samuel musiał wiedzieć o romansie Petera z Lily Marsh. Prawdopodobnie wiedzieli o tym wszyscy trzej przyjaciele męża. Peter chwaliłby się swoim podbojem. Niemożliwe, żeby zachował coś takiego dla siebie, na pewno zwierzył się Samuelowi. Może dlatego Sam wydawał się ostatnio taki dziwny, taki zakrecony i spięty.

Peter powiedział jej o swoim związku z Lily, kiedy przyjechał z komisariatu. Wrócił do Fox Mill taksówką, wydawał się wykończony i zrezygnowany. James był już wtedy w łóżku. Chłopak chyba przyjął wersję, że policja musiała porozmawiać z jego ojcem jako ekspertem, i poszedł do swojego pokoju bez kwękania. Kiedy czekała na powrót Petera, w domu panowała zdumiewająca cisza. Zazwyczaj włączała radio albo nastawiała płytę, ale tego wieczoru nie mogła tego zrobić. Otworzyła okna, słyszała bardzo odległy szum wody z młyna.

Patrzyła, jak Peter wysiada z taksówki, wyszła, żeby go przywitać. Wziął ją za rękę, jakby byli nastolatkami, i wprowadził do środka. Bez słowa wyjął z lodówki butelkę wina i ją otworzył. Ten jego nienaturalny spokój przestraszył Felicity. Powinien wściekać się na upokorzenie związane z przesłuchaniem, na tupet gliniarzy, którzy go zgarnęli. Prawie uwierzyła, że Peter chce się przyznać do zabójstwa. Ale przecież go wypuścili na wolność, prawda? To nie mogło być to.

Nalał wina do dwóch kieliszków i ciężko klapnął na krzesło za kuchennym stołem. Kuchnia była jej przestrzenią, rzadko tu siadywał wieczorem. Wolał wygody salonu albo zacisze swojego gabinetu. Samo przebywanie razem z nią w tym pomieszczeniu

stanowiło formę przeprosin.

– Jesteś głodny? – zapytała. – Przygotować ci coś?

– Może później. – Napił się wina, spojrzał jej w oczy. Znów zapanowała cisza, potem wyznał: – Miałem romans z Lily Marsh.

Nie powiedziała, że domyślała się tego. Było istotniejsze pytanie.

– Zabiłeś ją?

– Nie! – odparł wyraźnie przerażony. Wziął ją za rękę.

Stwierdziła, że ten dotyk ją podnieca, elektryzuje. W codziennym życiu: rodzinnym, domowym, nawet seksualnym, jakby unikali prawdziwego kontaktu. W tym było napięcie, tak jakby dotykał ją ktoś obcy.

– Była bardzo piękna – powiedziała. – Rozumiem, że mogła cię pociągać.

– To mi pochlebiało. – Zamilkł, napił się jeszcze wina. – Opowiedzieć ci o tym?

Zamyśliła się. Czy chce poznać wszystkie szczegóły? Jak się spotkali? Gdzie uprawiali seks? Obawiała się, że to też może ją podniecić.

– Nie. To twoja sprawa.

– Mam się wyprowadzić?

– Nie wiem. Nie.

– Mnóstwo kobiet tego by zażądało. – Wyglądał na zaskoczonego, że tak spokojnie przyjęła tę informację. Czy rozczarował go brak jakiegokolwiek gwałtownej reakcji z jej strony?

– Przynajmniej w pierwszej chwili – dodał.

– Może romans nie jest taki ważny, kiedy dwie osoby nie żyją.

– Nie zabiłem jej.

Pogłaskała palcem grzbiet jego dłoni.

– Wierzę ci.

Teraz, wracając od autobusu, w cieniu krzaków czarnego bzu, myślała o tej krótkiej, napiętej rozmowie. Było w niej więcej porozumienia niż przez całe wspólne lata. Ni stąd, ni zowąd przyszedł jej do głowy tytuł w sam raz do jednego z tych pism

kobięcych, które czytywała tylko w poczekalni u lekarza i u fryzjerki. „Mój mąż był podejrzany o morderstwo – i to uratowało nasze małżeństwo!”

Nawet poprzedniego wieczoru, kiedy siedziała naprzeciwko niego, uznała tamtą rozmowę za melodramatyczną i trochę śmieszna.

– To się skończyło – powiedział. – Wiele tygodni temu. Już się z nią nie widywałem.

– Kto zerwał związek? – Znów słowa jak z magazynu dla kobiet.

– Ja. Lily była niezrównoważona. Powiniennem zdawać sobie sprawę, że normalna piękna dziewczyna nie zakochałaby się we mnie. – W tym momencie zawahał się, jakby czekał na zaprzeczenie. Milczała. Jego zdrada małżeńska zwalniała ją przynajmniej z obowiązku oszukiwania go. – Dostała obsesji. Przychodziła do pracy. Wydzwaniała do mnie.

– Chyba tutaj też telefonowała – zauważyła Felicity. – Parę razy, jak odebrałam, w słuchawce zalegała cisza.

– Pewnie myślała, że cię porzucę, żeby się z nią ożenić. Nigdy jej tego nie obiecywałem. Niczego jej nie obiecywałem. – Wstał z krzesła, żeby znowu przynieść wino z lodówki, napełnił jej kieliszek, potem swój. – Policji powiedziałem, że po prostu rozstaliśmy się i na tym koniec. Ale to nieprawda. To był koszmar. Prześladowała mnie. Nigdy nie wiedziałem, gdzie znowu się na nią natknę. Praktyki w szkole w Hepworth załatwiła sobie pewnie po to, żeby dostać się do mnie przez Jamesa. A potem ta gra pozorów. Lily pojawiła się tutaj, udawała, że chce wynająć domek.

– Chyba nie oczekujesz ode mnie współczucia. – powiedziała Felicity.

Znów uderzył w przeproszający ton.

– Nie, oczywiście że nie.

Nagle zawstydzila się i jednocześnie poweselała, bo jej tajemnica pozostała nietknięta. W bezpośredniości rozmowy było coś uzależniającego, chciała ją kontynuować. Czuła się jak za czasów studenckich, kiedy siedziała z koleżankami do późna w

nocy, pokój oświetlały świece, coś smutnego szło z adaptera. Wtedy w każdej rozmowie było takie napięcie jak przy spowiedzi. Ale rozum zwyciężył, chytrze zdała sobie sprawę, że równowaga sił między nimi zmieniła się, i powinna to w pełni wykorzystać. Na przykład będzie nalegała, żeby James poszedł do tutejszego liceum, a nie tego w Newcastle, o co Peter się pieklił. W tym pokutnym nastroju mąż zgodzi się na wszystko. Poza tym, powiedziała sobie, decyzja nie należy do mnie. Samuel nie zniósłby tego, gdyby informacja o ich związku trafiła do publicznej wiadomości. To by go zabiło.

Później tamtego wieczoru kochali się, przez otwarte okna ciągle słyszała szum wody. Potem razem stali i patrzyli na latarnię morską. Skończę romans z Samuelem, zdecydowała. Nikt się nie dowie. Jakby tego w ogóle nie było.

Następnego ranka wstali jak zwykle, Peter wcześniej wyszedł do pracy, kiedy James jeszcze jadł śniadanie. Chłopiec miał mnóstwo pytań o policję i śledztwo w sprawie zabójstwa. Peter zachował cierpliwość, spoglądał ponad ramieniem syna, uśmiechał się do niej krzywo. Zanim odjechał, ucałował ją w usta. Dla Jamesa to był ostatni tydzień przed wakacjami, więc poszła z nim ścieżką do autobusu, żeby jak najdłużej być razem. Wiedziała, że w przyszłym roku będzie chciał chodzić sam.

Dotarła do domu, weszła. Nie spała dobrze, czuła się niespokojna, poirytowana. Spacer nie pomógł. Gdyby poprosić Samuela, żeby wybierał między mną a moim mężem, Peter będzie miał pierwszeństwo, pomyślała, zawsze miał pierwszeństwo. To dlatego Sam nie powiedział mi o nim i o Lily, nie ostrzegł mnie.

Zrobiła sobie kawę, stanęła w progu z filiżanką. Domek nadal zabezpieczała niebiesko-biała taśma. Kiedy Felicity tak patrzyła, popijając kawę, na podjeździe pojawił się samochód. To jeden z tych techników z poprzedniego dnia. Pomachał do niej ręką, włożył na siebie papierowy kombinezon i poszedł przez łąkę.

W domu było cicho i spokojnie, zadzwoniła do Samuela. Kwadrans po ósmej, może jeszcze jest w domu. Mieszkał zaledwie dziesięć minut od biblioteki. Zanim wybrała numer, nie miała

pojęcia, co mu powie. Kiedy włączyła się automatyczna sekretarka, ulżyło jej. Stwierdziła, że zrobiłaby z siebie idiotkę, domagając się wyjaśnień. „Nie przyszło ci do głowy, że zasługuję na to, żeby wiedzieć, że mój mąż uprawia seks z dziewczyną młodszą od naszych córek?” Ale mógł się zemścić. „Uprawiasz seks z najlepszym przyjacielem męża”. Poza tym nigdy niczego nie zażądałaby od Samuela. Na tym opierał się ich związek. Bez słowa odłożyła słuchawkę.

Pod wpływem impulsu postanowiła wybrać się tego dnia do Morpeth. Chciała, żeby otaczali ją ludzie, chciała czuć materiał pod palcami, kiedy będzie szukała czegoś nowego do ubrania. Potem kawa, dobry lunch z kieliszkiem wina. Nawet się nie przebrała ani nie umalowała, po prostu złapała kluczyki, torebkę i prawie wybiegła z domu. Kiedy zamykała za sobą drzwi, usłyszała w środku dzwonek telefonu. Zatrzymała się na chwilę, ale nie wróciła. Mogła na później umówić się z Samuelem. Potrzebowała jednak czasu, żeby zaplanować, co mu powie.

Vera zostawiła Julie pod opieką kuratora rodzinnego, poinstruowała go, że trzeba ją zabrać z domu – do przyjaciół, do rodziców, gdziekolwiek, byle nie było jej we wsi, gdzie ekipa policyjna wkrótce zacznie przeczesywać centymetr po centymetrze odcinek ścieżki od pól do głównej drogi. Teraz Vera znowu siedziała w komisariacie. Zwołała zespół, trzech najbliższych współpracowników, krzyknęła na nich z otwartych drzwi gabinetu. Charlie nadal rozmawiał przez telefon z funkcjonariuszem koordynującym wypytywanie mieszkańców Seaton. Joe Ashworth właśnie wrócił z liceum, poważny, trochę podenerwowany. Zdała sobie sprawę, że Joe myśli o własnej córce. Gdyby Katie miała czternaście lat, czy odważyłby się puścić ją do szkoły samą, do miasta bez opieki?

– Laura na pewno nie wsiadła do autobusu – poinformował.
– Inne dzieciaki nic sobie z tego nie robiły. Myślały, że po prostu odpuściła sobie szkołę po tym, co się stało z Lukiem – przerwał. – Odniosłem wrażenie, że właściwie nie miała wielu bliskich przyjaciół. Byli wstrząśnięci, że zaginęła, nawet podekscytowani. Ale żadne z nich nie wydawało się bardzo zmartwione. Nauczyciele powiedzieli mi, że trzymała się z dala od innych uczniów. Jeden z nich stwierdził, że była troszeczkę wyniosła i opryskliwa.

A co w tym dziwnego? – pomyślała Vera. Taka młoda, a musiała wytrzymać z ludźmi wypytyjącymi ją o Luke'a. I przez chwilę Verze przemknęło przez myśl, czy to nie jest znacznie prostsze, niż sobie wyobrażali. Może to Laura zabiła brata. Zemsta za to, że nie uratował Toma Sharpa, kiedy ten wpadł do Tyne. Za to, że zawsze był w centrum uwagi, nawet się nie wysilając, i zmarnował jej życie. A teraz uciekła. Może śmierć Lily to tylko koszmarny zbieg okoliczności. Potem stwierdziła, że to przecież śmieszne. Przypuszczenie, że nie ma związku między tymi dwoma zabójstwami, wydawało się niedorzeczne. I nadal, z tyłu głowy,

tkwiła jej myśl o jednym oczywistym podejrzanym.

Przyszła Holly z kawami na tacy: cztery kubki czarnego płynu, stosik plastikowych pojemniczków z mlekiem na wyszczerbionym spodku. Vera po raz pierwszy widziała, jak Holly nieprzymuszona robi kawę. Charlie skończył rozmawiać przez telefon i do nich dołączył.

– Nic – oznajmił. – Na razie nic. Niektórzy z mieszkańców z tej ulicy są jeszcze w robocie. Powiedziałem ludziom na mieście, żeby znaleźli numery ich telefonów, zadzwonili do nich do pracy i zapytali, czy widzieli Laurę tego dnia rano.

W innej sytuacji Vera byłaby zadowolona, że się angażują, pracują razem, wykazują się praktycznymi umiejętnościami.

– Dostałem raport koronera na temat śmierci żony Parra – kontynuował Charlie. – To na pewno było samobójstwo. Podcięła sobie żyły. Papiery leżą na twoim biurku.

Podziękowała skinieniem głowy.

– A więc wracamy do rodziny Armstrongów – powiedziała. – Może ta cała afera z Peterem Calvertem była po to, żeby odciągnąć naszą uwagę. Może zabójca na początku w ogóle nie zamierzał sprzątnąć Lily Marsh. Ale coś zobaczyła, weszła mu w drogę. Czy wiemy, co robiła wtedy, kiedy zabito Luke’a Armstronga?

– Dziewczyny, z którymi mieszkała, wyjechały w tamten wieczór. Do Londynu, na balet. Klasa. Zostały z przyjaciółmi w Richmond. Nie mają pojęcia, gdzie się podziewała Lily w czwartek wieczorem. – Holly stała się ekspertem od współlokatorek Lily.

– A niby co robiłaby w Seaton? Dziurze na wybrzeżu? To nie miejsce w jej stylu. Tak ubrana dziewczyna mocno by się wyróżniała. A nikt jej nie widział. Osobiście chodziłem od domu do domu. – Charlie pracował tam kiedyś jako posterunkowy i nadal kumpłował się z ludźmi z miejscowej policji. – W ogóle nie było obcych w tamtych rejonach.

Przez chwilę siedzieli w milczeniu, każde próbowało sobie wyobrazić Lily w kolorowych jedwabkach i paciorkach na ulicy, gdzie dzieci grają w klasy, a matki siedzą na progach i patrzą na swoje pociechy. Żadnemu z nich się nie udało.

– Jak myślicie, gdzie jest ciało Laury? – odezwał się wreszcie Charlie.

To pytanie wszyscy sobie zadawali, ale nikt nie chciał wypowiedzieć go na głos.

– Jeszcze nie wiadomo, czy dziewczyna nie żyje. – Vera nie krzyczała, mówiła spokojnym, racjonalnym tonem. To nie był czas na aktorstwo. Po prostu powiedziała prawdę. A może chciała wierzyć, że taka jest prawda. Dla Julie i dla siebie. Bała się porażki, a kolejna śmierć, śmierć kogoś młodego, kto jeszcze nie zdążył zaznać w życiu szczęścia, byłaby porażką najgorszą z możliwych.

– Nie zachował przy życiu innych ofiar – powiedział Joe. – O ile wiemy.

– Tym razem może być inaczej – odparła Vera bez przekonania. Pomysł, który narodził się, kiedy szła ścieżką z Julie, że zabójca bawił się, że to gra, spektakl obliczony na długotrwałą przyjemność, teraz wydał się jej irracjonalny. Charlie wolał się nie kłócić.

– Jeśli jednak zamordowałby Laurę, to gdzie mogą być zwłoki?

– W wodzie – odezwała się Holly po raz pierwszy.

– Więc gdzie powinniśmy szukać? W każdym domu w Tyne i Wear jest łazienka.

– Nie. – Vera wolno pokręciła głową. – Nie włoży ofiary znów do wanny. Laura to piękna dziewczyna. Nie tak piękna jak Lily, ale z wielkimi oczami, dla których chciałoby się umrzeć. – Zająknęła się przy tych ostatnich słowach, ale nikt chyba nie zauważył, więc mówiła dalej: – Wygląda wyjątkowo, egzotycznie. Będzie chciał zrobić z niej obraz. W jakimś teatralnym miejscu.

– Więc musi ją przetrzymywać – wywnioskował Joe. – Żywą albo martwą. Nie będzie ryzykował wystawiania ciała w świetle dnia. Nie zrobi tak ponownie. Udało mu się z Lily, ale drugi raz na pewno nie spróbuje.

– Są jakieś wieści z Zakładu Wodno-Kanalizacyjnego Northumberland? – zapytała Vera. – Czy nie mieli posłać ekipy na

sprawdzenie wylotu kanału ściekowego przy latarni morskiej w to popołudnie, kiedy zamordowano Lily? Ktoś z nimi rozmawiał?

– Ten wylot nie był używany od pięciu lat – odpowiedział Joe. – Jakieś europejskie dyrektywy na temat ścieków i czystych plaż. Facet, z którym wczoraj gadałem, sądzi, że ekipa tylko tam zaparkowała, żeby zrobić sobie przerwę.

– Skontaktuj się z nim jeszcze raz. Spisz nazwiska wszystkich robotników z tego obszaru w tamtym dniu. To nasi jedyni świadkowie.

Na chwilę zapadła cisza, potem Vera nagle wstała, stanęła przed nimi.

– Czekam na pomysły – powiedziała. – Jakiegokolwiek. Mogą być zwariowane. Miejsca do przeszukania. Miejsca, które trzeba nadzorować.

– Tyne. Tam zginął Tom Sharp. Woda i kwiaty. Początek wszystkiego. – Znowu Charlie. Jeszcze nie widziała go tak poruszonego.

– Oj, człowieku, to dopiero będzie nadzór, cała Tyne. – Joe rozejrzał się, popatrzył na zebranych. Nie zamierzał być okrutny, ale chciał, żeby byli dokładniejsi. Joe, jak zwykle praktyczny.

– Ale on ma rację – stwierdziła Vera. – Tam zaczniemy.

Zastanawiała się, czy powinna znów wybrać się do więzienia Acklington, żeby porozmawiać z Davym. Czy teraz wyciągnie z niego coś użytecznego. Postanowiła, że to może poczekać. Wolą być blisko Julie, gdyby doszło do najgorszego.

– Więc gdzie? – Charlie siedział na skraju jej biurka, zgarbił się. Sprawa stała się osobista także dla niego.

Czy on ma córkę? Vera uświadomiła sobie, że nigdy nie pytała go o dzieci. Nie lubiła rozmów o dzieciach. Czuła się wtedy jakby pusta, zazdrosna.

– Fish Quay przy North Shields, gdzie utonął Tom Sharp? To jest ten osłonięty kawałek wody, gdzie cumują łodzie.

– Tam jest ruch do rana. Bary, restauracje. Eleganckie odnowione apartamenty.

– Tak, trudno, żeby ktoś go nie zauważył – przytaknęła Vera.

– Czy to musi być on? – wtrąciła się Holly. Była najbardziej bezstronna z nich wszystkich. Jest jeszcze na tyle młoda, żeby mieć poczucie własnej nieśmiertelności, stwierdziła w duchu Vera, i żeby zajmować się sobą, nie przejmować się tragedią innych.

– Fizycznie kobieta da radę kogoś udusić. Ale przenieść Lily przez skały, żeby wsadzić ją do tej sadzawki, to już inna sprawa. O kim myślałaś?

– Kath Armstrong to jedyna osoba, która łączy wszystkie ofiary – odparła Holly. – Jako pielęgniarzka na pewno wie, jak przenosić ludzi, prawda?

Nie jedyna osoba. Jest jeszcze ktoś, skomentowała Vera, ale nie na głos.

– A motyw? – Po cichu próbowała znaleźć odpowiedź na własne pytanie. Może to miało coś wspólnego z doskonałą rodziną. Lily, Luke i Laura, wszyscy wdarli się do ładnego domku w Wallsend. Czy zbrodnie były wypaczoną metodą Kath chronienia własnej małej dziewczynki?

Do późna w nocy myślała o Tyne i North Shields. Cienie rzucane przez budynki, biuro kapitana portu, opustoszały targ rybny, światła z południowego brzegu. Woda w doku spokojna i oleista. Wyobrazila sobie ciemny kształt dziewczyny, sylwetkę na tle światła odbitego od gładkiej powierzchni. Ale zwłoki nie pływają. Z początku. Może zabójca znalazł coś dla swojej ofiary, żeby ją ułożyć? Paletę? Tacę na ryby? Małą łódkę? I okrył ją kwiatami. Cóż to byłby za obraz. Próbowała oczyścić myśli, żeby otworzyć umysł na inne sceny, inne miejsca.

– No, poproszę kolejne prawdopodobne scenariusze.

– A co z Seaton Pool? – zapytał Joe. – Niedaleko stamtąd dziewczyna została uprowadzona i chyba są tam kryjówki. Ptasiarze będą je znali.

– Tamtejsza policja już przeszukała ten teren – odparł Charlie. – Od razu go sprawdzili, bo jest blisko domu Laury i wiedzą, że niektóre dzieciaki ze wsi bunkrują się tam, kiedy idą na wagary. Znaleźli stos pustych puszek po piwie i trochę graffiti.

Poza tym nic.

Ale Vera uznała, że właśnie takiego miejsca mógłby szukać zabójca. Seaton Pool powstał na skutek osuwania się gruntu przy kopalniach, chociaż obecnie nie zostało ani śladu po górniczej przeszłości. Leżał między ścieżką, którą Laura szła, żeby złapać autobus, a morzem. Kiedy Vera była dziewczyną, siedziała kiedyś z Hectorem w kryjówce w Seaton Pool. Zabójca musiał mieć jakiś powód, żeby zrobić wyjątkową wycieczkę na niziny, a ona przez chwilę nie potrafiła wpaść na to jaki. Potem sobie przypomniała. Łyska amerykańska. Czekali ponad godzinę, żeby wyszła z gniazda w trzcinach. Był zimny słoneczny dzień, na brzegach stawu lód. Nudziła się, a Hector zaczepiał innych ptasiarzy. Łyskę co jakiś czas płoszyli ludzie przechodzący ścieżką biegnącą po zachodniej stronie zbiornika. To ulubione miejsce na spacer z psami. Vera pomyślała, że byłoby dużym ryzykiem porzucać tam ciało za dnia. Ale zabójca jakby nie zważał na ryzyko. Jakby mu nie zależało, czy zostanie złapany. A później, wieczorem, w ogóle nic by nie ryzykował.

– Nadal przeszukują ścieżkę?
– Będą tam cały dzień.
– Ale nie wieczorem. Kiedy się ściemni.
– Tak – przyznał Charlie. – Wtedy wstrzymają poszukiwania.
– Chcę, żeby ktoś w nocy prowadził obserwację – powiedziała Vera. – Jak tylko ekipa poszukiwawcza tam skończy i wszystkie palanty pójdą do domu. Obserwacja z ukrycia. Dyskretna. – Przez myśl przemknęło jej, jak to wpłynie na budżet, biorąc pod uwagę nadgodziny, ale wcale się tym nie przejęła.

– Czy istnieje jakieś prawdopodobieństwo, że on wróci do latarni morskiej? – zapytała Holly.

– Albo jest ten strumień przy Fox Mill – zasugerował Joe. – To tuż obok tego domku. Jeśli Lily wróciła, spotkała tam kogoś, zgubiła pierścione od Calverta, to miejsce może być dla zabójcy szczególne. Chociaż ktoś mógłby go zobaczyć, gdyby akurat siedział w środku...

Ale jemu wszystko jedno, znowu pomyślała Vera. Ryzyko to

część gry, część przedstawienia. Zabójca zaczął sobie zdawać sprawę, że lubi widownię.

Parzyli na nią, czekali, aż podejmie decyzję. Nastąpiła chwila ciszy, która czasem zdarza się w hałaśliwych budynkach. Na ulicy płakało niemowlę, matka próbowała je uspokoić.

– Trzy zespoły – powiedziała. – Jeden na Fish Quay. Porozmawiajcie z kapitanem portu. Jeden nad Seaton Pool, do kryjówki ptasiarzy. Jeden do domku przy Fox Mill. Nie wyobrażam sobie, żeby znowu wykorzystał latarnię morską. Przyływ jest tam taki zmienny. Ale to na noc. Najpierw chcę, żebyście sprawdzili szczegóły. Wróćcie do początku. Jeśli się nie skupimy, może być za późno.

Kiedy Felicity wróciła do Fox Mill z miasta, na podjeździe zobaczyła samochód. Inny niż ten techników kryminalistycznych. Ale to na pewno ktoś, kto zajmuje się śledztwem w sprawie zabójstwa. Zastanawiała się, kiedy to się skończy, ta inwazja obcych, wtrącanie się w ich rodzinne sprawy. Chociaż z drugiej strony powinna się cieszyć, bo prasa nie zwąchała, że są w to zamieszani. A może jednak to samochód jakiegoś reportera. Kiedy popatrzyła na domek, zauważyła, że usunięto taśmę policyjną.

Zdażyła tylko zdjąć buty i nastawić wodę w czajniku, kiedy odezwał się dzwonek u drzwi. Z okna w kuchni zobaczyła młodego detektywa sierzanta, który poprzedniego wieczoru zabrał Petera. Na bosaka poszła otworzyć. Zorientowała się, że policjant przygląda się jej paznokciom u palców stóp, pomalowanym na jasnoróżowo. Wyczuła dezaprobatę i chciała mu coś nagadać. „Czy twoja idealna żona, która należy do Klubu Kobiet, nie maluje sobie paznokci u nóg? A może to ci się nie podoba, bo jestem babcią?” Ale nic nie powiedziała. Stała, czekała, aż facet się odezwie.

– Próbowaliśmy się do pani dodzwonić. – W jego głosie pobrzmiwało oskarżenie i coś jeszcze. Nerwowość na skraju paniki.

– Dopiero co przyszłam.

– Gdzie pani była?

– W Morpeth.

– Z kimś czy sama?

Nie odpowiedziała. Nie jego interes.

– A co, coś się stało? – Bo domyślała się, że zdarzyło się coś poważnego. – Kolejne zabójstwo?

Zbył jej pytanie.

– Bardzo by nam pomogło, gdyby miała pani jakiś dowód na to, co robiła dziś rano. Czy ktoś panią widział?

– Nie – odparła niechętnie. – Byłam sama.

– W takim razie może ma pani jakiś paragon? Coś z datą i godziną?

Wtedy zaczęła panikować. Wyobrażała sobie, że wiozą ją do komisariatu w Kimmerston, że siedzi w celi, że jest przesłuchiwana. Pewnie podejrzewają, że coś knuje razem z Peterem. Co wtedy będzie z Jamesem?

– Niczego nie kupiłam. Owszem, zamierzałam, ale skończyło się na oglądaniu.

Potem coś sobie przypomniała. Wyszła na dwór, nadal boso, żwir na podjeździe kłuł ją w stopy, zajrzała do swojego samochodu. Wreszcie znalazła pod siedzeniem bilet parkingowy z Safeway. Z wyraźną datą i godziną. Joe Ashworth trochę zmienił do niej stosunek. Zrobił się bardziej uprzejmy, zapytał, czy może wejść.

– Zaginęła młoda dziewczyna – poinformował.

W kuchni, za nimi, woda już się gotowała i czajnik automatycznie się wyłączył. Felicity zrobiła Joemu kawę, nie pytając, czy chce.

– Istnieje prawdopodobieństwo, że to jest powiązane z dwoma zabójstwami. Poszedłem do domku. Mam nadzieję, że nie przeszkadza to pani. Technicy już skończyli, a pani nie było, żeby zapytać, więc...

– Nie przeszkadza – przerwała mu. – Oczywiście. Musicie wypełniać swoje obowiązki. – Ale była wstrząśnięta, że nadal uważają domek za potencjalne miejsce zbrodni. Czy to znaczy, że ludzie w białych papierowych kombinezonach coś znaleźli? Czy to znaczy, że Peter nadal jest podejrzany?

– Czy pani mąż wyszedł do pracy tak jak zwykle? – Ashworth mówił uprzejmym, nienagłym tonem, ale nie dała się nabrać.

Nie powie mu, że dziś Peter wyjechał wcześniej.

– Tak – odparła. – Mniej więcej tak jak zwykle. Może pan sprawdzić, o której dotarł na uniwersytet. Podpisują się. Takie zasady.

Uśmiechnął się. Zrozumiała, że już to zrobił. Zastanawiała się, czy Peter tam był, kiedy sprawdzali, czy tylko rozmawiali z

sekretarką. Zapytałaby, ale duma jej na to nie pozwoliła.

Odezwał się zegar w kuchni. Jakimś ptasim trelem, którego nie rozpoznawała. Już druga.

– Nie jadłam jeszcze lunchu. Zamierzałam coś przekąsić w Morpeth, ale w końcu zrezygnowałam. Miałam sobie zrobić kanapkę. Chce pan coś?

Znów się uśmiechnął.

– Już wychodzę. Ale gdyby zobaczyła pani coś niezwykłego. Samochód, którego pani nie rozpoznaje. Ludzi kręcących się wokół domku, to zadzwoni pani do nas?

– Tak. Oczywiście.

Szła z nim do drzwi, kiedy zadzwonił telefon. Komórkę nadal miała w torbie, w kuchni. Wiedziała, że to Samuel, i tak się tym przejęła, że nie do końca dotarło do niej znaczenie kolejnych słów detektywa.

– Czy wieczorem będzie pani w domu? Na wypadek gdybyśmy jeszcze chcieli zadać jakieś pytania?

Jakby nie słyszał brzęczenia telefonu. A może to mu obojętne, że sprawia jej kłopot.

– Tak. Och, tak. Rzadko wychodzimy. – Niech już sobie idzie.

Uśmiechnął się, jakby oczekiwał takiej odpowiedzi, jakby właśnie po nią przyszedł.

– Świetnie. Doskonale. To do widzenia.

Zanim wróciła do kuchni, telefon zamilkł. Nie było wiadomości. Spis połączeń pokazał numer komórki Samuela. Oddzwaniała, ale ciągle włączała się poczta. Zostawiła kolejną wiadomość, domowego też nie obierał. Próbowała, dopóki James nie wrócił do domu, wtedy zrezygnowała.

Peter przyjechał z uniwersytetu trochę wcześniej niż zazwyczaj. Już o wpół do szóstej. Z okna w kuchni Felicity zobaczyła, jak mąż wysiada z samochodu i stoi przez chwilę, patrząc na domek.

Myśli o dziewczynie. Tęskni za nią. Zazdrość ścisnęła jej gardło, mocno, jakby w przeliku utknęło jedzenie. Zebrało się jej na wymioty.

James też musiał go zauważyć, z ogródka, w którym się bawił. Obiegł dom, żeby przywitać się z tatą. Nie słyszała, co syn mówi, ale zaczął gadać, ledwie zobaczył ojca. Jakieś wiadomości ze szkoły. Peter uśmiechnął się, podniósł chłopca i zahustął nim nad głową.

Felicity patrzyła, jaki jest sprawny mimo swojego wieku, jaki silny. Peter położył Jamesowi rękę na ramieniu i razem ruszyli do domu. Zadzwoił telefon stacjonarny. Felicity poszła do gabinetu Petera, żeby odebrać, zadowolona, że może się uspokoić, zanim się spotka z mężem.

Samuel.

– Cześć – powiedziała. – Dzwoniłam do ciebie. – Próbowала parę razy, jeszcze rano z Morpeth. Jego telefon domowy i komórka nie odpowiadały. Zebrała się na odwagę i poszła do biblioteki, ale dziewczyna za kontuarem powiedziała, że wziął wolny dzień. Potem podjechała do niego do domu, pukała do drzwi. Cisza.

– A co? Co się stało? – Głos miał dziwny, lekko niewyraźny. Pomyślała, czy aby nie pił.

– Nie mogę teraz o tym rozmawiać. Jeśli chcesz pogadać z Peterem, to właśnie wrócił do domu. – Mówiła lekkim, spokojnym głosem, jak zawsze, kiedy mógł ją ktoś podsłuchiwać.

– Nie. Chciałem rozmawiać z tobą.

– Dobrze się czujesz? Gdzie się podziewałeś cały dzień?

Nie odpowiedział natychmiast. Usłyszała, jak Peter woła na nią z kuchni, położyła rękę na mikrofonie i odkrzyknęła.

– Dzwonię. To nie potrwa długo. Włącz czajnik, dobrze?

Samuel nadal milczał.

– Gdzie byłeś? – znowu zapytała.

– Myślałem, że się domyślisz. – Tak mógł się z nią drażnić, kiedy byli sami, razem. Zakładał, że wzajemnie się rozumieją. Ale teraz to zabrzmiało gorzko.

– Dobrze się czujesz? Coś jest nie tak?

– Muszę się z tobą zobaczyć.

– To chyba niemożliwe – stwierdziła. – Nie dziś wieczorem.

– Zapomniała, że zamierzała mu wygarnąć, że utrzymywał w

tajemnicy romans Petera z Lily Marsh. Zapomniała o bąbelkach zmysłowości, które ją łaskotały, zmuszały do uśmiechu, kiedy spędzali czas sam na sam, kiedy nikt nie patrzył. Teraz chciała jak najszybciej, jak najgodniej wyrwać się z tego związku. Samuel zaczął być dla niej ciężarem.

– To dwudziesta rocznica śmierci Claire – powiedział.

No tak, to też stało się w środku lata. Przypomniała sobie pogrzeb. Spokojny, wilgotny dzień. Roje owadów pod drzewami, gdy czekali przed kościołem. Skrępowanie, bo samobójstwo to taka niezręczna forma odejścia. Prawie współczuła Samuelowi, że został porzucony. Później, kiedy odwieźli go do domu, opisał, jak znalazł żonę. „Wyglądała spokojniej, niż ją widziałem przez całe miesiące. Włosy pływały jej wokół twarzy”.

Poczuła nagły wstrząs, kiedy zdała sobie sprawę, że mógł tak mówić o ostatnich ofiarach, ale odsunęła obraz Samuela zabójcy. To łagodny człowiek. Muchy by nie skrzywdził.

– Tak mi przykro. Powinnam pamiętać. – Wiedziała, że Sam czeka, żeby się zgodziła na spotkanie, i przez chwilę się wahała. Może jednak do niego pójść? Po prostu jako zatroskany przyjaciel. James włączył telewizor w salonie. Usłyszała piosenkę rozpoczynającą wieczorną emisję serialu. Peter wrzasnął z kuchni, że herbata gotowa. – Słuchaj – powiedziała. – Bardzo mi przykro, ale nie mogę. Sprawy się skomplikowały. Wczoraj wieczorem policja zabrała Petera na przesłuchanie. Na pewno nie chcesz z nim porozmawiać? – Nie odpowiedział.

– Wszystko tak się poplątało – wymamrotał wreszcie.

– Gdzie jesteś? – zapytała.

– Nieważne. – Więcej gorczy niż kiedykolwiek w jego słowach. Rozłączył się.

Peter zaparzył earl greya z odrobiną mleka, tak jak lubiła.

– Kto dzwonił?

Wahała się tylko przez chwilę.

– Samuel. Był chyba smutny, to rocznica śmierci Claire. Staralam się go namówić, żeby porozmawiał z tobą.

– Odezwę się do niego później.

– Po południu złożył mi wizytę ten młody detektyw. Zaginęła jakaś dziewczyna.

Peter ostrożnie odstawił filiżankę, ale Felicity domyśliła się, że wiadomość go zmartwiła. Może przypomniła mu o Lily.

– Myślą, że to ma coś wspólnego z zabójstwami?

– To sugerował. Pytał, co robiłam rano.

– Cały dzień próbowali mnie złapać. – Peter rozparł się w krześle, przeciągnął, dawał do zrozumienia, że intensywnie pracował i jest zmęczony.

– Gdzie byłeś?

– Na zebraniu. Bardzo nudne i beznadziejnie prowadzone. Dlatego tak długo trwało.

– Naprawdę?

– Chyba nie sądzisz, że mam coś wspólnego z tym porwaniem?

– Nie – odpowiedziała szybko. – Oczywiście że nie. Nie o to chodzi. Rano wybrałam się do Morpeth. Dzwoniłam do ciebie. Też nie mogłam cię złapać.

– Podejrzewasz, że byłem z inną kobietą?

– Przepraszam. Rzeczywiście, przemknęło mi to przez myśl.

– Nigdy więcej. Przysięgam, nigdy więcej tego nie zrobię. – Skinął głową, pokazując dom, Jamesa w pokoju obok, widok na ogród. – To wszystko jest zbyt ważne.

Tak, jej też to przyszło do głowy, kiedy wcześniej rozmawiała z Samuelem.

Po kolacji oglądali telewizję z Jamesem. Później razem położyli chłopca spać, potem wzięli herbatę na werandę i parzyli na ogromne pomarańczowe słońce zachodzące nisko nad wzgórzami. Peter wyglądał na zdenerwowanego, był pochłonięty jakimiś rozważaniami. Kilkakrotnie wracał do tematu porwanej dziewczyny. Co jeszcze powiedział jej Ashworth?

– Nic – odparła. – Naprawdę. Ale jak ją znajdą i złapią człowieka, który ją uprowadził, zostaniesz oczyszczony. Ten koszmar się skończy.

Ale ta myśl chyba nie przyniosła mu ulgi. Nie mógł się

uspokoić. W pewnej chwili wszedł do domu, żeby zatelefonować. Pewnie do Samuela.

– Co u niego? – zapytała, kiedy wrócił.

– Nie wiem. – Zmarszczył czoło. – Nie odpowiada.

Policjanci przyjechali, kiedy już się ściemniało. Jeszcze ich nie widziała. Zamknęła drzwi wejściowe, a oni obeszlili dom z boku, facet i kobieta. Wydawali się jej niesamowicie młodzi, nieobcy, bez ogłady, chociaż bardzo się starali zachować uprzejmie.

– Sierżant Ashworth powiedział, że będziemy mogli obserwować stąd kanał młyński. Zgodziła się pani.

– Zgodziłam się? – Naprawdę tego nie pamiętała.

– Może na piętrze znajdzie się wolny pokój od frontu? Stamtąd chętnie prowadzilibyśmy obserwację.

– Oczywiście – odparła. – Wszystko, żeby pomóc.

Policjanci nadal siedzieli w gościnnej sypialni, kiedy Peter i Felicity poszli do łóżka. Widziała, jak w ciemności wpatrują się w domek za łąką. Księżyc już się pokazał. Nie dawał tyle światła, żeby było widać szczegóły, wystarczało jednak, żeby zobaczyć cień, gdyby ktoś się przemieszczał. Ale co zrobią, jeśli ktoś rzeczywiście się pojawi, zaniepokoiła się Felicity. To prawie dzieci.

Zrobiła im termos kawy i parę kanapek. Podziękowali, nie odrywając wzroku od okna.

Musiała zasnąć przed Peterem. Wiedziała, że leży obok, całkiem nieruchomo, żeby jej nie przeszkadzać.

Było już po południu, kiedy zespół poszukiwawczy znalazł but Laury. Leżał w rowie przy drodze, niedaleko od przystanku autobusu. Zaczęli blisko domu Julie w Seaton i szli wzdłuż ścieżki, potem rozwinęli szyk na polu, teraz już ściernisku. Mieszkańcy Laurel Avenue przyglądali się im z okien na piętrach, widzieli czarne postacie na tle słonecznego blasku i złota zżętego pola. Funkcjonariusze przemierzali się sekwencjami, jak tancerze w powolnym, zawilym tańcu, ich cienie przesuwają się wraz z porą dnia.

Po kilku godzinach takiego przepatrywania niektórzy z nich musieli sądzić, że już nic nie znajdą. Vera stwierdziła, że w takiej sytuacji trudno byłoby jej się skupić; zaczęłaby myśleć o domu, prysznicu, zimnym piwie. Ale kiedy dotarli do drogi, nie zatrzymali się. Ruszyli wzdłuż żywopłotu z głógów i rowu, teraz prawie suchego. Nadal skoncentrowani. Stawali tylko co jakiś czas, żeby się przeciągnąć albo rozetrzeć bolące plecy. Pracowali w niemal całkowitej ciszy. Nawet po tym, jak znaleźli but, szli skrajem ścieżki do dużego ronda na przedmieściach Whitley Bay.

Było jasne, że but spadł tam przypadkiem. Ten, kto porwał Laurę, nie wiedział, że go zgubiła. Nic nie wskazywało na to, że został ukryty w rowie i leżał tam jako wskazówka. Wyraźnie wystawał z mułu. To na pewno nie miało nic wspólnego z wystawianiem zwłok na pokaz. Nie było kwiatów. Tylko but. Czarny but na płaskim obcasie, bez pięty, prosty, na lato. Kidnaper powinien już się zorientować, że go zostawił, że popełnił błąd. Czy to go będzie prześladować? Czy pomyśli, że ekipa kryminalistów odprawi nad tym butem czary i natychmiast wydedukuje, kim jest i gdzie jest?

Julie rozpoznała but i wybuchła płaczem. Do tej pory można było zakładać, że Laura urwała się ze szkoły. Żeby odpłacić się Julie za to, że jest taką gównianą matką. Za to, że jej nie było, kiedy córka wyruszała do liceum w Whitley. Patrzyła na but w

plastikowej torbie na dowody i wyła. Vera nie mogła tego znieść. Namówiła Julie, żeby wzięła środek uspokajający przepisany przez lekarza. Chodziło jej bardziej o siebie niż o nią. Kobięcy płacz wchodził jej za skórę, nie pozwalał się skupić. Nawet kiedy wyszła na dwór porozmawiać z szefem ekipy poszukiwawczej, to zawroźenie brzęczało jej w uszach.

Ogłędziny buta nic im nie dały. Mogli jedynie powiedzieć coś o Laurze. Jakiego mniej więcej była wzrostu, jak chodziła, gdzie chodziła. Nic o człowieku, który ją porwał. Ale blisko miejsca, w którym go znaleziono, na skraju, widniały ślady opon. Jednak tylko rozkruszyły suchą trawę, nie zostawiając wyraźnych odcisków bieżnika. Jednak w miejscu, gdzie trawa schodziła do asfaltu, była mała plamka czerwonego piasku budowlanego.

Może został po naprawie drogi albo wysypał się z ciężarówki. I tam zobaczyli doskonale odcisnięte... ślady opony. Tylko kawałek, połowa szerokości koła, jakieś dziesięć centymetrów, ale to wystarczyło Billy'emu Wainwrightowi z ekipy kryminalistycznej. Ukucnął nad śladem, jak berbecć skupiony na robieniu doskonałego ciasta z błota.

– I? – Vera wiedziała, że nie powinna tutaj być. Powinna być tam, w swoim biurze, wyciągać wszelkie informacje, panować nad wszystkim. Tyle że nie czuła, żeby nad czymkolwiek panowała.

– Nie jestem pewien, czy zidentyfikujemy po tym markę opony. – Billy wstał. Wydawał się wykończony i zestresowany. Był za stary, żeby przegrać przez swoją nową młodą kochankę. Za przyzwoity, żeby podejść do tego lekko. Vera znowu chciała mu powiedzieć, żeby się cieszył z tego, co ma. Z żony, z którą może porozmawiać pod koniec dnia. Żeby nie rzucał tego wszystkiego dla jakiejś fantazji wieku średniego, choćby niezwykle atrakcyjnej.

– Ale jak znajdziecie podejrzany wóz, zdołam stwierdzić, czy to pasuje. Patrz, tu są specyficzne ślady zużycia, nacięcia na gumie.

– Więc nie szukamy nowej opony?

– Nie. Bieżnikowanie jest bardzo zużyte. To ledwie ujdzie podczas kontroli.

Piękne późne popołudnie środka lata. Nie było tak wilgotno

jak kilka godzin wcześniej, kiedy wszyscy mamrotali o burzy z piorunami. Vera stała przez chwilę, obserwowała, jak ekipa poszukiwawcza pełźnie w stronę horyzontu, a jaskółki robią pętle i nurkują nad rżyskiem, żeby złapać owady.

– Skontaktujesz się, jak zidentyfikujesz oponę?

Krótko skinął głową. Patrząc na niego, myślała, że on wie, jakie głupstwo popełnił, wiążąc się z młodą laborantką z anatomopatologii. Nienawidził się, ale nie mógł na to nic poradzić. Nie chciał się przyznać, że robi z siebie durnia ani że jest za stary, ani że ta kobieta go wykorzystuje. Wmówił sobie, że ją kocha.

W Kimmerston, w sali operacyjnej, panowała niezwykła cisza. Napięta, pełna oczekiwania. Każdy telefon albo nagle podniesiony głos szarpał nerwy. Właśnie usadowiła się w swoim gabinecie, kiedy zadzwonił telefon. To nie było połączenie wewnętrzne. Przyszło na jej bezpośredni numer. Podała nazwisko, nastąpiła przerwa. W tle dźwięki odbijające się echem w zamkniętej przestrzeni, metalowa brama, zatraskiwana i zamykana, hałaśliwe męskie głosy. Potem inny, cichszy głos.

– Tu David Sharp. – Davy Sharp z więzienia Acklington. To chyba czas na herbatę. Wyobraziła go sobie w korytarzu. Musiał stać w kolejce, żeby dostać się do telefonu, a teraz za nim czeka rząd mężczyzn. Wszyscy słuchają.

– Tak, Davy? – Trzymać się na luzie. – W czym mogę ci pomóc? – spytała też cicho, żeby tylko on ją słyszał.

– Bardziej niż przeciwnie – zakpił. – To raczej ja mogę ci w czymś pomóc.

– O co chodzi, Davy?

– Nie przez telefon. Musisz przyjść z wizytą. Ale to może być w ogóle nic.

– A co, skończyły ci się fajki, Davy? – Przecież nie rzuci śledztwa i nie pogna do Acklington tylko dlatego, że facet chce papierosa. Nie, jeśli nie będzie informacji o Laurze. – Dzisiaj nie dam rady. Mogę przysłać kogoś innego?

– Nie – odparł spokojnym głosem. – Ty albo nikt.

Przez chwilę panowała cisza. Vera pomyślała, że coś

przerwało połączenie, kiedy znów się odezwał.

– To skomplikowane. Trochę dziwne. Nie rozumiem tego. Ale nie ma pośpiechu. Może być jutro.

– Davy, zaginęła dziewczyna. Teraz potrzebuję wszystkiego, co masz. – Ale tym razem telefon ogłuchł, nie była pewna, czy usłyszała, co mu powiedziała. Odłożyła słuchawkę zła na siebie. Powinna inaczej to rozegrać.

Kusiło ją, żeby tam pojechać. Przynajmniej to będzie jakieś działanie, jazda do Acklington, pogawędka z funkcjonariuszem służby więziennej przy bramie. Ucieczka od czekania. Ale Sharp nie ponaglał. Nijak nie mogłaby tego usprawiedliwić.

Zbiór opowiadań Parra na biurku znów przyciągnął jej wzrok. Rozproszyły ją myśli o autorze. Nagle wyobraziła go sobie, jak siedzi z grupą w ogrodzie Fox Mill, w noc, tuż po tym, jak znaleźli zwłoki Lily. Czterech mężczyzn i jedna kobieta w świetle świec. Wydało się jej teraz, że ci faceci trochę podkochiwali się w Felicity Calvert. To nie zamięłowanie do ptaków trzyma ich razem. To kobieta. Idealna gospodyni domowa w tych kwiecistych sukienkach i jej doskonale wypieki. Ci wszyscy mężczyźni są samotni, bałaganiarscy, przygnębieni. Tak jak ja, stwierdziła w duchu. Tak jak ja. Potem wróciła do opowiadania, które czytała, kiedy zadzwoniła Julie, do uwiedzenia młodej osoby w środku lata, do czułego opisu uprowadzenia.

Vera otworzyła drzwi i wrzasnęła na Ashwortha. Przyszedł natychmiast, ludzie w sali podnieśli wzrok. Zrozumiała, co myślą, że nastąpił przełom w sprawie. Natrafiono na zwłoki. Mogliby nawet przyjąć to z ulgą, napięcie skończyłoby się, gdyby znaleziono martwą dziewczynę. Wtedy wiedzieliby przynajmniej, nad czym pracują.

– Nie ma informacji – zwróciła się do całej sali. – Jak tylko będą, powiem wam.

Ashworth zamknął drzwi i oparł się o nie. Pomyślała, że wygląda na zmęczonego, potem przypomniała sobie jego żonę, dziecko miało się urodzić na dniach. Nieprzyjemne są te ostatnie tygodnie ciąży. Szczególnie przy takiej pogodzie. Słyszała o tym.

Pewnie żadne z nich nie sypia za długo.

– Przeczytaj to. – Skinieniem głowy pokazała tomik na stole.
– To opowiadania Parra. Niezupełnie chodzi o porwanie dziewczyny, ale o coś podobnego.

Joe poparzył na nią, jakby zupełnie zwariowała, ale wziął książkę.

– Zaczęłam poprzedniego wieczoru – ciągnęła Vera. – Teraz to nie chce mi wyjść z głowy.

Joe podniósł wzrok znad kartek.

– Myślisz, że to jakaś fantazja. Parr o tym napisał, a teraz to odgrywa.

– Głupie, co? Nie zwracaj na to uwagi. – Sama nie wierzyła w taki scenariusz. To zbyt teatralne, żeby było prawdziwe.

– Nie ma dowodów, że w ogóle spotkał Armstrongów – powiedział powoli Joe. – Na pewno nie ma motywu.

– Mówiłam ci, to durny pomysł.

– Totalne dziwactwo – stwierdził, nie odrywając wzroku od tekstu. – Ale faktycznie bliskie porwania i zabójstw. Może nie we wszystkich szczegółach, jednak... – przerwał na chwilę – ...ta atmosfera. Jak to się kończy?

Cieszyła się, że bierze ją na serio. Zapomniała o swojej wcześniejszej irytacji, że Joe nie potrafi skupić się na sprawie. Teraz wszystko by mu wybaczyła.

– Nie doczytałam. Nie wiem. Jestem za bardzo zajęta, żeby tu siedzieć i czytać.

Znów zerknął na treść.

– Co chcesz zrobić?

– Dowiedzieć się, gdzie są – odparła Vera. – Ludzie, którzy znaleźli ciało Lily. Co robią dzisiaj?

– Felicity Calvert jest w domu. Poszedłem zajrzeć do domku. Na wszelki wypadek gdyby przetrzymywano tam dziewczynę. Rano Felicity pojechała do Morpeth. Na zakupy, tylko że nic nie kupiła. I nikt jej nie widział. Jedyne dowód, że tam była, to bilet parkingowy ze śródmieścia. Zadzwoń do Calverta, na uniwersytet. Kręcił się tam gdzieś. Przynajmniej jego sekretarka

powiedziała, że podpisał się rano, a potem wyszedł na jakąś konferencję, która miała potrwać prawie cały dzień. Obiecała, że go poszuka i poprosi, żeby do mnie oddzwonił, ale jeszcze się nie odezwał. Clive Stringer był w pracy. Wpadłem do muzeum.

– Nadal tam jest?

– Chyba tak. Rozmawiałem z nim niedawno. Gary Wright siedzi w North Shields. Nie pracuje dzisiaj. Wcześniej kontaktował się z nim któryś z miejscowych policjantów.

– Zaglądali do niego?

– Nie wiem. Nie pytałem.

– Chcę sprawdzić mieszkanie Wrighta – oznajmiła Vera. Wiedziała, że to pewnie strata czasu, ale za bardzo ją nosiło, żeby czekać w gabinecie, aż zadzwoni telefon. Wyobraziła sobie Laure Armstrong zamkniętą w pokoju, w którym siedziała, gawędziła z Wrightem, popijała piwo. Nawet gdyby dziewczyna wyszła na balkon i zaczęła krzyczeć, czy ktoś by usłyszał? – A Parr? Gdzie on się podziewa?

– Nikt nie wie. Wziął wolne na jeden dzień. Załatwił to wczoraj. Nie ma go w domu, w Morpeth.

– Trzeba znaleźć faceta.

Ashworth skinął głową.

– Słuchaj, chcesz, żebym dokończył książkę? I tak wolę dziś być blisko domu. Sarah miała w nocy skurcze. Może zacząć rodzić.

Więc to tak, pomyślała. W ogóle jej nie popierał, tylko szukał wymówki, żeby zostać w komisariacie. Już chciała rzucić sarkastyczną uwagę, ale doszła do wniosku, że nie warto. Biurowa polityka nie ma szczególnego związku z zaginięciem Laury.

– Dobra, zostań tutaj. Zadzwoni, jak skończysz czytać. Albo wcześniej, jak coś ci wpadnie do głowy. – Wzięła torebkę i wyszła z gabinetu. Joego już pochłonęła lektura.

Na parkingu Vera uświadomiła sobie, że nie zajrzała do raportu koronera o śmierci Claire Parr. Wróciła, zignorowała Ashwortha, który rozsiadł się w jej fotelu, i zaczęła przekopywać stertę papierów, aż znalazła to, czego szukała.

– O Chryste – jęknęła. – Żona Parra. Naprawdę podcięła

sobie żyły. Ale leżała w wannie. Parr ją znalazł.

Gary Wright otworzył drzwi z kanapką w dłoni. Vera zdała sobie sprawę, że powinna być głodna. Ale nie była. Myśl o jedzeniu sprawiała, że robiło jej się niedobrze.

– O co chodzi? – Odsunął się, żeby ją wpuścić. – Dziś rano pojawił się jeden z pani ludzi, ale nie chciał powiedzieć, w czym rzecz.

Leciał jakiś utwór. Vera niezbyt przepadała za muzyką. Czasem zdarzała się piosenka, która utkwiała jej w głowie, nastrojała ją sentymentalnie. Zazwyczaj melodia zasłyszana w dzieciństwie. Ogólnie uważała, że to rozprasza uwagę.

– Mógłby pan to wyłączyć?

Przekreślił gałkę i muzyka ucichła. Oboje nadal stali.

– Kawy? – zapytał. Przypomniawszy sobie jej ostatnią wizytę i dodał: – Piwa?

– Więc nie miał pan wiadomości od Julie?

– Dzisiaj nie – przerwał. – Była tutaj ubiegłej nocy.

– Tak, mówiła. – Vera usiadła. – Nie słyszał pan o jej córce?

– O Laurze? Co się stało?

– Zna ją pan?

Właśnie wziął ostatni kęs kanapki, więc musiała czekać, aż przeżuje, zanim odpowiedział.

– Raz ją spotkałem, kiedy poszedłem do domu w Seaton.

– Co pan o niej sądzi?

– Nic. Nie wiem. Zamieniliśmy zaledwie kilka słów.

– Interesująca dziewczyna, z wyglądu. – Skinęła głową w stronę zdjęcia Emily. – A pan lubi takie chude.

– Na litość boską! Ona ma czternaście lat! – Ale mimo tego wybuchu Verze wydawało się, że usłyszała coś pod słowami. Poczucie winy? Dziewczyna jakoś zaszła mu za skórę. – Współczułem jej. Być w domu, kiedy duszą brata. Kiedyś powiedziałem Clive’owi...

Vera mu przerwała.

- Zaginęła. Pozwoli pan, że szybko się rozejrzę.
- Co miałyby tutaj robić? Nie wie, gdzie mieszkam.
- Tylko zaspokoję swoją zachciankę, dobrze, kotku?

Wstała, choć wiedziała, że nie znajdzie dziewczyny. Gdyby to Gary porwał Laure, przecież nie sprowadziłby jej do swojego mieszkania, i rzeczywiście mogła nie wiedzieć, gdzie on mieszka.

Ale teraz Vera była tutaj i musiała zrobić swoje. Otworzyła drzwi do sypialni. Łóżko zasłane, pokój sprzątnięty.

– O której zaginęła? – zapytał.

– Około ósmej trzydzieści. Nie dotarła do szkolnego autobusu.

– Byłem tutaj z Julie.

– Podobno odsypiała skutki wypicia całych kubłów wina. Pan ją częstował. – Gwałtownie otworzyła drzwi do łazienki. Na parapecie stał rząd żeli pod prysznic i płynów po goleniu. Więcej pachnideł niż kiedykolwiek sama miała. Ani śladu Laury.

– Miała ochotę się skuć. Nie mógłbym jej powstrzymać, nawet gdyby mi na tym zależało. Zresztą dlaczego miałbym to robić? Chciała chociaż w jeden wieczór przestać myśleć o Luke’u.

Vera zajrzała do kuchni i szarpnęła szklane drzwi na balkon. Nic.

– Wiem, kotku. Nie obwiniam pana. – Stanęła zupełnie nieruchomo pośrodku pokoju. – Może pan sobie wyobrazić, w jakim stanie ona jest teraz. Na pewno nie ma pan mi nic do powiedzenia? O Luke’u albo Lily Marsh? O czymkolwiek? Słyszał pan coś od Clive’a, Petera, Samuela?

Wahał się zaledwie chwilę. Czy kusilo go, żeby opowiedzieć o romansie Calverta z Lily? Wiedział o tym? Ale w końcu przeważała męska solidarność. Pokręcił głową.

– Przykro mi, pani inspektor. To wszystko to straszny zbieg okoliczności. W ogóle nie mogę pani pomóc.

Po tych słowach straciła do niego cierpliwość i wyszła. Ledwie dotarła do schodów, kiedy znowu usłyszała muzykę.

W samochodzie wystukała na komórce numer swojego biura, musiała dać sobie czas, żeby przemyśleć sprawę. Joe Ashworth

odebrał natychmiast.

– Telefon inspektor Stanhope.

– No i?

– Żadnych informacji o dziewczynie. Zadzwońbym.

– A opowiadanie?

– Jestem dopiero w połowie. Chciałem zacząć od początku.

Fascynujące, prawda? Te podobieństwa.

– Myślałam, że zwariuję – powiedziała. – Obsesja tak się może skończyć. Sprawdzę, czy uda mi się namierzyć Parra. – Rozłączyła się, zanim zdążył odpowiedzieć. Rzuciła telefon na fotel pasażera. Nie zaopatrzyła się w zestaw głośnomówiący.

Był wczesny wieczór, kiedy dotarła do Morpeth. Na cichej uliczce, gdzie mieszkał Samuel Parr, jego sąsiadka, kobieta w średnim wieku, ścinała uschnięte główki róż, dzieci chlapały się w brodziku, chichotały i krzyczały radośnie. Kobieta próbowała nie gapić się, kiedy Vera wysiadła z samochodu i zapukała do drzwi. Pewnie nie chciała wyjść na wścibską babę. Vera przypuszczała, że zastanie Samuela Parra w domu. To czas kolacji, pierwszego kieliszka wina. Ale nikt nie odpowiedział.

Podeszła do murku oddzielającego domy. Kobieta wyglądała tak, jakby chciała uciec do środka.

– Nie wie pani, gdzie może być pan Parr?

– Przykro mi, nie mam pojęcia – Zacisnęła wargi, jakby żałowała wysiłku poświęconego na sformowanie słów.

– Spokojnie, kotku, niczego nie sprzedaję. – Vera błysnęła legitymacją policyjną, uśmiechnęła się smutno. – Muszę znaleźć pana Parra. To pilne.

Sąsiadka rozejrzała się po ulicy.

– Niech pani lepiej wejdzie.

Siedziały, patrząc na nieskazitelny ogródek z tyłu domu. Z dala od ludzkich oczu kobieta się odprężyła.

– Przepraszam, naprawdę nie wiem, jak pomóc. Mieszkamy obok siebie od dawna, ale nigdy się nie zaprzyjaźniliśmy.

– Znała pani żonę pana Parra?

– Claire, tak. To straszne. Zawsze wydawała się szczęśliwa.

Może była trochę pobudliwa. Wszyscy przeżyliśmy szok, kiedy to się stało.

– I nikt nikogo nie obwiniał o jej śmierć?

– Och, Samuel się załamał. Na pewno obwiniał sam siebie.

– Dlaczego?

– Hm, to naturalna reakcja w takich okolicznościach, prawda? Poczucie winy.

– Nie sądzi pani, że sprowokował samobójstwo? Że na przykład miał romans?

– Oczywiście że nie. – Kobieta zrobiła przerażoną minę. – Samuel jest bibliotekarzem. – Jakby wykonywanie jakiegoś zawodu wykluczało taką możliwość. Siedziały przez chwilę w milczeniu, potem sąsiadka zapytała: – Po co te wszystkie pytania?

– Pracuję nad inną sprawą – wyjaśniła Vera. – Pan Parr był świadkiem. Samobójstwo jego żony prawdopodobnie nie ma tutaj znaczenia. Trochę boję się o jego bezpieczeństwo.

– Ojej, zaraz! To rocznica śmierci Claire! Mój mąż wspominał o tym, kiedy zobaczył datę w „The Telegraph” – zamilkła. – Chyba nie sądzi pani, że Samuel zrobił coś głupiego? Że nie może dać sobie rady bez niej?

– Nie, nic z tych rzeczy – uspokoiła ją Vera. – Ale jak pani zobaczy, że wrócił, niech go pani poprosi, żeby do nas zadzwonił.

W samochodzie Vera zdała sobie sprawę, że zostawiła na siedzeniu telefon, kiedy poszła porozmawiać z tą kobietą. Były dwa nieodebrane połączenia, oba od Joego Ashwortha. Zadzwoniła do niego.

– Skończyłem opowiadanie – oznajmił.

– I?

– Dobrze by było, gdybyś przyjechała.

Kiedy wróciła do biura, zobaczyła, że Joe jest podekscytowany jak nigdy.

– Przeczytaj kilka ostatnich stron. – Odsunął się od biurka, żeby mogła usiąść, ale został w gabinecie.

Vera wróciła do opowiadania. Opis ogrodu, w którym trzymano porwaną osobę. Zapuszczony eden, z soczystymi liśćmi, wielkimi kwiatami i przejrzalymi owocami. Verę to irytowało i przytłaczało, tęskniła za fragmentem osadzonym wśród wzgórz, gdzieś pod bezkresnym niebem, przy lekkim wietrzyku. Zresztą od początku śledztwa czuła się przytłoczona. Kiedy wątek się zakończył, zdenerwowała się jeszcze bardziej. Powiedziała sobie: to tylko literatura. Żałowała, że nie może rzucić tej książki i wrócić do rzeczywistości testów anatomopatologicznych i dedukcji. Ale Joe patrzył, musiała czytać dalej. Oczywiście doszło do nieuniknionego. Ofiara została uduszona. Parr opisał zabójstwo, jakby to był uścisk, gest czułości. Morderca nadal był anonimowy, wszelkie związki z ofiarą pozostały niezbadane. W ostatnim akapicie ciało umieszczono w sadzawce otoczonej liliami wodnymi.

– No? – zapytał Ashworth. – Jak myślisz? To musiał być Parr.

Vera nie odpowiedziała.

– Wiem, gdzie toczy się akcja opowiadania – powiedziała. – Znam to miejsce.

Ojciec Vera należał do komitetu, który założył obserwatorium Deepden. Nie wiedziała, kto okazał się na tyle głupi, żeby go tam wciągnąć. Jego krótki flirt z głównym nurtem ptasiarstwa nie potrwał długo. Hector był zbyt wielkim samotnikiem, żeby ułożyć sobie stosunki z pozostałymi członkami komitetu, i nie miał tyle cierpliwości, żeby przez dłuższy czas zbierać fundusze, a potem budować obserwatorium. Ponadto ekscytowała go nielegalna działalność związana z jego pasją – nocne wyprawy na wzgórza po

jaja ptaków drapieżnych, taksydermia wykonywana na kuchennym stole. Tak naprawdę nie interesowały go spokojne studia naukowe nad migracjami ptaków. Mniej więcej po pół roku wysłał zgryźliwy i obelżywy list z rezygnacją.

Zaproszono go jednak na przyjęcie, żeby uczcić dziesiątą rocznicę otwarcia obserwatorium. Vera myślała, że zaproszenie wysłano prawdopodobnie przez pomyłkę. Był na liście, a nikt nie sprawdził nazwisk. Ludzie z komitetu z pewnością nie chcieliby, żeby się znalazł na uroczystości. Do tego czasu wszyscy z ptasiarskiego kręgu Northumberland wiedzieli już o jego nielegalnych poczynaniach. Nie oskarżono go, ale od lat krążyły plotki o jego kolekcji jaj. Po pijanemu chełpił się nią to tu, to tam. Najlepszy amatorski zbiór jaj ptaków drapieżnych w kraju, mawiał. A może nawet na całym świecie.

Hector oczywiście piał z zachwytu, że dostał zaproszenie, i upierał się, żeby pójść na przyjęcie. Wiedziała, że lepiej mu tego nie odradzać. Zawsze był upartym starym draniem i uwielbiał się narzucać. W tym okresie swojego życia mocno pił i Vera poszła z nim w charakterze opiekuna, żeby powstrzymać go od robienia scen, a po imprezie przywieźć do domu. Była ta sama pora roku co teraz, kolejny suchy, bezwietrzny wieczór w połowie lata. Prawdopodobnie bawili tam też ludzie zamieszani w ostatnie zabójstwa – Peter Calvert i Samuel Parr. Z całą pewnością zapamiętała paru chłopaków, którzy spędzili noc w kuchni, pochłaniając bułki z kielbasą i piwo z puszek. Nie potrafiła opisać ich szczegółowo, ale to mogli być Gary Wright i Clive Stringer.

W pamięci pozostał jej jednak obraz miejsca. Zarośnięty ogród, wszystko bujne i zielone, oaza wśród spieczonych płaskich pól. Zorganizowano zwiedzanie domku obserwatorium, objazd sieci na ptaki i obchód terenu. Później stała nad stawem, uważnie przyglądała się Hectorowi, gotowa go zwinąć, gdyby zaczął obrażać ludzi. Ale tamtego wieczoru był w dobrej formie. Może trochę za głośny, ale dobronuduszy, zabawny. Wraz z upływem czasu mogła się odprężyć. Stwierdziła, że nawet podoba się jej to przyjęcie.

Nie powiedziała o tym wszystkim Ashworthowi.

– Oczywiście nie mam zupełnej pewności, ale sądzę, że to Deepden. Niedaleko latarni morskiej, gdzie znaleziono dziewczynę, kawałeczek od drogi do Seaton, gdzie mieszkają Armstrongowie.

– Więc na co czekamy? A jeśli Parr przetrzymuje tam dziewczynę, będziemy potrzebowali wsparcia, prawda? Mam się tym zająć? – Już zapomniał, że niepokoi się o żonę. Nie chciał, żeby minęła go chwała aresztowania.

– Na razie spokojnie. Po cichutku. Bo jak tylko się zorientuje, że po niego idziemy, zabije ją. Co ma do stracenia? – Ale dla niej to była raczej kwestia dumy niż troska o bezpieczeństwo dziewczyny. Duma, jej wielka wada. Vera nie chciała robić cyrku, gdyby okazało się, że źle rozumowali. Nie chciała zamknąć Samuela Parra. Myślała o kimś zupełnie innym. A Laura może nie żyć. Już wyobrażała sobie te plotki, gdyby sfuszerowała na oczach innych. „Szefowa wzięła pomysł z książki. Porozmawiajcie z nią o bajkach. Tym razem naprawdę skopała sprawę”. Trudno byłoby jej wtedy się tłumaczyć, że to wymysł Ashwortha. Teoria Joego nie przekonywała jej na tyle, żeby odwołać ludzi ze stanowisk, które zespół wytypował na początku: Seaton Pond, Tyne przy North Shields, Fox Mill. Tamte miejsca pozostaną pod obserwacją. – Tylko ty i ja sprawdzimy teren, gdzie jest mała szansa znaleźć dziewczynę – powiedziała. Domyślała się, że Ashworth wierzy, że Laura jest w Deepden, dał się uwieść opowiadaniu, tym kwiatom, wodzie. Wzięła wielkoskalową mapę Brytyjskiego Urzędu Kartograficznego i rozłożyła ją na biurku. – Tu musimy zaparkować. – Dźgnęła palcem w papier. – Jeśli on tam jest, nie powinniśmy podjeżdżać blisko domu, żeby nie usłyszał silnika.

Zanim wyszli z komisariatu, wpadła do sali operacyjnej. Przysiadła na brzegu biurka Charliego i wydała ludziom instrukcje.

– Wtedy podniesiecie tyłki. Przyda wam się trochę świeżego powietrza, a tam jest coś, co macie dla mnie sprawdzić.

Kiedy jechali w stronę Deepden, próbowała odświeżyć sobie

w głowie plan tego miejsca. Domek stał z boku drogi, za nim był sad. Zarośnięty ogród i staw znajdowały się między domkiem a płaskimi polami rozciągającymi się do wybrzeża.

Wolała, żeby nikt nie wiedział, gdzie są, ale Ashworth koniecznie chciał mieć włączony telefon, aż dotrą do obserwatorium.

– To na wypadek gdyby dzwoniła Sarah.

Vera miała ochotę na niego wrzasnąć. „I co zrobisz, jak twoja żona zacznie rodzić? Porzucisz mnie tutaj na łasce losu i odjedziesz, żeby się zabawiać w szczęśliwą rodzinę? A może zostaniesz ze mną do samego końca i pozwolisz, żeby żona urodziła bez ciebie u boku?” Nie była całkiem pewna, co by odpowiedział. Możliwe, że ta sama myśl jemu też przyszła do głowy, bo wyczuła, że się spał. Siedział obok niej, czytał mapę w świetle małej latarki, nerwowo jeździł palcem po oznaczeniu drogi.

– Nikt nie wmeldował się dziś wieczorem do obserwatorium – oznajmił. – Sprawdziłem u sekretarki.

Już jej to mówił. Nie dawał sobie rady z milczeniem. Zachowywał się zupełnie jak nie on. Zazwyczaj był spokojny. Może powinna go zostawić w komisariacie, żeby mógł co dziesięć minut kontaktować się z żoną. Ale Vera zwykła zabierać go ze sobą, kiedy działo się coś ważnego. Cieszyła się, że nie jest sama. Odchrząknął.

– Najwyraźniej w ubiegłym tygodniu panował tu spory ruch. Pojawiły się jakieś rzadkie okazy ptaków. Ale o tej porze roku ludzie przyjeżdżają tylko na weekend.

Zatrzymała się na poboczu, przekręciła kluczyk w stacyjce. W ciszy słyszeli tylko tykanie chłodzącego się silnika. Terenu nie oświetlały żadne latarnie. W gęstniejącym mroku nie było widać kolorów ani szczegółów, ale dostrzegła kształt żywopłotu niedaleko nich.

– Pójdę ścieżką – powiedziała. – Zobaczę, czy w domku pali się światło, czy stoi tam samochód.

Ashworth nie odpowiedział.

Kiedy wysiadła, upał sprawił, że pomyślała o Hiszpanii. Powinny być cykady, zapach rozmarynu. Idąc, trzymała się blisko

żywoplotu, na wypadek gdyby usłyszała auto skręcające z głównej drogi. Znowu przypomniała sobie ojca. Zabierał ją na te swoje wyprawy, dopóki nie dorosła na tyle, żeby zaprotestować. Chowała się w rowach, za krzakami i kamiennymi murkami układanymi bez zaprawy, sprawdzała dla niego, czy nie zbliża się policja albo ktoś z Królewskiego Towarzystwa Ochrony Ptaków. Nienawidziła każdej chwili. Panikowała. Bała się, że ją aresztują, zamkną, źle zrozumieją. Co zrobi, jeśli rzeczywiście ktoś się pojawi? Ale to było też ekscytujące. Może dlatego zostałam policjantką, pomyślała. Już w dzieciństwie uzależniłam się od adrenaliny.

Wzrok zaczął się jej przyzwyczajając do ciemności. Zauważyła furtkę z pięciu prętów, zanim do niej podeszła. Za furtką ogród obserwatorium, a w głębi matowy czarny kształt domku. Żadnego samochodu. Przynajmniej na ścieżce. Możliwe, że zaparkował na podjeździe i zasłaniają go drzewa i krzaki jeżyn. Stąd go nie dojrzy. Szła dalej ścieżką, z nadzieją że lepszy widok będzie miała od frontu domku, tam gdzie są okna. Czy zaryzykowałby i włączył światła? Czy w ogóle tam jest?

Z początku niczego nie zobaczyła, potem zamigotało światelko. Pocierana zapalka albo latarka, włączona i wyłączona. Rozbłysk tak krótki, że może go sobie wyobraziła. Gdyby należała do tych obdarzonych bujną wyobraźnią. W końcu może Joe miał rację. Może Parr siedzi tutaj. Już widziała, jak młody sierżant triumfuje, gdy mu powie, że ktoś kręci się w środku. Pozwoliła sobie trochę pomarzyć. Jest w kuchni Julie, obejmuje ramieniem Laurę. „Przyprowadziłam ci córkę, kotku”. Chociaż nie miała żadnego dowodu na to, że Laura wciąż żyje, tak bardzo pragnęła tej chwili, że aż bolało.

Odwróciła się, poszła z powrotem do samochodu, wsiadła. Kiedy zamknęła drzwi, zadzwonił telefon Ashwortha; tak ją zaskoczył, że serce omal nie wyskoczyło jej z piersi.

Nacisnął guzik po pierwszym dzwonku.

– Słucham. – Nawet jego szept wydawał się głośny po ciszy, która panowała na zewnątrz.

Potem Vera zobaczyła, że Joe się odpręży. Domyśliła się, że

dzwoni jego żona. Pewnie nadal tkwi w domu nad kakao. Nie będzie jeszcze musiał pędem wracać, żeby być przy porodzie.

– To Charlie – powiedział. – Chce z tobą mówić.

Wzięła komórkę od Joego.

– No, Charlie? Co masz dla mnie?

– Znalazłem Parra.

– Gdzie?

– W pierwszym z miejsc, które zasugerowałam. Na cmentarzu. Przy grobie żony. Dzisiaj mija dwadzieścia lat od jej śmierci. Kiedy tam dotarłem, siedział na trawie. Wyglądało, jakby płakał.

– Porównałeś jego opony ze śladami na drodze w Seaton?

– Mhm, nie są podobne. On jeździ nowym samochodem. Billy Wainwright powiedział, że opona, która zostawiła odcisk, była prawie łyśa. Poza tym on jest w takim stanie, że raczej nie dałby rady porwać dziewczyny. Chyba tkwi na cmentarzu od rana. Udawał, że wszystko w porządku, ale myślę, że po odnalezieniu Lily Marsh przy latarni morskiej bolesne wspomnienia wróciły. Zapytałem go o Laurę Armstrong, czy nie wie, co się z nią stało, ale on nie miał pojęcia, o co mi chodzi. Ciągle mówił tylko o tym, jak bardzo zawiódł swoją żonę. Zabrałem go do domu. Zanim od niego wyszedłem, rozejrzałem się szybko. Ani śladu dziewczyny.

– Dzięki, Charlie. – Oddała telefon Joemu. – Namierzili Samuela Parra. Nie ma nic wspólnego z porwaniem Laury.

– Więc to tak. Możemy wracać do Kimmerston. – Nie wiedziała, czy jest zadowolony dlatego, że jego teoria się nie sprawdziła, czy dlatego, że może wrócić do żony.

– Ktoś jest w domku. Widziałam światło.

– Na pewno?

– Na sto procent. Nie miewam wizji.

– Może jakiś ptasiarz. Członkowie mają klucze. Powinni mówić sekretarce, ale nie zawsze tak robią.

Zobaczyła, że Joe ukradkiem zerka na zegarek. Udawała, że nie widzi, zamknęła oczy, żeby się skupić.

– No to chodźmy tam. Sprawdzimy, co się dzieje.

Puściła to mimo uszu. Trzeba sprawę przemyśleć. To ważne. Może opowiadanie Samuela Parra o uprowadzeniu nie ma tu znaczenia. Dziwny przypadek. Tak bardzo chciała znaleźć Laurę Armstrong, że dała się zwieść, ponieść entuzjazmowi Joego. Ale szczegóły były takie podobne, takie spójne. Pomyślała o okładce antologii, skłębionych zieleniach i błękitach, rysunku stylizowanym na fale. Tytuł biały, ostro kontrastujący z tłem. Nazwisko autora na dole. Wypożyczyła książkę w twardej okładce z biblioteki. Setki ludzi miało do niej dostęp.

Kiedy otworzyła oczy, wiedziała, co się stało. Przez cały czas miała rację. Nie było to dla niej niespodzianką. Zazwyczaj miała rację.

Ulżyło jej, kiedy okazało się, że drzwi nie są zamknięte. Ashworth nie powtórzył pytania, ale nie była pewna, czy uwierzył jej, gdy powiedziała o świetle. Nic nie mówił, kiedy ostrożnie unieśli i popchnęli furtkę z pięciu prętów. W domku było ciemno. Przeszli po trawie, żeby uniknąć odgłosu stóp na zwirowanym podjeździe. Trawa wchodziła jej w sandały, długa, chłodna, lekko wilgotna. Potem pokazał się cienki księżyc i sama zaczęła podważać swój osąd. Może zobaczyła jakieś odbicie. Tak bardzo jej zależało, żeby znaleźć tutaj Laureę. Zajrzała przez okno, ale niczego nie zdołała dostrzec.

Ale dlaczego domek stoi otwarty, skoro miał być pusty? Delikatnie dotknęła drzwi, uchyliły się troszeczkę. Nasłuchiwała. Joe Ashworth szedł na tył domku. Nic nie mąciło ciszy, nawet jego kroki. Wyciągnęła ramię i przejechała palcami po ścianie wewnątrz, szukając włącznika światła. Tapeta na drewnie, potem gładki plastik wokół włącznika. Znów wysiliła się, żeby przypomnieć sobie rozkład wnętrza. Na pewno nie było korytarza. To salon. Za nim kuchnia, a z prawej dwoje drzwi prowadzących do sypialni. Dała Ashworthowi jeszcze parę minut, żeby zajął stanowisko. Włączyła światło, mocno pchnęła drzwi, otwierając je szeroko.

Światło pochodziło ze słabej energooszczędnej żarówki, zwisającej ze środka sufitu, ale na chwilę ją oślepiło.

– Policja. Nie ruszać się! – krzyżąc, zamrugła. Usłyszała gdzieś hałas, skrzypnięcie drzwi.

W pokoju pusto. Wyglądał prawie tak samo, jak go zapamiętała. Stół pod oknem. Kiedyś pewnie solidny mebel, ale teraz obdrapany, pokryty kółkami po kubkach kawy i szklankach piwa. Dwa proste krzesła wsunięte pod stół. Zapadnięta kanapa i dwa leżaki naprzeciwko wyczyszczonego rusztu. Na ścianach zdjęcia ptaków, trochę obrazów i rysunków, w większości koszmarnej. Parę półek z książkami o historii naturalnej,

mapami i przewodnikami. W kilka sekund pojawił się Ashworth. Ten hałas, który słyszała, to on, wchodził do kuchni.

Bez słowa szeroko otworzył drzwi do sypialni. W obu panował zaskakujący porządek. W każdej trzy prycze, a na nich szare koce złożone w kostkę. Ulotny zapach pleśni i skarpetek.

Odwróciła się, żeby pójść za Ashworthem, który wrócił do kuchni. Czas przyznać, że nie miało się racji. Powiedzieć, żeby nie obiecywał, że nie piśnie ani słowa, że spartolili, i puścić go do domu, do jego grubej żony.

– Dopiero co ktoś tu był – powiedział. – Czajnik nadal jest gorący. Światło, które widziałaś... ktoś mógł zapalać gaz.

Więc nadal jest szansa, że znajdą Laureę, zanim porywacz ją zabije. Chciała ucałować Joego.

Ashworth chyba nie zdawał sobie sprawy, jaki skutek odniosły jego słowa.

– Nie mógł odjechać. Minąłby nas po drodze. Ale na podjeździe nie ma samochodu. Musiał zaparkować gdzieś dalej na ścieżce.

– Teraz wie, że tu jesteśmy – mruknęła Vera. – Zapaliłam światło i to nie najmądrzejsza decyzja w mojej karierze. Widać je na kilometr. – Wybiegła z domku do ogrodu, potknęła się na ostatnim stopniu przed wejściem. Jeziorko znajdowało się przed nią. Na wodzie prawie nie było rozbłysków, tylko maleńkie srebrne plamki wzdłuż brzegu. Pośrodku matowy czarny kształt. Vera uświadomiła sobie, że w duchu modli się do Boga, w którego nigdy nie wierzyła. „Proszę, żeby to nie była ona. Nie ta dziewczyna. Nie Laura”. Słyszała Ashwortha tuż za sobą, odgłos oddechu, szelest dżinsu podczas marszu. Mam nadzieję, że ty też się modlisz, pomyślała. Jesteś wierzący. Może ciebie Pan wysłucha.

Kucnęła przy wodzie. Zaczęła już rozróżniać ciało młodej kobiety z rozłożonymi na boki ramionami, kiedy Ashworth włączył latarkę. Wąski promień omiótł powierzchnię, obraz się zmienił. Zobaczyła płaskie, woskowe liście, kłęby splątanych roślin zasysające światło, ale nic podobnego do człowieka. Nic martwego.

Głęboko zaczerpnęła tchu. Poczuła, że kręci jej się w głowie.

Dziewczynę mógł już zabić, ale jej nie upozował. Jeszcze nie. Nie wykorzystał swojej ofiary do osiągnięcia efektu, nie zamienił w dzieło sztuki, które nie miało nic wspólnego z prawdziwą Laurą. Przynajmniej to zostanie oszczędzone Julie.

Vera wyprostowała się, próbowała zachować jasność myśli, przypomnieć sobie szczegóły przyjęcia w Deepden. Wtedy, ponieważ postanowiła krótko trzymać Hectora, była zupełnie trzeźwa. Wspomnienia powinny być wyraźne. Odbyła się wycieczka z przewodnikiem: spacer po ogrodzie, promienie słońca spływały skośnie między drzewami; krótka wizyta w domku, który świeżo pomalowano na tę okazję, pokaz obrączkowania.

Pokaz obrączkowania. Zgromadzili się w półkolu tuż przy wejściu, a w środku wysoki mężczyzna w niebieskim fartuchu wyciągnął w ich stronę ptaka, żeby dobrze widzieli. Trznadel, luźno trzymany, główka między wskazującym a środkowym palcem. Widzieli, jak mężczyzna go waży. Wsunął łąpek ptaka w plastikowy stożek przymocowany do wagi sprężynowej. Zmierzył skrzydła metalową linijką. Wolną ręką zdjął szczypcę z półki i srebrne kółeczko z wieszaka na ścianie. Dopasował obrączkę, potem delikatnie ją zacisnął na nóżce. Stał w drzwiach, ptak siedział mu na dłoni, potem odleciał.

To nie były drzwi domku. Na pewno. Wykopała z pamięci ten obraz. Cienkie drewniane drzwi zamknięte na kłódkę, którą obrączkarz otworzył, kiedy znów poszedł łapać ptaki. Drzwi do chatki wielkości dużego szalasu, drzwi z poplamionych drewnianych paneli. Dach z blachy falistej. A wokół gęstwina jeżyn i szakłaków, tak że chatki nie widziało się z ogrodu i z domku. Byli zaskoczeni, kiedy przewodnik poprowadził ich tam ścieżką wyciętą w poszyciu. Krzaki usunięto sprzed progu i właśnie tam czekali na rozpoczęcie widowiska.

Teraz próbowała odnaleźć kierunek. Stała obok Hectora, kiedy obrączkarz odczytniał swój rytuał. Czowała, że ojciec robi się niespokojny, nie potrafił tak długo wytrzymać, nie będąc w centrum uwagi. Pomyślała, że się stamtąd wyniesie, ostentacyjnie

pokaże, że to go nudzi. Ulotniłby się bez trudu. Chatka stała przy obrzeżu rezerwatu, na granicy pastwiska rozciągającego się do morza.

Vera ruszyła skrajem trawnika, szukała luki w chaszczach. Miała wrażenie, że księżyc pojaśniał, a może to jej wzrok przyzwyczaił się do ciemności. Wtedy ją znalazła, wąską ścieżkę wiodącą przez krzaki. Zmusiła się, żeby iść powoli. Wiedziała, że jak się będzie spieszyć, on usłyszy, że nadchodzą. Jeśli nasłuchiwał, i tak ich słyszał. Niektórych odgłosów nie dało się jednak całkowicie wyeliminować – dyszącego oddechu, trzaskania suchego poszycia, które smagało ją po ubraniu. Ale może nie nasłuchiwał. Może, zamknięty w chacie, nie zobaczył światła z domu. Bała się, że jeśli on wie, że jeśli zdaje sobie sprawę z ich obecności, desperacko przystąpi do działania. Zasmuciłoby go, że nie zdoła wykorzystać wody i kwiatów, ale byłby zachwycony żywą widownią.

Zapomniał, dlaczego to zaczął. Uwiódł go urok czynu. Prawdopodobnie ma książeczkę z wycinkami z gazet. Gdzie jej szukać?

Chatka była taka, jaką ją zapamiętała. Może farba zblakła, dach podrdzewiał, ale przy tym świetle trudno stwierdzić.

Stali na skraju polany. Vera przytknęła usta tak blisko ucha Ashwortha, że przez chwilę czuła jego skórę na wargach.

– Czekaj. Aż zawołam.

Szła powoli po trawie, świadoma swojego ciężaru, przestrzeni, którą przemierza. Tak jakby w środku chaty mógł wyczuć drżenie ziemi, ruch powietrza.

Przy drzwiach się zatrzymała. Kłódki nie było. Założono ją od środka, ale nie sądziła, żeby zamknięto. Nasłuchiwała. Żadnych głosów. Nagle rytmiczne trzaski, potem syk. W szczelinie przy framudze pojawiło się białe światło.

Otwierając drzwi, starała się wyobrazić sobie, że odwiedza sąsiadkę. Bez hałasu, spokojnie, nienerwowo. Przychodzi prosić o przysługę. „Skończył mi się alkohol. Pożycz butelkę wina”.

Clive Stringer stał obok wąskiego drewnianego stołu, ciśnieniowa lampa naftowa oświetlała mu twarz. Trzaski dochodziły z pompki, którą zalewał, syk to odgłos zasysania. Obok lampy leżał pęk kwiatów, głównie stokrotek, z łądzkami owiniętymi wilgotną gazetą. Próbowala nie patrzeć na nie ani nie zerkać w mrok, w poszukiwaniu dziewczyny. W rogu, w torbach, zwinięte sieci do łapania migrujących ptaków. Wetknięta do środka cienka nylonowa linka, używana jako odciąg do mocowania palików. W pokoju Clive'a była sieć na ptaki. Teraz Vera nie miała wątpliwości, że używał odciągu do duszenia ofiar. Cieszyła się, że jest taka duża, że blokuje wejście. On wyglądał wątko.

– To już koniec, kotku – powiedziała przyjaznym tonem. Nie spodziewała się po Stringerze, że będzie walczył. Sądziła, że nawet mu ulży, że go złapano. – Powinieneś pójść ze mną.

Patrzył na nią, nie odzywał się.

Mówiła dalej, zupełnie spokojnie.

– Stałeś się oczywistym podejrzanym, jak tylko się dowiedziałam, że Lily była związana z Peterem Calvertem. Łączyłeś obie rodziny. Ale nie potrafiłam zrozumieć dlaczego. Zrobiłeś to dla nich, prawda? Dla Toma i Petera, swoich przyjaciół.

Myślała, że odpowie, ale on złapał lampę za druciany uchwyt i rzucił ją o ścianę. Szkło rozbiło się, drewno natychmiast zajęło się ogniem, na farbie robiły się pęcherze i bąbelki, płomienie lizały linie rozlanej parafiny. Stringer cofnął się od Very w kąt, jednak ona już nie zwracała na niego uwagi, skupiła się na dziewczynie, nieruchomej postaci leżącej na podłodze u jej stóp. Laura owinięta była w koc. Twarz miała zakrytą. Vera podniosła ją, poczuła, jaka jest szczupła i lekka. W drzwiach stał Ashworth, krzyczał, żeby wyszła. Podążyła mu toboł i odwróciła się do Stringera. Płomienie niemal go pochłaniały, ale ubranie jeszcze się na nim nie paliło. W soczewkach jego okularów odbijało się czerwone światło. Chciała się do niego dostać.

– Wyłaż, człowieku. Twój przyjaciele nie chcieliby tego.

On jakby jej nie słyszał.

Chciała do niego podejść, ale Joe chwycił ją za ramię i wyciągnął na zewnątrz.

Położył dziewczynę na trawie. Twarz miała brudną, usta zaklejone taśmą do paczek, ręce i nogi związane. Vera zdarła jej taśmę z ust, sprawdzała puls. Nie widziała, jak chata się wali, dach spada na mężczyznę w środku, odcina mu drogę ucieczki, gdyby chciał uciekać. Jeśli krzyczał, nie słyszała go.

Vera marzyła o tym, żeby oddać Laurę Julie. Odkąd zdała sobie sprawę, że dziewczyna zaginęła, ten obraz krążył jej po głowie. Widziała siebie w kuchni, jak obejmuje Laurę ramieniem. „Patrz, kotku, kto tu jest. Powiedziałam ci, że ją przyprowadzę, całą i zdrową”. I oczywiście Julie była wdzięczna. W marzeniach.

Stało się inaczej. To Ashworth został bohaterem. Kiedy zerwali taśmę, Laura zaczęła się krztusić i rzezić. Do ataku astmy doprowadziło napięcie z całego dnia. Albo fakt, że długo nie mogła normalnie oddychać. To Ashworth zrozumiał, co się dzieje, zadzwonił po pogotowie, pojechał z dziewczyną do szpitala. Siedział przy niej w karetkce, trzymał ją za rękę, a syreny zawodziły, kiedy gnali Spine Road do Wansbeck. Zanim dotarli do szpitala, już znacznie się uspokoiła. Została tam na noc, ale rano zaczęło ją ciągnąć do domu. Znów mała dziewczynka, która chce do mamy.

Dochodziła północ, kiedy Holly zaprowadziła Julie do sali, gdzie leżała Laura pod obserwacją. Kobieta była spięta. Szła ze zmarszczonym czołem. Nie śmiała wierzyć, że Laura jest bezpieczna, dopóki nie zobaczyła córki. Ashworth nadal siedział przy łóżku. To on zobaczył szlochającą Julie, to jemu podziękowała. I chociaż Vera wiedziała, że to głupie, leżało jej to na sercu. Wolą, żeby to jej Julie dziękowała ze łzami w oczach. Ale nie pomyliła się co do zabójcy. Zawsze jakaś pociecha.

Zamiast zawieźć dziewczynę do matki, stała w rezerwacie w Deepden, czekała na wędrowny cyrk, który zawsze przyjeżdża na miejsce większych wypadków. Wóz straży pożarnej przybył pierwszy. Strażacy wyglądali na rozczarowanych, że to taki mały pożar, łatwy do opanowania. Wydawało się, że tylko śmiertelna ofiara sprawiła, że nie żalowali, że tu są. Obserwowała ich i nie mogła się pozbyć obrazu Clive’a Stringera w czerwonych jak płomień okularach, który spokojnie stoi, kiedy chata wali się wokół niego. Później zespół kryminalistów przeszukał zgliszcza i znalazł kilka nienaruszonych łądyg stokrotek.

Vera dotarła do Fox Mill w chwili, kiedy Peter Calvert wsiadał do samochodu. Zobaczyła Felicity – kobieta przyglądała im się przez kuchenne okno, twarz miała ściągniętą ze zmartwienia. Vera była w takim nastroju, że nie potrafiła jej współczuć.

– Słówko, proszę – powiedziała.

Calvert zaczął się czerwienić.

– Okłamał mnie pan. Mogłabym pana oskarżyć. – Żałowała, że nie jest facetem. Chętnie by mu przywaliła. – Pójdziemy do domku, pogawędzimy, dobrze? Powrót do miłosnego gniazdka. Może to poprawi panu pamięć. Proszę się nie martwić, mam klucz. Dostałam od kryminalistyków. Nie musimy zawracać tym głowy pańskiej żonie. W każdym razie nie teraz. – Ruszyła przez łąkę, wiedziała, że Calvert pójdzie za nią. Otworzyła drzwi, już siedziała, kiedy wszedł. – To tutaj Clive zabił Lily Marsh – powiedziała. – Ale przecież pan już o tym wie. Przynajmniej tak pan podejrzewał. Bo inaczej po co kłamać, że się wysłało kartkę z zasuszonymi kwiatami?

Usiadł naprzeciwko niej, lekko się uśmiechnął.

– Małe kłamstewko pod presją, pani inspektor. Nic nieznaczące.

– Napuściłeś Clive’a, kotku. Byłeś jego bohaterem. Wiedziałeś, że zrobi wszystko, o cokolwiek poprosisz. Usłyszał o Lily. Jak groziła, że rozpowie o romansie. Kiedy? Przy jednym z twoich miłutkich piątkowych lunchów?

– Musiałem z kimś porozmawiać, pani inspektor. To był trudny czas.

– Jak podsunął mu pan tę myśl? „Gdyby tylko zdarzył się jej wypadek...” Powiedział mu pan, że wysłał kartkę. A potem pan się martwił, że Clive wykorzysta ją jako dowód na romans? „Ale przynajmniej jej nie podpisałem. Nikt nie powiąże tego ze mną. Byliśmy bardzo ostrożni”. Ale nie wspomniał pan o pocałunkach. Tylko że Clive miał bardziej rozbudowany plan, niż się spodziewałeś, kotku. Był szachistą. Lubił skomplikowane

rozgrywki. I nie miał kontaktu z rzeczywistością, mój sierżant zdał sobie z tego sprawę po jednym ze spotkań. Nie wystarczyło zabić Lily Marsh. Musiał jeszcze odciągnąć nas od swojego guru. Miał własne powody, żeby pragnąć śmierci Luke'a Armstronga, więc jego zabił pierwszego. I wysłał kartkę, żeby wzmocnić związek tego zabójstwa ze śmiercią Lily i chronić pana. Inaczej, po co miałby kłamać, kiedy zapytałam, czy wysłał pan podobną kartkę do Lily? – Przerwała, żeby zaczerpnąć tchu. – Kiedy to było, doktorze Calvert? Kiedy Clive przyznał, że zabił Luke'a i Lily?

Nie odpowiedział.

Vera mocno rąbnęła pięścią w stół, wiedziała, że na drugi dzień zrobi się jej siniak.

– Człowieku, nic ci nie grozi. Tak naprawdę nie mogę pana oskarżyć. Prokuratura w parę minut odrzuciłaby mi wniosek. Zresztą pan, osoba wykształcona, wie, jak to jest. Ale proszę mi powiedzieć. Zaspokoić moją ciekawość.

– Parę dni temu w Deepden pojawiła się pokrzewka czarniawa. Podwiozłem Clive'a do miasta. Wtedy mi powiedział. Jakbym miał być z niego zadowolony. Byłem przerażony.

– Ale nie dość przerażony, żeby powiadomić nas o tym, co się stało. – Głos miała zwodniczo łagodny. – Mogła być kolejna ofiara. Ale pan nadal trzymał język za zębami. Dlaczego, doktorze Calvert? Wypaczone poczucie lojalności? A może bał się pan, że Clive wmiesza pana w te zabójstwa?

– Pani inspektor, nie muszę tego wysłuchiwać. Jak pani zauważyła, nie może mnie pani oskarżyć. – Wstał i wyszedł. Vera patrzyła, jak Calvert idzie przez łękę, zatrzymuje się, żeby przesłać uspokajający pocałunek żonie – najwyraźniej nadal wyglądała przez okno.

O dziesiątej rano żona Ashwortha zaczęła mieć bóle porodowe. W porze podwieczorku zadzwonił do biura, żeby oznajmić, że urodziła chłopca. Jack Alexander. Prawie cztery i pół kilo, prawdziwy kawał chłopca. Vera już miała wychodzić z komisariatu, żeby położyć się spać, ale zgodziła się spotkać z

Ashworthem na drinka. Nie lubiła świętować narodzin cudzych dzieci, ale wolała wypić trochę z Joem, niż wracać na trzeźwo do pustego domu. W końcu zaproponowała, żeby wpadł do niej. Wiedziała, że nie skończy na paru głębszych, a dzięki temu nie będzie musiała prowadzić. Po drodze do domu kupiła w supermarkecie butelkę szampana i wielki bukiet dla Sarah. Uznała, że sierżant doceni ten gest. Do wózka włożyła też gotowe danie indyjskie i flaszkę szkockiej. Na sen.

Ashworth przyjechał zaledwie pięć minut po niej. Z kuchennego okna zobaczyła, jak wyskakuje z samochodu, oczy mu łzawią, promienieje. Wypiła już dużego scotcha. Wypłukała szklanekę, postawiła ją z powrotem na tacy, żeby się nie domyślił.

Usiedli na dworze. W domu miała jeszcze większy bałagan niż zazwyczaj, nie chciała, żeby to zobaczył. Nie zniosłaby, gdyby zaczął jej współczuć. Była zamroczona brakiem snu. Rozmowę punktowały zwierzęta sąsiadów: owce, koza i oczywiście kogut.

– Więc miałeś rację – powiedziała. – Stringer to świr.

– Ale ty wiedziałaś, że to on, prawda?

– Myślałam, że to możliwe.

– Nie wspomniałaś o tym.

– Brakowało dowodów. I spotkałam paru chłopaków takich jak Clive, kiedy dorastałam. Obsesyjni. Samotni. Nie wszyscy zostają seryjnymi zabójcami.

– Dlaczego on został?

– Był romantykiem – odparła. – Wierzył w szczęśliwe rodziny.

– Bardzo słaby motyw.

– Nie w jego przypadku. – Pokręciła głową. – Jest w tym dziwaczna logika. – Spojrzała w dal. Pomyślała, że wzgórza są tego wieczoru bardzo wyraziste i bliskie. Nie zdziwiłaby się, gdyby ładna pogoda utrzymała się długo.

– Tak? Jaka? Wytlumacz mi. – Joe również wierzył w szczęśliwe rodziny i to zanim założył własną. Ale też w takiej rodzinie dorastał. Przyłapała go na tym, że patrzy na nią jak na idiotkę.

– Clive był samotny. Bez taty. Bez przyjaciół. Tylko ta wiedźmowata matka, która chciała wyssać z niego życie. Miał dwie namiastki rodzin: Sharpów i ptasiarzy Petera Calverta. Oba zabójstwa zostały popełnione, żeby je chronić. Łączyła go emocjonalna więź z Tomem Sharpem, czuł się za niego odpowiedzialny od dzieciństwa, winił Luke'a za jego śmierć. Calvertów uważał za wspaniałe małżeństwo. Idealizował Petera i wydawało mu się, że kocha Felicity. Nie chciał jej skrzywdzić wiadomością o romansie jej męża.

– Nigdy się nie dowiemy, co mu się roilo w głowie, prawda?

– Ashworth wpatrywał się w szklanę.

Vera zdawała sobie sprawę, że Joe myśli tylko o cudzie, jakim jest jego syn, kolejny pomarszczony, czerwony, wrzeszczący dzieciak. Zanim pozwolił jej mówić o zabójstwach, musiała wysłuchać szczegółowej opowieści o porodzie. O tym, jak dzielnie spisała się Sarah. „Stęknęła dosłownie parę razy”. Nie obchodziło go, dlaczego Clive Stringer zamordował dwie osoby, a trzecią porwał. Nie dziś wieczorem. Wystarczało mu, że to świr.

Ale dla Very to było ważne. I ona wiedziała dlaczego.

– Calvert był jego bohaterem. Clive robił to, czego Peter chciał, ratował jego małżeństwo, pozbył się na dobre Lily Marsh. Pamiętasz, jak zapytaliśmy go w muzeum, czy nic by nie powiedział, gdyby dowiedział się, że jeden z jego przyjaciół popełnił zabójstwo? Odparł, że oczywiście siedziałby cicho. Powinniśmy go zapytać, czy zabiłby dla przyjaciela. – Mówiła właściwie do siebie. Słońce, whisky, brak snu wprowadziły ją w swego rodzaju trans. – Gdyby nie udziwniał, uszłoby mu to na sucho.

Joe podniósł wzrok znad drinka. Wreszcie go zainteresowała.

– Jak to?

– Pierwszym celem była Lily Marsh. Chciała zniszczyć Calvertowi życie. Zaczynała wariować. Dlatego pojawiła się z Jamesem, żeby obejrzeć domek. Zakładała, że Felicity opowie o tym mężowi, a on zrozumie, że to groźba. „Wróc do mnie, bo inaczej żona o wszystkim się dowie”. Dzwoniła do Calverta do

domu. Nawet wmówiła sobie, że jest w ciąży. Peter zwierzył się Stringerowi. Co tydzień spotykali się na lunchu. Wiedział, że jest idolem Stringera, próżność pozwalała mu wierzyć, że przyjaciel zabije w jego imieniu. – Wyobrazila sobie Clive’a w domu w North Shields, słowa Calverta kołaczą mu się po głowie, planuje morderstwo, kiedy matka ogląda w drugim pokoju telewizyjne teleturnieje. Clive ma na tym punkcie obsesję, tak jak na punkcie ptaków i przyjaźni. – Lubił szachy – ciągnęła Vera. – Często grywał z chłopakiem Calvertów. Opracowywał ruchy w swoim dramacie z dużym wyprzedzeniem.

– Więc dlaczego Luke Armstrong? I dlaczego jego pierwszego zamordował?

– Musiał. Nie chciał w żaden sposób mieszać Calverta w zbrodnię. Myślał, że skoncentrujemy się na chłopaku, szukając motywu.

– Więc pierwszą ofiarą mógł być ktokolwiek? Stringer wybrał go na chybił trafił, żeby zbić nas z tropu?

– Nie, nie na chybił trafił. Stringer nigdy nie dopuściłby się zbrodni, gdyby Calvert tego nie potrzebował, ale myślę, że chętnie znalazł pretekst, żeby zabić Luke’a. Winił go za śmierć Toma Sharpa. Zresztą nie on jeden. Uważał Toma za swojego brata. Jak mówiłam, Sharpowie byli dla niego czymś w rodzaju rodziny. I słyszał, jak Gary opowiada o swoich planach wyjścia z Julie, więc się orientował, że nie będzie jej w domu w czwartek wieczorem. Może zobaczył w tym znak, uznał, że czas wykonać ruch. O Laurze nie wiedział, nie miał pojęcia, że dziewczyna tam jest, kiedy Luke go wpuścił. Dopiero później Gary mu powiedział, że w czasie zabójstwa siostra Luke’a była w domu.

– Więc dlatego ją porwał?

– Nie – odparła Vera. – Zaczęło mu się to podobać. Po raz pierwszy w życiu stał u steru.

– A pomysł z kwiatami wziął z tej akcji nad Tyne?

– Może. Calvert musiał być poza wszelkimi podejrzeniami, więc najlepiej żeby policja uznała, że te dwa przypadkowe zabójstwa zostały dokonane przez tego samego szaleńca. Należało

je powiązać. Stąd kwiaty, woda. Nie zauważyłam, żeby Stringer wykazywał naturalne skłonności do dramatyzowania. Upozowanie zwłok i udekorowanie scenerii to część planu.

– Nie przyszłoby mi do głowy, że ten facet ma tyle wyobraźni – stwierdził Joe.

– Hm, nie wykombinował tego wszystkiego sam, kotku. – Vera naląła sobie kolejnego drinka z nadzieją, że Joe jest zbyt pochłonięty myślami o dziecku, żeby to zauważyć. – Pomysł wziął z tego cholernego opowiadania Parra. Tego, które o mały włos nie przekonałoby nas, że to Samuel jest mordercą. W tej historii ofiara została uduszona. Jak opisał to Parr? „Jakby uściski, objęcia”? A potem trup został ułożony w wodzie. Widziałam tę książkę u Clive’a w domu. Ale w miękkiej okładce. Inne wydanie niż to, które wypożyczyłam w bibliotece. Wtedy nie zwróciłam na to większej uwagi. Wziął olejek kąpielowy matki, żeby dodać go do wody w domu Armstrongów. Kiedy rozglądałam się po domu Stringera, w łazience znalazłam tylko męskie kosmetyki. Już wtedy powinno mnie coś tknąć. – Sięgnęła i naląła sobie kolejnego drinka. Trzeciego? Czy czwartego? – Jak mówiłam, to wszystko było zaplanowane. Bardzo starannie. Wiedział, że Calvert posłał Lily kartkę z zasuszonymi kwiatami. Więc on wysłał taką samą do Luke’a.

W oddali sąsiadka zwoływała kury na noc do kurnika. Uderzała łyżką o miskę z karmą, żeby je zwabić. Głupia baba wszystkim tym kurom ponadawała imiona, płakała, kiedy ukręciano któreś łeb. Vera brała od niej tusze i wkładała do rondla.

– Ukradł samochód, żeby się tam dostać. Sprawdziliśmy wypożyczalnie aut, ale nie ukradzione wozy. Dałam mu się nabrać, nie widziałam w nim złodzieja, ale kręcił się u Sharpów tak długo, że w końcu nauczył się tego i owego. Dzisiaj usłyszałam, że kiedyś był dobry w podprowadzaniu bryczek. Jeszcze w liceum od czasu do czasu dostarczał Davy’emu samochody. Przestał, kiedy Calvert znalazł mu pracę w muzeum. Po zabiciu Luke’a zostawił samochód tam, skąd go zabrał, w Shields. Gdyby na tym skończył, nigdy

byśmy go nie namierzyli. Ale jego właściwym celem było zabicie Lily Marsh, uratowanie małżeństwa Calvertów. Chciał być niezastąpiony.

– Zabił ją w domku przy Fox Mill? – Joe przynajmniej na tyle się zainteresował, żeby zadać pytanie. Mimo woli wciągnął się w tę opowieść.

– Najwyraźniej. Jak inaczej dopadłby taką dziewczynę bez świadków? Pewnie napisał liścik. Podrobił pismo Calverta albo wystukał to na komputerze. Tego raczej nigdy się nie dowiemy. Ale jestem pewna, że tam był. Po południu zadzwoniłam do Felicity Calvert. Kiedy ją przycisnęłam, przypomniała sobie, że jak przyprowadzała Jamesa ze szkoły, zobaczyła na ścieżce białego land rovera. Dajmy czas technikom, a znajdą jego ślady.

– Biały land rover – powtórzył Ashworth. – Ukradziony z Zakładu Wodno-Kanalizacyjnego Northumberland. To w ten sposób przewiózł jej zwłoki do kanału.

– Gwizdnął auto z ich parkingu – powiedziała ze złością. – Nikt nie zauważył, dopóki nie poprosiłam, żeby sprawdzili. Właśnie w tej sprawie wczoraj dzwonił Davy Sharp. Dotarła do niego wiadomość, że Clive znowu kradnie. Nie rozumiał dlaczego, przecież miał tyle do stracenia. Usłyszał, że porwano dziewczynę. Land roverem mógł przejechać całą drogę do kanału, po trawie i kamieniach. Dlatego nikt go nie widział z ciałem Lily. – Teraz poczuła się w sam raz zmęczona, zaczęła się odprężyć. Jeszcze jeden drink i będzie mogła zasnąć w nocy. – Clive pewnie wrócił do Seaton, obserwował dom ze ścieżki nad stawem. Bywał tam regularnie. Od małego przyglądał się ptakom w tej okolicy. Gdyby ktoś zobaczył go z lornetką, nie zwróciłby na niego uwagi. Ptasiarze to część krajobrazu. W dzień porwania jechał za nią prawie na przystanek autobusowy, czekał, aż droga opustoszeje. Laura jest drobniutka, więc bez trudu ją obezwładnił. Nigdy nie miał dziewczyny. Wyobraź sobie jego fantazje, kiedy leżał rozbudzony w nocy i czytał tę książkę. Dziewczyna go zafascynowała. Szczególnie że była taka podobna do ofiary z opowiadania Parra. Usprawiedliwiał się przed sobą, że mogła go

widzieć tego wieczoru, kiedy udusił Luke'a, albo że musi znowu zwrócić naszą uwagę na Armstrongów, bo jesteśmy za blisko Calvertów. Ale nie dlatego wyruszył wcześniej rano i porwał ją w drodze do szkoły. Tę ofiarę chciał zatrzymać dla siebie. Zamknął ją w bagażniku skradzionego samochodu, potem poszedł do pracy, żeby mieć alibi. I planował zabójstwo. Jak pięknie będzie wyglądała martwa dziewczyna. Miał ruchomy czas pracy, więc wyszedł wcześniej, zabrał ją na wybrzeże do Deepden i ukrył w chatce do obrączkowania.

– Ale zamierzał ją zabić?

– Oczywiście. Miał ze sobą kwiaty.

Ashworth dopił drinka, zerknął na zegarek.

– Wracam. Czas odwiedzin w szpitalu. A teściowa już całe popołudnie zajmuje się Katie. Na szczęście jutro Sarah wraca do domu.

Vera patrzyła, jak Joe Ashworth idzie do samochodu, z szampanem w jednej ręce, kwiatami w drugiej. Pomyślała, że gdyby wyszła za kogoś takiego jak on, chyba zabiłaby się z nudów.

* Northumbria – region między Anglią a Szkocją; Northumberland – hrabstwo, współczesna jednostka administracyjna, terytorialnie mniej więcej pokrywająca się z obszarem średniowiecznego księstwa Nortumbrii (przyp. red.).

* Typowe prowansalskie danie na zimę; gulasz z wołowiny, z warzywami, winem i ziołami (przyp. red.).

* W Wielkiej Brytanii leśniczy (*gamekeeper*) ma nieco inną funkcję niż w Polsce; jest odpowiedzialny przede wszystkim za utrzymanie populacji zwierzyny łownej, dlatego często tępi drapieżniki (przyp. tłum.).

* Virgin i GNER (Great North Eastern Railway) – brytyjscy przewoźnicy kolejowi (przyp. tłum.).

* Półmaraton odbywający się corocznie we wrześniu, drugi na świecie co do wielkości. Trasa wiedzie z Newcastle do South Shields (przyp. tłum.).

* DFDS Seaways – jedna z linii żeglugowych na Morzu Północnym (przyp. tłum.).

* Brytyjska organizacja charytatywna (przyp. red.).

* Gatunek ptaków z rodziny mew (przyp. red.).